

SWILBUR SMITH

Zakrzyczeć diabła



Wilbur Smith

Zakrzyczeć diabła

(Stout At The Debil)

Przełożył Jarosław Kaczorowski

Słowo wstępne

Nie będę zaprzeczać, że opowieść ta jest inspirowana wydarzeniami z czasu ostatniej wojny światowej, kiedy to niemiecki okręt korsarski „Königsberg” został

zatopiony w kanale Kikunya w delcie rzeki Rufiji przez okręty Marynarki Królewskiej.

Z największym jednak naciskiem będę zaprzeczał, jakoby hultaje i łajdacy opisani w mojej opowieści wykazywali jakiegokolwiek podobieństwo do któregoś z członków grupy, która przyczyniła się do zniszczenia „Königsberga”. W szczególności chciałbym z całą stanowczością odeprzeć sugestię, że pierwowzór charakteru Flynna Patricka O'Flynna stanowiła postać dzielnego pułkownika „Jungle Mana” Pretoriusa, który rzeczywiście wszedł na pokład „Königsberga”, aby odmierzyć odległość dla celowników dział okrętów Jej Wysokości „Severn” i „Marsey”.

Chciałbym wyrazić podziękowania emerytowanemu komandorowi porucznikowi Królewskiej Marynarki Wojennej Mather sowi za pomoc w moich badaniach.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Flynn Patrick O'Flynn z zawodu był kłusownikiem; najlepszym na wschodnim wybrzeżu Afryki, jak sam skromnie przyznawał.

Rachid El Kaleb był eksporterem - wywoził kamienie szlachetne, kobiety do haremów i znamienitych domów Arabii i Indii oraz, co było całkowicie nielegalne, kość słoniową. Wiedzieli o tym tylko jego zaufani klienci, dla innych był bogatym, godnym szacunku armatorem floty statków przybrzeżnych.

Pewnego popołudnia w czasie pory deszczowej 1912 roku Flynn i Rachid, połączeni wspólnotą interesów, zasiedli na zapleczu sklepu El Keba w arabskiej dzielnicy Zanzibaru i popijali herbatę z mosiężnych filiżanek. Gorący napój sprawiał, że Flynn Patrick O'Flynn pocił się jeszcze bardziej niż zwykle. Powietrze było aż gęste od wilgoci i upału, a muchy apatycznie obsiadały niski sufit, nie wykazując żadnej aktywności.

- Posłuchaj, Kebby. Ty pożyczysz mi jeden z tych swoich śmierdzących stateczków, a ja zapełnię go kłami, tak że ledwo będzie się trzymał na wodzie.

- Och! - odparł El Keb ostrożnie, wachlując liściem palmowym swoją twarz podejrzliwej papugi, ze zmierzwioną kozia bródka.

- Czyż choć raz cię zawiodłem? - spytał napastliwie Flynn, a kropla potu oderwała się od czubka jego nosa i spadła na zupełnie już mokrą koszulę.

- Och! - powtórzył El Keb.

- To plan z jajem. Ma znamiona wielkości. Ten plan... - Flynn zawiesił głos, szukając dobrego określenia - ten plan jest napoleoński. Jest cesarski!

- Och! - rzekł El Keb raz jeszcze i ponownie napełnił swoją filiżankę. Zanim przemówił, delikatnie ujął naczynie kciukiem i palcem wskazującym, podniósł je do ust i siorbnał herbatę. - Czyż jednak koniecznym jest, abym musiał ryzykować całkowite zniszczenie szesćdziesięciostopowego statku wartego... wartego dwa tysiące funtów angielskich? - ostrożnie zawyżył jego wartość.

- Wobec niemal pewnego zarobienia dwudziestu tysięcy - uciał szybko Flynn i na twarzy El Keba pojawił się uśmiech rozmarzenia.

- Aż tak wysoko oceniasz zyski?

- Najmarniej licząc. Na Boga, Kebby! Od dwudziestu lat na równinie Rufiji nie padł

żaden strzał. Cholernie dobrze wiesz, że to prywatny rezerwat myśliwski kajzera. Te słonie są tak ociężałe, że mogę je otoczyć i poprowadzić jak owce. - Palcem prawej ręki Flynn zakreślił w powietrzu koło, jakby zwierzęta już były pojmane.

- To szaleństwo - szepnął El Keb, dotykając ust swym złotym sygnetem. -

Zamierzasz wpłynąć do ujścia Rufiji od strony morza, zawiesić Union Jacka na jednej z wysp w delcie i napełnić statek niemiecką kością słoniową. To szaleństwo.

- Niemcy nigdy formalnie nie zaanektowały żadnej z tych wysp. Obrócę tam i z powrotem, zanim Berlin zdaży wysłać jakąkolwiek notę do Londynu. Jak zapolujemy z moimi dziesięcioma najlepszymi strzelcami, zapełnimy statek w dwa tygodnie.

- Niemcom wystarczy tydzień, żeby do was dotrzeć okrętem. W Dar es Salaam stoi pod parą krążownik „Blücher” z dziewięciocalowymi działami na pokładzie.

- Będzie nas chronić flaga brytyjska. Nie ośmiela się nas tknąć; nie w sytuacji, którą mamy teraz między Anglią a Niemcami.

- Sądziłem, panie O’Flynn, że jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

- Cholerna to prawda. Owszem, jestem. - Flynn z odrobiną dumy wyprostował się w krześle.

- Będzie pan potrzebował brytyjskiego kapitana. - El Keb skubał brodę w zamyśleniu.

- Chryste, Kebby, nie myślałeś chyba, że jestem na tyle durny, żeby samemu żeglować tym czółnem? - Z oczu Flynn’a wyzierał ból rozczarowania. - Znajdę kogoś, kto popłynie tam i przepłynie z powrotem przez kordon Niemieckiej Marynarki Kolonialnej. Jeśli chodzi o mnie, to zamierzam piechotą dojść z mojego obozowiska w Mozambiku Portugalskim, a potem wrócić tą samą drogą.

- Proszę wybaczyć. - El Keb uśmiechnął się raz jeszcze. - Nie doceniałem pana. -

Podniósł się szybko. Przybrudzona biel szaty sięgającej kostek ujmowała nieco wspaniałości inkrustowanemu sztyletowi, który wisiał u pasa. - Panie O’Flynn, myślę, że mam kogoś, kto mógłby być kapitanem tej łodzi. W pierwszej jednak kolejności niezbędna jest zmiana jego kondycji finansowej, tak aby zechciał zaakceptować warunki zatrudnienia. „

Sakiewka złotych funtów stała się przyczyną diametralnych zmian w życiu Sebastiana Oldsmitha. Sprezentował mu ją ojciec, kiedy Sebastian oznajmił rodzinie, że zamierza popłynąć do Australii i zbić fortunę na handlu wełną. Sakiewka owa dawała mu pewną niezależność w drodze z Liverpoolu do Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie został wysadzony na brzeg, po tym jak nawiązał bliski kontakt z siostrą pewnego dżentelmena, który podróżował właśnie, aby objąć urząd gubernatora Nowej Południowej Walii.

Szybko topniejący zapas suwerenów towarzyszył Sebastianowi wśród wielu przeciwności losu, które zawiodły go do Zanzibaru, gdzie pewnej nocy obudził się z gorączkowego snu w obskurnym pokoiku i odkrył, że jego sakiewka zniknęła, a wraz z nią ojcowskie listy polecające do wpływowych handlarzy wełny w Sydney.

Siedząc na brzegu łóżka, skonstatował, że listy te mają niewielką wartość w Zanzibarze. Z rosnącym zakłopotaniem analizował raz jeszcze wydarzenia, które rzuciły go tak daleko od celu podróży, a wysiłek umysłu odbił się na młodzieńczym czole w postaci zmarszczek. Było to czoło wysokie, godne filozofa, zwieńczone burzą pięknych czarnych loków; oczy Sebastiana były ciemnobrązowe, nos długi i prosty, szczęka mocno zarysowana, a usta znamionowały wrażliwość. W dwudziestym drugim roku życia Sebastian miał oblicze wykładowcy z Oxfordu, co dowodziło, być może, że pozory mylą. Ci, którzy znali go dobrze, byliby zdziwieni, że wysłany do Australii, dotarł do miejsca aż tak od niej oddalonego jak Zanzibar.

Poniechawszy wysiłku intelektualnego, który przyprawił go o lekki ból głowy, wstał

i w koszuli nocnej, której skraj omiatał jego

łydki, rozpoczął przeszukiwanie pokoju.

Choć sakiewka znajdowała się poprzedniego wieczoru pod materacem, opróżnił

najpierw dzban z wodą i zajrzał doń pełen nadziei. Następnie rozpakował walizę i przetrząsnął wszystkie koszule. Wczołgał się pod łóżko, podniósł materac i sprawdził

wszystkie szpary. Dopiero wtedy oddał się rozpacz.

Ogolił się, namaścił śliną ślady ugryzień pluskiew, a potem przebrał się w szary garnitur, noszący wyraźne znamiona trudów podróży, oczyścił szczotką melonik, starannie włożył go na pukle swych pięknych włosów i dzierżąc w jednej ręce laskę, a w drugiej walizkę, podążył schodami na dół do dusznego, gwarne holu hotelu Royal.

- Oznajmiam - tu zaszczycił niewielkiego Araba, stojącego za ladą recepcji, najbardziej pogodnym uśmiechem, jaki udało mu się przywołać na oblicze - że zgubiłem pieniądze. Na to przynajmniej wygląda.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Kelnerzy niosący tace w kierunku werandy hotelowej zwolnili i zatrzymali się, odwracając głowy w stronę Sebastiana z wyrazem wrogiego zdziwienia, tak jakby oznajmił właśnie, że cierpi na średnio zaraźliwy trąd.

- Ukradziono mi je, jak przypuszczam - brnął dalej, szczerząc zęby. - Nieprzyjemny przypadek, doprawdy.

Cisza prysnęła nagle, gdy z biura, przez zasłonę z koralików wpadł jak burza właściciel Hindus.

- A co z pańskim rachunkiem, panie Oldsmith? - jęknął głośno.

- Ach, rachunek. Tak, cóż, nie gorączkujmy się

zbyttnio. To, jak sędzę, w niczym nam nie pomoże, nieprawdaż?

W tym momencie właściciel zaczął się na dobre gorączkować. Jego lamentsy, pełne oburzenia i męki, dotarły na werandę, gdzie kilkunastu ludzi zdążyło już rozpocząć swą codzienną walkę z upałem i pragnieniem. Niezwłocznie zapełnili oni hol, by przyjrzeć się ciekawej scenie.

- Winien jest pan za dziesięć dni. To prawie sto rupii.

- Tak, to zabawny zbieg nieprzyjemnych okoliczności. Wiem. - Sebastian wciąż szczyrzył zęby w desperackim uśmiechu.

W tym momencie ponad powstałym zgiełk wybił się jakiś głos.

- Chwileczkę.

Sebastian i Hindus jednocześnie zwrócili się w stronę postawnego mężczyzny o zaczerwienionej twarzy, mówiącego z miłym, amerykańsko-irlandzkim akcentem.

- Czy dobrze usłyszałem nazwisko, Oldsmith?

- Owszem, sir.

Sebastian instynktownie wyczuł sprzymierzeńca.

- To niezbyt popularne nazwisko. Jest pan może spokrewniony z panem Francisem Oldsmithem, kupcem z Liverpoolu? - tonem pełnym szacunku spytał Flynn O'Flynn.

Wcześniej przeczytał starannie listy polecające Sebastiana, które dostarczył mu Rachid El Keb.

- Wielkie nieba! Pan zna mojego ojca?! - krzyknął uradowany Sebastian.

- Czy znam Francisca Oldsmitha? - Flynn zaśmiał się swobodnie. - No cóż, nie znam go osobiście, rozumie pan, ale rzecz mógłbym, że wiem o nim co nieco. Sam kiedyś handlowałem wełną. - Zwrócił twarz ku właścicielowi hotelu. - Wspomniał pan o sumie stu rupii - powiedział, chuchając mu w twarz odorem dżinu.

- Tak, właśnie - odparł Hindus niemal udobruchany.

- Pan Oldsmith i ja wypijemy drinka na werandzie. Tam może pan przynieść rachunek.

Flynn położył dwa suwereny na kontuarze; te same suwereny, które jeszcze niedawno spoczywały pod materacem łóżka, na którym spał Sebastian.

Z nogami opartymi o niski murek werandy Sebastian spoglądał znad szklanki na zatokę. Nieczęsto pił, ale wobec opiekuńczego gestu Flynnna nie mógł zachować się grubiańsko i nie przyjąć oferty. Liczba stateczków na zatoce zwielokrotniła się nagle w dziwny sposób. Trzy identyczne żaglówki zrobiły jednocześnie zwrot i skierowały się do portu. Zamknawszy jedno oko, Sebastian z dużym wysiłkiem zredukował liczbę łódek do jednej. Uradowany tym sukcesem, skierował uwagę na nowego znajomego, a zarazem współnika, który wydawał się bez reszty zajęty swoim dżinem.

- Panie O'Flynn - zaczął, powoli cedząc słowa.

- Daj spokój z tym panem, Bassie, mów mi Flynn. Po prostu Flynn, tak jak dżin.

- Flynn. Czyż nie ma... no, czyż nie ma w tym czegoś zabawnego?

- Zabawnego? Co masz na myśli, chłopcze?

- Chodzi mi o to, czy nie ma w tym czegoś nielegalnego? - spytał Sebastian, czerwieniąc się lekko.

- Bassie, za kogo ty mnie uważasz? - Flynn smutno potrząsnął głową. - Myślisz, że jestem jakimś oszustem, czy co?

- Och, nie, oczywiście, że nie, Flynn. - Sebastian tym razem na dobre oblał się rumieńcem. - Pomyślałem tylko, że, no cóż, że te słonie, które mamy zastrzelić, muszą należeć do kogoś. Czy nie są one własnością Niemców?

- Bassie, chcę ci coś pokazać. - Flynn odstawił szklankę i pogrzebawszy w wewnętrznej kieszeni swej bluzy, wyciągnął kopertę. - Czytaj, chłopcze.

Drogi Panie Flynn O'Flynn Martwię się o wszystkie te słonie w dolinie Rufiji, zjadające całą tę trawę i niszczące wszystkie te drzewa i inne rzeczy, więc jeśli ma Pan czas, zechce Pan udać się tam i zastrzelić kilka z nich, kiedy tak zjadają całą tę trawę i niszczą wszystkie te drzewa i inne rzeczy. Szczerze Panu oddany Kaiser Wilhem III Cesarz Niemiec*

- Dlaczego napisał do ciebie? - Wśród oparów dżinu w czaszce Sebastiana wykluło się jakieś niejasne podejrzenie.

- Bo wie, do diaska, że jestem najlepszym myśliwym od słoni na świecie.

- Czy nie spodziewałbyś się po nim lepszej angielszczyzny? - wymamrotał

Sebastian.

- Cóż złego jest w jego angielszczyźnie? - obruszył się Flynn. Spędził w końcu trochę czasu komponując ten list.

- No, mam na myśli kawałek o zjadaniu całej tej trawy. Powtórzył to dwukrotnie.

- Cóż, musisz pamiętać, że jest Niemcem. Oni nie piszą zbyt dobrze po angielsku.

- Oczywiście! Nie pomyślałem o tym. - Sebastian odetchnął z ulgą i wznosił

szklanicę. - Za dobre polowanie.

- Za to wypiję - rzekł Flynn i opróżnił naczynie.

* Ostatnim cesarzem niemieckim był Wilhelm II. Panował do 1918 r. (przyp. tłum.).

3

Sebastian obiema rękami mocno trzymał się burty statku, wpatrzony w majaczące w oddali wybrzeże. Monsun zwieńczył fale białymi grzywami, a twarz Sebastiana przyozdobił drobnymi kropelkami wody. Plamy soli pokrywały zarośla mangrowe, z których unosił się diabelski smród, zupełnie jakby jakieś zwierzę umarło we własnych odchodach. Sebastian wciągnął ten zapach z niesmakiem, szukając wzrokiem wejścia do delty rzeki Rufiji.

Ściągając brwi, próbował odtworzyć w pamięci mapę admiralicji. Rufiji uchodziła do morza kilkunastoma kanałami, które ciągnęły się czterdzieści mil i odcinały z pięćdziesiąt, a może i sto wysp.

Wody pływowe docierały piętnaście mil w górę rzeki, mijając zrazu zarośla mangrowe, a potem zabagnione skrawki łąd, porośnięte wysoką trawą. Na

tych właśnie moczarach stada słońi znalazły kryjówkę przed kulami i strzałami myśliwych żadnych kości słońiowej. Były chronione przez majestat cesarza i niedostępność terenu.

Zwalisty typ o twarzy mordercy, który dowodził statkiem, wykrzyczał potok śpiewnych rozkazów. Sebastian odwrócił się, by przyjrzeć się skomplikowanemu manewrowi niezgrabnego pływadła. Na pokładzie nagle zaroiło się od półnagich marynarzy, którzy łomocząc bosymi stopami po brudnych deskach, uwijali się wokół

szotów. Szesnastometrowy bom przeleciał - na drugą burtę, gdy dziób statku przeciął

linię wiatru. Kadłub zachrzęścił jak kości artretycznego starca. Na nowym halsie dziób skierowany był wprost na ląd. Smród świeżo poruszonej kloaki przemieszany z bagiennym zaduchem uderzył w nozdrza Sebastiana z nową siłą. Ta porcja głębokich doznań sprawiła, że młodzieniec ścisnął mocniej reling, a krople potu wystąpiły obficie na jego czoło. Wśród zachęcających okrzyków załogi przechylił się do przodu i złożył

bogom morza daninę. Wisiał przechylony bezsilnie przez burtę jeszcze wtedy, gdy statek, przebywszy wzburzone, odbite fale przybrzeżne, wpłynął na spokojne wody południowej odnogi Rufiji.

Cztery dni później siedział po turecku na wyleniałym dywaniku, który kapitan rozłożył na pokładzie. Wyjaśniali sobie na migi, że nie mają zielonego pojęcia, gdzie się znajdują. Dhow stał na kotwicy w wąskim kanale otoczonym poskręcanyimi pniami mangrowców. Dla Sebastiana nie było żadną sensacją, że się zgubili, ale kapitan, który podróżował między Adenem, Kalkutą a Zanzibarem z pewnością siebie człowieka odwiedzającego swoje

włości, nie zachowywał tak stoickiego spokoju. Wznosił oczy ku niebu, wzywając Allana, by wstawił się za nim u dżina, który włada tym śmierzącym labiryntem, sprawia, że woda płynie jakimiś niezwykle kanalami, rzeźbiąc dziwaczne wyspy, i stawia grząskie mielizny na drodze ich statku. Przejęty swoją elokwencją, podbiegł do burty i wrzasnął przenikliwie w stronę ściany lasu namorzynowe-go, skąd poderwało się stado ibisów i przefrunęło w zawieszistej mgle ponad masztem statku.

Następnie przysiadł na dywaniku i przeszył Sebastiana wzrokiem pełnym ponurej nienawiści.

- Przecież wiesz, że to nie moja wina - powiedział młodzieniec, wijąc się jak piskorz pod brzemieniem bazyliżkowego spojrzenia kapitana. Rozwinął mapę admiralicji i wskazał palcem wyspę, którą Flynn O'Flynn zakreślił niebieskim ołówkiem jako miejsce spotkania. - Znalezienie tego to raczej twoja działka. W końcu to ty jesteś nawigatorem.

Kapitan splunął z pasją na deski pokładu, co sprawiło, że Sebastian oblał się rumieńcem.

- Takie zachowanie do niczego nas nie doprowadzi. Spróbujmy porozmawiać jak dżentelmeni.

Tym razem kapitan wydobyl spod płuc chyba całą flegmę, bo spora porcja żółtej mazi zakryła niemal zupełnie niebieski okrąg na mapie. Wyraziwszy tak dobitnie własne zdanie, kapitan wstał i odszedł w kierunku grupki swoich marynarzy.

Wśród szybko zapadającego zmroku i natrętnego brzęczenia komarów Sebastian wsłuchiwał się w szepty Arabów i wyłapywał ich przenikliwe spojrzenia. Odgadł, co się święć. Kiedy zmierzch opadł na statek szarą zasłoną, młodzieniec zajął na przednim pokładzie pozycję obronną i czekał na atak. Za broń

posłużyć mu miała hebanowa pałka, którą położył obok siebie. Oparty o burtę wytrwał, aż zrobiło się zupełnie ciemno, a wtedy wstał cicho i przysiadł za jedną z beczek napełnionych wodą i przymocowanych do podstawy masztu.

Długo nie nadchodzili. Pół nocy minęło, zanim usłyszał delikatne szuranie bosych stóp. Absolutne ciemności wypełnione były szumem wody lawirującej w trzęsawisku, bzy-czeniem owadów, skrzypieniem takielunku i niekiedy pluskiem brodzących w błocie hipopotamów, Sebastian miał więc trudności z oceną liczby napastników.

Przyczajony za beczką wpatrywał się w ciemności, próbując z rozlicznych odgłosów wyłapać tylko to miękkie, niewyraźne stąpanie śmierci, kroczącej po pokładzie w jego stronę.

W rywalizacji akademickiej nie osiągnął specjalnych wyników sportowych, ale miał

za sobą pewne doświadczenie boksterskie w wadze półciężkiej i był podającym w reprezentacji Sussexu w poprzednim sezonie krykietowym. Tak więc, choć niewolny w tej chwili od strachu, czuł do siebie zaufanie, dzięki któremu nie trząsał się jak galareta.

Przeciwnie, każdy mięsień jego ciała był gotów do największego wysiłku. Sebastian ostrożnie sięgnął po pałkę i natrafił dłonią na worek z zielonymi orzechami kokosowymi, których mleko stanowiło uzupełnienie zapasów wody pitnej. Szybko rozwiązał worek i wyciągnął jeden z twardych owoców.

- Nie leży w ręku tak dobrze jak piłka do krykieta, ale może być - wymamrotał pod nosem i wstał.

Zamachnąwszy się porządnie, posłał szybką piłkę,

podobną do jednej z tych, które zdruzgotały pierwszą reprezentację Yorkshire w poprzednich rozgrywkach. Taki sam efekt wywarła w starciu z pierwszą reprezentacją Arabów. Orzech przeleciał ze świstem i trafił w czaszkę jednego z napastników. Reszta umknęła w popłochu.

- Dawać mi tu prawdziwych facetów! - zagrział Sebastian, co jeszcze bardziej przyspieszyło ucieczkę Arabów.

Wyciągnął następny orzech i już miał go rzucić, kiedy ciemność rozdarł błysk i coś przeleciało nad jego głową.

„Mój Boże, oni mają spluwę” - przypomniał sobie zabytkowy pistolet ładowany od lufy, który kapitan pucował z pietyzmem pierwszego dnia po wypłynięciu z Zanzibaru.

Poczuł narastającą złość.

Zamachnął się znowu i cisnął z furją następnego kokosa.

- Walczcie fair, parszywe świnię! - wrzasnął.

Po chwili zwłoki, potrzebnej kapitanowi do przebrnięcia przez żmudny proces załadowywania obrzyna, rozległ się huk i kolejny pocisk przeleciał nad głową Anglika.

Do świtu trwała ożywiona wymiana klątw i szyderstw, kul i kokosów. Sebastian nie tylko nie doznał żadnego uszczerbku, ale naliczył cztery okrzyki bólu i jedno dłuższe wycie, gdy tymczasem kapitan jedynie mocno potrzaskał takielunek statku. Światło nadchodzącego dnia zmniejszało jednak przewagę Anglika. Arab doszedł do takiej wprawy, że Sebastian musiał większość czasu spędzać przyczajony za workiem kokosów. Był u kresu sił. Prawe ramię miał okropnie obolałe. Słyszał, jak Arabowie

zaczynają skradać się powoli w jego kierunku. Bez trudu mogliby go już otoczyć i powalić, wykorzystując swą przewagę liczebną.

Zbierając siły przed ostateczną rozgrywką, obserwował świt. Czerwona poświata przenikała przez bagienne opary, wywołując niesamowite i piękne refleksy na delikatnie falującej wodzie.

Gdzieś w górze rzeki dał się słyszeć chlupot, chyba nurkującego ptaka. Bez specjalnego zainteresowania Sebastian skierował wzrok w tamtą stronę. Odgłos powtórzył się, potem jeszcze raz i jeszcze. Jak na hałas czyniony przez ptaka lub rybę za dużo było w tym regularności.

Zza zakrętu rzeki wychynęło otwarte czółno, napędzane gorączkowo pracującymi wioślarzami. Na jego dziobie, z dwururką pod pachą i fajką w zębach, stał Flynn O'Flynn.

- Cóż tu się dzieje, u diabła? - ryknął. - Prowadzicie jakąś pieprzoną wojnę? Od tygodnia z górą czekam tu na was.

- Uważaj, Flynn! Ta świnka ma spluwę! - krzyknął Sebastian.

Arab skoczył na równe nogi i rozejrzał się niepewnie. Od dłuższego już czasu żałował, że coś go podkusiło, by uwolnić się od Anglika i uciec z tych przeklętych mokradeł, a teraz jego obawy były naprawdę usprawiedliwione. Skoro jednak raz wybrał drogę, musiał nią brnąć do końca. Skierował pistolet w stronę O'Flynna i pociągnął za spust. Smuga dymu znaczyła ślad lecącego pocisku, który uderzył

w wodę tuż przed dziobem czółna, wzbijając sporą fontannę. Echo wystrzału zlało się w jedno z odpowiedzią, która padła z fuzji Flynna.

Ciężkokalibrowa kula poderwała ciało Araba. Jego

suknia rozprysnęła się jak arkusz starego papieru, a turban poszybował w powietrze. Kapitan, przewinawszy się przez burzę, wpadł do wody z głośnym pluskiem. Ciało, unoszone leniwym prądem, oddalało się powoli od statku. Osłupiała załoga w milczeniu odprowadzała wzrokiem kapitana.

O'Flynn przeszedł do porządku dziennego nad schludną egzekucją, tak jakby nic się nie stało.

- Spóźniłeś się o tydzień - wrzasnął do Sebastiana z błyskiem złości w oczach. - Nie mogłem nawet, do cholery, kiwnąć palcem, dopóki się tu nie pojawiłeś. A teraz wciągaj wreszcie tę flagę i weźmy się do roboty!

4

Formalna aneksja wyspy odbyła się we względnym chłódzie następnego poranka.

Przekonywanie Sebastiana o konieczności okupowania wyspy dla dobra Korony Brytyjskiej zajęło O'Flynnowi dobrych kilka godzin, ale koniec końców odniosło skutek dzięki zdolnościom oratorskim mówcy, który nazwał Anglika budowniczym imperium i poczynił pewne porównania pomiędzy baronem Clive'em of Plassey, gubernatorem Bengalu zwanym Clive'em z Indii, a Sebastianem Oldsmithem z Liverpoolu.

Następnym problemem był wybór nazwy. Wypłynęły przy tej okazji angielsko-amerykańskie uprzedzenia. Flynn O'Flynn napastliwie obstawał przy „Nowym Bostonie”, co rozjątrzyło patriotyczne nadęcie Sebastiana.

- Chwilunia, brachu. Co to to nie.

- Co ci nie pasuje? No mów, co ci nie pasuje!

- No cóż, przede wszystkim, jak wiesz, mają to być dobra Jego Brytyjskiej Mości.

- „Nowy Boston” brzmi dobrze. To naprawdę brzmi dobrze.

Sebastian się wzdrygnął.

- Myślę, że taka nazwa byłaby, no cóż, powiedzmy, nieco niefortunna. Mam na myśli to, że w Bostonie miała miejsce ta, no wiesz, herbatka*.

W miarę obniżania się poziomu dżinu w butelce Flynna wzrastała temperatura i tak już nazbyt ożywionej dyskusji. Wreszcie Sebastian wstał z podłogi z oczyma płonącymi patriotycznym uniesieniem.

- Gdyby zechciał pan wstąpić na chwilę na pokład, sir, moglibyśmy rozwiązać ten problem.

Podniosłość ceremonii wyzwania na pojedynek zmacił nieco niski sufit kabiny, który nie pozwalał Sebastianowi w pełni się wyprostować.

- Człowieku, ani zipniesz, a rozszarpię cię na kawałki.

- To pańska opinia, sir. Ale muszę pana ostrzec, że byłem * „Bostońska herbatka (Boston Party)” - zatopienie przez Amerykanów w 1773 r.

transportu herbaty w porcie bostońskim na znak protestu przeciw cłom nałożonym przez Wielką Brytanię. Stało się ono zarzewiem wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.). mistrzem pierwszego kroku bokserkiego. Odebrałem dobrą edukację w lidze wagi półciężkiej w mojej szkole w Rugby*.

- Och, do dupy z tym. - Flynn potrząsnął głową z rezygnacją. - Co za różnica, jak nazwiemy tę wyspę? Siadaj już, na miłość boską. No, już! Wypijmy za to,

jakkolwiek chcesz ją nazwać.

Sebastian usiadł na dywanie i przyjął flaszkę.

- Nazwiemy tę wyspę - tu dramatycznie zawiesił głos - nazwiemy ją Nowy Liverpool. - I pociągnął spory łyk.

- Wiesz co, jak na Angola to niezły z ciebie facet - stwierdził Flynn.

Reszta nocy upłynęła im na zgodnym świętowaniu narodzin nowej kolonii.

O świcie budowniczo imperium zostali przetransportowani czółnem na wyspę, w asyście dwóch myśliwych Flyna, którzy pełnili funkcję wioślarzy.

Kiedy łódka wyhamowała na mulistym brzegu, obaj kolonizatorzy stracili równowagę, wioślarze musieli więc pozbierać ich z dna czółna i wyprowadzić na ląd.

Sebastian ubrany był stosownie do powagi uroczystości, ale miał krzywo zapiętą kamizelkę i szarpał się z guzikami, nie mogąc ich właściwie umiejscowić.

Teraz, przy maksymalnym przypływie Nowy Liverpool miał około tysiąca jardów długości i połowę tego szerokości. W najwyższym punkcie wyspa nie wznosiła się powyżej dziesięciu stóp ponad poziom Rufiji. Piętnaście mil od ujścia woda była tylko nieznacznie zasolona, mangrowce rosły tu więc niepokaźne i ustępowały miejsca smukłym palmom i wysokim trawom.

Myśliwi Flyna wycięli w trawie wąską ścieżkę prowadzącą z plaży do martwej palmy otoczonej tuzinem szałasów. Drzewo od dawna było ogołoczone z liści.

Rugby - miasto w środkowej Anglii, w hrabstwie Warwick, w którym od 1567 r.

istnieje słynna szkoła dla chłopców (przyp. tłum.).

- Maszt flagowy. - Flynn wskazał palcem nagi wierzchołek i podjąwszy Sebastiana pod ramię, poprowadził go w kierunku drzewa.

Jedną ręką szarpiąc się z guzikami kamizelki, a w drugiej ściskając Union Jacka, Anglik stapał uroczyście z uczuciem rosnącego napięcia.

- Puść mnie - wymamrotał i uwolnił łokieć z uchwytu Flynna. - To poważna chwila, bardzo poważna. Musimy właściwie ją celebrować.

- Łyknij sobie - odparł Flynn, podając mu butelkę, a kiedy ta nie została przyjęta, sam pociągnął spory łyk.

- Nie godzi się pić w tak uroczystej chwili - zawyrokował Anglik.

Flynn zakrztusił się dżinem i musiał kilka razy uderzyć się mocno w pierś, aby przywrócić normalny oddech.

- Ustaw ludzi w czworobok - brnął dalej Sebastian. - Niech się przygotowują do oddania honorów fladze.

- Jezu, człowieku, daj sobie z tym spokój - wycharczał Flynn, z trudem łapiąc powietrze.

- Zrób to natychmiast.

- Do diabła z tym - poddał się największy z kłusowników i wydał kilka rozkazów w języku suahili.

Piętnastu rozbawionych i zdziwionych tubylców

uformowało wokół pnia nieregularny krąg. Stanowili dziwną zbieraninę. Pochodzili z kilku plemion, byli poprzebierani w europejskie ciuchy zestawione na chybił trafił, połowa z nich uzbrojona była w zabytkowe dubeltówki, z których Flynn starannie usunął pilnikiem numery fabryczne.

- To budujące widzieć w jednym miejscu tylu zacnych mężów - uśmiechnął się promiennie Sebastian w przypływie ciepłych uczuć spotęgowanych działaniem alkoholu.

- Do rzeczy. Zaczynaj ten cyrk.

- Przyjaciele, zebraliśmy się tu dzisiaj...

Przemówienie było długie. Flynn przetrzymał je tylko dzięki butelce dżinu, którą tymczasem wysuszył. Wreszcie Sebastian zakończył głosem drżącym z ekscytacji, ze łzami wzruszenia płynącymi po policzkach: - W obliczu Boga i ludzi ustanawiam tę wyspę częścią wspaniałego imperium Jego Królewskiej Mości Jerzego V, króla Anglii, władcy Indii, obrońcy wiary - głos mu uwiązł w gardle, kiedy próbował przypomnieć sobie właściwą formułę - i wszystkich temu podobnych.

Zapadła cisza. Sebastian stracił wątek i niespokojnie odwrócił się w stronę Flyna, szukając u niego ratunku.

- Co mam teraz zrobić? - spytał teatralnym szeptem.

- Wciągnij tę przeklętą flagę.

- Ach, tak, flagę! - podchwycił radośnie Sebastian, lecz natychmiast opadły go pewne wątpliwości. - Ale jak?

Flynn zmierzył drzewo wzrokiem.

- Przypuszczam, że będziesz musiał tam wleźć.

Wśród zachęcających okrzyków myśliwych i cennych rad posyłanych z ziemi przez Flynna gubernator Nowego Liverpoolu zawiesił uroczyście flagę Imperium Brytyjskiego na suchej palmie piętnaście stóp nad ziemią, po czym zjechał w dół tak zgrabnie, że urwał wszystkie guziki u kamizelki i wykręcił nogę w kostce.

- „Boże, chroń naszego Miłościwego Króla” - śpiewał głosem łamiącym się od żyni, bólu i nadmiaru patriotycznego uniesienia, kiedy transportowano go do szalasu.

Podczas całego pobytu na wyspie ponad obozowiskiem powiewał Union Jack. Całe dziesięć dni minęło, zanim wieść o aneksji, przekazana początkowo przez dwóch rybaków z plemienia Walambo, dotarła do położonej prawie o dwieście mil na zachód, wysuniętej placówki Cesarstwa Niemieckiego w Mahenge.

5

Mahenge leżało na wysoczyźnie w głębi lądu, w strefie sawanny. Generalnie składało się z czterech placówek handlowych, których właścicielami byli hinduscy sklepikarze, i z niemieckiej bomy.

Owa boma był to duży kamienny budynek kryty strzechą, okolony szerokimi werandami i obrośnięty obficie purpurowymi pnączami bugenwilli. Na jego tyłach znajdowały się baraki i plac defilad, przed frontem zaś stał samotny maszt flagowy, na którym powiewał czarno-czerwono-żółty symbol cesarstwa. Mała plamka w bezmiarze afrykańskiej sawanny, siedziba władz zarządzających obszarem równym Francji.

Obszar ten ciągnął się na południe do rzeki Rovumy, granicy z portugalskim Mozambikiem; na zachód - do Sao Hill i Mbecji; na wschód zaś - do Oceanu Indyjskiego.

Z tej fortecy komisarz niemiecki (Prowincji Południowej) sprawował swą nieograniczoną władzę niby średniowieczny baron. Jako ramię kajzera, a właściwie jeden z jego paluszków, był odpowiedzialny wyłącznie przed gubernatorem Schee w Dar es Salaam. Ale Dar es Salaam oddalone było o setki mil, a gubernator Schee był

wielce zajęty człowiekiem, który nie miał czasu kłopotać się duperelami. Dopóki Herr Komisarz Hermann Fleischer odprowadzał regularnie podatki, dopóty mógł je ściągać na swój własny słodki sposób; co prawda niewielu obywateli zamieszkujących podległą mu prowincję skłonnych było nazwać ten sposób słodkim.

Kiedy przybył posłaniec niosący wieści o aneksji Nowego Liverpoolu, Herr Fleischer spożywał właśnie południowy posiłek. Apetyt mu dopisywał. W tłustym sosie pływały ze dwa funty Eisbeinu, tyleż samo marynowanej kapusty oraz tuzin pomidorów.

Rozbudziwszy nieco kubki smakowe pierwszym daniem, komisarz zabrał się do kielbasy. Kielbasa ta sprowadzana była raz w tygodniu przez umyślnego aż z Do-domy, leżącej z górą dwieście mil na północ, a wytwarzał ją tam pewien imigrant z Westfalii -

geniusz masarski, który do swych wyrobów dodawał przyprawy schwarcwaldzkiej.

Kielbasa i ochłodzone w głębokiej studziencie piwo pogrążyło Herr Fleischera w anielskim zapomnieniu. Jadł niezbyt spokojnie, ale za to rytmicznie i z zacięciem, co w połączeniu z obcisłą sztruksową

bluzą munduru i bryczesami wywoływało strumienie potu obficie spływające po czole i szyi. Często musiał przerywać jedzenie, by głośno posapując zebrać siły do następnej porcji. Od czasu do czasu wstawał, przechadzał się leniwie, po czym siadał z powrotem za stołem i z wyrazem bezbrzeżnej radości oddawał się ulubionemu zajęciu, spoglądając spod dachu werandy na plac rozświetlony blaskiem bezlitosnego podrównikowego słońca.

W takiej właśnie pięknej chwili zobaczył posłańca. Wszedł on na werandę, podciągnawszy długą spódnicę, w którą był ubrany. Czarny tułów lśnił od potu, lecz nogi pokryte były grubą warstwą kurzu. Murzyn stał z oczyma wbitymi w podłogę, nie śmiąc zwracać na siebie uwagi, dopóki Bwana Mku-ba nie zechce dać znaku, że wie o jego obecności.

Hermann Fleischer przyglądał się z niechęcią człowiekowi, który zakłócił spokój sjesty. Siorbnął piwa i zapalił cygaro. Kiedy wypuścił strużkę błękitnego dymu, wyraz radosnego rozanielenia zagościł ponownie na jego obliczu. Pykał czas jakiś, przyglądając się bezmyślnie chmurom ponad wzgórzami. Wreszcie zgasił niedopałek i powoli zwrócił rumiane oblicze w stronę posłańca.

- Mów - zaskrzeczał nieprzyjemnie.

Na te słowa Murzyn odważył się wreszcie spojrzeć na majestat komisarza wzrokiem pełnym trwogi i uwielbienia. Choć takie przejawy oddania były na porządku dziennym, Herr Fleischer za każdym razem czuł się nimi mile połączony.

- Widzę cię, Bwana Mkuba, Wielki Władco. - Tu Fleischer potakująco skinął głową. -

Przynoszę pozdrowienia od Kałami, naczelnika plemienia Batja żyjącego nad Rufiji.

Jesteś jego ojcem, a on czołga się na brzuchu przed tobą. Oślepia go piękno twych żółtych włosów i obfitość twego ciała.

Herr Fleischer gestem zniecierpliwienia przeczesał włosy. Uwagi o jego korpulentnej budowie zawsze go irytowały, choćby były wypowiedane w najlepszych intencjach.

- Mów - powtórzył.

- Kałami rzecze tak oto: „Dziesięć słońc temu jakiś statek wpłynął w ujście rzeki Rufiji i zatrzymał się u wybrzeża Wyspy Tych Psów Inja. Na wyspie ludzie ze statku zbudowali domy, a ponad nimi, na wyschniętym pniu palmy, zawiesili materiał, który pomalowany jest w wiele krzyżów jeden na drugim, w kolorach: niebieskim, białym i czerwonym”.

Herr Fleischer poderwał się z krzesła i wbił oczy w posłańca z wyrazem niedowierzania. Różowość jego nalanego oblicza ustąpiła czerwoności, a potem purpurze.

- Kałami mówi też: „Odkąd przybyli, nie umilkła mowa ich strzelb wokół rzeki Rufiji i odbywa się wielkie mordowanie słoni, tak że w południe niebo jest ciemne od ptaków, które przybywają na ucztę”.

Komisarz opadł na krzesło, które jęknęło pod brzemieniem ciężaru jego ciała. Twarz Fleischera pałała gniewem tak silnie, iż wydawało się, że krew za chwilę tryśnie z policzków.

- Kałami mówi dalej: „Dwóch białych mężczyzn jest na wyspie. Jeden z nich jest chudy i młody i dlatego nie ma znaczenia”. Drugiego mężczyznę Kałami widział

jedynie z dużej odległości, ale po czerwoności jego oblicza i potężnej posturze sądzi z całą pewnością, że to jest Fini.

Na dźwięk tego imienia Herr Fleischer ocknął się z niemego zdumienia. Wyglądał

jak byk przed walką w czasie rui. Rozszerzonymi nozdrzami wciągał ze świstem powietrze, a brzuch wzdymał mu się rytmicznie. Posłaniec drgnął ze strachu. Taki wygląd komisarza wróżył zwykle wielu wisielców.

- Sierżancie! - wrzasnął Fleischer, podrywając się z krzesła i ściągając mocniej pasek u spodni. - Rasch! - ryknął po raz wtóry. Nie mieściło mu się w głowie, że O'Flynn był

znowu na terytorium niemieckim, że znowu kradł niemiecką kość słoniową, a w dodatku profanował dobra kajzera flagą brytyjską.

- Sierżancie, gdzie się podziewacie, do stu piorunów?

Z zadziwiającą przy swojej otyłości prędkością przemierzył całą długość werandy.

Od trzech lat, kiedy to Fleischer przybył do Mahenge, dźwięk nazwiska O'Flynn psuł

mu zawsze apetyt i wprawiał w stan bliski apopleksji.

Herr Fleischer omal nie zderzył się z sierżantem, potomkiem plemienia Askari, który wyszedł nagle zza rogu werandy.

- Uformować oddział szturmowy. Dwudziestu ludzi, pełny ekwipunek, sto funtów amunicji. Wyruszamy za godzinę - wyrzucił z siebie jednym tchem komisarz.

Sierżant zasalutował i odszedł spieszenie w kierunku baraków. Po chwili słychać było rozkazy i odgłosy gorączkowej krzątaniny.

W miarę jak oślepiająca wściekłość ustępowała

miejsca zimnej refleksji, Herr Fleischer zaczął zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Powtórzył sobie w myślach wszystkie wiadomości Kalamiego. Tym razem nie był to zwykły łupieżczy wypad z Mozambiku, ale dobrze zaplanowana i przemyślana wyprawa na dużą skalę.

Komisarz uświadomił sobie, że walka z ludźmi występującymi pod flagą brytyjską sprowokuje międzynarodową aferę. Być może przyspieszy to bieg historii i Niemcy wkroczą na drogę swego prawdziwego przeznaczenia. O jeden raz za dużo Anglicy ośmielili się powiesić tego znienawidzonego Union Jacka przed obliczem kajzera.

Hermann Fleischer czuł, że za jego sprawą może nastąpić dziejowy zwrot.

Drżąc z przejęcia, pognął do biura i zaczął skrobać raport do gubernatora Schee, który mógł pchnąć świat ku rzezi, po której Niemcy wzniosą się ponad inne narody jako panowie stworzenia.

Godzinę później jechał już na białym osle na czele oddziału Murzynów z plemienia Askari. Maszerowali oni równym krokiem w odprasowanych mundurach koloru khaki, w czapkach kepi nasuniętych na czoło dla ochrony przed blaskiem słońca i z karabinami przewieszonymi przez ramię. Przedstawiali doprawdy piękny widok. Takiego oddziału mógłby sobie powinszować każdy dowódca.

Przed nimi było półtora dnia marszu do zbiegu rzek Ki-lombero i Rufiji. Stała tam zacumowana łódź parowa komisarza, którą mieli popłynąć w dół, aż do ujścia Rufiji.

Kiedy budynki Mahenge zniknęły już za nimi, Herr Fleischer zrelaksował się i wygodniej usadowił w siodle swój rozłożysty tyłek.

- Czy teraz wszystko jasne? - spytał Flynn bez cienia nadziei. Osiem dni wspólnego polowania pozbawiło Amerykanina złudzeń, że Sebastian mógłby wykonać cokolwiek bez dodania jakichś własnych znaczących poprawek.

- Płyniesz w dół rzeki, do wyspy, i przerzucasz kły na statek. Potem wracasz tu ze wszystkimi czółnami po następny ładunek. - Zrobił przerwę, aby dać Sebastianowi czas na przetrwanie instrukcji. - I nie zapominaj o dżinie, na rany Chrystusa.

- Masz jak w banku, stary.

Z ośmiodniowym zarostem i skórą złążącą z opalonego nosa Sebastian powoli wchodził w rolę kłusownika. Kapelusz z szerokim rondem, prezent od Flynna, opierał

mu się na uszach, nogi miał porzezane ostrymi jak brzytwa źdźbłami słoniowej trawy, a z butów zupełnie zeszła mu pasta. Skórę pokrywały wielkie wściekle czerwone bąble, ślady po ukłuciach moskitów. Stracił też nieco na wadze podczas długich wędrówek w niemiłosiernym upale. Wyglądał teraz na prawdziwego twardego.

Stali pod drzewem na brzegu Rufiji, podczas gdy inni ładowali ostatnie kły do czółen. W parnym upale unosił się zielonkavo-purpurowy odór, którego Sebastian już prawie nie wyczuwał. Przez osiem dni rzezi słoni smród zielonej kości słoniowej stał mu się tak przyjazny, jak zapach morza dla marynarza.

- Do jutra, zanim wrócisz, chłopcy zniosą tu resztę kości słoniowej. Załadujemy dhow do pełna i będziesz mógł wyruszyć w drogę powrotną do

Zanzibaru.

- A co z tobą? Zostajesz tutaj?

- Nic podobnego. Wycofuję się do obozu w Mozambiku.

- Czy nie będzie ci łatwiej popłynąć z nami? Czeka cię koło dwustu mil do przejścia -

zatroskał się Sebastian nie na żarty; przez ostatnie dni zapalał do Flynna szczerą sympatią.

- No cóż, widzisz, to jest tak.. - Amerykanin zwlekał z odpowiedzią. Nie był to odpowiedni czas, aby martwić przyjaciela gadaniem o niemieckich okrętach czyhających u ujścia Rufiji. - Muszę wrócić do obozu, bo... bo moja biedna córeczka jest tam zupełnie sama - zakończył jednym tchem, olśniony nagle piękną wymówką.

- To ty masz córkę? - Sebastian był szczerze zdumiony.

- Zgadza się, u diabła, mam córkę - odparł Flynn, a na jego ogorzalej twarzy pojawił

się poważny wyraz ojcowskiego uniesienia i odpowiedzialności. - To biedactwo jest tam zupełnie samo.

- No cóż, więc kiedy cię znowu zobaczę? - Myśl o rozłące z Flynnem i samotnej podróży do Australii przygnębiała Sebastiana.

- Hm, prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. - To było wierutne kłamstwo. Nieustannie zastanawiał się nad tym przez minionych osiem dni. Jedyną rzeczą, której pragnął, było pożegnanie Sebastiana Oldsmitha na zawsze.

- Czy nie moglibyśmy.. - Na opalonych policzkach Sebastiana pojawił się lekki rumieniec. - Czy nie

moglibyśmy pracować razem? Mógłbym przecież terminować u ciebie, być ci pomocny.

Ten pomysł załamał Flynna. Myśl, że podczas polowania Sebastian ciągle pętałby się w pobliżu i psuł jego strzelbę próbując strzelić, przyprawiła go o gęsią skórę.

- No cóż, Bassie - rzekł, obejmując Anglika przyjaźnie ramieniem - najpierw pozeglujesz tym starym statkiem do Zanzibaru i stary El Keb wypłaci ci twoją dolę.

Potem napiszesz do mnie, dobra? Co ty na to? Napiszesz do mnie, a później razem coś zdziałamy.

- Strasznie się cieszę na tę myśl. Naprawdę strasznie się cieszę - podchwycił pomysł uszczęśliwiony Sebastian.

- W porządku. No to spływaj. I nie zapomnij o dżinie.

Po jakimś czasie mała flotylla mocno obciążonych czółen wypłynęła z zatoki i skierowała się w dół rzeki. Na dziobie pierwszego czółna stał Sebastian w kapeluszu mocno naciągniętym na uszy i ochoczo machał swoją dubeltówką do Flynna.

„Na miłość boską, nie baw się tym dziadostwem w ten sposób” - pomyślał Flynn, i chyba w złą godzinę, bo w tym właśnie momencie strzelba wypaliła i Sebastian upadł

na plecy między ładunek kłów. Czółno zachybotało się niebezpiecznie, tak że wioślarze musieli mocno się sprężyć, by uchronić je przed wywrotką. Po chwili flotylla zniknęła za zakrętem rzeki.

Dwanaście godzin później czółna pojawiły się zza

tęgo samego zakrętu, wolne od ciężkiego ładunku, sunąc lekko po wodzie wprost na drzewo, pod którym Sebastian żegnał się z Flynnem. Wioślarze nucili starą szantę.

Sebastian, świeżo ogolony, przebrany w czystą koszulę i nie zniszczone buty, siedział na rufie pierwszego czółna z flaszką ulubionego napoju Flynnna między nogami i wypatrywał swego wielkiego przyjaciela.

Dym z ogniska ścielił się delikatną smugą ponad wodami rzeki, ale na brzegu nie było widać żadnych postaci machających na powitanie. Nagle Sebastian zesztyniał, odkrywszy, że drzewo, do którego się kierowali, zmieniło swój wygląd. Przetarł oczy z niedowierzaniem.

Jeden z wioślarzy, zaniepokojony wyrazem jego twarzy, odwrócił się i wrzasnął

przeraźliwie. Czółno zachybotało się od nagłego zwrotu.

Sebastian dostrzegł kątem oka inne łódki obracające się w miejscu, by jak najszybciej skierować się w dół rzeki.

- Hej, co wy robicie? - wrzasnął. Żaden z wioślarzy nawet nie podniósł głowy.

Pracowali zapamiętane, by odpłynąć z tego przeklętego miejsca.

- Przestańcie natychmiast! Zawracać, do diaska! No już, płyńcie do obozu.

Zdesperowany skierował strzelbę w stronę najbliższego wioślarza. Ten uniósł głowę i wyraz strachu na jego twarzy zamienił się w przerażenie, gdy zobaczył dwie lufy wycelowane w swoje czoło. Wszyscy nabrali nagle niekłamanego szacunku dla

Sebastiana, a to z racji sposobu, w jaki trzymał strzelbę. Robił to tak niefachowo, że mogła wypalić w każdej chwili, niezależnie od jego woli. Jeden po drugim przestali wiosłować i wpatrywali się jak zahipnotyzowani w zimne oczy Anglika.

- Zawracać - wycedził Sebastian.

Najbliżej siedzący wiosłarz zanurzył swe wiosło niechętnie. Czółno ustawiło się bokiem do nurtu.

- Zawracać! - powtórzył Anglik i dziób czółna skierował się na drzewo obwieszane nowymi groteskowymi owocami.

Kadłub wyhamował w grząskim mule i Sebastian wyszedł na brzeg.

- Wyłazić - zarządził, poparłszy słowa odpowiednim gestem. Wiedział, że jeśli zostawi ich w czólnie, odpłyną natychmiast, gdy tylko odwróci się do nich plecami. -

Wyłazić! - wrzasnął i po chwili popędził ich przed sobą w kierunku obozowiska Flynna.

Dwaj myśliwi leżeli w pobliżu dogasającego ogniska, zabici kulami z karabinu.

Mniej szczęścia mieli ci, którzy dyndali na gałęziach drzewa. Sznury wpiły się mocno w ich szyje, twarze wykrzywiał grymas cierpienia, szeroko otwarte usta łaknęły ostatniego oddechu, którego nie mogli zaczerpnąć.

- Odciać ich! - rozkazał Sebastian, próbując powstrzymać gwałtowne skurcze żołądka. Wiosłarze stali jak sparaliżowani, wcisnął więc jednemu z nich swój myśliwski nóż i dobitnie powtórzył rozkaz. Odwrócił się, gdy Murzyn z nożem w zębach wspinał

się na drzewo. Omal nie wymiotował, kiedy usłyszał odgłos ciała spadającego na ziemię,

skoncentrował się więc na przeszukiwaniu zdeptanej trawy dookoła obozowiska.

- Flynn - zawołał półgłosem. - Flynn, gdzie jesteś?

Dostrzegł ślady podkutych butów odcisnięte w miękkim podłożu i kierując się tym tropem, znalazł pustą łuskę z wybitym wokół spłonki napisem Mauser Fabriken 7 mm.

- Flynn! - krzyknął gorączkowo, gdy straszna prawda dotarła do niego. W tym momencie z boku dobiegł go szelest trawy. Odwrócił się, unosząc strzelbę.

- Panie! - usłyszał rozczarowany.

- Mohammed. Czy to ty, Mohammedzie? - Rozpoznał niedużą sylwetkę zastępcy Flynnna. Był on jedynym Murzynem, który mówił jako tako po angielsku. - Gdzie Fini?

- Zastrzelili go, panie. Askariowie przybyli wczesnym rankiem, zanim wzeszło słońce. Fini się mył. Strzelili do niego i wpadł do wody.

- Gdzie? Pokaż mi gdzie!

Kilka jardów poniżej miejsca, gdzie stało czółno, znaleźli rzeczy Flynnna, a między nimi kawałek mydła i lustro z metalową rączką. Były też ślady nagich stóp odcisnięte w błocie. Mohammed bez słowa zatrzymał się, ułamał jedną z trzcin i podał

Sebastianowi. Wyschnięta kropla krwi odpadła, gdy ten dotknął jej paznokciem.

- Musimy go odnaleźć. Być może jeszcze żyje. Zawołaj resztę. Przeszukamy brzeg w dole rzeki.

Gestem rozpaczy ścisnął w rękę koszulę Flynnna, jakby chciał z niej wycisnąć odpowiedź na pytanie,

gdzie jest właściciel i czy żyje.

7

Flynn zrzucił gatki i koszulę. Drżąc w chłodzie poranka, pocierał ramiona i wypatrywał śladów krokodyli czających się w szlamie na brzegu.

Tam, gdzie odzież chroniła ciało, był biały jak porcelana, ale ręce i szyję opalone miał na mahoń. Zadowolony z faktu, że żaden gad nie czyha w zasięgu wzroku, wszedł

do wody i zanurzył się do pasa. Prychając nabrał w dłonie trochę wody, wylał ją na głowę i podążył do brzegu dużymi susami.

Nagi i ociekający wodą, z włosami oblepiającymi twarz, namydlił starannie ciało, szczególną uwagę poświęcając okazałym genitaliom. Ta ostatnia czynność odpędziła z twarzy resztki snu i pobudziła apetyt.

- Mohammedzie, ulubieńcu Allaha i synu jego proroków, rusz swoją czarną dupę ze śpiwora i zaparz kawę. I dolej trochę dżinu - dodał na koniec, olśniony pięknym pomysłem.

Kiedy Mohammed pojawił się z emaliowanym naczyniem, z którego unosiły się aromatyczne opary, Flynn wciąż się mydlił.

- Dzięki ci, o litościwy, twe miłosierdzie wyryte będzie przy twym imieniu w Księdze Raju.

Podszedł, by wziąć naczynie, lecz zanim go dotknął, huknął wystrzał i kula ugodziła Flynną w udo. Impet uderzenia przewrócił go w błoto. Leżąc na

boku, słyszał

gorączkową bieganinę Askariów i okrzyki zwycięstwa, gdy kolbami karabinów powalali tych, którzy uniknęli śmierci od pierwszych wystrzałów.

Zatroskany Mohammed zrobił krok w jego stronę, by mu pomóc.

- Uciekaj - osadził go w miejscu Flynn. - Do diabła, uciekaj!

- Panie...

- Zmykaj stąd. Czeka cię stryczek, durniu. Powieszają cię albo obedrą ze skóry.

Mohammed zwlekał jeszcze chwilę, ale wreszcie poszedł po rozum do głowy i zanurkował w zarośla.

- Znaleźć Finiego, znaleźć białego człowieka - ktoś nawoływał tubalnym głosem po niemiecku.

Flynn zrozumiał, że ugodziła go zbłąkana kula, może nawet rykoszet. Nogę miał

zdrętwiałą od pasa w dół. Nie mógł biec, musiał więc popłynąć.

- Gdzie on jest? Znaleźć mi go! - usłyszał znowu i w tej samej chwili zobaczył

człowieka, który przedarł się przez trawę i stanął na brzegu rzeki.

Po raz pierwszy stanęli naprzeciw siebie oko w oko dwaj ludzie, którzy przez trzy długie lata uprawiali morderczą ciuciubabkę na tysiącach mil kwadratowych afrykańskiego buszu.

- Ja! Tym razem mam cię! - wykrzyknął Fleischer, chwycił oburącz swojego lugera i starannie wycelował w człowieka leżącego w wodzie.

Odgłos wystrzału, plusk kuli wpadającej do wody

tuż obok głowy Flynna i przekleństwo komisarza zlały się w jedno. Jankes nabrał powietrza, zanurkował

i skierował się w dół rzeki. Płynął pod wodą, aż zobaczył mroczki przed oczyma i poczuł kłucie w płucach. Wypłynął na powierzchnię i kątem oka dostrzegł Fleischera i pół tuzina Askariów wypatrujących go z brzegu z karabinami gotowymi do strzału.

- Tam jest!

W tej samej chwili huknęły strzały i fontanny wody wykwitły dookoła Flynna.

Zanurkował znowu.

- Strzelać celnie! - ciskał się Fleischer, ale było już za późno.

- Świnie! Głupie czarne psy! - wrzeszczał Niemiec i cisnął pustym pistoletem w najbliższego Askaria. Kiedy Flynn ponownie wypłynął dla nabrania powietrza, Murzyni byli bardziej skupieni na unikaniu fruwającego pistoletu niż na strzelaniu.

Kule uderzyły w wodę nie bliżej niż o dziesięć stóp od jego głowy, nim zniknęła pod wodą.

- Ruszać się! Gońcie go! - wrzeszczał Fleischer, popędzając przed sobą Askariów wzdłuż brzegu. Przebiegli tak może dwadzieścia jardów, po czym natrafili na głęboką zatoczkę i musieli brnąć naokoło przez wysoką trawę, tracąc na chwilę rzekę z oczu.

- Schnell! Schnell! - poganiał ich Fleischer, ale zaplątał się w jakieś łodygi i padł jak długi twarzą w błoto. Dwóch jego ludzi dźwignęło go i zaciągnęło na odsłonięty półwysep, z którego widok rozciągał się na tysiąc jardów w dół rzeki.

Przestraszone wystrzałami ptaki poderwały się w

powietrze i krążyły nad rzeką, skrzecząc hałaśliwie. Były to jedyne żywe istoty w zasięgu wzroku. Od brzegu do brzegu, jak okiem sięgnąć, nic nie zakłócało monotonii leniwie płynącej rzeki. Jedyne oderwane od brzegu kępy trzciny papirusowej powoli dryfowały z prądem.

Hermann Fleischer uwolnił się z objęć podtrzymujących go Askariów i dysząc ciężko, jał drżącymi rękoma ładować swojego lugera.

- Gdzie on się podział? Musi być gdzieś po tej stronie!

W tym miejscu Rufiji miała pół mili szerokości, Flynn nie mógł więc przebyć takiego dystansu przez te kilka minut, kiedy go nie widzieli.

- Przeszukać brzeg! Znajdźcie mi go! - rozkazał komisarz.

Dowódca Askariów podzielił ludzi na dwie grupy i wysłał jednych w dół, a drugich w górę rzeki z poleceniem dokładnego przeszukania brzegu.

Fleischer schował pistolet do kabury, wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł nią twarz i szyję, usuwając pot i błoto. Wykrzyknął coś jeszcze do swego sierżanta, po czym odwrócił się i skierował do obozu.

Kiedy tam dotarł, ognisko paliło się w najlepsze, a kucharz przyrządzał śniadanie.

Herr Fleischerowi wyraźnie poprawił się humor, kiedy siedział w rozpiętym mundurze i napełniał brzuch owsianką z miodem, przyglądając się ceremonii wieszania czterech kłusowników. Kiedy ostatni ze skazańców przestał miotać się na stryczku, komisarz właśnie wytarł tłuszcz z dna talerza kawałkiem razowca i wepchnął ostatni kęs do ust. Kucharz zabrał talerz i postawił na jego miejscu kubek

gorącej kawy.

Askariowie, którzy wrócili niebawem z poszukiwań, oświadczyli, iż nie znaleźli nic poza kilkoma plamami krwi na błotnistym brzegu.

- Ja, krokodyle go zjadły - z satysfakcją stwierdził Fleischer. - Sierzancie, załadujcie to do łodzi - wskazał na kość słoniową ułożoną w stos na skraju polany. - Potem udamy się na Wyspę Psów i znajdziemy tego drugiego białego z jego angielską flagą.

8

Rana nie była głęboka. Flynn mógł swobodnie wsadzić kciuk w dziurę, którą zrobiła kula, ale widocznie uderzyła ze słabym impetem, bo nie doszukał się miejsca, gdzie mogła wylecieć, przebijając udo na wylot.

- Psiakrew - szepnął ze złością, krzywiąc się z bólu. Przeklinał swe cholerne szczęście. Że też kula odbita rykoszetem musiała trafić właśnie jego! Z drugiej strony miał szczęście, że nie otrzymał postrzału wprost, bo zamiast jednej miałby dwie rany w nodze - wlotową i wylotową.

Poruszył nogą, by sprawdzić, czy kość nie jest złamana. Kępka trzciny papirusowej, na której dryfował, zakołysała się lekko.

„Kość chyba w całości” - pomyślał Flynn z ulgą i poczuł pierwsze objawy osłabienia.

„Straciłem trochę swych starych soków” - stwierdził i spojrzał na nogę, z której sączyła się strużka krwi. - Muszę to jakoś zatamować - szepnął.

Nie było to łatwe. Był nagi, nie miał więc paska ani nawet kawałka odzieży, niczego, co mogłoby posłużyć do zrobienia opaski uciskowej, a przecież musiał powstrzymać krwawienie. Omdlewającymi rękoma jął rwać długie źdźbła i skręcać je na kształt powroza. Owinał tym nogę, zacisnął i mocno związał. Krew niemal przestała sączyć się z rany, nim Flynn zamknął oczy i stracił przytomność. Po jakimś czasie ból przywrócił

mu świadomość. Z wysiłkiem uniósł się na łokciach i spojrzał na nogę. Poniżej trzcinowej opaski była cała sina. Wpatrywał się w nią tępo dłuższą chwilę, aż dotarło do niego to, co się stało.

- Gangrena! - krzyknął i zerwał opaskę. Świeża krew napłynęła do nogi, niosąc nową porcję okropnego cierpienia. Syknął głośno i zacisnął zęby. Po chwili ból ustąpił

nieco i Flynn począł łapczywie łykać powietrze.

Uspokoiwszy się nieco, rozejrzał się dookoła. Prąd zniósł go aż do namorzynowych zarośli i uwięził trzcinową tratwę w błotnistej zatoczce niewielkiej wyspy. Gnijąca w słonawym mule roślinność wydzielala okropny odór. Tuż obok Flynn kilka dużych zielonych krabów rzecznych ucztowało nad ciałem martwej ryby, zapamiętale rozrywając jej ciało. Kiedy się poruszył, pierzchły na wszystkie strony, groźnie unosząc szczypce.

Flynn poczuł, że język przywarł mu do podniebienia. Jego ciało, palone bezlitosnym słońcem i trawione gorączką, łaknęło płynu.

Poruszył się i zawył z bólu. Noga zupełnie zesztyniała podczas snu. Była teraz kotwica, która beznadziejnie przykuwała go do papirusowej tratwy. Raz jeszcze spróbował się przesunąć, wspierając się

na rękach i pośladkach i ciągnąc za sobą nogę.

Każdy oddech kłuł wysuszone gardło, każdy ruch przeszywał gorącym sztyletem ranną nogę. Cał po cał przesuwiał się na krawędź kępy. Krew znów zaczęła się sączyć, tym razem o wiele wolniej. Od czasu do czasu wypływała tylko niewielka kropla.

W końcu dotarł do wody i przewrócił się na bok, próbując trzymać chorą kończynę ponad śmierdzącym szlamem. Zanurzył twarz w ciepłej, słonawej brei przesiąkniętej smrodem gnijących mangrowców. Smakowała jak mocz chorego zwie - | rzęcia, ale siorbał ją łapczywie, aż zabrakło mu powietrza. Uniósł głowę, żeby zaczerpnąć oddechu i wtedy go zobaczył. Był co prawda daleko, ale płynął szybko, żwawo machając wielkim ogonem. Duży okaz, miał co najmniej piętnaście stóp.

Flynn wrzasnął przeraźliwie. Zapominając w panice o ranie, próbował poderwać się na nogi, bezskutecznie jednak. Gorączkowo zaczął czołgać się przez kępy trzciny papierusowych, a potem przez mulistą zatokę ku poskręcany korzeniom mangrowców.

Każda sekunda wydawała się wiecznością. Słyszał za sobą chlupot wody wzburzonej ogonem gada.

Kiedy dotarł do pierwszych drzew, przewrócił się na bok i łapczywie wciągając powietrze, spojrział za siebie. Krokodyl był wciąż w wodzie i świdrował go swymi bezmyślnymi jasnymi oczkami.

Zdesperowany Flynn rozejrzał się dookoła. Całą wysepkę, na której się znalazł, stanowił tuzin mangrowców. Ich pnie, pozbawione w dolnej części gałęzi, były obrosnięte muszlami słodkowodnych skorupiaków. Nawet gdyby był zdrowy, nie zdołałby się wspiać na żadne z tych drzew. W obecnym położeniu było to tym bardziej niemożliwe.

Flynn gorączkowo poszukiwał czegoś, co mogło posłużyć mu do obrony. Nie znalazł niczego. Żadnego badyła, żadnego kamienia, tylko śliski czarny muł wokoło.

Spojrzał na krokodyla. Nie ruszał się jeszcze. Ale nadzieja, że ten stan rzeczy utrzyma się dłużej, umarła, zanim jeszcze na dobre się narodziła we Flynnowym umyśle. Na pewno się ruszy. Przyjdzie tu, ta wstrętna tchórzliwa kreatura, by wziąć swój łup. Poczula z pewnością jego krew. Wiedziała, że jest ranny. Na pewno przyjdzie.

Obolały Flynn oparł się o korzeń mangrowca. Panika ustąpiła miejsca strachowi.

Błoto zatkało ranę, więc nie krwawił już, ale nie to było ważne w tej chwili, tylko ten gad przyuczajony nie opodal, z rosnącym apetytem. Może za pięć minut, może za dzień, ale przyjdzie bez wątpienia.

Najpierw nad wodą pojawił się grzbiet, potem ogon najeżony zrogowaciałymi wypustkami. Krokodyl brnął przez płyciznę na swoich krótkich, krzywych łapach.

Wszedł na grząski brzeg i posuwając się powoli, zostawiał ślad brzucha odcisnięty w błocie. Małe oczka świdrowały Rynna spojrzeniem, a z boku paszczy widać było grube żółte zęby.

Podchodził powoli, a Flynn leżał bez ruchu pod drzewem, czekając na przeznaczenie.

W połowie drogi krokodyl zatrzymał się. Widocznie zwietrył zapach rozkładającej się ryby.

- Won, gadzie! - wrzasnął Flynn. - Precz! - Nabrał garść błota i cisnął nim w krokodyla. Zwierzę kłapnęło tylko szczęką i postąpiło naprzód. Flynn raz jeszcze cisnął w nie błotem, ale to był kres jego możliwości. Mając coś pod nosem, oparł się

bezsilnie o korzeń.

Huk wystrzału dotarł do niego przez mgłę umykającej świadomości. Gad zacharczał

i obrócił się w kierunku ogona. Po następnym wystrzale Flynnowi zdawało się, że słyszy odgłos kuli trafiającej w ciało zwierzaka. Strzały z ciężkich strzelb grzmiały jeden po drugim, ale gad się nie poddawał. Brnął wytrwale przez muł, aż dotarł do wody i zniknął w jej toni.

W kierunku zatoki sunęło czółno, a na jego dziobie stał Sebastian Oldsmith dzierżący dymiącą strzelbę.

- Flynn, Flynn, nic ci nie jest? Zrobił ci coś? - krzyczał zatroskany Anglik.

- Bassie, Bassie, chłopcze, pierwszy raz w życiu naprawdę cieszę się na twój widok -

wymamrotał Flynn i stracił przytomność.

9

Gorące promienie słońca rozgrzewały deski pokładu dhow stojącego na kotwicy u brzegów Wyspy Psów. Lekki wiatr poruszał żaglem obłożonym na bomie.

Powoli ciągnąc liny, Sebastian i jeden z marynarzy unieśli z dna czółna przytomnego już Flynną i ostrożnie ułożyli na pokładzie.

- Wciągajcie ten pieprzony żagiel i zjeżdżamy, do diabła, z tej przeklętej rzeki -

wycharczał Flynnn, dysząc ciężko.

- Muszę zająć się twoją nogą.

- To może poczekać. Musimy wydostać się na pełne morze. Niemcy mają tu łódź

parową. Będą nas szukać. Mogą pojawić się w każdej chwili.

- Nie mogą nam nic zrobić, chroni nas flaga brytyjska - zaprotestował Sebastian.

- Posłuchaj, ty durny, pieprzony Angliku - zaskrzeczał Flynn, zniecierpliwiony i obolały. - Ci krwiożerczy Hunowie zafundują nam stryczek, nie bacząc na flagę, przestań więc dyskutować i wciągaj żagiel.

Położyli Flyna w cieniu tentu na rufie. Sebastian zagonił Arabów do roboty.

Wychodzili spod pokładu, mieniąc się od potu i mrugając oczyma, oślepieni blaskiem słońca. Piętnaście sekund zajęło Mohammedowi wyłożenie załodze powagi sytuacji, następnych kilka sekund stali oni sparaliżowani hiobowymi wieściami, po czym rzucili się do swoich stanowisk. Czterech Arabów bezskutecznie szarpało linę kotwicy, która utkwiała głęboko w grząskim mule. Sebastian niecierpliwie odepchnął ich na bok i odciął

więzy krępujące łódź.

Załoga, wspierana ochoczo przez myśliwych Flyna, żywo wciągała wytrzepany stary żagiel. Pokład przechylił się nieco i dwóch Arabów pobiegło na rufę, aby chwycić rumpel. Statek powoli nabierał prędkości, zostawiając za sobą zrazu niewyraźny kilwater. Stary dhow skierował dziób ku otwartemu morzu. Na dziobie stało kilku Arabów i myśliwych Flyna i przekrzykiwało się, podając rozkazy do sterników.

Kiedy Sebastian podszedł do Amerykanina, zobaczył Mohammeda; Murzyn siedział przy prowizorycznym

posłaniu i zatroskanym wzrokiem wpatrywał się w opróżnioną prawie do połowy kanciastą butelkę, którą Flynn trzymał przy ustach.

Wreszcie Fini oderwał ją od ust i westchnął głęboko.

- Niebo w gębie - wyrzucił z siebie, dysząc ciężko.

- Popatrzmy na twoją nogę - powiedział Sebastian i ledwie rzucił na nią okiem, wykrzyknął w przerażeniu: - O Boże! Mohammedzie, przynieś naczynie z wodą i spróbuj znaleźć trochę czystych szmat.

10

Z nastaniem wieczoru wiatr wzmógł się. Całe popołudnie statek płynął, przebijając się przez prąd przypływu, ale teraz było już po wysokiej wodzie i dhow mknął żwawiej, popychany odpływem i prądem rzeki.

- Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do ujścia przed zachodem słońca - stwierdził

Sebastian. Flynn przytaknął niemrawo. Był otumaniony bólem i dżinem. - Jeśli nam się to nie uda, będziemy musieli zacumować gdzieś na noc. Nie możemy ryzykować żeglugi tą odnogą po ciemku. - Sebastian zamilkł, nie słysząc odpowiedzi.

Nie licząc szmeru wody rozcinanej dziobem i cichych szant śpiewanych przez faceta na oku, na statku panowała cisza. Większość ludzi posnęła na pokładzie, jedynie dwóch Arabów przygotowywało na piecyku wieczorny posiłek.

Bagienny zaduch połączony z zapachem kości słoniowej oraz miarowe kołysanie statku przechylanego od czasu do czasu silniejszym podmuchem, wszystko to podziało na steranego Sebastiana jak narkotyk. Głowa opadła mu na piersi i zasnął

z ręką opartą na kaburze pistoletu.

Obudziło go niecierpliwe szarpanie Mohammeda. Otworzył oczy bezprzytomnie i usłyszał gorączkową gadaninę członków załogi. Nad sobą zobaczył twarz Mohammeda, ściągniętą strachem.

- Co jest? Co się dzieje? - spytał, zrywając się na równe nogi.

W odpowiedzi Mohammed uciszył załogę.

- Posłuchaj, panie - rzekł przejęty.

Sebastian strząsnął z siebie resztki snu i nastawił uszu.

- Nic nie słyszę - powiedział, lecz w tej samej chwili wyraz nieprzyjemnego zaskoczenia pojawił się na jego obliczu. W ciszy wieczoru usłyszał rytmiczne ciuchcianie, jakby gdzieś daleko przejeżdżał parowóz.

- Co to takiego?

- Statek tut-tut się zbliża.

Sebastian wpatrywał się w niego, nic nie rozumiejąc.

- Askariowie, Niemcy - tłumaczył Mohammed, gorączkowo gestykulując. - Płyną za nami. Zbliżają się. Dogonią nas. Oni nas... - tu złapał się za gardło obiema rękami i wywalił język w kąciku ust.

Oczy wszystkich skierowane były na Sebastiana w oczekiwaniu na rozkazy, lecz ten stał zmieszany,

niezdecydowany, co począć. Instynktownie zwrócił się w stronę Flynna, który leżał na plecach, chrapiąc donośnie.

- Flynn! Flynn! Obudź się! Niemcy się zbliżają.

Tamtem otworzył oczy i spojrzał na Sebastiana, jakby był on przezroczystry.

- Hura, hura - wymamrotał Flynn. Jego twarz, pałająca gorączką, była czerwiejsza niż zwykle.

- Co mam robić? - błagalnie spytał Sebastian.

- Pij, nie ociągaj się! Pij! - poradził mu przyjaciel.

- Proszę, Flynn, powiedz.

- Opowiedzieć? Dobra! A słyszałeś ten o misjonarzu i wielbłądzie?

Sebastian dał za wygraną. Wstał i rozejrzał się wokoło. Słońce było już nisko na niebie. „Za dwie godziny będzie zupełnie ciemno. Obyśmy zdołali wstrzymać ich do tego czasu” - pomyślał.

- Mohammed, wyślij kilku myśliwych ze strzelbami na rufę - rozkazał

zdecydowanie.

Gorączkowo myślał, lecz przychodziło mu to z trudem. Myślenie nie było jego domeną. Wreszcie, smagane wysiłkiem woli, szare komórki dały się zaprząć do pracy jak odporne woły. Sebastian pocierał nerwowo czoło, aż powoli przyszedł mu do głowy kolejny pomysł.

- Barykada. Mohammedzie, zbierz resztę ludzi i przynieście wszystko, co znajdziecie, i poukładajcie tak, żeby osłonić sterników i strzelców. Wyciągnijcie wszystko: beczki z wodą, worki z kokosami, stare sieci, wszystko.

Zdawał sobie sprawę, że nie będzie to najlepsza osłona przed kulami z potężnych mauzerów, ale lepsze to niż nic.

Podczas gdy załoga skoczyła wykonać polecenie, pod czaszką Sebastiana trwały gorączkowe spekulacje na temat różnicy szybkości między przestarzałym dhow a nowoczesną łodzią z silnikiem parowym. Skonstatował, że nie mają szansy umknąć.

Ich żagiel nawet przy tym wietrze nie da takiej prędkości jak śruba.

W tym momencie jego wzrok padł na czterech mężczyzn dźwigających zwiniętą niedbale sieć, co w połączeniu ze słowem „śruba”, kołaczącym gdzieś w głowie, podsunęło mu następny pomysł.

Rozochocony swą błyskotliwością przywołał gestem Mohammeda.

- Te sieci - rzekł rozgorączkowany. - Chcę rozpiąć je w poprzek drogi.

Spojrzał do tyłu. Niemiecki statek wciąż nie wyłaniał się z zakrętu. Sternik wydał

śpiewne rozkazy przygotowania do zwrotu przez sztag. Dziób dhow kierował się wprost na brzeg.

Mohammed stał jak wrośnięty w deski pokładu, patrząc na Sebastiana z niedowierzaniem.

- Odetnij pływaki. Zostaw tylko co czwarty. Po zwrocie skierujemy się wprost na drugi brzeg.

- Czemu, panie? Musimy uciekać. Niemcy są już blisko.

- Śruba - wrzasnął Sebastian w twarz Mohammedowi i zatoczył dłonią kółko w powietrzu. - Chcę unieruchomić siecią ich śrubę.

Przez chwilę Mohammed gapił się na niego tępo,

ale wreszcie uśmiech zrozumienia rozjaśnił mu twarz. Odwrócił się i wydał szybko rozkazy.

Podczas gdy pracowali w pocie czoła, odgłos maszyny parowej stawał się coraz wyraźniejszy. Wydawali sieci, spoglądając raz za razem w górę rzeki. Dhow ociążale zbliżał się do północnego brzegu odnogi, zostawiając w kilwaterze rząderek korkowych pływaków. Niestety, sieć okazała się zbyt krótka, zabrakło około pięćdziesięciu jardów, by dokładnie przegrodzić koryto rzeczne. Jeżeli Niemcy przetną zakole najkrótszą drogą, ominą pułapkę. W dodatku trzeba było jakoś umocować do dna koniec sieci, w przeciwnym razie mogłaby zdryfować i cały fortel zdałby się na nic.

- Mohammedzie, wyciągnij ze stosu jakiś kiel. Największy, jaki uda ci się znaleźć.

Pospiesz się.

Po chwili dwóch myśliwych przytaszczyło wielki kiel.

Sebastian zawiązał sieć rękoma drżącymi z podniecenia i cisnął prowizoryczną tykę pionowo do wody.

- Zwrot! - krzyknął do sternika.

Arab natychmiast wyrzucił rumpel na burtę i statek skierował się ku otwartemu morzu.

Sebastian zajął miejsce obok kilku myśliwych ściskających w garściach krótkie strzelby na słońce. W ciszy i skupieniu wypatrywali statku, którego odgłos był coraz wyraźniejszy.

- Strzelajcie najszybciej, jak możecie, gdy tylko się pojawi - rozkazał. - Musimy skupić na sobie ich uwagę, to może nie spostrzegą sieci.

Wreszcie zobaczyli swego prześladowcę. Wypłynął

zza zakrętu, ciągnąc za sobą smugę szarego dymu. Na rufie powiewała czarno-czerwono-żółta flaga Rzeszy. Wąski czter-dziesięstopowy statek jaśniał bielą farby w promieniach zachodzącego słońca. Na rufie miał niewielką nadbudówkę. Spod dziobu wykwiwały fale odkosów.

- Ognia! - wrzasnął Sebastian. Na przednim pokładzie parowca zaroił się Askariowie. - Ognia - powtórzył. Jego krzyk utonął w huku salwy z kilku wielkokalibrowych strzelb. Jeden z Askariów, trafiony słonowym nabojem, rozkrzyżował ręce i uderzył plecami o ścianę nadbudówki, po czym osunął się powoli na pokład. Jego kamraci zamarli i przyczaili się za metalową burta. Na pokładzie pozostała samotna postać pokaźnej postury. Pagony munduru owego indywiduum błyszcząły złotem.

Sebastian wycelował w jego stronę. Kolba uderzyła go boleśnie w ramię, gdy pociągnął za spust. Fontanna wody wykwitła sto jardów przed dziobem parowca.

Złożył się raz jeszcze i wystrzelił, zamykając oczy. Kiedy je otworzył, niemiecki oficer wciąż stał na nogach, a na domiar złego celował w Sebastiana ze swojego pistoletu. Miał

za sobą chyba większą praktykę w strzelaniu, bo jego kula świsnęła Anglikowi koło ucha. Sebastian natychmiast kucnął za beczką z wodą, wyciągając z pasa dwa kolejne naboje.

Dało się słyszeć odgłosy wystrzałów mauzerów, które przy głuchym dudnieniu strzelb myśliwskich brzmiały jak trzaśnięcie z bicia.

Sebastian ostrożnie wyjrzał z za krawędzi beczki - parowiec płynął wprost na lukę w zasadzce. Położył strzelbę na pokładzie i poderwał się. Kula z mauzera

przeleciała tak blisko jego głowy, że czuł, jak od pędu powietrza podnoszą mu się włosy.

Instyktownie przykucnął, odczekał chwilę i rzucił się pędem w stronę rumpla.

- Odsuń się! - wrzasnął.

Brutalnie odepchnął zdziwionego sternika i gwałtownie odpadł od wiatru, robiąc niemal zwrot przez rufę. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że Niemiec nachyla się do budki sternika i coś krzyczy. Prawie natychmiast dziób parowca skierował się w ich stronę. Uczucie triumfu przepełniło Sebastiana. Teraz ścigający ich statek płynął wprost w pułapkę. Po chwili Sebastian mógł głośno odetchnąć.

Maszyna parowa zakrztusiła się i umilkła. Odległość pomiędzy ścigającymi a ściganymi zaczęła się powiększać. Sebastian patrzył, jak oficer wyciąga przerażonego Askaria ze sterówki i miotając przekleństwa, bez litości okłada go po głowie. Lecz krzyki teutońskiej furii cichły powoli w oddali, a po chwili zagłuszyły je wiwaty i oklaski załogi dhow tańczącej taniec dziękczynny na pokładzie.

Sternik wskoczył na beczkę i rozchylił swą brudną szarą koszulę, w szyderczym geście obnażając tors w stronę parowca.

11

Dhow oddalał się i w końcu zniknął z zasięgu wzroku, a Hermann Fleischer rzucał

się po pokładzie jak dziki zwierz. Targała nim wściekłość, której dawał upust, miotając wściekłe przekleństwa i wielkimi jak golonka pięściami rażąc

każdego, kto mu się nawinał pod rękę. Askariowie zwijali się jak w ukropie, by znaleźć się poza zasięgiem jego ciosów. W końcu szaleńcza furia wygasła i Fleischer popadł w apatię.

Przewiesiwszy swe cielsko przez burtę, wpatrywał się tępo w korkowe pływaki unoszące się wokół kadłuba. Wtedy zaświtała mu pewna myśl.

- Sierzancie! - krzyknął w przypływie energii. - Niech dwóch ludzi z nożami wskoczy do wody i odetnie sieć.

Zapadła cisza. Wszyscy obecni spuścili oczy i próbowali usunąć się jakoś z widoku, aby los nie padł na nich. W końcu wyznaczono dwóch ochotników. Reszta stłoczyła się na rufie.

- Powiedzcie im, żeby się pospieszyli - rzucił Fleischer sierżantowi na odchodnym i podążył do stołu, na którym czekał kufel piwa i wieczorny posiłek przygotowany przez osobistego boya.

Nagle za rufą statku dało się słyszeć wrzask, chlupot, a zaraz potem wściekły jazgot karabinów i przekleństwa Askariów. Hermann zesztyniał i powoli uniósł wzrok znad talerza.

- Krokodyl porwał jednego z ochotników - zameldował sierżant.

- Cóż, wyślijcie następnego - beznamiętnie rozkazał Fleischer i z niewzruszonym spokojem wrócił do przerwane go posiłku, aby rozkoszować się smakiem wybornej kiełbasy.

Sieć zaplatała się wokół śruby i wału tak ciasno, że dopiero godzinę po północy udało im się odciąć ostatnie kawałki.

Trzon sterowy wygiął się i wypadł z jednego łożyska, na skutek czego nawet na jednej czwartej

prędkości dobywało się spod rufy przeraźliwe klekotanie.

W mglistej różowej poświacie budzącego się dnia parowiec minął ostatnią wyspę mangrowców i wypłynął na szerokie wody Oceanu Indyjskiego. Ranek był spokojny i bezwietrzny. Panowała absolutna flauta. Fleischer przepatrywał horyzont bez specjalnej nadziei na znalezienie czegokolwiek. Zdecydował się tu przypłynąć, gdyż liczył na to, że dhow ugrzęźnie na jakiejś mulistej mieliźnie podczas nocnej żeglugi.

- Stop! - krzyknął do sternika. Przeraźliwy stukot wygasał powoli. Zapadła cisza.

Okręt kołysał się leniwie na długiej fali. Ocean wyglądał, jakby ktoś rozlał na jego powierzchni olej - żadnej zmarszczki na leniwie wznoszącej się i opadającej wodzie.

Fleischer nie mógł ryzykować żeglugi zepsutą łodzią po otwartym morzu. Musiał

zawrócić, gdy tymczasem dhow z ładunkiem kości słoniowej i wszystkimi tymi - jego zdaniem - kandydatami do stryczka kierował się do tego gniazda zarazy, pełnego oprychów i piratów, słowem - do Zanzibaru.

Nie mając nic lepszego do roboty, przypomniał sobie, ile stracił kości słoniowej. Żal ścisnął mu serce. Było tego towaru za milion, z górą, marek niemieckich. Sam mógłby zgarnąć niezłą dolę, gdyby pozwolił wywieźć to cichaczem. Żal mu się zrobiło również, gdy pomyślał, że wypuścił z ręki Anglika. Jeszcze nigdy żadnego takiego nie powiesił.

Rozglądając się leniwie dookoła, pocieszał się myślą, że przynajmniej ten przeklęty Amerykanin jest teraz trawiony przez jakiegoś krokodyla. Ale, prawdę

mówiąc, wolałby widzieć go dyndającego na stryczku. „A co tam! - pomyślał. - Nie można wymagać zbyt dużo szczęścia naraz”. W końcu nie będzie musiał martwić się więcej groźbą kolejnego rajdu O'Flynna i przestanie wysłuchiwać nie kończących się reprimend gubernatora Schee.

Był już najwyższy czas na śniadanie i Fleischer już miał się odwrócić w stronę stołu, kiedy coś przykuło jego uwagę. Zobaczył w świetle jutrzeńki niewyraźny kształt, który szybko rósł w oczach. Radosny wrzask Askariów zabrzmiał gromkim echem w ciszy poranka. Po chwili można było rozpoznać kanciaste wieżyczki i sterzące z nich lufy dział.

- „Blucher”! Na Boga, to „Blücher” - krzyknął Hermann podekscytowany.

Rozpoznał natychmiast krążownik, bo widział go przed sześcioma miesiącami w Dar es Salaam. Najwyraźniej gubernator Schee po otrzymaniu meldunku o działalności O'Flynna wysłał okręt do zablokowania ujścia Rufiji.

- Sierzancie, przynieście raketnicę! Włączyć maszynę. Schnell! - miotał się Fleischer.

Turbina znowu pracowała miarowo, kiedy jeden z Askariów włożył flarę do grubej lufy raketnicy, zamknął ją i skierował w niebo.

Przy burcie krążownika motorowa łódź Fleischera wyglądała jak zabawka.

Hermann spojrzał z obawą na drabinę sznurową, którą zrzucono mu z burty. Chwytał

ją bez przekonania, podciągnął się na rękach i chwilę przebierał gorączkowo nogami w powietrzu, szukając oparcia dla stóp. Cały zlany potem dotarł

na szczyt, gdzie dwóch marynarzy wciągnęło go na pokład. Sapiać głośno, stanął naprzeciw oddziału marynarzy prężących pierś w postawie zasadniczej. Dowodził nimi porucznik marynarki w białym tropikalnym mundurze.

- Komisarz Fleischer - zasalutował Hermann i trzasnął obcasami.

- Porucznik Kyller - zasalutował tamten i również trzasnął obcasami.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z waszym dowódcą. Sprawa najwyższej wagi.

12

Kapitan Otto von Kleine był wysokim, chudym człowiekiem. Twarz okoloną miał

jasnym zarostem, z rzadka po-przetykanym siwymi włosami. Skinął głową na powitanie i od razu przeszedł do rzeczy.

- Angielski korpus ekspedycyjny wspierany kilkoma okrętami wylądował w delcie Rufiji - odczytał meldunek Fleischera. - Zgadza się?

- Raport jest trochę wyolbrzymiony - odparł zmieszany Hermann. Przesadził nieco, ale tamtego dnia rozpierał go patriotyczny zapał. - W rzeczywistości był tylko... jeden okręt.

- Jak potężny? Ile miał dział? - dopytywał się von Kleine.

- No cóż... był nie uzbrojony. Von Kleine zesztyniał.

- Jaki to rodzaj okrętu?

Hermann zaczerwienił się, zmieszany.

- Arabski dhow. Mniej więcej dwudziestodwumetrowy.

- To niemożliwe. To śmieszne - obruszył się kapitan. - Kajzer wysłał ultimatum konsulowi brytyjskiemu w Berlinie. Zarządził mobilizację pięciu dywizji. Jaka była przyczyna tej inwazji? Gdzie jest ten... ten dhow? Jakie wyjaśnienia mam przesłać do Berlina?

- Ustaliłem dotąd, że ekspedycją dowodził kłusownik, niejaki O'Flynn. Został

zastrzelony podczas próby ucieczki, gdy moi Askariowie chcieli go zaaresztować.

Niestety, jego współnik, Anglik o niewiadomym nazwisku, uciekł tej nocy w dół rzeki statkiem pełnym kości słoniowej.

- Dokąd się skierowali?

- Do Zanzibaru.

- To zupełny idiotyzm. Staniemy się pośmiewiskiem. Krążownik goniący dwóch kryminalistów!

- Kapitanie, musi ich pan złapać.

- A dlaczegoż to?

- Jeśli się wymkną i opowiedzą tę historię, majestat cesarstwa będzie wystawiony na szwank. Niech pan pomyśli tylko, co będzie się działo, gdy dotrze to do prasy brytyjskiej. A poza tym ci ludzie to niebezpieczni kryminaliści.

- Ale ja nie mogę niepokoić zagranicznego statku na otwartym morzu, zwłaszcza jeśli płynie pod banderą brytyjską. Byłby to akt piractwa.

- A jeśli pójdzie on na dno wraz ze wszystkimi członkami załogi? - kusił Fleischer.

Kapitan von Kleine zamyślił się, po czym wezwał oficera nawigacyjnego.

- Wyznaczyć kurs na Zanzibar - rozkazał.

13

Ze smętnie zwisającymi żaglami dhow dryfował z prędkością trzech węzłów, spychany z kursu przez Prąd Mozambicki.

Po raz dwudziesty tego ranka Sebastian udał się na pokład rufowy, by wypatrywać na wodzie zmarszczek zwiastujących nadejście wiatru. Spojrzał na zachód, ale zarysy lądu dawno już zniknęły za horyzontem.

- Jestem starym psem Fini - usłyszał mamrotanie Flynna spod pokładu. - Posłuchaj mojego śmiechu. - I Flynn zawył przeraźliwie, naśladując hienę.

Przez cały dzień zastępował sobie towarzystwo, śpiewając urywki piosenek i naśladując odgłosy zwierząt. Czasami wracała mu przytomność.

- Sądzę, że tym razem stary Fleischer mnie dorwał. Czuję to. Jesteśmy zawieszani w przestrzeni wypełnionej trucizną. Czuję to. Jesteśmy w morzu tłustej i gorącej trucizny. Jeżeli nie dostaniemy się szybko do Zanzibaru, ugrzęźniemy w nim.

Kiedy wracała gorączka, zaczynał bredzić bez sensu.

- Mała, przywiozę ci piękną wstążkę. Nie płacz. Piękną wstążkę dla pięknej dziewczynki - mówił miękki głosem, po czym nagle zmieniał ton, krzycząc

zajadle: -

Ty zuchwała dziwko. Jesteś taka sama jak twoja przeklęta matka. Nie wiem, czemu cię nie wygnałem - po czym następowało znowu wycie hieny.

Sebastian zarzucił próżne wypatrywanie wiatru i spojrzął pod pokład. Przy schodach zejściówki siedział zatroskany Mohammed i zmieniał raz za razem kompresy na rozpalonym czole Flynna. Obok nich stało wiadro z wodą, w którym moczyły się kawałki materiału.

Sebastian westchnął ciężko. Cała odpowiedzialność za losy wyprawy spoczywała na jego barkach. Na Flynna z pewnością nie mógł w tej chwili liczyć. Co prawda dotąd poczynał sobie nieźle. Z przyjemnością i odrobiną dumy pomyślał o szybkiej i trafnej decyzji, jaką podjął, by wprowadzić ścigającą ich łódź na sieci. Uśmiechnął się na to wspomnienie i nie był to jego dawny pusty uśmiech zadowolenia z siebie, ale coś znacznie twardszego. W ogóle zmienił postawę. Trzymał się prosto, głowę nosił wyżej, a z całej jego postaci przebijała stanowczość i zdecydowanie.

Podszedł do burty i spojrzął na zachód. Na horyzoncie pojawiła się niewielka chmura, a właściwie marny jej załazek. Patrzył na nią z nadzieją, że może oznaczać początek dziennej bryzy. Ale ta chmura była jakaś dziwna. Przyglądał się jej dłuższą chwilę. Poruszała się. Przysiągłby, że się poruszała. Skupił całą uwagę na tym dziwnym obiekcie. Już wiedział, co się święci.

- To jakiś statek. Na Boga, to statek! - wyszeptał.

Błyskawicznie zszedł z pokładu rufowego, przebiegł wśród poruszonej jego pośpiechem załogi i

myśliwych, którzy leżeli dotąd apatycznie, wskoczył na bom i na rękach wciągnął się na top masztu.

Popatrzył raz jeszcze na zachód. Tak, to był statek. Teraz już nie miał wątpliwości.

Wyraźnie widoczne były trzy kominy. Z każdego unosił się dym. Anglik uśmiechnął się radośnie.

Pokład pod nim zaroił się marynarzami. Wszyscy patrzyli w tę samą stronę.

Ześliznął się po maszcie tak prędko, że od tarcia omal nie poparzył sobie ręk, i nie zwlekając pobiegł do Flynna.

- Statek. Jakiś duży statek płynie szybko w naszą stronę. Posłuchaj, Flynn. Na pokładzie na pewno jest lekarz. Niedługo odstawimy cię do jakiegoś portu.

Flynn popatrzył na niego półprzymtomnie.

- To dobrze, Bassie. Dobra robota.

Parowiec systematycznie rósł w ich oczach. Na jego maszcie powiewała flaga, ale zanim Sebastian mógł ją rozpoznać, zobaczył działa.

- Okręt! - krzyknął radośnie. Było dlań oczywiste, że jeśli okręt, to tylko brytyjski. To przecież flota jego kraju władała na morzach i oceanach świata.

Okręt kierował się wprost na nich. Ogromne szare cielsko pruło majestatycznie fale.

Załoga umilkła, przejęta niecodziennym widokiem. Z perspektywy nisko położonego pokładu dhow nie było widać flagowego masztu krążownika.

Stalowe monstrum zbliżało się szybko, ani na jotę nie zmniejszając prędkości.

- Co oni chcą zrobić? - głośno wyraził swe

zdziwienie zaniepokojony Sebastian.

- Powiem ci, co chcą zrobić! - usłyszał za plecami odpowiedź Flynna. - Chcą przejechać nam po dupie!

Obejrzał się. Wspierając się na ramieniu Mohammeda, Flynn kuśtykał po pokładzie.

- To „Blucher”! Niemiecki krażownik!

- Nie mogą tego zrobić - zaprotestował Sebastian.

- Chcesz się założyć? Płyną od strony ujścia Rufiji. Przypuszczam, że ucięli sobie pogawędkę z Fleischerem. Pewnie on sam też jest na pokładzie. Staranują nas i zatopiają, a tych, co będą się jeszcze utrzymywać na powierzchni, wystrzelają z karabinów maszynowych. - Flynn poprawił się na ramieniu Mohammeda i syknął z bólu.

- Musimy zrobić tratwy ratunkowe - rzekł Sebastian z determinacją w głosie.

- Nie ma czasu, Bassie. Spójrz, jak szybko się zbliża.

Dzieliło ich około pięciu mil, ale dystans szybko topniał.

Sebastian rozejrzał się dookoła. Wzrok jego padł na korkowe pływaki odcięte wczoraj od sieci. Wyszarpnął nóż z pochwy i podbiegł do worka z kokosami. Rozciął

sznur, którym był związany, i wysypał orzechy na pokład. Pospiesznie napełnił worek pływakami. Podniósł wzrok. Szare cielsko „Blüchera” było o dwie mile od nich.

Zawiązał worek, zostawiając dłuższy koniec linki wolny. Z takim pakunkiem podbiegł

do Flynna.

- Co robisz? - spytał zdumiony Flynn.

- Ratuje cię! Podnieś ręce!

Porządnie przewiązał wolny koniec linki wokół piersi Flynn'a, po czym pobiegł na pokład rufowy.

- Mohammedzie, zostań z nim. Trzymajcie się mocno worka - krzyknął, ładując wielkie naboje do strzelby, którą porwał z pokładu. Nie oglądając się więcej na nich, podbiegł do burty.

Sebastian Oldsmith miał właśnie przystąpić do bitwy z krążownikiem, uzbrojony w dubeltówkę Gibbs 500 przeciw blachom pancernym i dwustutrzydziestomilimetrowym działom. Okręt był już blisko. Ogromny dziób zwieszał się nad nimi jak stalowy klif. Z tej odległości nawet Sebastian nie mógł nie trafić krążownika. Kule z grzechotem odbiły się od kadłuba.

- Parszywe świnie! - wrzasnął wściekły z bezsilności i nienawiści. - Przeklęte parszywe świnie!

Załadował i wystrzelił powtórnie. Bez efektu. Dziób „Bluchera” uderzył w dhow.

Trzask łamanego drewna zmieszał się z przeraźliwymi krzykami umierających. Kadłub arabskiego statku rozpadł się jak łupina orzecha zdeptana nogą olbrzyma. Sebastian wpadł do wody tuż przy burcie okrętu. Szczęśliwie fala dziobowa odrzuciła go od kadłuba. Znalazł się na powierzchni na krótką chwilę, by zaczerpnąć powietrza, po czym potężny wir wciągnął go głęboko pod wodę. Ciśnienie rozrywało mu uszy.

Tańczył w błękitnej kipieli, rzucony na wszystkie strony bezlitosnym prądem. Wreszcie wir osłabł i Sebastian z całych sił zaczął płynąć ku powierzchni. Płuca bolały go niemiłosiernie, a w oczach wirowały

mroczy. Wyskoczył na powierzchnię, łapczywie łykając powietrze. Szybkim ruchem odpiął pas z nabojami i puścił go w głąb toni.

Rozejrzał się wokół. Powierzchnia morza usłana była szczątkami statku. Gdzieś widać było Ciała unoszące się jeszcze na wodzie. Ćwierć mili dalej „Blücher” zataczał

kraąg - niby rekin, który wraca dobić ofiarę.

- Flynn! - krzyknął Sebastian z nadzieją. - Flynn, gdzie jesteś?

- Panie! - usłyszał za sobą głos Mohammeda. Odwrócił się i sto jardów dalej zobaczył dwie głowy unoszące się ponad workiem z pływakami.

- Flynn! - ucieszył się Sebastian.

- Zegnaj, Bassie - zawołał tamten. - Ten stary Hun wraca, żeby nas wykończyć.

Popatrz! Mają przygotowane na mostku karabiny maszynowe. Do zobaczenia po tamtej stronie, chłopcze.

Sebastian obejrzał się i zobaczył białe mundury marynarzy stojących spokojnie przy karabinach gotowych do strzału.

- Ja, kilku z nich jednak jeszcze żyje - stwierdził Fleischer, przepatrując uważnie taflę oceanu za pomocą pożyczonej lornetki. - Oczywiście zrobi pan, kapitanie, użytek z tych maksimów. Wystrzelanie tych ludzi z pistoletów zajmie o wiele więcej czasu.

Kapitan von Kleine milczał. Stał bokiem do Fleischera, z rękoma splecionymi na piersi, i nieruchomym wzrokiem patrzył w dal.

- Coś smutnego jest w śmierci statku - odezwał się wreszcie jakby do siebie. - Nawet takiego małego parszywego statku jak ten dhow. - Nagle ocknął się z zadumy. - Pański kuter czeka na pana w ujściu Rufiji. Odstawię pana tam, komisarzu - oświadczył głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ale najpierw dokończymy robotę z rozbitkami.

- Komisarzu, zatopiłem ten statek, bo wierzyłem, że to mój obowiązek - powiedział

z naciskiem von Kleine. - W tej chwili jednak nie jestem pewien, czy powodowany złością nie podjąłem niewłaściwej decyzji. Nie zamierzam dodatkowo obciążać swego sumienia strzelaniem do bezbronnych ludzi.

- No to niech ich pan podejmie na pokład, a ja ich aresztuję i powieszę.

- Nie jestem policjantem - odmówił von Kleine. - Ten, który do nas strzelał, musi być dzielnym człowiekiem. Być może jest przestępcą, ale zbyt długo depczę po ścieżkach tego świata, by nie cenić odwagi dla niej samej. Nie chcę wiedzieć, czy ocaliłem tego człowieka. Niech osądzi go morze. - Odwrócił się do swojego porucznika. - Kyller, przygotujcie do zrzucenia jedną z tratw ratunkowych.

Porucznik stał jak zakłęty, patrząc na przełożonego z niedowierzaniem.

- Słyszeliście, co powiedziałem?

- Tak, kapitanie.

- No to proszę wykonać.

Ignorując gorączkowe protesty Fleischera, podszedł do sternika.

- Proszę zmienić kurs, tak aby przepłynąć

pięćdziesiąt metrów od rozbitków.

- Zbliża się - stwierdził rzeczowo Flynn, patrząc na beznamiętne stalowe cielsko krążownika. Zawodzenie ludzi błagających o wybawienie rozlegało się dookoła raz po raz.

- Flynn, spójrz na mostek! Widzisz go? Ten w szarym mundurze - krzyknął do niego Sebastian.

Wzrok Flynnna zmacony był gorączką, a dodatkowo słona woda niemilosierdzie piekła w oczy. Przez łzy zdołał jednak dostrzec na mostku krążownika szarą plamę pośród białych.

- Kto to?

- Miałeś rację. Tam jest Fleischer.

Flynn zaklął szpetnie.

- Hej, ty parszywy, spasiony rzeźniku - wrzasnął, próbując unieść się jak najwyżej ponad worek z korkami. - Ty kurewska bańko smalcu. No, chodź tu, zimnokrwisty wieprzu.

Smukły kadłub krążownika był już na tyle blisko, że Flynn widział poruszenie na mostku. Pękata szara figurka błagalnie gestykulowała coś do oficera w białym mundurze, stojącego nieruchomo obok. Oficer ignorował go zupełnie. Podeszedł do barierki mostku i wychylił się, patrząc w dół na pokład.

- Dokładnie tak. Powiedz, żeby ją wyrzucili. Kończmy już z tym - krzyknął w stronę grupki marynarzy.

Wielki prostokątny przedmiot zsunął się z pokładu i wpadł do wody obok burty krążownika.

Flynn zaniemówił. Patrzył z niedowierzaniem, jak oficer na mostku unosi rękę do czapki, jakby

salutował. Turbiny poruszyły się żwawiej, okręt przyspieszył i oddalił się szybko na zachód.

Flynn O'Flynn dostał ataku histerycznego śmiechu, który przerodził się w gasnące bulgotanie, po czym stracił przytomność i jego głowa bezwładnie opadła do wody.

CzuJNI Mohammed złapał swego pana za siwe włosy i uniósł mu twarz ponad powierzchnię.

14

Sebastian dopłynął do tratwy i chwycił linkę okalającą jej burty. Przytrzymał się czas jakiś dla nabrania oddechu, po czym szybkim ruchem podciągnął się i jak długi runął na gretingi, zupełnie wyczerpany z sił.

- Panie! Pomóż mi! - usłyszał wołanie. Wstał, rozejrzał się dookoła i zobaczył

Mohammeda, który z wysiłkiem holował worek z pływakami i przewieszonym przezeń Flynnem. Pośród różnych szczątków dhow pływało jeszcze kilkunastu myśliwych i członków załogi. Silniejsi kierowali się ku zbawczej tratwie. Słabsi lub ranni utrzymywali się z ledwością na powierzchni, błagając o ratunek, ale ich krzyki milkły jeden po drugim.

Do tratwy przymocowane były wiosła. Sebastian odciął jedno z nich swym nożem myśliwskim i zaczął wiosłować w stronę Mohammeda i Flyna, ale z mizernym skutkiem. Ta tratwa była wyjątkowo nieruchawym pływadłem, a w dodatku kiedy zanurzał wiosło, okręcała się dookoła, zamiast płynąć do przodu. Na szczęście jeden z drabów wdrapał się na

pokład i zaczął wiosłować z drugiej burty, nadając tratwie jakąś sterowność. Każdy następny, który docierał do burty, chwycił za wiosło. Minęli ciało jednego z myśliwych, unoszące się tuż pod powierzchnią wody. Obie nogi były ucięte ponad kolanami, a z ud sterczały kikuty kości i kawałki mięsa. Nie opodal w zabarwionej na czerwono plamie wody dryfowała inna ofiara ataku „Bluchera”. Krew unoszona prądem musiała w końcu ściągnąć rekiny.

Pierwszego zobaczył Arab siedzący u boku Sebastiana. Rekin przepłynął niedaleko nich, prując płetwą grzbietową powierzchnię oceanu. Widzieli ciemną plamę cielska i spiczasty pysk. Niemal wyczuwali podniecenie rekina przed polowaniem. Był

niewielki, miał około trzech metrów długości, ale z pewnością mógł jednym kłapinięciem szczęk odjeść nogę tuż przy tyłku.

Teraz rekin nie musiał już się kierować śladami krwi w wodzie. Ruchy płynących były dostateczną wskazówką, gdzie szukać ofiary. Zatoczył koło i rozpoczął uderzenie.

- Rekin! - wrzasnął Sebastian do Flynna i Mohammeda, którzy byli już tylko o dziesięć metrów od tratwy. Niestety, to pogorszyło sytuację. Obaj spanikowali i próbowali wdrapać się na worek z pływakami, który był za mały i zbyt niestabilny, by mogli się na nim jednocześnie utrzymać. Logika rzadko chodzi w parze ze strachem.

Gorączkowa kotłowanina w wodzie sprawiła, że rekin skręcił nieco i skierował się wprost na nich.

- Tutaj! - krzyknął Sebastian. - Płyńcie do tratwy. - Wyciągnął wiosło w ich stronę, podczas gdy pozostali rozbitkowie wiosłowali zawzięcie. - Tutaj, w tę stronę. Flynn, na miłość boską, tutaj!

Jego krzyki otrzeźwiły wreszcie dwóch desperatów. Zaprzestali daremnego wdrapywania i zaczęli płynąć ku tratwie. Ale ten sam worek, który wcześniej uratował

życie Flynnowi, teraz opóźniał ucieczkę. Nie było czasu, aby odciąć go lub odwiązać, holowali więc go z trudem za sobą. Rekin zbliżał się błyskawicznie. Otwartą paszczą pruć wodę. Wszyscy na tratwie widzieli rząd ostrych zębów górnej szczęki, wystającej ponad taflę oceanu. Z przerażenia wstrzymali oddech. Choć byli blisko, nie mieli szansy zdażyć przed drapieżnikiem. Mogli już tylko patrzeć bezsilnie na spektakl, w którym stawką było życie ich przyjaciół. Rekin uderzył, kiedy Flynn i Mohammed byli tuż przy burcie tratwy. Mocnym uściskiem chwycił worek i teraz tarmosił nim zapamiętałe, rozbryzgując dookoła kropelki wody.

- Złapcie za to! - rozkazał Sebastian, podając wiosło płynącym. Chwycili się obaj kurczowo. Młodzieniec przyciągnął ich do burty. Ale worek, a za jego pośrednictwem także i rekin, wciąż był przymocowany do Flynnna. W każdej chwili ryba mogła zechcieć odpłynąć ze swoją niejadalną zdobyczą, holując za sobą smaczniejszy kasek, który na razie kurczowo trzymał się linki okalającej tratwę.

Sebastian bez namysłu wyrwał z pochwy nóż myśliwski i przeciął więzy łączące Flynnna z jego niedoszłym konsumentem. Rekin, zadowolony, że ofiara przestała się opierać, odpłynął leniwie, unosząc zdobycz o wątpliwej dla niego wartości kulinarnej.

Sebastian pomógł Arabom wciągnąć na pokład Flynnna, a potem Mohammeda.

Nie był to jednak koniec straszliwego przedstawienia. W wodzie wciąż było kilku żywych rozbitków. Rekin w końcu dostrzegł swój błąd i

pozbył się worka. Chwilę krążył niezdecydowany, w którą stronę uderzyć. Pospieszne ruchy jednego z myśliwych wskazały mu drogę. Podpłynął szybko, złapał ofiarę i wciągnął pod wodę.

Po chwili ponad powierzchnią ukazała się głowa nieszczęśnika. Krzyczał przeraźliwie.

Rekin wciągnął go powtórnie i woda zabarwiła się na czerwono. Kiedy człowiek ten po raz trzeci ukazał się oczom ludzi zgromadzonych na tratwie, był to już tylko martwy kadłubek z odgryzionymi nogami. Rekin oddalił się nieco, chyba po to, by spokojnie przełknąć nadgryziony kasek. Potem wrócił i dokończył ucztę.

W tym czasie przypłynął drugi, trzeci, dziesiąty rekin. Pojawiło się ich tak dużo, że niepodobna było zliczyć. Woda dookoła zaroiła się trójkątnymi płetwami.

Sebastian i jego pomocnicy zdołali podjąć na pokład dwóch kolejnych rozbitków i już wciągali trzeciego, gdy z głębiny wypłynął blisko dwumetrowy rekin i chwycił

szczęką udo niemal już uratowanego człowieka. Pociągnął z taką siłą, że wszystkich, którzy pomagali rozbitkowi, prawie wciągnął razem z nim do wody. Kilku ludzi na tratwie zorientowało się jednak, co się dzieje, i przytrzymało kolegów. Wciągnęli Araba z rekinem u nogi - lub raczej z nogą w rekinie - na pokład. Ostro zakończony pysk drapieżnika sterczał ponad wodą tuż przy nich. Nieduży Mohammed chwycił wiosło i mocnymi ciosami próbował zmusić rybę do zaniechania ofiary. Ale rekin zacisnął tylko mocniej szczękę i krew bryznęła z gruchotanej nogi.

- Trzymajcie go tak! - wycharczał Sebastian. -

Wychylił się ponad ciałem mężczyzny i wbił nóż w małe oko rekina. Trysnęła przezroczysta ciecz. Sebastian wyrwał ostrze i pograżył w drugim ślepiu. To zniechęciło drapieżnika na dobre. Zwolnił uścisk i oddalił się, zygzakami klucząc na oślep w morskiej toni.

W wodzie nie pozostał już nikt żywy. Zgraja rekinów kłębiła się dookoła, wyjadając ostatnie kęsy pływającego tu i ówdzie ludzkiego mięsa. Niestety, człowiek z takim trudem wyrwany dosłownie z paszczy rekina miał przebitą tętnicę udową i wykrwawił

się na śmierć, zanim ktokolwiek mógł pomyśleć o założeniu opaski uciskowej.

- Wypchnijcie go za burtę - zajęczał Flynn.

- Nie - sprzeciwił się Sebastian.

- Na Boga, tu jest dość tłoczno. Wywalcie tego biednego gnojka.

- Później, teraz nie czas na to. Mohammedzie, zaprzęgnij swoich chłopaków do roboty przy wiosłach. Chcę pozbierać jak najwięcej kokosów.

Nim zapadły ciemności, wyłowili pięćdziesiąt dwa orzechy kokosowe, wystarczający zapas, by przez tydzień uchronić ocalałą siódemkę od śmierci z pragnienia.

Noc była zimna. Stłoczyli się ciasno, by ogrzać się własnymi ciałami, a rozochoczone rekiny krążyły w oczekiwaniu następnej uczyty.

15

- Musisz ją wydłubać - szepnął Flynn, wstrząsany dreszczami gorączki w najgorszym skwarze południa.

- Zupełnie się na tym nie znam - zaprotestował Sebastian, ale przyjrzał się uważniej przyjacielowi i stwierdził, że jest z nim krucho.

- Tak jak i ja. Ale to konieczne. Musisz to zrobić jak najszybciej.

Przyglądając się nodze Flynna, Sebastian z trudem powstrzymywał wymioty. Noga była napuchnięta i czerwona. Fioletowo-czarny obrzęk otaczał ranę po kuli. Anglik nachylił się, by przyjrzeć się temu z bliska, i poczuł odór rozkładającego się ciała. Tym razem skurcz pchnął w gardło Sebastiana kwaśną treść żołądka. Młodzieniec z trudem przełknął ślinę.

- Musisz to zrobić, Bassie. Nie jest głęboko, właściwie tuż pod skórą.

- Będzie bolało jak cholera - łamiącym się głosem Sebastian uświadomił Flynna. -

Mohammedzie, ty i jeszcze jeden złapiecie pana za ramiona. Dwóch innych niech trzyma nogi.

Flynn leżał spokojnie, rozkrzyżowany i unieruchomiony na deskach pokładu.

Sebastian naostrzył nóż o metalowy kant tratwy, wytarł go starannie włóknami orzecha kokosowego i obmył w wodzie morskiej. Opłukał też ręce i skropił wodą ranę.

Obok niego stała połówka orzecha napełniona uncją odparowanej soli, którą zdrapali z pokładu i prowizorycznego żagla zrobionego z kawałka materiału, wyłowionego dzień wcześniej. Przyklęknął nad raną z nożem w prawicy.

- Gotowy? - szepnął.

- Gotowy - wyjęczał Flynn.

Sebastian namacał ręką zgrubienie skóry w

miejscu, gdzie utkwiała kula. Delikatnie przejechał po niej nożem, ale ludzka powłoka okazała się twardsza, niż przypuszczał.

- Do diabła, nie baw się, tnij, człowieku, tnij!
- zrugął go Flynn, spocony z napięcia.

Tym razem Sebastian przycisnął mocno i natychmiast odsunął się przerażony widokiem żółtawozielonej mazi, która wydobyła się z zainfekowanej rany. Okropny odór uderzył go w nozdrza.

- Wyciągnij kulę, wyciągnij ją paluchami. Już dłużej nie wytrzymam - wił się Flynn.

Przełamując przemożne obrzydzenie i powstrzymując wymioty, Sebastian zagłębił

w ranie mały palec, namacał kulę i wydobył ją wraz z nową porcją oleistej, cuchnącej mazi. Kiedy kawałek ołowiu upadł na pokład, Sebastian odczołgał się na skraj tratwy i charcząc okropnie, dał upust torsjom powstrzymywanym od dłuższego czasu.

16

Flynn siedział oparty o prowizoryczny maszt. Wciąż był bardzo słaby, ale cztery dni wcześniej nastąpiło przesilenie i czuł się coraz lepiej.

- Gdybyśmy tak mieli coś czerwonego.

- Po co ci coś czerwonego? - zainteresował się Sebastian.

- Żeby złowić któregoś z tych delfinów. Człowieku, jestem tak cholernie głodny, że zjadłbym go na surowo.

Po czterech dniach diety opartej na mleku i miazgu kokosowym głośno burczało im w brzuchach.

- Dlaczego czerwone?

- Na przynętę. One ciągną do czerwonego.

- Przecież nie masz żadnego haczyka ani liny.

- Wystarczy przywiązać do sznurka czerwoną szmatkę, by przyciągnąć delfina na powierzchnię, a potem mógłbyś ukatrupić go harpunem zrobionym z wiosła i twojego noża.

Sebastian w milczeniu wpatrywał się w delfiny igrające wesoło wokół tratwy, -

Koniecznienie musi być czerwone? - spytał i oblał się krwistym rumieńcem widocznym nawet pod spaloną na raka skórą.

- Tak. Koniecznienie - odpowiedział Flynn i przyjrzał mu się baczniej. - Człowieku, co z tobą? - spytał zdziwiony.

- No cóż... - bąknął Sebastian. Wciąż rumieniąc się, wstał z ociąganiem i odpiął

pasek, zawstydzony jak młodzieniec w noc poślubną. Opuścił spodnie i wszystkim szczęki opadły ze zdumienia.

- Na miły Bóg - zachwycił się Flynn i przetarł oczy, by upewnić się, że go wzrok nie myli.

- Ho, ho - z aprobatą zakrzyknęli chórem pozostali.

- Dostałem je u Harrodsa - poinformował ich skromnie Sebastian.

Były rzeczywiście czerwone, ale była to ognista czerwień pola róż oświetlonego blaskiem zachodzącego słońca, najpiękniejsza, jaką Flynn w swym długim

życiu oglądał. Gatki spływały orientalną obfitością od talii do kolan Sebastiana.

- Czysty jedwab - powiedział młodzieniec, ujmując materiał w dwa palce. - Dziesięć szylingów za parę.

- Taś, taś! No, chodź, rybko! Chodź tu - szeptał Flynn przewieszony przez burtę.

W rękę dzierżył linkę z Sebastiano wymi gatkami uwiązanymi na końcu. Z głębi błękitnej wody wyskoczył nagle smukły delfin i byłby pochwycił szkarłatną przynętę, gdyby Flynn błyskawicznie jej nie poderwał. Delfin zanurkował, ale zatoczył koło, by ponowić próbę.

- Dobrze, rybko, łap to - cieszył się Flynn. Następny delfin również przyłączył się do polowania.

- Przygotuj się!

- Jestem gotowy - odparł Sebastian, stojąc z wiosłem w prawicy, odchylony do tyłu w pozie oszczepnika przed rzutem. W całym zamieszaniu związanym z polowaniem zapomniał wdziąć spodnie i teraz poły jego koszuli zwisały niezbyt dostojnie wokół ud.

Trzeba jednak przyznać, że miał pięknie umięśnione nogi atlety, których nie musiał się wstydzić. - Odstąpcie! Cofnijcie się, dajcie mi więcej miejsca - zbeształ pozostałych członków załogi tratwy, którzy tłoczyli się ciekawie wokół niego.

- Zbliża się - głos Flynn'a drżał z podniecenia. - Teraz! - krzyknął, podrywając z wody czerwone gatki, za którymi wyskoczył delfin ponadmetrowej długości. Ta sama pewna ręka, która rzucała czysto piłki w kierunku wielkiego Franka Wooleya, cisnęła wiosło z

nożem. Ostrze trafiło ssaka tuż za okiem. Sebastian trzymał mocno, ale na nożu nie było nacięć, które zapobiegłyby jego wyrwaniu, delfin uwolnił się w końcu i zniknął

w głębinie.

- Do diabła! - zapiekli! się Flynn.

- Psiakość! - zawtórował mu Sebastian.

Na ich szczęście śmiertelnie ranny ssak wypłynął bez życia na powierzchnię niedaleko tratwy.

Sebastian odrzucił wiosło i pospiesznie zdjął koszulę.

- Co robisz? - zaniepokoił się Flynn.

- Skoczę po niego.

- Oszalałeś? Tu są rekiny!

- Jestem tak głodny, że rekina też bym zjadł - odparł Sebastian i skoczył do wody.

Minutę później, zdyszany i promieniejący radością, przyciągnął martwego delfina.

- Zapłaciłem kiedyś gwineę za jedzenie gorsze niż to - stwierdził Sebastian, gdy pochłaniali łąpczywie surowe solone mięso. - Och, wybacz mi, proszę - dodał, zorientowawszy się, że wciąż jest bez ubrania.

- Dobra - odparł Flynn, patrząc na nagość Sebastiana okiem człowieka znużonego życiem. - Przestań się przechwalać i włóż portki, zanim się o to potkniesz.

Powoli, bardzo powoli, Flynn O'Flynn zmieniał zdanie o Sebastianie Oldsmicie.

Wszyscy już dawno stracili zapał do wiosłowania, ale wobec alternatywy w postaci ciężkich razów wymierzanych przez Flynna pracowali wytrwale. Wspomagał ich w tym przykład Sebastiana, wiosłującego niezmordowanie jak nikt inny na pokładzie.

Tłuszczycy obrastający kiedyś jego zadbane ciało zniknął bezpowrotnie, spalony podczas ciężkiej pracy na przymusowej diecie. Teraz opalony tors młodzieńca przywodził na myśl rzeźby Michała Anioła.

Sześć dni brnęli przez prąd, który spychał ich na południe. Sześć dni płynęli pośród żaru leżącego się z nieba, po morzu gładkim jak stół.

- Nie - zaprzeczył Mohammed. - To znaczy „dwa jeżo-zwierze uprawiające miłość pod kocem”.

- Ach tak. - Sebastian powtórzył całe zdanie, nie zmieniając rytmu wiosłowania.

Uparcie uczył się języka suahili, zapałczywością nadrabiając brak bystrości. Mohammed był dumny z gorliwego ucznia i wytrwale odpierał zamachy współplemieńców na swoją pozycję głównego wykładowcy.

- Z tymi jeżozwierzami mierzwiącymi sobie kolce to prawda - wtrącił się Flynn. -

A co znaczy to:...? - powiedział coś w suahili.

- To znaczy „Duży wiatr będzie wiał na morzu” - przetłumaczył Sebastian, dumny ze swego osiągnięcia.

- Dokładnie. I nie są to żarty - potwierdził Flynn. Stał pewnie, na obu już nogach, i spoglądał na wschód. - Widzisz te chmury?

Sebastian odłożył wiosło i stanął obok. Natychmiast zmaląła aktywność pozostałych.

- Wiosłować, pięknie! - huknął na nich Flynn i tamci natychmiast wrócili do przerwanej czynności. - Widzisz?

- Widzę - przytaknął Sebastian. Na razie była to kreska podobna do czernidła, którym hinduskie kobiety podkreślały brwi.

- No cóż, Bassie, to wiatr, o którym mówiłeś, ale myślę, przyjacielu, że będzie nieco silniejszy, niż się spodziewasz.

Po zmroku usłyszeli złowrogi pomruk zbliżającej się nawałnicy. Z daleka dawała znać o sobie. Jedna za drugą nikiły gwiazdy, przykrywane ciemną zasłoną chmur.

Pierwszy szkwał uderzył w prowizoryczny żagiel i sprawił, że ten zaczął głośno łopotać, wydając dźwięki podobne do trzaskania z bicia. Ci, którzy spali, poderwali się przerażeni.

- Trzymaj swoje piękne gatki, bo ci zlecą z tyłka - poradził Sebastianowi Flynn.

- Lepiej zdejmę ten żagiel.

- Racja, a przy okazji zrób dla nas z tych szotów linki asekuracyjne.

Przy potężniejącym wietrze przywiązali się do desek pokładu. Dookoła pojawiły się fale; zrazu nieduże, rosły szybko, tworząc wielkie grzywy białej piany, zrywał się wiatr.

Powietrze wypełniała mgiełka rozpylonej wody. Tratwa gnała po falach jak koń spięty ostrogami.

- W końcu wylądujemy na brzegu - wrzasnął

Sebastian do Flynna.

- Bassie, ty zawsze myślisz o rzeczach najprzyjemniejszych - odparł tamten, próbując przekrzyczeć wycie szalejącego wiatru i łoskot pierwszej fali walącej się na pokład tratwy.

To, co działo się dookoła, przerastało najśmielsze wyobrażenie Flynna o sztormie.

Z potwornym wyciem zwały się na nich raz za razem ogromne ilości wody. Dzięki swej wyporności tratwa wypływała na powierzchnię, dając im szansę zaczerpnięcia kilku łapczywych oddechów, po czym następowało kolejne uderzenie i łupina z rozbitkami niknęła pod zwałami wody.

Sebastian podczołgał się do Flynna. - No, jak tam? - krzyknął mu do ucha.

- Świetnie, po prostu świetnie - odparł tamten, nim przykryła ich następna fala.

- A jak noga? - parszając spytał Sebastian, gdy znaleźli się znowu na powierzchni.

- Na miły Bóg, przestań głądzić - zirytował się Flynn i następne uderzenie wody przerwało ich konwersację.

Panowały absolutne ciemności. Żadnych gwiazd, ani śladu poświaty księżyca. Tylko fale bieliły się złowrogo. Mdłym fosforyzującym blaskiem dawały znać, że czas głębiej zaczerpnąć powietrza i mocniej chwycić listwy pokładu.

Całą wieczność spędził Sebastian w ciemnościach, maltretowany dzikimi uderzeniami zwałów wody. Obolałe, drżące jak galareta jego ciało przestało reagować na nowe razy. Stopniowo pogrążał się w bezmyślnej apatii. Kiedy większa fala zmyła jednego z Arabów z pokładu, na Sebastianie nie zrobiło to

już żadnego wrażenia.

Dwukrotnie zwymiotował, zachłysnąwszy się słoną wodą, ale nie czuł w ustach żadnego smaku, ani kiedy ciecz płynęła do żołądka, ani w czasie jej drogi powrotnej, gdy serią torsji została wyrzucona na zewnątrz.

Oczy łzawiły mu od słonej mgiełki, gdy bezskutecznie wpatrywał się sowim wzrokiem w kolejne zbliżające się fale. Po pewnym czasie zdało mu się, że widzi w ciemnościach coraz lepiej. Powoli odwrócił głowę w stronę Flynna. Zobaczył twarz podobną do krosty trędowatego. To go zastanowiło. Myślał nad tym dłuższy czas, ale żadne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy, dopóki nie obrócił się z powrotem, ku następnej pędzącej górze białej kipieli. Przeświecał zza niej budzący się dzień, na razie bladą szarością, bardziej przeczuwalną niż widoczną. Chciał powiedzieć o swoim odkryciu, ale z ledwością zdołał poruszyć skołowaciałym językiem. Spróbował jeszcze raz.

- Świta - wycharczał, ale Flynn leżał przy nim nieporuszony niczym kłoda.

Powoli rozjaśniało się ponad rozszalałym morzem, choć ciemne chmury próbowały temu przeszkodzić. W świetle dnia ich sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej niż w nocy. Z daleka widać było nadbiegającą z rykiem falę, która po chwili zawisała nad nimi jak etruski hełm, by z łoskotem i wściekłością zwalić się na pokład. Między jednym a drugim uderzeniem Sebastian rozejrzał się dookoła. Płótno, liny, kokosy i wszystko inne, co zbierali z takim trudem, zostało zmyte do morza. Niektóre deski pokładu były wyłamane. Ubrania zmieniły się w nędzne strzępy. Z siedmiu osób, które jeszcze wczoraj zaludniały tratwę, został on, Flynn, Mohammed i jeszcze jeden

człowiek.

Pozostałych zabrało morze. Sztorm uderzył z nową siłą, tak że tratwa zaczęła podskakiwać na granicy wywrotki. Sebastian przestał zastanawiać się nad czymkolwiek, skupiając się na kurczowym trzymaniu desek pokładu.

Sebastian pierwszy wyczuł zmianę. Fale stały się bardziej strome i podążały jedna za drugą, bliżej siebie. Przez huk sztormu usłyszał jakiś nowy dźwięk, jakby kanonadę dział odpalanych w nieregularnych odstępach.

Uniósł głowę i natychmiast każdy nerw jego sponiewieranego ciała został skarcony bólem za tak forsowny wysiłek. Rozejrzał się dookoła, ale zobaczył tylko szare ściany fal, które ograniczały pole widzenia do pięćdziesięciu metrów. Dudnienie stało się wyraźniejsze i bardziej natarczywe. Kiedy tratwa znalazła się na grzbiecie fali, zobaczył

zupełnie blisko i wyraźnie ład - lagunę o nie wzburzonej falami wodzie, jasny pas plaży, a za nią palmy tańczące szaleńczo pod naporem wiatru. Ten widok nieszczególnie go jednak rozradował, jako że od względnie sielankowej laguny odgradzała ich rafa szczyrząca groźnie ciemne ostrogi.

- Flynn! - krzyknął. - Flynn, słuchaj! - Tamten nie poruszył się. Oczy miał otwarte i nieruchome i tylko wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej świadczyło o tym, że tli się w nim jeszcze iskierka życia. Sebastian podciągnął się bliżej przyjaciela i otwartą dłonią uderzył go w policzek. Zasnutę mgłą oczy zwróciły się w jego stronę, ale żaden dźwięk nie wydobył się z półotwartych ust. - Flynn! - raz jeszcze wrzasnął mu desperacko w twarz, ale bez rezultatu.

Chłód następnej fali, która zwała się na pokład, otrzeźwił nieco Sebastiana.

Przytrzymując się jedną ręką desek pokładu, odciął liny przytwierdzające Flyna, Mohammeda i jego samego do tratwy. Chciał to samo uczynić ze sznurami czwartego rozbitka, ale fala załamała się na rafie i wywróciła niewielkie pływadło, tak że wszyscy trzej wypadli z niego wprost w kipieli przyboju. Kiedy Sebastian wypłynął na powierzchnię, zobaczył koło siebie Flyna. Ten, otrzeźwiony wywrotką, kurczowo uczeplił się jego ramion. Byli teraz ponad rafa, oddzieleni od niej kilkoma stopami wody.

Wśród spienionej kipieli pływały resztki tratwy z wciąż przytwierdzonym do niej Arabem. Następna fala uniosła ich wprost na spokojne wody laguny. Mohammed szczęśliwie ocalał. Kiedy dotarli na brzeg, zataczając się ze zmęczenia i wspierając jeden drugiego, wyglądali jak pijani kompani wracający z nocnej hulanki.

18

Mohammed przykucnął nad kilkoma zielonymi kokosami, które wiatr zerwał

z drzew i rozrzucił po plaży. Z gorączkowym pośpiechem otworzył jeden z nich nożem myśliwskim Sebastiana i w tym momencie Flynn i Sebastian wyrwali mu z ręki połówki orzecha i łapczywie przywarli do nich ustami. Mohammed przyglądał się z zazdrością, jak odchyliwszy głowy, chłopcza sok z niemą ekstazą na twarzach. Biały płyn spływał

im po brodach. Murzyn zabrał się szybko do następnego orzecha, ale musiał rozpołować ich jeszcze tuzin, nim zdołał wywalczyć jeden dla siebie.

Napełniwszy brzuchy życiodajnym mlekiem, zapadli w twardy sen. Spali przez resztę dnia i całą noc. Kiedy się obudzili, wiatr nieco przycichł, ale wielkie fale z głośnym hukiem wciąż rozбивały się o rafę.

- A teraz powiedzcie mi, w imię szatana i wszystkich jego aniołów, gdzie jesteśmy? -

rzucił pytanie Flynn, ale ani Sebastian, ani Mohammed nie potrafili udzielić mu odpowiedzi. - Sześć dni spędziliśmy na tratwie. Mogliśmy zdryfować o setki mil na południe. - Zasepił się, rozważając trudny problem. - Mogliśmy dotrzeć do portugalskiego Mozambiku. Możemy być nawet przy ujściu Zambezi. - Spojrzał na Mohammeda. - Idź, poszukaj jakiejś rzeki albo góry, którą znasz. A najlepiej znajdź

jakąś wioskę, w której możemy dostać coś do jedzenia i najać myśliwych.

- Pójdę z nim - zaofiarował się Sebastian.

- Nie odróżniłbyś Zambezi od Missisipi. Zgubisz się po pierwszych stu metrach -

osadził go na miejscu Flynn.

Mohammeda nie było przez dwa i pół dnia, ale Sebastian i Flynn odżywiali się dobrze podczas jego nieobecności. Skryci w cieniu palm, ucztowali trzy razy dziennie, zajadając kraby, homary i różne mięczaki, w które obfitowała laguna. Piekli je w skorupach na ogniu, który Flynn rozniecił, pocierając o siebie dwa suche patyki.

Pierwszej nocy Flynn dał niezłe przedstawienie.

Od kilku lat wypijał dzień w dzień co najmniej dwie butelki dzinu. Teraz, pozbawiony trunku, miał klasyczne objawy delirium tremens. Pół nocy spędził na plaży, opędzając się wielkim drągiem od wyimaginowanych zjaw, klnąc przy tym szpetnie. Dopiero gdy ubił pod palmą nie istniejącą kobrę, uspokoił się nieco i dał się Sebastianowi poprowadzić z powrotem do ogniska. Tam opadły go dreszcze. Trząsał się jak w febrze, a zęby szczękały mu tak mocno, że Sebastian był przekonany, iż muszą się w końcu połamać. Po pewnym czasie dreszcze jednak ustały i koło południa Flynn posilił się porządnie trzema homarami, po czym zapadł w głęboki sen.

Obudził się późnym popołudniem, kiedy Mohammed wrócił w towarzystwie kilkunastu rosłych tubylców z plemienia Angoni. Zachowywali się wobec Flynnna powściągliwie i z respektem. Od Beiry po Dar es Salaam imię Fini wymawiane było przez tubylców z podziwem i uwielbieniem. Legenda wyolbrzymiała jego liczne wyczyny i umiejętności strzeleckie. Mówiono z trwogą, że kule nie imają się jego osoby i że niemożliwe jest pojmanie go w niewolę. Kiedy kobiety i dzieci spały, tubylcy opowiadali sobie szeptem przy ognisku, że Fini jest wcieleniem Monomotapy. Mówili, że pomiędzy swoją śmiercią we wcieleniu Wielkiego Króla i ostatnimi narodzinami jako Fini był najpierw monstrualnym krokodylem, a potem jako Mowana Lisa, lew ludożerca o najgorszej sławie w historii Afryki Wschodniej, zagryzł co najmniej trzystu ludzi.

Dwadzieścia pięć lat temu, dokładnie w tym samym dniu, kiedy Flynn wysiadł na brzeg w Porto Amelia, Portugalczyk Chef D'Post zastrzelił w Sofali Mowana Lisa. Wszyscy o tym wiedzieli i tylko głupek mógłby próbować z nim walczyć - stąd szacunek, z jakim go

teraz witano.

Flynn rozpoznał jednego z przybyłych.

- Luti, ty prypciu z tyłka hieny! - wrzasnął. Tamten uśmiechnął się zadowolony, że został wyróżniony z grupy, i skłonił się z szacunkiem.

- Mohammedzie, gdzie go znalazłeś? Czy jesteśmy niedaleko jego wioski?

- O dzień marszu.

- W którym kierunku?

- Na północ.

- No to jesteśmy na terytorium portugalskim! - ucieszył się Flynn. - Musiało nas zdryfować poniżej ujścia Rovumy.

Rovuma stanowiła granicę pomiędzy portugalskim Mozambikiem a Niemiecką Afryką Wschodnią, tak więc Flynn był bezpieczny. Niemcy nie mogli mu tutaj nic zrobić. Wszystkie ich wcześniejsze próby ekstradycji Amerykanina do Niemieckiej Afryki Wschodniej spełzły na niczym, ponieważ Flynn miał układy u Chefa D'Posta, a przez niego u gubernatora w Lourenco Marques. Obaj ci tuzowie byli cichymi wspólnikami w interesach Flynnna - ponosili jedną czwartą kosztów i odbierali takąż samą część zysków.

- Możesz się odprężyć, Bassie. Stary Fleischer nie może nas tu nawet tknąć palcem.

Za trzy, cztery dni będziemy w domu.

Pierwszy etap marszruty doprowadził ich do wioski Lutiego. Tam przygotowano dla nich nosze i dalszą drogę odbywali wygodnie. Tragarze, którzy nieśli ich na swych barkach, śpiewali rytmiczne pieśni, co wraz z powolnym bujaniem noszy wprawiało Sebastiana w błogostan. Od czasu do czasu zapadał w drzemkę.

Kiedy ścieżka rozszerzała się na tyle, że tragarze mogli ich nieść obok siebie, Sebastian ucinał sobie pogawędkę z Flynnem. Kiedy było to niemożliwe, obserwował zmieniające się po obu stronach drogi krajobrazy i pojawiające się tu i ówdzie coraz to inne zwierzęta. To było lepsze niż londyńskie zoo.

Za każdym razem, gdy Anglik zauważył coś nowego, krzyczał do Flynna, pytając, cóż to jest takiego. Co krok spotykali stada złocistobrazowych antylop impala, które z cielecym zaciekawieniem przyglądały się ich przemarszowi.

Ogromne stada grzebiących w mule perliczek, niczym cienie chmur rzucone na ziemię, zaścielały brzegi każdego strumienia mijanego po drodze.

Wielkie żółtawe elandy z zakręconymi rogami i dyndającym podgardlem dreptały gęsiego, tworząc wstęgę znaczącą skraj buszu.

Antylopy o ciemnej, czerwonej sierści, purpurowo-brązowe samce widłorogie z regularnym białym pierścieniem na zadach, bawoły - wielkie, czarne i szpetne, żyrafy, filigranowe gazele, stojące niczym posągi na kopcach termitów. Jak okiem sięgnąć, wszystko tętniło i skrzyło się życiem.

Były tam drzewa o tak nieprawdopodobnych kształtach i imponującym listowiu, że Sebastian z trudem mógł uwierzyć w istnienie takich dziwów. Poskręcane baobaby, z pniami o piętnastometrowym obwodzie, stały niczym dziwaczne prehistoryczne potwory. Lasy drzew msasa z liśćmi nie zielonymi, jak liściom przystoi, ale różanymi, czekoladowymi i czerwonymi. Jasnożółta kora akacji skrzyła się w słońcu niczym wężowa skóra. Zarośla mopani mieniły się metaliczną zielenią; a w dżungli porastającej brzegi rzeki plątały się liany niczym długie szare dżdżownice, spływające w gęstych splotach i

kaskadach pomiędzy dzikimi figowcami i innymi dziwnymi drzewami.

- Dlaczego nie widać najmniejszego śladu słońi? - zapytał Sebastian.

- Pracowałem tu ciężko z moimi chłopcami pół roku temu - wyjaśnił Flynn. -

Przypuszczam, że po prostu stąd odeszły, pewnie na północ od Rovumy.

Późnym wieczorem zeszli kamienną dróżką w dolinę i po raz pierwszy podczas tej wędrówki Sebastian zobaczył stałą siedzibę ludzką. Dno doliny pocięte było nieregularnymi poletkami, których ciemna gleba mieniła się jasnozielonymi pędami prosa. U brzegów niewielkiego strumienia stała wioska Lutiego - chaty w kształcie uli, kryte zmierzwioną trawą. Obok każdej stał okrągły spichlerz na palach. Chaty tworzyły nierówny okrąg wokół placu mocno ubitego bosymi stopami.

Wszyscy mieszkańcy wylegli, by powitać Flyna - trzy setki ludzi: od siwowłosych, bezzębnych staruszków aż do osesków, uwieszonych jak małe czarne grona u piersi swoich mam.

Flynn i Sebastian brnęli przez gąszcz rąk, których musieli dotknąć na powitanie, zanim zostali zanieśieni do chaty wodza wioski. Tragarze postawili ich na ziemi i Flynn padł w objęcia przywódcy plemienia. Witali się kordialnie dłuższą chwilę - Flynnowa serdeczność wypływała z wdzięczności za przysługi, jakich już doświadczył od wodza, a także za te, o które właśnie zamierzał prosić. Jego gospodarz zaś czuł się zaszczycony, goszcząc u siebie taką sławę. Wiedział też, że ilekroć Flynn podróżuje po okolicy, zostawia za sobą krocie dobrego czerwonego mięsa.

- Przybyłeś, by polować na słonie? - spytał wódz, patrząc z nadzieją na strzelbę Flynna.

- Nie, wracam z wycieczki, z odległego miejsca.

- Skąd? - zainteresował się wódz.

W odpowiedzi Flynna spojrzał znacząco w niebo i powtórzył: - Z odległego miejsca.

Pomruk podziwu rozszedł się po tłumie zgromadzonym przed chatą. Dla wszystkich było jasne, że Fini musiał kontaktować się ze swoim alter ego - Monomotapą.

- Zostaniesz na dłużej w naszej wiosce? - znowu z nadzieją w głosie zapytał wódz.

- Tylko tej nocy. O świcie ruszam w drogę.

- Och! - wódz westchnął rozczarowany. - Mieliśmy nadzieję przywitać cię tańcem.

Przygotowujemy się, odkąd usłyszeliśmy, że przybywasz.

- Niestety - odparł Flynna. Wiedział, że tańce mogą potrwać trzy lub cztery dni.

- Narobiliśmy dużo wina palmowego i jest właściwie gotowe do picia - wódz spróbował raz jeszcze i ten argument trafił Flynna niczym szarżujący nosorożec, Amerykanin bowiem od wielu dni był pozbawiony silniejszego napitku.

- Przyjacielu - powiedział Flynna, czując, jak ślina wypływa mu spod języka - nie mogę zostać u ciebie na tańcach, ale wypiję małą czarę wina palmowego, by okazać swą miłość do ciebie i twojej wioski. - Po czym odwrócił się do Sebastiana i ostrzegł go: -

Na twoim miejscu, Bassie, nie tykałbym tego

płynu. To prawdziwa trucizna.

- Jasne - zgodził się tamten. - Pójdę umyć się w rzece.

- Zrób to - poparł go Flynn i podniósł do ust pierwszą czarę z winem kokosowym.

W drodze do rzeki towarzyszyli Sebastianowi niemal wszyscy mieszkańcy wioski.

Kiedy dokonywał ograniczonych ze względu na okoliczności ablucji, kilkadziesiąt par oczu przyglądało mu się z niemy zaciekawieniem, ale gdy zdjął spodnie i ukazały się jego piękne gatki, pomruk zachwytu wstrząsnął tłumem.

- Bwana Manali - zakrzyknęli chórem. - Pan Czerwonego Sukna.

Na pożegnanie wódz plemienia obdarował Flynną czterema sakwami wina kokosowego i błagał go, by zechciał wkrótce wrócić ze swoją strzelbą.

Maszerowali w szybkim tempie przez cały dzień. Po zapadnięciu zmroku rozbili obóz. Flynn ledwo trzymał się na nogach po dużej dawce wina, Sebastian natomiast trząsł się konwulsyjnie, głośno szczękając zębami. Z bagien delty Rufiji zabrał pewną pamiątkę - malarię.

Następnego dnia dotarli do Lalapanzi na kilka godzin przed krytycznym atakiem gorączki u Sebastiana. Lalapanzi znaczyło „leżenie” lub dokładniej „miejsce odpoczynku” i usytuowane było wśród pagórków nad jednym z niewielkich dopływów wielkiej Rovumy, setki mil od Oceanu Indyjskiego, lecz zaledwie dziesięć od terytorium niemieckiego. Flynn lubił mieć blisko do pracy.

Gdyby Sebastian był w pełni władz umysłowych i

nie błakał się po gorącej i mrocznej krainie malarii, zdumiałby się wyglądem obozu. Nikt, kto znał Flynna, nie uwierzyłby, że Lalapanzi jest jego dziełem.

Bambusowy żywopłot zabezpieczał Lalapanzi przed odwiedzinami gazeli i antylop kudu; farma błyszczała niczym zielony klejnot w krajobrazie płowych wzgórz. Mnóstwa ciężkiej pracy i cierpliwości wymagała regulacja strumienia - założenie przepustów irygacyjnych dla zapewnienia wilgoci rabatom i grządkom warzywnym. Przy trzech starych figowcach budynki sprawiały wrażenie zabawek. Zarośla frangipani rozświetlały zielony trawnik niczym sztuczne ognie, pierścienie jasnych krzaków okalały niewielkie terasy opadające ku strumieniowi, a pnącza bugenwilli przytłaczały główny budynek obfitością ciemnej zieleni i purpury.

Za długim pawilonem o przestronnej werandzie stało kilka okrągłych chat, starannie pokrytych złotą strzechą i świeżo pobielonych wapnem.

Wszystko wokół tchnęło kobiecymi porządkami i schludnością. Tylko kobieta, i to bardzo zawzięta, mogła poświęcić ogrom czasu i pracy, by wśród skał i krzaków zaistniała taka perełka piękna. Ta kobieta stała na ocienionej werandzie jak walkiria; smukła, opalona i rozzłoszczona. Na wyblakłej błękitnej sukience tylko z niewielkiej odległości można by dostrzec starannie zaszyte ubytki. Opinając się wąsko w talii, wyprasowana sukienka rozpościerała się na biodrach i opadała w dół do kostek, chytrze ukrywając długie, zgrabne nogi. Zaplecione na brzuchu ręce tworzyły bursztynowozłotą ramę dla dwóch ślicznych krągłości, a smukły warkocz czarnych włosów zwieszał się w talii i kołysał miarowo jak ogon rozzłoszczonej lwicy. Na dziewczęcej twarzy odcisnęły się znamiona samotności i trudów, których

ta kobieta musiała doświadczyć, podkreślone dodatkowo grymasem niesmaku, jaki pojawił się na widok Flynna i Sebastiana.

Obaj leżeli wyciągnięci na noszach niesionych przez tragarzy, nie ogoleni, odziani w żalosne strzepy koszul i spodni, z włosami zlepionymi grubą skorupą potu i kurzu.

Flynn był półprzytomny z racji wypitego wina, Sebastian z powodu gorączki, ale trudno było poznać, że przyczyny ich niemocy są różne.

- Czy mogłabym spytać, gdzie podziewałeś się przez ostatnie dwa miesiące, Flynnie Patricku O'Flynn? - krzyknęła z daleka.

- Nie mogłabyś, córko! - odkrzyknął Flynn.

- Znowu jesteś pijany!

- A jeśli jestem, to co? Jesteś równie wredna jak twoja matka (niech dusza jej spoczywa w pokoju), ciągle się tylko czepiasz. Nigdy miłego słowa na powitanie starego taty, który próbuje uczciwie zarobić trochę grosza.

Oczy dziewczyny zwróciły się w stronę tragarzy, którzy nieśli Sebastiana.

- Wielkie nieba, a cóż takiego przywlokłeś ze sobą tym razem?

Sebastian zebrał siły i dzielnie próbował się podnieść, kiedy Flynn go przedstawiał, ale zdołał tylko przekręcić się niemrawo.

- To Sebastian Oldsmith. Mój serdeczny przyjaciel, Sebastian Oldsmith.

- On też jest pijany!

- Posłuchaj, Rosa. Okaż nieco szacunku. - Flynn zaczął się gramolić, by zejść z noszy.

- Jest pijany - powtórzyła Rosa z naciskiem. - Pijany jak świnia. Możesz go od razu stąd zabrać i odstawić tam, gdzie go znalazłeś. Nie wejdzie do tego domu. - Odwróciła się na pięcie w stronę drzwi.

- Ciebie to także dotyczy, Flynnie O'Flynn. Będę czuwała ze strzelbą. Postaw tylko nogę na werandzie, zanim wytrzeźwiejesz, a ołowiem wydmucham ci alkohol z głowy.

- Rosa, poczekaj, on nie jest pijany, proszę - bełkotał Flynn, lecz drzwi z głośnym trzaskiem zamknęły się za plecami jego córki.

Flynn popatrzył niepewnie na schody; przez chwilę wyglądał tak, jakby był na tyle otępiały, żeby próbować wystawić swoją córkę na próbę, ale nie był aż tak pijany.

- Kobiety - wymamrotał. - Chroń nas, dobry Boże. - Po czym poprowadził swoją małą karawanę dookoła pawilonu, do najdalszej z otaczających go chat, która była umeblowana na okoliczność regularnie powtarzających się okresów wygnania Flynn'a z głównego budynku.

19

Rosa O'Flynn zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie ciężko i zwiesiła głowę na piersi. Zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu, ale jedna z nich zdołała wypłynąć i jak grono zawisała na chwilę na rzęsach, nim upadła na kamienną podłogę.

- Och, tato, tato - szepnęła, wyrzucając z siebie cały bezmiar okropnej samotności, tych dni mijających powoli, gdy desperacko szukała jakiejś

pracy, by zająć czymś ręce i myśli; tych nocy, gdy leżała w zamkniętym na klucz pokoju, ze strzelbą koło łóżka, nasłuchując odgłosów afrykańskiego buszu, bojąc się wszystkiego, nawet czterech oddanych czarnoskórych służących, którzy spali wraz z rodzinami w domku na tyłach pawilonu. I to ciągle oczekiwanie na powrót Flynna. Unosiła czasem głowę w południe i stała w bezruchu, nasłuchując z nadzieją śpiewu jego myśliwych idących doliną. I z każdą godziną narastały w niej obawa i gniew. Obawa, że może nie wrócić, i gniew, że opuścił ją na tak długo.

A teraz wrócił. Wrócił pijany i brudny, w towarzystwie jakiegoś wrednego opryszka. Jej samotność i strach znalazły więc ujście w awanturze, którą mu zgotowała.

Wyczerpana i zubożniała szła przez chłodne, zacienione pokoje, w których miast dywanów leżały rozrzucone obficie skóry, a jedynymi meblami były toporne wyroby tutejszych rzemieślników. Dotarwszy do swego pokoju, opadła na łóżko.

Czuła się nieszczęśliwa, drażył ją jakiś niepokój, jakaś nieokreślona tęsknota i oczekiwanie czegoś, czego nie pojmowała. To było coś nowego. Dopiero od paru lat zaczęła sobie to uświadamiać. Przedtem przebywała w towarzystwie ojca, nigdy nie doświadczając towarzystwa innych mężczyzn, a więc i nie tęskniąc za nim. Uważała, iż jest to zwykły porządek rzeczy, że musi spędzać tak dużo czasu samotnie, jedynie z żoną starego Mohammeda, zastępującą jej matkę - młodą Portugalkę, która umarła, wydając Rosę na świat.

Dziewczyna знаła ten kraj, jak dziecko ze slamsów zna swoje miasto. To był jej kraj i kochała go. Teraz jednak wszystko się zmieniło, straciła pewność

siebie i orientację w tym morzu nowych wzruszeń. Samotna, zagniewana i przestraszona.

Nieśmiałe pukanie do drzwi na tyłach pawilonu podniosło ją na duchu i poczuła w sercu przypływ nadziei. Dawno już uleciała z niej złość na Rynna - a oto on uczynił

gest, by mogła powitać go w domu bez narażania na szwank swojej dumy.

Szybko opłukała twarz w miednicy stojącej obok łóżka, przed lustrem doprowadziła do ładu włosy i ruszyła otworzyć drzwi. Przed nią, przestępując z nogi na nogę i uśmiechając się przymilnie, stał stary Mohammed. Obawiał się gwałtownego usposobienia Rosy równie mocno jak ataków złego humoru Flynna. Z ulgą przywitał

uśmiech na twarzy dziewczyny.

- Mohammedzie, ty stary łajdaku - usłyszał i pokiwał głową zadowolony.

- Czy dobrze się czujesz, Mała Długowłosa?

- Mam się dobrze, Mohammedzie, i jak widzę, ty również.

- Szanowny pan Fini prosi, byś użyczyła koców i chininy.

- Po co? - Rosa natychmiast spoważniała. - Czy ma gorączkę?

- On nie, jego przyjaciel Manali.

- Źle z nim?

- Bardzo źle.

Przemożna wrogość, jaką Rosa odczuła do Sebastiana od pierwszego spojrzenia, zelżała jakby nieznacznie. Jak każda niewiasta czuła słabość do

wszystkiego, co nieszczęśliwe lub chore, nawet jeśli było to stworzenie tak brudne i odpychające jak w obecnej chwili Sebastian.

- Zaraz przyjdę - oznajmiła głośno, a w duchu obwarowała swą uległość postanowieniem, że pod żadnym pozorem nie pozwoli, aby znalazł się w domu. Chory czy zdrowy, zostanie tam, w chacie.

Wyposażona w dzban przegotowanej wody i butelkę chininy, z Mohammedem u boku, obarczonym naręczem wełnianych koców, Rosa udała się do chaty.

Weszła w niezbyt stosownym momencie. Momencie niedobrym zwłaszcza dla Flynna, który spędził ostatnie dziesięć minut na ekshumacji butli starannie pogrzebanej kilka miesięcy wcześniej pod klepiskiem chaty.

Jako człowiek zapobiegliwy poukrywał flaszki z dżinem w nieprawdopodobnych miejscach w całym obozie, a teraz z rozkosznym uwielbieniem rąbkiem koszuli oczyszczał szyjkę jednej z nich. Pochłonięty całkowicie tym miłym zajęciem, nie zauważył pojawienia się Rosy, dopóki butla nie została wyrwana z jego dłoni i nie wyleciała przez otwarte okno, tłukąc się z trzaskiem.

- Po coś to uczyniła? - zapytał Flynn z bólem w głosie, jak matka, której odebrano dziecko.

- Dla dobra twojej duszy - lodowatym tonem odparła Rosa i sztywno odwróciła się w stronę bezwładnej postaci na łóżku.

Zmarszczyła nos z niesmakiem, gdy pochwyciła zaduch gorączki nie mytego ciała.

- Gdzieś ty się tego nabawił? - spytała, nie oczekując odpowiedzi.

Pięć tabletek chininy zostało spłukanych do żołądka Sebastiana gorącą herbata, ciało jego obłożono rozgrzаныmi kamieniami i przykryto kocami dla wywołania potów.

Zaro-dziec malarii ma trzydziestosześciogodzinny cykl życia; teraz, gdy nastąpiło przesilenie choroby, Rosa czyniła wszystko, by podnieść temperaturę ciała Sebastiana, przerwać cykl i zażegnać gorączkę. Ciepło emanowało od łóżka chorego, czyniąc powietrze w chacie podobnym do kuchennego. Spod sterty koców wystawała tylko twarz Sebastiana, pałająca cie-mnoceglastą barwą. Choć pot wypływał każdym porem jego skóry i wielkimi kroplami spadał po włosach na poduszkę, zęby młodzieńca wciąż szczękały bezwiednie, a łóżko drżało, wstrząsane dreszczami chorego.

Rosa usiadła obok i patrzyła na Sebastiana. Od czasu do czasu pochylała się do przodu, by zetrzeć pot z jego oczu i ust. Twarz jej złagodniała, a nawet wyrażała jakby spokojną zadumę. Jeden z loków Sebastiana przykleił się do mokrego czoła, dziewczyna odsunęła go więc delikatnie opuszkami palców, potem jeszcze kilka razy powtórzyła ten gest, aż niepostrzeżenie układanie włosów zamieniło się w pieśzczotliwe głaskanie.

Kiedy Sebastian otworzył oczy, spłoszona Rosa gwałtownie cofnęła rękę. Oszołomiony gorączką, jak noworodek ogniskował wzrok gdzieś bardzo daleko, jakby wszystko, co go otaczało, było przezroczyste. Rosa poczuła ucisk w żołądku.

- Nie przestawaj, proszę - powiedział cicho.

Po raz pierwszy usłyszała jego głos; ku jej

zdumieniu nie był to głos awanturnika i łobuza, za którego uznała młodzieńca. Zawahała się, zerknęła na drzwi, żeby upewnić się, że są sami, po czym dotknęła jego twarzy.

- Jesteś miła. Dobra i miła.
- Cichutko - skarciła go delikatnie.
- Dziękuję.
- Cicho. Zamknij oczy.

Westchnienie wyrwało się z piersi Anglika, oczy uciekły mu pod współprzymknięte powieki i znowu zapadł w ciężki sen.

Kryzys przyszedł z gwałtownością sztormu, targając Sebastianem jak wichura samotnym drzewem na wydmie. Temperatura ciała błyskawicznie wzrosła, chłopak wiercił się i rzucał na łóżku polowym, chcąc zrzucić z siebie brzemie przykrywających go koców, aż Rosa musiała przywołać żonę Mohammeda, by pomogła go przytrzymać.

Pot przesiąkł przez cienki materac i uformował na klepisku chaty sporą kałużę. Raz po raz Sebastian krzyczał, dręczony majakami.

Po jakimś czasie, jakby pod dotykiem delikatnej dłoni wróżki, kryzys minął.

Sebastian rozluźnił się i zapadł w spokojny sen. Leżał zupełnie nieruchomo, tylko płytki oddech wydobywający się spomiędzy spierzchłych warg wskazywał, że jeszcze tli się w nim iskierka życia. Rosa dotknęła pożąłkłej skóry na czole Sebastiana i stwierdziła, że jest chłodniejsza.

- Za pierwszym razem zawsze jest źle - żona Mohammeda znacząco ścisnęła nogę opatuloną

bandażami.

- Owszem - przytaknęła Rosa. - A teraz Nanny, przynieś miednicę. Musimy go umyć i zmienić koce.

Rosa wiele razy opiekowała się chorymi lub ciężko rannymi mężczyznami -

służącymi, myśliwymi i oczywiście ojcem, ale teraz, gdy ściągnęła z nieprzytomnego Sebastiana przepocone koce i ujrzała jego ciało okryte wilgotnym ubraniem, poczuła w sobie niewytłumaczalne napięcie - rodzaj obawy zmieszanej z dziwnym uniesieniem.

Zdała sobie sprawę, że się czerwieni, nachyliła się więc bardziej nad chorym, aby Nanny nie mogła dojrzeć jej twarzy.

Skóra na piersiach i ramionach Sebastiana była gładka jak polerowany alabaster; Rosa czuła pod palcami jej elastyczną twardość, sprężystość i dziwne ciepło, które jakby przelało się na nią i wprowadziło w zakłopotanie. Kiedy zorientowała się, że flanela, którą wyciera Sebastiana, służy już tylko do gładzenia zarysów jego mięśni, przywołała się do porządku i nadała swym ruchom więcej zamaszystości i szorstkości.

Kiedy górna część ciała Sebastiana została starannie wytarta, Nanny chwyciła za koce, by obnażyć jego dolne partie.

- Zaczekaj! - wrzasnęła Rosa. - Nanny zastygła w bezruchu, jakby zamieniona w słup soli, trzymająca koce, zgięta pod dziwnym kątem. Z wysiłkiem ukrywała pod zmarszczkami swej twarzy oznaki przewrotnego rozbawienia.

- Zaczekaj - powtórzyła zmieszana Rosa. -

Najpierw pomóż mi nałożyć na niego koszulę nocną. - To mówiąc, porwała ze stojącego obok krzesła wysłużoną, lecz świeżo odprasowaną koszulę Flynna.

- To nie gryzie - droczyła się z nią stara niewiasta. - To nie ma zębów.

- Natychmiast przestań wygadywać takie rzeczy - powiedziała Rosa ze zbytnią w tym wypadku gwałtownością. - Pomóż mi go posadzić.

Stanawszy po dwóch stronach łóżka, podniosły Sebastiana i włożyły mu przez głowę koszulę.

- Co teraz? - spytała Nanny z miną niewiniątka.

Zamiast odpowiedzi Rosa wcisnęła w jej rękę flanelę, odwróciła się plecami i skupiła wzrok na czymś za oknem. Za sobą usłyszała szmer odsuwanych koców, a potem okrzyk Nanny:

- Ho, ho!

Był to starodawny sposób na wyrażenie głębokiego zachwytu. Po chwili Nanny roześmiała się serdecznie, widząc, jak kark Rosy oblewa się płomiennym rumieńcem wstydu.

Nanny przemyciła z chaty Flynna brzytwę, a teraz krytycznie obserwowała poczynania Rosy, która tym podrzynaczem gardła zdierała mydliny z policzków Sebastiana. Nie było cienia medycznego uzasadnienia dla golenia chorego na malarię tuż po przełamaniu kryzysu, ale Rosa wysunęła teorię, że ogolony pacjent powinien poczuć się bardziej komfortowo. Nanny przystała na to z entuzjazmem. Obie bawiły się doskonale z niewinną radością dziewczynek igrających lalkami.

Pomimo ostrzegawczych syków Nanny i płytkich gwałtownych oddechów chorego, Rosa zdołała usunąć

czarny zarost, pokrywający twarz Sebastiana niczym futro, nie zadając mu przy tym dotkliwych ran.

Drasnęła go lekko na podbródku i przy nosie, ale nie upuściła mu więcej niż kilka kropel krwi.

Oczyściła ostrze i przyjrzała się bacznie dziełu swoich rąk. Przymknęła oczy w zamyśleniu, a w żołądku poczuła ten sam skurcz co poprzednio.

- Sądzę, że powinniśmy go przenieść do głównego budynku - wymamrotała. - Tak będzie wygodniej.

- Zawołam służących, żeby go zabrali - powiedziała Nanny.

21

Podczas rekonwalescencji Sebastiana Flynn O'Flynn był niezmiernie zajęтым człowiekiem. Krąg jego współpracowników został poważnie uszczuplony podczas ostatniej wymiany ciosów z Hermannem Fleischerem, aby więc odrobić powstałe straty, porwał wszystkich tragarzy, którzy przynieśli ich do domu z wioski Lutiego.

Zorganizował im wstępny kurs i po czterech dniach wyselekcjonował tuzin najbardziej obiecujących przyszłych strzelców. Pozostałych odesłał do rodzinnej wioski, nie zważając na ich protesty. Każdy z nich oddałby wiele, żeby dzielić chwałę i nagrody, które z pewnością staną się udziałem ich wyróżnionych przez Fortunę ziomków.

Zaraz potem kilkunastu wybrańców przystąpiło do drugiej części ćwiczeń. W jednej z chat na tyłach pawilonu spoczywały bezpiecznie zamknięte narzędzia pracy Flynna.

Tworzyły imponujący arsenał.

Stojak w stojak stały tu strzelby Martini Henry 450, liczne WD Lee-Metfords, które przetrwały wojnę burską, nieco mniejsza liczba niemieckich mauzerów pozyskanych w starciach z Askariami nad Rovuma i zaledwie kilka drogich dubeltówek, wykonanych ręcznie w firmie Gibbs & Messrs Greener of London. Ani jedna sztuka broni nie miała numeru fabrycznego. Powyżej stały drewniane pudełka ze starannie ułożonymi nabojami, owinięte ołowianą taśmą i zalutowane; ilość naboży umożliwiała stoczenie małej bitwy. Pomieszczenie przesiąknięte było delikatnym zapachem oleju do konserwacji broni.

Flynn wydał swoim rekrutom mauzery i zabrał się do wprowadzania ich w arkana sztuki posługiwania się strzelbą. Raz jeszcze wypleniał najmniej bystrych i w końcu pozostał z ośmioma mężczyznami, którzy byli w stanie trafić do słońca z pięćdziesięciu kroków. Ta grupa przeszła do trzeciego i ostatniego etapu ćwiczeń.

Wiele lat wcześniej Mohammed został zwerbowany do niemieckich Askariów.

Otrzymał nawet medal podczas buntu Salitów i awansował do stopnia sierżanta i nadzorcy kantyny oficerskiej. Podczas kontroli rachunków w Mbeya, gdzie stacjonował oddział Mohammeda, odkryto skład liczący ćwierć tysiąca butelek sznapsa i manko nieco przekraczające jakieś tysiąc marek niemieckich. Była to dosłownie gardłowa sprawa, więc bez żadnych ceremonii Mohammed zrezygnował ze służby w armii imperialnej i po kilku dniach forsownego marszu dotarł do terytorium portugalskiego. Tam spotkał Flynna, u którego po niejakich zabiegach został

zatrudniony. Wciąż był jednak autorytetem w dziedzinie niemieckiego dry-lu wojskowego i pamiętał

komendy w tym języku.

Rekruci zostali oddani w ręce Mohammeda, ponieważ Flynn planował, że wezmą udział w maskaradzie, udając oddział niemieckich Askariów. W ciągu następných dni obóz w Lalapanzi grzmiał echem aryjskich wrzasków Mohammeda, który wolnym krokiem przechadzał się po polanie naprzeciw swoich podwładnych, w spiczastym kasku nałożonym na bujne siwe włosy.

Flynn mógł teraz poświęcić swój czas dalszym przygotowaniom. Siedząc na stopniach pawilonu, pocił się obficie przez kilka dni nad korespondencją.

Jego Ekscelencja Gubernator Niemiecki Zarząd Afryki Wschodniej Dar es Salaam Sir, Niniejszym załączam listę mych szkód, jak następuje: 1 dhow (cena rynkowa) L 1500

10 strzelb L 200 Różne towary i zapasy *et cetera* (zbyt liczne, by je wymieniać) L100

Krzywdy, cierpienia i męki (szacunkowo) L 200

Razem L 2000

Roszczenie powyższe wynikło z zatopienia wyżej wymienionego dhow u ujścia rzeki Rufiji 10

lipca 1912 roku przez Wasz okręt „Blücher”, co było aktem piractwa.

Skłonny jestem przyjąć zapłatę w złocie przed lub najpóźniej 25 września 1912 roku, w przeciwnym razie podejmę niezbędne kroki, by odebrać należność osobiście. Szczerze Panu oddany Jaśnie Wielmożny Pan Flynn Patrick O'Flynn (Obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej)

Po niezwykle głębokim namyśle Flynn zdecydował

się nie załączać roszczenia o zwrot kości słoniowej, gdyż nie był do końca pewny legalności jej pozyskania. Lepiej o tym nie wspominać.

Rozważał też podpisanie się jako „Ambasador Stanów Zjednoczonych w Afryce”, ale zarzucił ten pomysł, gdy zdał sobie sprawę, że gubernator Schee wiedział aż nazbyt dobrze, iż Flynn nikim takim nie jest. Nie od rzeczy jednakże było przypomnienie, jakie obywatelstwo posiada jego korespondent - to może powstrzyma tego starego łajdaka od natychmiastowego powieszenia Flynna, jeśli ten kiedykolwiek dostanie się w germańskie szpony.

Zadowolony, że jedyną odpowiedzią na jego żądanie będzie znaczący wzrost ciśnienia krwi w żyłach gubernatora Schee, Flynn zabrał się ochoczo do dalszych przygotowań w celu urzeczywistnienia swej groźby o odebraniu długu osobiście.

Używał tego słowa ze swobodą tym większą, że już dawno wybrał Sebastiana Oldsmitha na swego reprezentanta w sprawie odzyskania długu. To przypomniało mu, że nadeszła chwila, by odwiedzić chorego. W tych dniach odwiedzanie Sebastiana było równie trudne jak przeprowadzenie wywiadu z papieżem, ponieważ młody Anglik chroniony był skutecznie pod matczynymi skrzydłami Rosy O'Flynn.

Ojciec rzeczonyj opiekunki zapukał dyskretnie do drzwi pokoju gościnnego, policzył

do pięciu i wszedł.

- Czego chcesz? - powitała go z uczuciem Rosa, siedząca w nogach Sebastianowego łóżka.

- Cześć, cześć - rzekł Flynn.

- Przypuszczam, że szukasz kumpla do picia - oskarżyła go Rosa.

- Na miły Bóg, nie! - Flynn był głęboko wstrząśnięty takim posadzeniem. Zapasy pozostałe po spustoszeniach poczynionych przez Rosę były tak szczupłe i niknęły tak szybko, że nie miał najmniejszej ochoty dzielić się nimi z kimkolwiek. - Zaszedłem tylko, by zobaczyć, jak się miewa. - Po czym skupił uwagę na Sebastianie. - Jak się czujesz, Bassie?

- Dziękuję, znacznie lepiej.

W istocie, Sebastian wyglądał kwitnąco. Świeżo ogolony, ubrany w jedną z najlepszych Flynnowych koszul nocnych, leżał sobie w świeżej pościeli jak cesarz rzymski. Obok jego łóżka na niskim stoliku stały świeże kwiaty, resztę pokoju również ozdobiły rośliny - wszystkie ścinane i starannie układane rękoma Rosy O'Flynn.

Sebastian wciąż przybierał na wadze, karmiony na wyścigi przez Rosę i Nanny, a z jego skóry zaczęły znikać żółte przebarwienia. Flynn poczuł ukłucie irytacji, gdy uświadomił sobie, że z Sebastianem cackają się jak z ogierem rozplodowym, podczas gdy on ledwo jest tolerowany w swoim własnym domu.

„Ogier rozplodowy!” - powtórzył w myśli i nagle dotknął go silniejszy przypływ irytacji. Przyjrzał się córce uważniej i zobaczył, że ma ona na sobie białą sukienkę z obcisłymi rękawami, która należała niegdyś do jej matki. Strój ten trzymała Rosa zwykle ukryty głęboko, a miała go na sobie może ze dwa razy w życiu. Co więcej, jej stopy, na ogół bose, gdy chodziła po domu, były obute w prawdziwą wyprawianą skórę ze sklepu i - na Boga - wpięła kwiaty w swe piękne, połyskujące czernią włosy. Koniec jej długiego warkocza, zwykle związany byle jak kawałkiem rzemienia, przyozdobiony był jedwabną wstążką.

Flynn O'Flynn nie był człowiekiem sentymentalnym, ale nagle zauważył w swej córce dziwny nowy żar, a sam doznał jakiegoś niezwykłego uczucia, które było tak niespodziewane, iż nie rozpoznał w nim zazdrości ojcowskiej. Zrozumiał jednakże, że im szybciej wyprawi Sebastiana, tym będzie bezpieczniej.

- No cóż, to świetnie, Bassie - zagał roztropnie. - Po prostu świetnie. Wysłałam myśliwych do Beiry po zapasy i pomyślałam sobie właśnie, że kiedy już tam będą, przy okazji mogliby wziąć też trochę ubrań dla ciebie.

- Dziękuję bardzo, Flynn - Sebastian był poruszony uprzejmością przyjaciela.

- Powinniśmy zrobić to należycie. Wyślemy twoje wymiary do starego Parbhoo, a on wykroi i uszyje coś dla ciebie - rzekł Hynn, biorąc do ręki długą łodygę, która miała służyć za miarkę.

- To naprawdę bardzo miło z twojej strony.

Rosa O'Flynn wyrzucała sobie zupełny brak charakteru, gdy tak przyglądała się, jak ojciec starannie mierzy długość Sebastianowych rąk i nóg, obwód szyi, klatki piersiowej i talii.

- Problem będzie z butami i kapeluszem - zatroskał się Flynn, gdy zanotował już wszystko. - Ale znajdę coś.

- Dlaczego myślisz, że to właśnie będzie problemem? - zainteresowała się Rosa.

- Nic takiego - pospiesznie zapewnił Flynn; zgarnął swoje notatki i prowizoryczną miarkę i uszedł przed wnikliwym dociekaniami.

Po jakimś czasie Mohammed powrócił na czele myśliwych z wyprawy po zakupy w Beirze i natychmiast zamknął się w arsenale na sekretnym konklawe z

Flynnem.

- Dostałeś to? - spytał Flynn niecierpliwie.

- Cztery skrzynki dzinu zostawiłem w jaskini pod wodospadem u szczytu doliny -

szepnął Mohammed, a Flynn odetchnął z ulgą. - Jedną butelkę przyniosłem ze sobą.

Mohammed wyjął spod tuniki butelkę. Flynn odebrał ją pospiesznie, wyciągnął

zębami korek i nalał trochę płynu do przygotowanego wcześniej emaliowanego kubka.

- A reszta zakupów?

- Z tym było trudno, szczególnie z kapeluszem.

- Ale zdobyłeś go? - dopytywał się Flynn.

- Allah nam pomógł - Mohammed jakby nie czuł oczekiwania i zniecierpliwienia Flynnna. - W porcie stał statek niemiecki, który zatrzymał się w drodze do Dar es Salaam.

Na pokładzie było trzech niemieckich oficerów. Widziałem, jak przechadzali się po statku. - Mohammed zrobił dramatyczną pauzę i przepłukał sobie gardło. - Tej nocy człowiek, który jest moim przyjacielem, podwiózł mnie łódką wiosłową do statku.

Złożyłem wizytę w kabinie jednego z oficerów.

- Gdzie to jest? - Flynn nie mógł już dłużej powściągnąć niecierpliwości.

Mohammed wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i krzyknął do jednego z myśliwych. Po chwili wrócił i położył na stole zawiniątko. Bardzo dumny, czekał, aż Flynn rozwinie je całkowicie.

- O, Wielki Boże! - powiedział Flynn z zapartym

tchem.

- Czyż nie jest piękny?

- Zawołaj Manali. Powiedz, żeby natychmiast tu przyszedł.

Po dziesięciu minutach Sebastian, któremu Rosa w planie rekonwalescencji umieściła ostatnio spacerę, przestąpił próg chaty, wylewnie witany przez Flynna.

- Usiądź, Bassie. Mam dla ciebie prezent.

Sebastian usłuchał opornie, łypiąc okiem na zasłonięty tajemniczy przedmiot leżący na stole. Flynn stanął nad nim i odrzucił przykrycie. Potem z namaszczeniem godnym arcybiskupa Canterbury, dokonującego koronacji, uniósł hełm nad głową Sebastiana i z czcią opuścił go powoli.

Na przodzie hełmu złoty orzeł rozkładał skrzydła, jakby zaraz miał wzbić się w powietrze, a jego rozdziawiony dziób zdawał się wykrzykiwać niemą groźbę. Czarna emalia lśniła polerowaną powierzchnią, a złoty łańcuch zwieszał się ciężko poniżej Sebastianowego podbródka.

Był to w rzeczy samej piękny przedmiot. Tak okazały, że zupełnie przyćmił

Sebastiana, pozostawiając widocznym jedynie profil jego nosa, podczas gdy oczy ledwo można było dostrzec pod krawędzią daszka.

- O kilka numerów za duży - skonstatował Flynn. - Ale możemy włożyć trochę szmatek do środka i będzie trzymał się wyżej.

Szybko napchał hełm byle czym i jeszcze raz nałożył go Sebastianowi dla sprawdzenia.

- Bassie, chłopcze, zniszczysz ich tym.

- A po co właściwie to wszystko?

- Zobaczysz. - Flynn odwrócił się do Mohammeda przyglądającego się tej scenie z podziwem. - Co z rzeczami?

Mohammed natychmiast wrzasnął do swoich myśliwych, by przynieśli pudła, które taszczyli przez całą drogę z Beiry.

Parbhoo, hinduski krawiec, pracował nad tym gorliwie, ponieważ Flynn potrafił

poruszyć w nim czułe struny duszy artysty.

Po jakimś czasie na środku chaty stał zakłopotany Sebastian, a Flynn i Mohammed chodzili dookoła niego i przekrzykując się radośnie, gratulowali sobie wzajem osiągniętego efektu.

Sebastian miał na głowie masywny hełm, podniesiony nieco przez szmatki wciśnięte pomiędzy stal a czuprynę. Ubrany był w bryczesy i błękitną bluzę, której mankiety przystrojono żółtym jedwabiem; paski tego samego materiału tworzyły lampasy na bryczesach. Wysoki kołnierz pokryty był srebrzystymi haftami. Wysokie czarne buty z ostrogami cisnęły młodzieńca tak boleśnie, że ledwo to wytrzymywał.

- Flynn, pytałem, po co to wszystko? - jęknął Sebastian, czerwieniąc się z zakłopotania.

- Bassie, chłopcze. - Flynn z powagą położył dłoń na jego ramieniu. - Udasz się tam i zbierzesz podatek od chaty dla... - prawie wyrwało mu się „mnie”, lecz zakończył

szybko: - ...nas.

- Co to jest podatek od chaty?

- To pięć szylingów płaconych corocznie przez naczelnika gubernatorowi niemieckiemu za każdą chatę w wiosce.

Flynn pchnął lekko Sebastiana w kierunku krzesła i posadził go troskliwie, jakby ten był kobietą w ciąży. Gestem uciszył protesty i dociekania, które cisnęły się młodzieńcowi na usta.

- Tak, wiem, że nie rozumiesz, ale wytłumaczę ci wszystko dokładnie. Trzymaj tylko język za zębami i słuchaj.

Usiadł naprzeciw Sebastiana i pochylił się ku niemu z surową powagą na obliczu.

- Otóż! Niemcy są nam dłużni za dhow i co do tego zgoda, prawda?

Sebastian skinął głową i hełm opadł mu na oczy. Poprawił go i słuchał uważnie.

- Przejdiesz więc rzekę z myśliwymi przebranymi za niemieckich Askariów, odwiedzisz każdą z wiosek i odbierzesz pieniądze, które są nam winni. Wszystko pojmujesz?

- Czy pójdiesz ze mną?

- Jakże mógłbym to zrobić? Ja, z moją nie wyleczoną nogą - Flynn zaprzeczył

niecierpliwie. - A poza tym każdy naczelnik po tamtej stronie wie, kim jestem. Żaden z nich nie widział cię nigdy na oczy. Powiesz im, że jesteś nowym oficerem, prosto z Niemiec. Rzucają tylko okiem na mundur i zapłaca bez szemrania.

- A co będzie, jeśli trafię po wizycie prawdziwego poborcy podatkowego?

- Oni zwykle nie rozpoczynają ściągania podatków przed wrzeźniem i posuwają się z północy na południe. Masz masę czasu.

Nachmurzony Sebastian wymyślał coraz to nowe trudności, ale Flynn bagatelizował

jedną po drugiej. Na koniec, gdy Sebastianowi zabrakło już argumentów, zapadła cisza.

- No i co, zrobisz to? - spytał Flynn.

Odpowiedź nadeszła z niespodziewanej strony, oznajmiona głosem niewieścim, lecz nie miękkim zgoła.

- Oczywiście, że tego nie zrobi!

Zmieszani jak chłopcy przyłapani z papierosem w szkolnej toalecie, Flynn i Sebastian zwrócili twarze do drzwi, które nieroztropnie zostawili uchylone.

Uwagę Rosy zwróciła podejrzana krzątająca wokół chaty, a kiedy dziewczyna zobaczyła, że Sebastian tam wchodzi, pozbyła się wszelkich skrupułów związanych z podsłuchiowaniem. Jej aktywna interwencja nie miała podłoża etycznego.

Rosa O'Flynn przejęła od ojca raczej elastyczne pojęcie uczciwości i - tak jak on -

wierzyła, że dobra niemieckie należą do każdego, kto może położyć na nich swoją rękę.

Fakt, że Sebastian został włączony w plan oparty na wątpliwych przesłankach moralnych, w żaden sposób nie zmienił na gorsze zdania Rosy na jego temat, a wręcz przeciwnie, dziewczyna myślała o nim jeszcze lepiej, przypuszczając, że potrafi zagarnąć łup. Zarazem jednak przepełniały ją złe przecucia.

Z doświadczenia wiedziała, że te ojcowskie przedsięwzięcia, w których on sam nie kwapi się wziąć udziału, są bardzo ryzykowne. W oczach stanął jej obraz Sebastiana w błękitnym mundurze, maszerującego poprzez Rovume, by nigdy nie powrócić.

- On, oczywiście, tego nie zrobi - powtórzyła i zwróciła się do Sebastiana: - Słyszysz, co mówię? Zabraniam ci tego. Zabraniam absolutnie.

Rosa źle podeszła do tematu. Sebastian, w przeciwieństwie do niej, przejął od swego ojca bardzo wiktoriański pogląd na kwestię niewieścich praw i przywilejów. Pan Oldsmith senior był grzecznym tyranem domowym; człowiekiem, którego żona nigdy nie podawała w wątpliwość jego nieomylności; człowiekiem, który przyjmował do wiadomości istnienie dewiacji seksualnych, bolszewików, przywódców związków zawodowych i sufrażystek - w takim właśnie porządku, wedle rosnącego do nich wstrętu.

Matka Sebastiana, drobna dama o wiecznie zakłopotanym obliczu, szybciej zaprzeczyłaby istnieniu Boga, niż wszczęła dyskusję z mężem. Jej przeświadczenie o niepodzielnej władzy mężczyzn udzieliło się synom. Od najmłodszych lat Sebastian wzrastał otoczony nabożnym posłuszeństwem nie tylko ze strony matki, ale również pokaźnego stadka sióstr.

Sposób, w jaki zachowała się Rosa, był dla młodzieńca szokiem. Upłynęło kilka długich sekund, nim otrząsnął się, wstał i włożył hełm.

- Słucham? - spytał lodowatym głosem.

- Słyszałeś, co powiedziałam. Nie pozwolę na to - ciskała się Rosa.

Sebastian z kamienną twarzą skinął powoli głową i natychmiast gwałtownym ruchem przytrzymał hełm. Ignorując Rosę, zwrócił się do Flynna: - Wyjadę jak najszybciej. Może być jutro?

- Organizacja zajmie jeszcze kilka dni - ostudził go Flynn.

- Niech i tak będzie.

Sebastian wyszedł z pomieszczenia. Promienie słoneczne rozświetliły blaskiem jego wspaniały

mundur.

Flynn sięgnął po swój emaliowany kubek z wyrazem triumfu i przebiegłości na twarzy.

- Odprawiłaś już za niego mszę? - zażartował. Kiedy jednak spojrział w stronę drzwi, przestało mu być wesoło. Rosa stała, zaciskając mocno wargi, a jej ramiona trzęsły się od hamowanego szlochu. - Och, przestańże.

- On nie wróci. Ty dobrze wiesz, co robisz. Posyłasz go tam po śmierć.

- Nie gadaj głupstw. Jest dużym chłopcem, potrafi zadbać o siebie.

- Nienawidzę was obu. Obu. Nienawidzę was obu! - wybuchnęła Rosa i pobiegła przez podwórko do pawilonu.

22

W czerwonej poświacie wschodzącego słońca Flynn i Sebastian rozmawiali cicho na stopniach pawilonu.

- Słuchaj uważnie, Bassie. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli po każdej wizycie w kolejnej wiosce jak najszybciej odeślesz pieniądze tutaj. Nie ma sensu, żebyś to wszystko nosił ze sobą.

Poczucie taktu nie pozwoliło Flynnowi dodać, że w ten sposób zostanie ocalona choć część pieniędzy - na wypadek, gdyby Sebastian popadł w tarapaty przed zakończeniem wyprawy.

Anglik słuchał mało uważnie, zajęty myślami o Rosie O'Flynn. Przez ostatnich kilka dni prawie jej nie widywał.

- Słuchaj starego Mohammeda. On wie, które wioski są największe. Daj mu przemawiać, bo ci wszyscy naczelnicy wiosek to najkłamliwsi łajdacy, jakich kiedykolwiek spotkałeś. Wszędzie będą wykrecać się biedą i głodem, musisz więc być twardy. Słyszysz, co mówię? Twardy, Bassie, twardy!

- Twardy - zgodził się Sebastian, wpatrując się intensywnie w okna pawilonu, mając nadzieję, że ujrzy Rosę.

- Jeszcze jedno. Pamiętaj, żeby przemieszczać się szybko. Maszerujcie aż do zapadnięcia zmroku. Rozpalcie ognisko, zjedzcie coś, a potem maszerujcie dalej w ciemnościach, zanim rozbijecie obóz. Nigdy nie śpijcie w tym pierwszym obozie, bo napytacie sobie biedy.

Wiele jeszcze podobnych wskazówek Sebastian puścił minio uszu.

- Pamiętaj, że odgłos wystrzału niesie się na wiele mil. Nie Używaj strzelby z wyjątkiem ostatecznej konieczności, a jeśli wystrzelisz, nie zwlekaj ani chwili.

Zaplanowałem trasę tak, żebyś nigdy nie był dalej niż dwadzieścia mil od Ro-vumy.

W razie najmniejszych nawet kłopotów gnaj w kierunku rzeki. Jeśli któryś z twoich ludzi zostanie ranny, zostaw go. Nie strugaj bohatera, zostaw go i uciekaj w stronę rzeki.

- Świetnie - wymamrotał nieszczęśliwy Sebastian. Myśl o opuszczeniu Lalapanzi wydawała mu się z każdą chwilą coraz mniej kusząca. „Gdzież się ona podziewa?” -

myślał gorączkowo.

- Pamiętaj, nie pozwól tym wszystkim naczelnikom

wiosek wmawiać sobie zbyt wiele. Będziesz musiał nawet... - Flynn przerwał, by znaleźć najłagodniejsze określenie -

...będziesz musiał powiesić jednego czy dwóch.

- Na Boga, Flynn, nie mówisz serio - Sebastian nagle się ocknął i zwrócił całą swoją uwagę na Flynna.

- Ha, ha! Oczywiście żartowałem - roześmiał się Flynn, szybko jednak spowaźniał. -

Ale Niemcy tak robią i to skutkuje.

- Lepiej zrobię to po swojemu - Sebastian ostentacyjnie zamknął temat, włożył hełm i podążył do swoich Askariów zgromadzonych na polanie poniżej pawilonu. Wszyscy oni, z Mohammedem włącznie, ubrani byli w autentyczne mundury.

Po chwili, poprzedzany błyszczącym orłem na hełmie Seb-stiana, mały oddział

przeszedł pod werandę, na której stał Flynn. Mohammed dał rozkaz oddania honorów i żołnierze wydali ochoczy okrzyk.

Mrużąc oczy przed blaskiem wschodzącego słońca, Flynn obserwował szykowną kolumnę schodzącą doliną w kierunku Rovumy.

- Mam nadzieję, że Bóg ich nie opuści - powiedział bez przekonania.

Kiedy tylko zniknęli z zasięgu Flynnowego wzroku, Sebastian zatrzymał kolumnę.

Z ulgą ściągnął hełm i zastąpił go plecionym z trawy kapeluszem o szerokim rondzie, znuł też z obolałych nóg przyciasne buty z ostrogami i włożył sandały z nie wyprawianej skóry. Zdjęte rzeczy zawiesił na swoim przybocznym tragarzu, wstał i w najlepszym suahili, na jaki było go stać, zarządził dalszy marsz.

Trzy mile dalej ścieżka przecinała strumień nieco powyżej niewielkiego wodospadu.

Olbrzymie drzewa rosnące na obu brzegach stykały się koronami, dając nieco cienia.

Kryształowo czysta woda z bulgotem wiła się pomiędzy omszałymi głazami, by po chwili spaść wzdłuż czarnych skał urwiska błyszcząca w promieniach słońca strugą.

Sebastian zatrzymał się nad brzegiem strumyka, przepuszczając swych ludzi.

Przyglądał się, jak jeden po drugim skaczą z głazu na głaz, bez wysiłku utrzymując równowagę, a potem wspinają się na przeciwległy brzeg i nikną w krzakach.

Wsłuchiwał się w ich cichnące rozmowy. Nagle ogarnęło go przygnębienie i poczuł się samotny.

Mimochodem odwrócił się ku Lalapanzi, czując pustkę i zagubienie.

Nagła chęć, by wrócić, odezwała się w nim tak silnie, że zrobił krok w tamtym kierunku, nim się opamiętał.

Stał bezmyślnie. Głosy jego ludzi były już bardzo niewyraźne, tłumione bujną roślinnością, brzęczeniem owadów, delikatnym szumem wiatru w najwyższych gałęziach drzew i szumem wodospadu.

Usłyszał obok siebie łagodny szelest i błyskawicznie odwrócił się w tę stronę.

Słońce przeświecające przez liście rzucało na nią cienie, tworząc złociste, ruchliwe plamki i przydając jej pojawieniu się aury nierealności.

- Chciałam dać ci coś na pożegnanie, jakiś prezent, żebyś pamiętał - powiedziała cicho. - Ale nic nie przychodziło mi do głowy. - Podeszła bliżej, objęła go ramionami i pocałowała.

24

Sebastian Oldsmith przekroczył Rovume w stanie lunatycznego otępienia.

Mohammed martwił się o niego. Przypuszczał, że nastąpił nawrót malarii, i z niepokojem wyglądał kolejnych jej objawów.

Kolumna myśliwych z Mohammedem na czele dotarła na brzeg Rovumy i wtedy dopiero okazało się, że brakuje Sebastiana. Pełen najgorszych obaw Mohammed z dwoma uzbrojonymi Askariami pospieszył przez kolczaste zarośla, oczekując w każdej chwili widoku lwów ucztujących nad ciałem młodzieńca. Już niemal dotarli do wodospadu, gdy spotkali Anglika niemrawo zdołającego w ich kierunku. Wyraz eterycznego uniesienia rozświetlał klasyczne rysy jego twarzy. Piękny mundur był nieco wymięty; zielone plamy od trawy znaczyły kolana i łokcie, a suche liście i źdźbła przyczepione były tu i ówdzie do kosztownego

materiału. Mohammed wywnioskował, że Sebastian upadł osłabiony albo dotknięty chorobą położył się dla nabrania sił.

- Manali, dobrze się czujesz? - zaniepokoił się.

- Jak jeszcze nigdy, nigdy w życiu - zapewnił go Sebastian.

- Ale leżałeś na ziemi - oskarżycielsko drażył stary Mohammed.

- Strzelbysynu. - Młodzieniec użył wyrazu zapożyczonego ze słownika Flynna O'Flyna. - Strzelbysynu, możesz powiedzieć to jeszcze raz, a potem powtórzyć! - To mówiąc, klepnął Murzyna między łopatki z takim jowialnym impetem, że niemal obalił

go na ziemię. Od tego czasu Sebastian nie odezwał się już, za to co kilka minut uśmiechał się i potrząsał głową z niedowierzaniem. Mohammed zatroskał się nie na żarty.

Przepłynęli Rovume w wynajętych czólnach i rozbili obóz na drugim brzegu.

Dwukrotnie w ciągu nocy Mohammed wyślizgiwał się spod koca i chodził sprawdzać, jak czuje się Sebastian. Za każdym razem stwierdzał, że śpi on lekko, księżycowa poświata pozwalała dostrzec cień uśmiechu na jego obliczu.

Następnego ranka Mohammed zatrzymał kolumnę i podszedł do Sebastiana, by się naradzić.

- Wioska M'topo jest tuż przed nami. Widać już dym z ognisk. - Wskazał ręką przed siebie, tam gdzie szara zawiesina unosiła się ponad drzewami i skąd dało się słyszeć szczekanie psa.

- Dobrze, chodźmy. - Sebastian nałożył dostojny hełm z orłem i wzuł wysokie buty.

- Najpierw wyślę Askariów, by otoczyli wioskę.

- Dlaczego?

- W przeciwnym razie nie będzie w wiosce nikogo, kiedy do niej wejdziemy. -

Mohammed był na wyprawach podatkowych podczas służby w Niemieckiej Armii Imperialnej.

- Cóż, jeśli uważasz, że jest to niezbędne - zgodził się Sebastian z powątpiewaniem.

Pół godziny później Sebastian w roli niemieckiego oficera wstępował do wioski M'topo, przerażony przyjęciem, jakie mu zgotowano. Dwieście istot ludzkich lamentowało głośno. Część klęczała, wszyscy załamywali ręce w geście bóleści i prośby o litość, bili się w piersi lub w inny sposób okazywali cierpienie. W dalekim końcu wioski naczelnik M'topo czekał na Sebastiana pod strażą Mohammeda i dwóch Askariów.

M'topo był starym człowiekiem z czapą śnieżnobiałych włosów oraz skórą przypominającą pergamin. Jedno oko miał zasnutę mgłą z powodu choroby tropikalnej.

- Czołgam się na brzuchu u twych stóp, Wspaniały i Litościwy Panie - powitał

Sebastiana i padł przed nim twarzą w piach.

- Powiadam ci, że to nie jest konieczne - wymamrotał Sebastian.

- Moja biedna wioska wita was z radością - skowyczał M'topo. Był zły na siebie za brak zapobiegliwości. Nie spodziewał się wyprawy podatkowej przez najbliższe dwa miesiące i nie zadał sobie trudu, by ukryć swoje bogactwo. Pod podłogą jego chaty zakopane było niemal tysiąc eskudów portugalskich i prawie drugie tyle złotych marek

niemieckich. Wędzenie ryb było w wiosce M'topo świetnie rozwinięte i przynosiło duże zyski.

Starzec padł na kolana i dał znak swym dwóm żonom, by przyniosły stołki i naczynia z winem kokosowym.

- To był rok wielkiej zarazy, wszelkich plag i głodu - M'topo rozpoczął

przygotowane przemówienie, a tymczasem Sebastian usiadł wygodnie i rozluźnił się.

Po piętnastu minutach młodzieniec odpoczął na tyle, że jego suahili stał się zupełnie dobry, on zaś mógł pojąć wstrząsającą wymowę argumentów naczelnika. Był

niezmiernie poruszony. Wino kokosowe i Rosa, dzięki której różowej postrzegał świat, sprawiły, że poczuł z głębi serca płynące współczucie dla starego człowieka.

Kiedy M'topo przemawiał, jego współplemieńcy rozeszli się ukradkiem i zabarykadowali w swoich chatach. Lepiej było nie zwracać na siebie uwagi, gdy wybierano kandydatów do stryczka. Nad wioską zawisła śmiertelna cisza, przerywana tylko przez dzieci i parę kundli ucztujących nad jakimś ochłapem mięsa.

- Manali, pozwól mi przeszukać jego chatę - Mohammed nie wytrzymał i przerwał

starcowi litanię nieszczęść.

- Poczekaj - powstrzymał go Sebastian. Wstał i podszedł do kilkunastu prymitywnych pojemników, stojących w samym centrum wioski pod samotnym baobabem. Kiedy zobaczył ich zawartość, strach ścisnął mu gardło. W każdym spoczywał ludzki szkielet okryty cienką, choć wciąż żywą skórą.

Kobiety i mężczyźni leżeli pospołu bez śladu dyskryminacji, lecz stan ich ciał uniemożliwiał rozpoznanie płci. Skóra dokładnie oddawała kształt wszystkich kości, zdeformowane łokcie i kolana sterczały okropnie z patykowatych kończyn, skóra na twarzy naciągnięta była tak mocno, że usta odsłoniły zęby w jakby cynicznym grymasie. Ale prawdziwą zgrozą napawały głębokie oczodoły. Powieki pozostawały szeroko otwarte, a między nimi połyskiwały czerwono gałki oczne. Nie można było odróżnić tęczówki od źrenicy - całą powierzchnię zasnuwała krwista zasłona.

Sebastian gwałtownie odskoczył do tyłu, czując w ustach smak soków żołądkowych.

Wrócił do M'topo i nie mogąc wydusić z siebie słowa, wskazał na ciała pod baobabem.

Starzec spojrział bez specjalnego zainteresowania. Był to widok tak zwyczajny w rzeczywistości M'topo, że nie zwracał nań uwagi. Wioska leżała w zasięgu występowania muchy tse-tse, od dzieciństwa więc zdażył się przyzwyczaić do widoku ludzi dotkniętych śmiertelną śpiączką, takich jak ci pod baobabem. Zupełnie nie rozumiał, czym Sebastian się kłó-pocze.

- Kiedy - Sebastian urwał, by z trudem przełknąć ślinę - kiedy ci ludzie ostatnio jedli?

- Dawno temu. - M'topo był szczerze zdziwiony pytaniem. Wszyscy wiedzieli, że gdy tylko ktoś popadnie w śpiączkę, nigdy już nie je.

Sebastian słyszał o ludziach umierających z głodu. Zdarzało się to w takich miejscach jak Indie, lecz tu stawał twarzą w twarz z namacalnym faktem. Nagle pojął

wszystko. Oto niepodważalny dowód, że M'topo mówił prawdę. W tej wiosce rzeczywiście panował

głód, a on nie chciał w to wcześniej uwierzyć! I próbował

wyegzekwować od tych ludzi pieniądze!

Powoli usiadł na stołku, zdjął ciężki hełm i jał wpatrywać się we własne stopy, przepełniony bezbrzeżną litością i poczuciem winy.

Flynn O'Flynn odżałował sto eskudów na niespodziewane wydatki, zanim ściągną pierwszą daninę. Część pieniędzy pochłonęło wynajęcie czółen do przepłynięcia Rovumy, lecz wciąż jeszcze pozostawało w Sebastianowej kieszeni osiemdziesiąt eskudów na zbyciu.

Sebastian wyciągnął sakiewkę na tytoń, zawierającą pieniądze. Wyjął zawartość i odliczył połowę.

- M'topo - powiedział drżącym głosem - weź te pieniądze. Kup dla nich jedzenie.

- Manali, Manali, nie rób tego - zaprotestował Mohammed.

- Zamknij się - uciał Sebastian i wyciągnął w stronę starca rękę pełną monet. - Weź

to!

M'topo wpatrywał się w niego, jakby podawano mu żywego skorpiona. Było to tak, jakby przybył lew ludojad i odgryzł sobie łapę, żeby nakarmić głodnych.

- Weź to - powtórzył groźnie zniecierpliwiony Sebastian.

M'topo wyciągnął więc dłoń, powoli i z niedowierzaniem.

- Mohammedzie - Sebastian wstał i założył swój hełm ruszamy natychmiast do następnej wioski.

Długo po tym, jak oddział Sebastiana zniknął w buszu, stary M'topo siedział

nieruchomo, otępiały, ściskając w rękę monety. W końcu ocknął się i zawołał jednego ze swoich synów.

- Idź szybko do wioski Saali, który jest moim bratem. Powiedz, że przyjdzie do niego szalony człowiek. Niemiecki pan, który przybędzie, by ściągać podatki, a daje prezenty. Powiedz mu... - urwał, bo to, co miał powiedzieć, wydało mu się zbyt nieprawdopodobne - ...powiedz mu, że panu temu należy pokazać tych, co śpią, a wtedy szaleństwo zstąpi na owego człowieka i da czterdzieści portugalskich eskudów.

A co więcej, nie będzie nikt powieszony.

- Saali, mój wuj, nie uwierzy w to.

- Owszem - zgodził się M'topo. - To prawda, że nie uwierzy. Ale tak czy inaczej, powiedz mu to.

25

Saali otrzymał wiadomość od starszego brata i wprawiło go to w stan strachu graniczącego z paraliżem. Wiedział, że M'topo lubił czarny humor. Była też między nimi sprawa Gity, apetycznej czternastolatki, która po dwóch dniach bycia młodszą żoną M'topo opuściła jego wioskę twierdząc, że jest on impotentem i śmierdzi jak hiena.

Owa Gita była teraz szacownym członkiem gospodarstwa domowego Saalego. Sa-ali był przekonany, że prawdziwa wymowa wiadomości od brata jest taka, że nowy niemiecki poborca to krwiożerczy lew, który nie zadowolony się powieszeniem kilku

staruszków, ale zwróci uwagę na samego naczelnika. Nawet jeśli zdoła uratować głowę, zostanie ograbiony ze starannie zbieranego rozlicznego srebra, sześciu kłów słoniowych, kilkunastu worków czystej soli, kostki pieprzu, dwóch siekier europejskiej roboty i wielu pięknych ubrań. Wszystkie te skarby przepadną! Zdołał wykrzesać z siebie resztki odwagi, by wyrwać się z otępienia i rozpocząć gorączkowe przygotowania do ucieczki.

Askariowie Mohammeda schwytali Saalego na granicy buszu, zanim więc doprowadzili go do Sebastiana, łązy Murzyna z pewnością stały się wiarygodne.

Sebastian był bardzo wrażliwy na łązy. Mimo protestów Mohammeda wcisnął Saalemu dwadzieścia srebrnych eskudów. Dwadzieścia minut zajęło wodzowi otrząśnięcie się z szoku, po czym dla odmiany zdruzgotał Sebastiana ofertą tymczasowych nieograniczonych usług dziewczyny imieniem Gita. Ta młoda niewiasta była świadkiem składania oferty i niezaprzeczalnie zgadzała się ze swoim mężem w tym względzie, licznymi gestami potwierdzając swą gotowość do poświęcenia. Sebastian zastosował wypróbowany manewr, czyli ruszył w dalszą pospieszną wędrówkę, pozostawiając za sobą ludzi otępiałych ze zdziwienia.

Dudnienie tam-tamów rozbrzmiewało w buszu, rozsiewając wieści od wzgórza do wzgórza, od wioski do wioski, na przestrzeni wielu mil. Osada za osadą wstrząsane były niepojętym podnieceniem, a ich mieszkańcy wylęgali na spotkanie szalonego komisarza niemieckiego.

Sebastian pograżył się w głębokim samozadowoleniu. Podążał tu i ówdzie, rozkoszując się przyjemnością dawania i radując atencją prostych ludzi, którzy witali go z zachwytem i obdarzali

prezentami: a to wynędzniałym drobiem, a to kilkunastoma jajkami z na wpół wylęgłymi pisklętami w środku, a to koszem słodkich ziemniaków czy dzbanem wina kokosowego.

Ale worek świętego Mikołaja, a właściwie woreczek na tytoń, szybko opustoszał

i Sebastian stanął przed dramatem niemożności zaradzenia biedzie i głodowi, które widział w każdej wiosce. Rozważał w myślach zwolnienie od przyszłych podatków...

„ten oto myśliwy jest niniejszym zwolniony od podatków przez najbliższych pięć lat...”, zorientował się jednak, że byłby to śmiercionośny podarunek dla każdego, kogo złapałby z tym Hermann Fleischer.

Wreszcie znalazł rozwiązanie. Ci ludzie byli głodni. On da im jedzenie - da im mięso.

Istotnie, ze wszystkiego, co Sebastian był w stanie zaoferować tym ludziom, mięso było najbardziej pożądane. Pomimo obfitości dzikich zwierząt wokoło, olbrzymich stad zamieszkujących równinę i okoliczne wzgórza, ludzie z wioski pozbawieni byli protein.

Stosowali prymitywne metody łowieckie, tak mało skuteczne, że zabicie pojedynczego zwierzęcia było nieczęstym wydarzeniem, a następowało przeważnie w wyniku przypadku. Kiedy podzielono łup pomiędzy dwieście czy trzysta głodnych gęb, wypadało na każdego kilkadziesiąt gramów.

Askariowie z radością przyłączyli się do sportu zainicjowanego przez Sebastiana.

Nawet stary Mohammed rozchmurzył się nieco. Niestety, wprawa Askariów w posługiwaniu się bronią palną równa była Sebastianowej. Jednodniowe polowanie pochłaniało więc trzydzieści lub

czterdzieści ładunków mauzera, przynosząc w zamian coś tak marnego jak niezbyt wyrosnięta zebra. Ale zdarzały się również dobre dni, jak ta pamiętna okazja, kiedy stado bawołów w samobójczym pędzie rzuciło się na linię Askariów. W efekcie powstałego zamieszania jeden z Askariów został zastrzelony przez któregoś z kolegów, ale osiem dorodnych bawołów podzieliło jego los.

Tak wyprawa po podatki - z Sebastianem na czele - posuwała się triumfalnie, zostawiając za sobą szlak znaczony pustymi łuskami po nabojach, żerdziami pełnymi suszącego się w słońcu mięsa, pełnymi brzuchami i uśmiechniętymi twarzami.

26

Trzy miesiące po przekroczeniu Rovumy Sebastian znalazł się ponownie w wiosce swego serdecznego przyjaciela M'to-po. Ominął Saalego, obawiając się, że ten znowu zaoferuje mu Gitę. Siedział samotnie w chacie, którą M'topo oddał mu do dyspozycji, i wtedy po raz pierwszy opadły go złe przeczucia. Postanowił, że rankiem rozpocznie powrót do Lalapanzi, gdzie oczekuje go Flynn O'Flynn. Sebastian obawiał się, że Flynn uzna ekspedycję za nieudaną i będzie miał sporo słuszości. Raz jeszcze zadumał się nad przyczynami, dla których sprawy przybrały taki obrót, ale szybko się w tym wszystkim pogubił. Myśl jego skupiła się nagle na innym aspekcie powrotu. Pojutrze, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie znowu z Rosą. Dogłębna tęsknota, która nie odstępowała Sebastiana przez ostatnie trzy miesiące, teraz pulsowała w każdej komórce jego ciała. Wpatrując się w drewno płonące na klepisku chaty, widział twarz Rosy ułożoną z języków ognia i

słyszał w pamięci jej głos: „Wróć, Sebastianie, wróć szybko”.

Szeptał głośno te słowa, patrząc na jej twarz w ognisku. Napawał się każdym jej szczegółem. Widział jej uśmiechnięte oblicze, nieco pomarszczony od śmiechu nos i ciemne, lekko skośne oczy. „Wróć, Sebastianie”.

Pragnął, aby była przy nim, i to pragnienie przepełniało go fizycznym bólem zapierającym dech w piersiach. Odtworzył każdy szczegół ich spotkania przy wodospadzie, każdą zmianę brzmienia jej głosu, przejmujący oddech i słony smak jej łez na swoich wargach. Poczul raz jeszcze dotknięcie jej rąk, ust i ciepły kobiecy zapach jej ciała.

- Wracam, Rosa. Wracam - szepnął w przypływie tęsknoty i niecierpliwie poderwał

się na równe nogi. W tym momencie jego uwagę zwróciło nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Panie, panie.

Rozpoznał skrzekliwy głos M'topo.

- Cóż tam?

- Potrzebujemy pomocy.

- O co chodzi? - Sebastian podszedł do drzwi i odsunął zasuwę. - Co jest?

M'topo stał w świetle księżyca, otoczony aureolą siwych włosów. Za nim w milczeniu stało kilkunastu współplemieńców.

- Słonie są na naszych poletkach. Do świtu zniszczą je zupełnie. Nie zostanie nic, nawet pojedyncze źdźbło prosa. - Odwrócił głowę i zamarł.
- Posłuchaj uważnie. Teraz je słyhać.

Gdzieś z głębi ciemności dobiegł ich niesamowity

odgłos, podobny do skowytu, wibrujący przenikliwie wysokimi tonami. Sebastian poczuł ciarki przebiegające po krzyżu.

- Są dwa - szepnął skrzekliwie M'topo. - Dwa stare samce. Znamy je dobrze.

W zeszłym sezonie zniszczyły nasze zboże. Zabiły jednego z moich synów, który próbował je wygonić. - W desperackim geście M'topo złapał dłoń Sebastiana i ścisnął

mocno. - Pomścij, panie, mego syna i ocal nasze proso, aby nasze dzieci nie były znowu głodne w tym roku.

Sebastian zareagował na ten apel jak godny następca świętego Jerzego. W pośpiechu skoczył do wnętrza chaty, wdział bluzę munduru i porwał strzelbę, lecz kiedy znowu stanął w prog, zobaczył swych kompanów uzbrojonych po zęby, niecierpliwych przed nadchodzącym polowaniem jak psy gończe. Na ich czele stał Mohammed.

- Manali, Panie, jesteśmy gotowi.

- Uspokój się, staruszk, - zmitygował go Sebastian. Nie miał zamiaru dzielić się glorią sławy. - To mój shauri. Znasz to: „Gdzie kucharek sześć..”

M'topo stał obok i nerwowo pocierając dłonie nasłuchiwał odległych odgłosów zwierząt odprawiających ucztę na jego zagonach, podczas gdy tuż obok trwała karczemna kłótnia Sebastiana z Askariami. W końcu stary wódz nie wytrzymał.

- Panie, już połowa prosa została zjedzona, za godzinę nie będzie nic.

- Masz rację - zgodził się Sebastian i odwrócił się ze złością do swoich ludzi. -

Zamknąć się wszyscy. Zamknąć się!

Umilkli, zdziwieni niezwykle twardym tonem rozkazu Sebastiana, do którego nie byli przyzwyczajeni.

- Jedynie Mohammed będzie mi towarzyszył. Reszta niech idzie do chat i tam pozostanie.

To był konieczny kompromis. Mohammed szybko odesłał swych żołnierzy, po czym stanął u boku Sebastiana.

Na skraju głównego poletka stała drewniana platforma na długich, cienkich palach.

Była to wieża obserwacyjna, z której dzień i noc strażnicy pilnowali dojrzewającego prosa. Teraz stała opuszczona, gdyż dwaj młodzieńcy doglądający zboża umknęli, kiedy tylko zobaczyli buszujące na polu słonie.

Sebastian i Mohammed dotarli pod platformę wieży i przystanęli. Zupełnie wyraźnie słyszeli teraz trzaski wyrwanych i gniecionych łodyg.

- Poczekaj tu - szepnął Sebastian, przewiesił swą strzelbę przez ramię, wszedł

powoli na platformę i z jej wysokości spojrzął na poletko.

Księżyc świecił wspaniale. Drzewa i wieża obserwacyjna rzucały ostre cienie.

Srebrzysta poświata sprowadzała kolor wszystkich przedmiotów do jednolitej szarości.

Poza plamą pola wyrastał las, jakby zamrożona chmura dymu, a proso, poruszone słabym wiatrem, falowało niczym tafla jeziora.

Ponad kołyszącą się roślinnością wyrastały obłe wyspy ciemniejszej szarości. Stare słonie ucztowały w najlepsze. Choć bliższy z nich był o dwieście kroków od wieży, księżyc dawał tak jaskrawe światło, że Sebastian mógł dojrzeć wyraźnie, jak słoń oplata trąbą pęk łodyg zboża, wrywa go z łatwością, po czym kołysząc wielkim cielskiem obija wiązkę roślin o przednią nogę, by zrzucić ziemię przyczepioną do korzeni, i na koniec zjada proso. Miękkie płaty uszu ssaka wachlowały łagodnie, a spomiędzy długich kłów zwisały nie przełknięte łodygi. Słoń powoli postępował do przodu, zjadając część prosa, traktując resztę, tak że za jego zadem zostawała szeroka ścieżka zniszczenia.

Na otwartej platformie wieży Sebastian czuł, jak żołądek zbija mu się w twardą kulkę, ręce kurczowo ściskające strzelbę trzęsą się i poca, a z zaciśniętego strachem gardła przy każdym oddechu wydobywa się świst. Patrząc na te dwie olbrzymie bestie, poczuł, że nie może się ruszyć z miejsca, sparaliżowany jakimś mistycznym zachwytem.

Zdał sobie sprawę z własnej marności i śmieszności wystąpienia przeciw owym zwierzętom z niewielkim orężem ze stali i drewna. Gdzieś jednak pod tą niechęcią czaiły się napięte nerwy - dziwna mieszanka strachu i niecierpliwości, pradawny myśliwski zew. Ocknął się i zszedł do oczekującego na dole Mohammeda.

Poprzez zboże wyrastające powyżej ich głów szli ostrożnie w kierunku środka poletka, starając się nie poruszyć żadnego źdźbła. Rozglądając się bacznie i nasłuchując z największą uwagą, dotarli do miejsca, w którym zupełnie wyraźnie dobiegł ich chrzęst i chrobot ucztującego bliższego samca. Delikatny podmuch wiatru poruszył włosami Sebastiana mimo zasłony prosa i w tym momencie woń słoniowego

cielska uderzyła młodzieńca w nozdrza z taką siłą, jakby ktoś cuchnącą dłonią złapał go za twarz.

Zatrzymał się gwałtownie, tak że Mohammed kroczący z tyłu omal się nie przewrócił, wpadając na niego. Stali przyczajeni i wpatrywali się w falującą ścianę roślin. Sebastian zobaczył kątem oka, jak stary Murzyn nachyla się i szepcze cicho: - Teraz jest blisko.

Sebastian skinął głową i z trudem przełknął ślinę. Słyszał dokładnie szuranie liści po szorstkim cielsku starego słonia. Podążał w jego stronę. Stali dokładnie na jego drodze, mógł się pojawić w każdej chwili - w każdej chwili!

Młodzieniec stał z uniesioną strzelbą, z czołem mieniającym się kropelkami potu mimo chłodu nocy i oczyma błyszczącymi z napięcia. Nagle rośliny przed nim poruszyły się szybciej i stanął oko w oko z olbrzymim ssakiem. Wielka głowa zawisała nad nim, przesłaniając niebo, kły były tak blisko, że niemal stał między nimi. Trąba uniosła się niczym szary pyton, odsłaniając otwarty pysk zwierzęcia. Podniósł strzelbę, nie mając chwili na wycelowanie. Prawie dotykał lufą zwisającej dolnej wargi.

Wystrzelił. Huk eksplozji rozdarł nocną ciszę. Pocisk przeszedł przez głowę zwierzęcia i wyrwał w czaszce otwór wielkości pięści, robiąc po drodze miazgę z szarej substancji.

Gdyby pocisk przeszedł kilka cali obok niewielkiego mózgu, Sebastian pożegnałby się z życiem, zanim zdążyłby dotknąć gałki zamka mauzera, by zarepetować broń. Słoń jednak odchylił się do tyłu, odrzucony siłą wystrzału i zwałił się na ziemię z takim impetem, że z wioski odległej o pół mili dał się słyszeć okrzyk triumfu.

- Strzelby syn! - wy dyszał Sebastian, gapiąc się z niedowierzaniem na górę martwego mięsa. - Zrobiłem to, strzel-bysyn, zrobiłem to. - Strach i napięcie opadły w jednej chwili, ustępując miejsca triumfalnej wesołości. Uniósł rękę, by radośnie uderzyć Mohammeda w plecy, lecz zamarł w pół gestu, zmrożony dudniącym stąpaniem drugiego słonia. Biegł on gdzieś przez zboże niedaleko nich.

- Zbliża się! - krzyknął Sebastian, rozglądając się trwożliwie dookoła, gdyż nie mógł zlokalizować, skąd dokładnie dochodzi hałas.

- Nie - uciał Mohammed. - Ustawia się, by mieć nas pod wiatr. Najpierw odnajdzie nasz zapach, a potem dopiero podejdzie.

- Może ucieknie - szepnął Sebastian.

- Nie on. To stara bestia, ma już na swoim koncie kilku ludzi. Teraz upoluje nas.

Musimy wydostać się na otwartą przestrzeń. Tutaj nie będziemy mieli żadnej szansy.

Znajdzie się nad naszymi głowami, zanim zdążymy go dostrzec.

Rzucili się do biegu. Nic tak nie pobudza strachu jak ucieczka. Nawet dzielny człowiek staje się tchórzem, gdy tylko zacznie uciekać. Mknęli wielkimi susami, z dzikim zapamiętaniem roztrącając rośliny na swej drodze. Robili przy tym tyle hałasu, że przestali słyszeć słonia. Nie wiedząc, gdzie jest przeciwnik, myśleli, że może pojawić się w każdej chwili, i to potęgowało jeszcze ich strach, doprowadzało do stanu niemal bezmyślnej paniki.

W końcu dotarli na otwartą przestrzeń, przystanęli spoceni i ciężko dysząc rozglądali się nerwowo na wszystkie strony, by umiejscowić słonia.

- Tam! - krzyknął Mohammed. - Zbliża się.

Usłyszeli jakby świńskie chrumkanie i szelest roztrącanego zboża. „*”

- Uciekajmy! - wrzasnął Sebastian, wciąż zdjęty paniką, i obaj rzucili się przed siebie.

Przy dopiero co rozpalonych na skraju wioski ogniskach czekali odrzuceni wcześniej Askariowie i około stu ludzi M'topo. Czekali w napięciu i niepewności, ponieważ słyszeli strzał, a potem upadek jednego ze słoni, lecz wrzaski i chrumkanie, które słyszeli później, sprawiły, że nabrali niejakich wątpliwości co do wyniku walki na poletku.

Wątpliwości zostały szybko rozwiane, gdy pojawił się Mohammed, a tuż za nim Sebastian. Ich poczynania dawały wyobrażenie o zachowaniu psów, których grzbiety wysmarowano terpentyną. Jakieś sto metrów za nimi proso rozstało się i na otwartą przestrzeń w ślad za obu uciekającymi mężczyznami wypadł słoń. Gigantyczny ssak pędził z niesamowitą prędkością, kłapiąc ogromnymi uszami i rycząc wściekle.

- Zabierać się stąd! Uciekać! - krzyczał Sebastian na całe gardło, jakby było to rzeczywiście konieczne. Oczekujący tłumek w jednej chwili rozpierzchnął się jak ławica sardynek, pomiędzy które wpadła barrakuda.

Ludzie odrzucili swe szaty i uciekali nago. Wpadali jeden na drugiego, gnając na łeb na szyję w kierunku drzew. Dwóch mężczyzn przebiegło prosto przez ognisko i pociągnęło za sobą warkocz iskier. Ślad ich ucieczki jeszcze przez jakiś czas znaczyły okruchy żarzących się węgielków wtopione w stopy. Mężczyźni z oszalałym wrzaskiem mknęli przez wioskę, a z każdej chaty wybiegały kobiety objuczone dziećmi, przywiązanyimi na plecach lub niesionymi pod

pachami, i przyłączały się do potoku przerażonych uciekinierów.

Osiągając bardzo dobry czas, Sebastian i Mohammed minęli słabszych spośród tutejszych biegaczy, ale słoń zbliżał się błyskawicznie. Z siłą i prędkością głazu toczącego się ze szczytu wzgórza samiec dotarł do pierwszej chaty. Licha konstrukcja z trawy i cienkich patyków rozpadła się z trzaskiem, nie pochłaniając w najmniejszym stopniu energii rozszalałego zwierzęcia. Słoń zdołał rozdeptać jeszcze dwie chaty, nim dopadł swej pierwszej ofiary. Staruszka uciekała niezdarnie na swych cieniutkich, drżących nogach, a puste woreczki jej piersi obijały się o pomarszczony brzuch.

Z bezzębnych ust dobywał się nieprzerwany skrzek przerażenia.

Słoń uniósł trąbę wysoko nad głowę i uderzył kobietę w ramię z taką mocą, że żebra wyprysnęły z jej klatki piersiowej jak połamane patyki. Umarła, nim zdążyła upaść.

Następna była młoda dziewczyna. Wyrwana ze snu, wybiegła naga i piękna w świetle księżyca wprost pod szarżującego słońca. Ten oplótł ją trąbą, uniósł i bez trudu cisnął kilkanaście metrów w górę. Krzyknęła głośno i to wyrwało Sebastiana z gorączki paniki. Ponad ramieniem dojrzał kątem oka dziewczynę szybującą na tle nocnego nieba. Ręce i nogi miała rozpostarte i koziołkowała w powietrzu niby toczące się koło od wozu. Gwałtowne zetknięcie z ziemią ucięło krzyk w jednej chwili. Sebastian zaniechał ucieczki.

Słoń z namaszczeniem przyklęknął nad dziewczyną wstrząsaną skurczami agonii, nabił na kiel pogruhotane ciało i raz jeszcze szarpnięciem łba wyrzucił je w powietrze.

Dopiero ten straszny widok otrzeźwił Sebastiana i przywrócił mu ludzką wrażliwość porwaną na strzepy przez strach. Sebastian ścisnął strzelbę w dłoni, ale trząsał się cały ze strachu i zmęczenia. Mundur przykleił mu się do ciała, pot zalewał mu oczy, a szeroko otwarte usta łapczywie łykały powietrze. Stał bezradny, na próżno próbując wykrzesać z siebie siły do walki.

Słoń się zbliżał. Jeden z jego kłów był czarny od świeżej jeszcze krwi dziewczyny, takie same plamy lśniły na trąbie i głowie zwierzęcia. Ten widok wywołał u Sebastiana zrazu niesmak, potem złość. Młodzieniec uniósł strzelbę, która chwiała się nieustannie w drżących rękach. Spojrzał wzdłuż lufy, skupił wzrok na celu i opanował skołatane nerwy. Znowu był mężczyzną. Z chłodną determinacją skierował muszkę na głowę zwierzęcia, w zagłębienie u nasady kła, i nacisnął spust. Kolba kopnęła go mocno w ramię, lecz pocisk uderzył dokładnie w cel. Skorupa błota zaschniętego na skórze słonia rozpadła się, wzbijając obłoczek kurzu. Oczy ssaka zamknęły się na chwilę, a potem otworzyły, zasłane mglistą zasłoną.

Nie opuszczając broni, Sebastian otworzył zamek, z którego wypadła łuska i potoczyła się po piasku. Wprowadził następny nabój do komory i ponownie skierował

lufę w stronę masywnej głowy. Wystrzelił i słoń zachwiał się na nogach. Ranny zwierzak zebrał jeszcze siły i rzucił się w kierunku Sebastiana, lecz zrobił to bez determinacji. Młodzieniec celował teraz niżej. Wiedział, że każda kula trafiająca w klatkę piersiową rozrywa płuca, przebija serce lub wątrobę. Z precyzją automatu repetował broń i strzelał.

Po chwili słoń przerwał trucht i szedł powłócząc nogami, nie wiedzieć dokąd, bo już z pewnością nie w kierunku Sebastiana. Stał bokiem do niego, ukazując broczący krwią brzuch.

Młodzieniec opuścił mauzera i wprowadził do pustego magazynku nowe naboje.

Słoń stęknął cicho, a z jego porwanych na strzępy płuc chlusnęła krew. Bez cienia żalu, z zimnym opanowaniem Sebastian podniósł naładowany karabin i wycelował w ciemne zagłębienie u nasady olbrzymiego ucha. Kula uderzyła z trzaskiem przypominającym uderzenie siekiery o pień drzewa. Słoń zachwiał się, pochylił do przodu i wbił się kłami głęboko w ziemię.

27

Cztery tony świeżego mięsa dostarczone na centralny plac wioski miały okazałą wartość. M'topo uznał, że cena nie jest zbyt wygórowana. Trzy chaty można było odbudować w ciągu dwóch dni, jedynie cztery akry prosa przepadły bezpowrotnie. Co więcej, z dwóch kobiet, które zginęły, jedna była bardzo stara, a druga, choć liczyła już prawie osiemnaście lat, jeszcze nigdy nie zaszła w ciążę. Nadarzyła się zatem okazja, by uwierzyć, że była bezpłodna i dla społeczności wioski stanowiła małą stratę.

Wczesne promienie słońca ogrzewały bardzo zadowolonego człowieka, jakim tego dnia był M'topo. Siedział na swym rzeźbionym stołku z Sebastianem u boku i obserwował radość współplemieńców.

Ponad dwudziestu jego ludzi stało bez odzieży, z długimi maczetami w dłoniach.

Czekali, aż Mohammed i jego trzech pomocnicy oddzielały kły od czaszki. Wokół nich w szerokim kręgu czekali pozostali mieszkańcy wioski. Czekali i śpiewali. Uderzenia w bęben nadawały rytm, który gremialnie powtarzano klaszcząc i tupiąc. Męski bas tworzył jednolity podkład wokalny; raz po raz wzbijał się z niego piękny sopran, potem niknął, znowu się wzbijał i znowu niknął.

Pod cierpliwymi uderzeniami siekiery Mohammeda odpadł najpierw jeden kieł, a później drugi. Dwaj Murzyni z dużym wysiłkiem ponieśli je do Sebastiana i złożyli mu pod nogami. Anglikowi przemknęło przez myśl, że cztery kły przetransportowane do Lalapanzi mogą w jakimś stopniu udobruchać Flynna O'Flynna, a w najgorszym razie pokryją koszty ekspedycji. Ta myśl podniosła go bardzo na duchu, radośnie więc odwrócił głowę w stronę M'topo.

- Staruszkule, ty mógłbyś wziąć mięso.

- Panie! - ucieszył się wódz, klasnął w dłonie i wydał kilka gardłowych rozkazów do czekających rzeźników.

Triumfalny okrzyk tłumu złąknionego smaku mięsa towarzyszył pierwszym uderzeniom jednego z siepaczy, który wskoczył na zwaliste cielsko i ciął mocno tuż za ostatnim żebrem. Schodząc w dół, powiększał rozcięcie. Następny zrobił równoległe nacięcie bliżej tylnej nogi słonia, a jeszcze następny połączył oba poprzecznie. Wyjęli z brzucha tak okrojony kawał mięsa. W cielsku powstała prostokątna jama, przez którą czterech ludzi wyjmowało wnętrzności słonia, a potem ku zdumieniu Sebastiana mężczyźni zniknęli w środku. Młodzieniec słyszał przytłumioną kłótnię o to, komu należy się najsmakowitszy kęs. Po kilku minutach jeden z siepaczy pojawił się, przyciskając do piersi

purpurową wątrobę. Wyglądał potwornie - cały zboczony świeżą krwią, nawet wełniste włosy miał zlepione w ciemnoczerwone strąki. Jedyne rozradowane oczy i rozdziawione w uśmiechu usta stanowiły jaśniejsze plamy na obliczu tej potwornej postaci.

Człowiek z wątrobą podszedł wprost do Sebastiana i wręczył mu nagrodę. Anglik był tym nieco zmieszany, co więcej - niedawny posiłek podszedł mu do gardła, a żołądek przepychał się gorączkowo gdzieś w okolicę kolan.

- Zjedz - zachęcał go M'topo. - To uczyni cię silnym. To zaostrzy włócznie twojej męskości. Dziesięć, dwadzieścia kobiet cię nie wyczerpie.

M'topo był przekonany, że Sebastian bardzo potrzebuje takiego specyfiku. Słyszał

od swego brata Saalego i od innych wodzów znad rzeki, że młodzieniec przejawiał

zupełny brak inicjatywy w kontaktach z kobietami.

- O tak - powiedział M'topo i włożył sobie w usta odcięty kawałek wątroby. - Bardzo dobre - zapewnił Sebastiana, a świeża posoka pociekła mu po brodzie.

- Nie! - Sebastian poderwał się gwałtownie z miejsca, z trudem powstrzymując przetrawione jedzenie, cisnące mu się do gardła. M'topo wzruszył ramionami, sam zjadł

resztę, po czym krzyknął do siepaczy, by kontynuowali pracę.

W zadziwiająco krótkim czasie olbrzymie cielsko zostało rozłożone na małe kawałki.

Było to zajęcie, w którym uczestniczyli wszyscy mieszkańcy wioski. Mężczyźni kilkunastoma uderzeniami noża odrywali spore płaty mięsa i

rzucali je w dół, gdzie kobiety kroili je na małe kawałki i przekazywały dzieciom, które z wrzaskiem biegły do żerdzi, zostawiały ładunek i w podskokach wracały po następny.

Sebastian przyszedł już do siebie po niedawnych mdłościach i śmiał się serdecznie, patrząc, jak wszystkie buzie są mocno zajęte żuciem. Pomiędzy nogami ludzi buszowały psy, częstowane od czasu do czasu karcącymi kopniakami, gdy próbowały w zamieszaniu wyrwać coś dla siebie.

W sam środek tej wielkiej rodzinnej sielanki wkroczył komisarz Hermann Fleischer ze swoimi dziesięcioma uzbrojonymi Askariami.

28

Hermann Fleischer był sterany i miał odciski na stopach, gdyż musiał odbyć serię forsownych marszów, by dotrzeć do wioski M'topo.

Przed miesiącem opuścił kwaterę główną w Mahenge i rozpoczął coroczne ściąganie podatków na swoim terenie. Tak jak to miał w zwyczaju, zaczął w części północnej. Do tej pory ekspedycja była nadzwyczaj udana. Drewniana kasetka z czarnym orłem wymalowanym na wieczku stawała się cięższa każdego dnia. Hermann zabawiał się w myślach liczeniem, ile jeszcze lat potrwa jego służba w Afryce, zanim będzie mógł

zrezygnować, wrócić do domu w Plaven i osiaść na włościach, które zamierzał kupić.

Wystarczyłyby tylko trzy tak owocne lata jak to. Gorzkim wstydem napawał go fakt, że nie był w stanie złapać statku O'Flynna w delcie Rufrji przed trzema

miesiącami. To by przyspieszyło wyjazd o cały rok. Myśląc o tym popadł w złość i w następnej wizytowanej osadzie postanowił pobrać dwa razy większy podatek. Naczelnik wioski zaprotestował gorączkowo, Hermann skinął więc głową na swojego sierżanta i ten zaczął ostentacyjnie odpinać linę przytroczoną do siodła.

- O słońcu, tłusty i piękny - naczelnik natychmiast zmienił zdanie. - Jeżeli poczekaś małą chwilkę, przyniosę te pieniądze. Jest w wiosce nowa chata, bez wszy i pcheł, w której możesz położyć się i dać odpocząć swemu miłemu ciału, a ja przyślę ci młodą dziewczynę z piwem, byś mógł ugasić pragnienia.

- Dobrze - zgodził się Hermann. - Kiedy będę odpoczywał, jeden z moich ludzi będzie ci towarzyszył.

Skinął na czarnoskórego sierżanta, a sam udał się do chaty.

Naczelnik wysłał dwóch swoich synów, by poszli kopać pod dobrze znanym im drzewem w lesie, a oni wrócili po godzinie umorusani, niosąc ciężką skórzaną torbę.

Zadowolony Hermann Fleischer napisał oficjalny kwit o pobraniu dziewięćdziesięciu procent sumy, którą zabrał - dziesięć procent przywłaszczył sobie.

Naczelnik, który nie znał słowa po niemiecku, podpisał się ochoczo.

- Zatrzymam się na noc w twojej wiosce. Przyślij tę samą dziewczynę, by ugotowała coś dla mnie.

W nocy przybył posłaniec z południa i przeszkodził Fleischerowi w najmniej pożądanym momencie. Wieści, które przyniósł, były jeszcze mniej pożądane.

Z jego opisu wynikało, że nowy niemiecki komisarz ściągający podatki w południowych prowincjach to nikt inny tylko młody Anglik, którego Hermann widział ostatnio na pokładzie dhow w delcie Rufiji. Większej części swojego okazałego orszaku kazał podążać jak najszybciej swoim śladem, sam zaś w środku nocy zwołał

dziesięciu Askariów, wsiadł na białego osła i ruszył spieszenie na południe.

Pięć nocy później w obozowisku nad Rovuma, niedługo przed świtem, Fleischer został obudzony przez swego sierżanta.

- Co jest? - spytał Hermann, gramoląc się niezdarnie, by unieść róg moskitiery.

- Słyszeliśmy wystrzał. Pojedynczy wystrzał.

- Gdzie? - Niemiec już zakładał buty.

- Na południu. Od strony wioski M'topo.

Teraz już kompletnie ubrany Fleischer wyczekiwał w napięciu, wsłuchując się uważnie w delikatne dźwięki afrykańskiej nocy.

- Jesteś pewien... - rozpoczął, odwracając się do sierżanta, lecz nie dokończył. Nie mogło być mowy o pomyłce. W ciemnościach usłyszał dalekie paf, paf, paf, potem przerwa i następny strzał.

- Zwijać obóz! - wrzasnął Hermann. - Rasch! Wy czarne hieny. Rasch!

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy dotarli do wioski M'topo. Przeszli szybko przez poletka wysokiego prosa, które pozwoliło im dojść nie zauważonym prawie do samych zabudowań. Komisarz rozkazał Askariom, by otoczyli wioskę i powoli zacieśniali wokół niej krąg. Stał jak wryty, zaskoczony niezwykłym widokiem, jaki otworzył się

przed nim na centralnym placu.

Cizba półnagich Murzynów kłębiła się wokół resztek czegoś, co przypominało słońca, i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z obecności Niemca, dopóki ten nie nabrał

powietrza w płuca i nie wrzasnął tak potężnie, że umilkły pokrzykiwania i śmiechy.

Zapadła grobowa cisza, a wszystkie oczy wytrzeszczyły się z niedowierzania na widok Fleischera.

- Bwana Intambu - jakiś nieśmiały głos przerwał w końcu ciszę. - Władca Stryczka...

- Znali go dobrze.

- Co...? - rozpoczął Hermann, lecz jego uwagę przyciągnął ciemnoskóry człowiek, stojący w tłumie w mundurze niemieckiego Askaria. - Ty! - krzyknął, ale tamten obrócił

się na pięcie i zniknął za plecami ludzi z wioski.

- Zatrzymać go! - wrzasnął Fleischer i odwrócił się, by znaleźć pomoc u swoich żołnierzy, lecz kątem oka zauważył, że następny umundurowany Murzyn znika za jedną z chat.

- Tam jest jeszcze jeden! Zatrzymać go! Sierżancie, sierżancie, zawołajcie tu swoich ludzi!

Kiedy minął pierwszy szok, tłum, który stał dotąd jak zaklęty w kamień, rozpierzchnął

się. Oczom Fleischera ukazały się postacie siedzące na rzeźbionych stołkach w dalekim końcu placu. Jedna z nich miała mundur w kolorze jasnoniebieskim, jakby parodię jego własnego. Na nogach człowiek ów miał buty z wysokimi cholewami, a

na głowie hełm znamienitego regimentu pruskiego.

- Anglik! - wrzasnął Hermann Fleischer. Wyszarpnął z kabury lugera i wycelował.

Sebastian siedział jak zaczarowany, zastanawiając się nad kapryсами losu z właściwą sobie lotnością umysłu, z której był powszechnie znany. Kiedy jednak zobaczył przed sobą otwór lufy pistoletu, stwierdził, że czas odejść i wstał gwałtownie.

Potknął się jednak o ostrogi i upadł na plecy, przewracając stołek, na którym siedział.

Kula przeleciała ze świstem w miejscu, w którym stałby zapewne, gdyby nie szczęśliwy przypadek.

- Do diabła! - zaklął Fleischer i strzelił powtórnie. Kula tym razem urwała sporą szczapę z masywnego krzesła, za którym leżał Sebastian. To drugie chybienie tak rozwścieczyło Niemca, że dwa następne strzały oddał mało precyzyjnie i Sebastian na czworakach mógł umknąć za najbliższą chatę. Tam wstał i zaczął biec. Chciał jak najszybciej wydostać się z wioski i pod osłoną buszu dotrzeć nad brzeg Rovumy.

W uszach słyszał radę Flynna: „Kieruj się do rzeki. Idź prosto nad rzekę”.

Tak był zajęty swoimi myślami, że mijając następną chatę, nie zdążył uniknąć zderzenia z Askariem Fleischera. Obaj znaleźli się na ziemi. Hełm opadł Sebastianowi na oczy, szybko więc go ściągnął i zobaczył tuż przed sobą wełnistą czuprynę Murzyna.

Dzierżąc hełm oburącz, z całej siły zdzielił tamtego w czaszkę. Żołnierz upadł w piach i znieruchomiał. Sebastian położył mu hełm na twarzy, zabrał jego karabin i raz jeszcze podniósł się z ziemi. W myślach próbował ogarnąć chaos, który

zapanował dookoła.

Poprzez piekielny rozgardiasz, spowodowany paniką wśród mieszkańców wioski, słyszał komendy Fleischera i strzały jego ludzi, którym towarzyszyły zdwojone wybuchy jęków i lamentów. Pierwszą myślą Sebastiana było ukrycie się w którejś z chat, ale młodzieniec szybko zrozumiał, że to w najlepszym razie odsunie tylko w czasie jego pojmanie. Zdecydował, że musi wydostać się z wioski. Wyobraził sobie, jak biegnie te kilkadziesiąt metrów dzielących ostatnie chaty od pierwszych zarośli, a tuzin Askariów strzela do niego, i obraz ten wydał mu się wyjątkowo nieatrakcyjny.

Sebastian ocknął się, czując nieprzyjemne ciepło na stopie. Spojrzał w dół

i stwierdził, że stoi w żarzącym się jeszcze ognisku. But zaczął już kopcić czarnym dymem. Odskoczył szybko, ale smród palonej skóry podziałał jak laksygen na zatwardzenie jego mózgu. Ze ściany chaty wyrwał wiecheć chrustu, podpalił od żaru i przytknął z powrotem do ściany. Sucha konstrukcja w jednej chwili zmieniła się w płonąca pochodnię. Chyłkiem przemknął do następnej chaty i tę też podpalił.

- Strzelbysyn! - uradował się, patrząc, jak ołowiane kłęby dymu przesłaniają słońce i ograniczają widoczność do kilku metrów.

Powoli przesuwiał się pod osłoną dymu, podpalając jedną chatę po drugiej, rozkoszując się wściekłymi wrzaskami Niemca, które słyszał dookoła. Od czasu do czasu rozmyte postacie jak duchy przesuwwały się w półmroku, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, Sebastian zdjął więc palec ze spustu mauzera i szedł dalej.

Kiedy dotarł do ostatniej chaty, zatrzymał się, by zebrać siły przed sprintem na skraj poletka prosa. Wpatrywał się poprzez dym w to samo miejsce, z którego kilka godzin temu uciekał z przerażeniem. Teraz wydawało mu się opiekuńczymi matczynymi ramionami.

Usłyszał obok siebie hałas i czujnie wycelował tam swój karabin. Zobaczył w dymie zarys kepi i błysk metalowych guzików. Położył palec na spuście.

- Manali.

- Mohammed! Dobry Boże, o mało cię nie zastrzeliłem.

- Szybko! Są tuż za mną. - Mohammed pociągnął go za sobą. Rzucili się do biegu, za nimi zaś dał się słyszeć świst kul przelatujących w niewielkiej odległości. Mimo ciasnych butów Sebastian prowadził o kilka metrów, kiedy dotarli do zbawczego poletka.

29

- Cóż teraz pocznjemy, Manali? - spytał Mohammed, a twarze pozostałych dwóch mężczyzn powtórzyły to pytanie z dramatyczną wyrazistością. Nikłość szansy ocalenia zjednoczyła wszystkich pod komendą Sebastiana. Młodzieniec przewrócił się o tych dwóch, biegnąc przez pole prosa; byli całkowicie pochłonięci przyciskaniem z całej siły brzuchów i twarzy do ziemi. Minęło sporo czasu, zanim kopniakami poderwał ich na nogi i popędził przed sobą.

Z głową pełną rad Flynna Sebastian prowadził uparcie do miejsca na brzegu Rovumy, gdzie

wylądowali przed kilkoma tygodniami. Kiedy tam dotarli, przekonali się, że Fleischer ich wyprzedził - szedł prostą drogą i nie musiał się ukrywać. Zza zasłony przybrzeżnych zarośli patrzyli przygnębieni, jak Askariowie wyrąbują dziury w dnach czółen wyciągniętych na małą plażę.

- Czy możemy przepłynąć wpław? - spytał Sebastian Mohammeda, którego twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia, gdy uświadomił sobie zamysły młodzieńca.

Wskazał wzrokiem na pół kilometra głębokiej wody, która płynęła tak szybko, że jej powierzchnia była gęsto usiana wirami.

- Nie - zaprzeczył zdecydowanie Mohammed.

- Za daleko? - spytał Sebastian z nadzieją.

- Za daleko. Za głęboko. Za wartko. Za dużo krokodyli - wyliczył Mohammed i żeby woda nie kusiła więcej Anglika, zasugerował gestem, by wycofali się z trzciny w głąb łądu.

Późnym popołudniem leżeli w krzaczastym parowie dwie mile od rzeki i tyleż samo od wioski M'topo.

- Cóż teraz pocznjemy, Manali? - powtórzył wcześniejsze pytanie Mohammed, a Sebastian przełknął ślinę, przygotowując się do wyczerpującej odpowiedzi.

- No więc... - rzekł i zmarszczył brew, jakby chciał powstrzymać agonię myśli twórczych. Po chwili twarz mu pojaśniała radością na skutek iluminacji. - Naturalnie musimy znaleźć jakiś sposób, by przedostać się przez rzekę - powiedział z miną człowieka mile zaskoczonego własną przenikliwością. - Co sugerujesz, Mohammedzie?

Murzyn milczał, zdziwiony łatwością, z jaką piłka

wróciła na jego stronę boiska.

- Tratwa? - spróbował młodzieniec.

Brak narzędzi, materiałów i możliwości budowy był tak oczywisty, że Mohammed nie zadał sobie trudu udzielenia odpowiedzi. Z ojcowską cierpliwością pokręcił głową.

- Nie - zgodził się Sebastian. - Chyba masz słuszość. - Zamilkł, a klasyczne rysy jego twarzy zastygły w wyrazie koncentracji. W końcu zapytał: - Czy są inne wioski w pobliżu rzeki?

- Tak, ale Askariowie odwiedzą każdą z nich i zniszczą czółna. Powiedzą też naczelnikom, cośmy za jedni i postraszą ich stryczkiem.

- Ale nie mogą obstawić całej rzeki. Ona ma brzeg długości pięciuset lub sześciuset mil. Będziemy szli tak długo, aż znajdziemy łódkę. Być może zajmie nam to dużo czasu, ale na pewno w końcu się uda.

- Jeśli Askariowie nie złapią nas wcześniej.

- Oczekują, że będziemy się trzymać blisko granicy, a my udamy się w głąb lądu, będziemy maszerować szybko przez pięć lub sześć dni, po czym zawrócimy w stronę rzeki. Odpoczniemy teraz i ruszymy po zmroku.

Oddalali się od rzeki, idąc przez całą noc w kierunku północno-zachodnim. Po kilku godzinach Sebastian zauważył, że od czasu do czasu któryś z jego ludzi schodzi ze ścieżki, przystaje gdzieś z boku, po czym rozgląda się dookoła i wraca do pozostałych.

Zdumiały go te poczynania i nawet chciał zapytać, co się dzieje, lecz był tak zmęczony, że mówienie zdało mu się nadmiernym wysiłkiem. Godzinę później poznał przyczynę tych dziwnych zachowań. Przyszedł

czas, że to nie on przebierał nogami, a był niesiony ich automatycznymi ruchami. Jego świadomość powoli zanikała i popadł w stan łagodnego niebytu. Poddał się temu i otuliła go ciepła ciemna mgiełka.

Kolec krzaka ukłuł go w policzek i to przywróciło mu świadomość. Rozejrzał się zdziwiony; kilka metrów w bok Mohammed i dwaj pozostali Murzyni szli gęsiego, patrząc na niego bez wielkiego zainteresowania. Kilka chwil minęło, nim Sebastian zrozumiał, że zasnął w marszu. Czując się jak kompletny dureń, potruchtał z powrotem na czoło kolumny.

Pucołowaty księżyc zniknął za drzewami, a oni szli dalej, choć ścieżka stała się prawie niewidoczna. Sebastian uznał, że do świtu została być może tylko godzina, czas więc zaprzestać marszu. Zatrzymał się i już chciał coś powiedzieć, kiedy Mohammed powstrzymał go mocnym uściskiem dłoni.

- Manali! - szepnął Murzyn tonem, który obudził Sebastiana natychmiast.

- Co jest? - spytał, ściągając na wszelki wypadek karabin.

- Popatrz. Tam przed nami. Widzisz?

Długo wpatrywał się w mrok, nim dostrzegł, że coś jaśniejszego majaczy przed nimi.

- Tak - szepnął. - Co to takiego?

- Ogień. Ktoś rozbił obóz na ścieżce przed nami.

- Askariowie?

- Być może.

Sebastian poczuł, jak włosy stają mu dęba. Był już całkowicie rozbudzony.

- Musimy ich jakoś ominąć.

- Nie. Zobaczą nasze ślady na ścieżce i pójdą za nami - sprzeciwił się Mohammed.

- Więc co teraz?

- Pozwól, że najpierw przekonam się, ilu ich jest. - Nie czekając na pozwolenie, Mohammed rozpląnął się w mroku niby lampart. Upłynęło pięć długich minut. Raz wydawało się Sebastianowi, że słyszy odgłosy szarpaniny, ale nie był pewny.

Mohammed pojawił się równie nagle, jak zniknął.

- Jest ich dziesięciu. Dwóch Askariów i ośmiu tragarzy. Jeden z Askariów trzymał

straż przy ogniu. Zobaczył mnie, więc go zabiłem.

- Dobry Boże! - Sebastian omal nie krzyknął. - Co takiego zrobiłeś?

- Zabiłem go. Ale nie mów tak głośno.

- Jak?

- Nożem.

- Dlaczego?

- Żeby on nie zabił mnie.

- A tamten drugi?

- Jego także.

- Zabiłeś obu? - ze zgrozą dopytywał się Sebastian.

- Tak. I zabrałem ich strzelby. Teraz możemy bezpiecznie iść dalej. Ale tragarze mają ze sobą dużo skrzyń. Przyszło mi do głowy, że ta grupa idzie w ślad za Bwana Intambu, komisarzem niemieckim, i że niosą ze sobą wszystkie jego rzeczy.

- Ale nie powinieneś ich zabijać - protestował Sebastian. - Powinieneś ich związać, czy coś

takiego.

- Manali. Sprzeczasz się jak kobieta - stracił cierpliwość Mohammed, ale szybko wrócił do sedna sprawy. - Pomiędzy skrzyniami jest jedna, która sądząc po wielkości, jest skrzynką na pieniądze. Jeden z Askariów spał oparty o nią plecami, tak jakby miał

na nią specjalne baczenie.

- Pieniądze z podatków?

- Tak.

- Och, ty strzelby synu! - Skrupuły Sebastiana prysnęły gdzieś i nawet w ciemnościach można było dostrzec, że ma minę uradowaną niczym chłopiec w wigilijny wieczór.

Obudzili tragarzy, stając uprzednio nad nimi z lufami wycelowanymi w ich głowy.

Wygonili ich spod koców i spędzili w jedno miejsce, gdzie tamci trzęśli się żałośnie w chłodzie poranka, nie bardzo jeszcze wiedząc, co się dzieje. Dorzucano drewna do ogniska; zrobiło się jaśniej i Sebastian mógł bez trudu przyjrzeć się łupom.

Krew ciekąca z gardła jednego z Askariów poplamiała skrzynię, o którą był on oparty. Mohammed chwycił go za pięty i odciągnął na bok. Następnie wytarł kocem plamy ze skrzyni. W ekwipunku grupy znalazł starannie zwinięty solidny powróż. Był

to przedmiot, który stanowił symbol wypraw Hermanna Fleischera. Mohammed związał nim tragarzy jednego za drugim na wysokości pasa, zostawiając między nimi tylko tyle liny, by mogli iść swobodnie.

- Po co to robisz? - wymamrotał Sebastian z ustami pełnymi kaszanki i razowca.

Większość skrzyń wypełniało jedzenie i młodzieniec właśnie śniadał sobie w najlepsze.

- Żeby nie mogli uciec.

- Przecież nie zabierzemy ich ze sobą, prawda?

- A kto to wszystko będzie niósł? - z ojcowską cierpliwością spytał Mohammed.

Pięć dni później Sebastian siedział na dziobie długiego czółna, w którym zamocowano solidnie wszystkie bogate łupy, i zajadał ze smakiem boczek przekładany marynowaną cebulą. Miał na sobie czystą bieliznę i skarpetki - o kilka numerów za duże - a w lewej dłoni ścisnął otwartą butelkę piwa Hansa. Wszystko to dzięki uprzejmości komisarza Fleischera.

Wioślarze śpiewali wesoło bez specjalnej zachęty, bo cena, jaką zapłacił Sebastian za wynajęcie czółna, wystarczyła, by każdy z nich kupił sobie co najmniej nową żonę.

Trzymając się portugalskiego brzegu Rovumy, pchani byстрыm nurtem, któremu pomagali ochoczo wioślarze, przebyli w dwanaście godzin dystans, którego przejście z ciężkimi bagażami zajęło wcześniej pięć dni.

Łódź przybiła do brzegu na wysokości wioski M'topo, zaledwie dziesięć mil od Lalapanzi. Przemaszerowali tę odległość bez odpoczynku i dotarli na miejsce po zmroku.

30

Okna pawilonu były ciemne, cały obóz trwał w uśpieniu. Sebastian uciszył

wszystkich i doprowadził ich na centralny trawnik. Tam ustawił skrzynię z pieniędzmi, a za nią bohaterów wyprawy. Był dumny ze swoich dokonań i pragnął powitania na miarę swoich czynów. Ustawivszy dekoracje, wspiał się na palcach po schodach z zamiarem obudzenia domowników dramatycznym stukaniem do drzwi. Na schodach jednakże stało krzesło. Sebastian chciał je ominąć, ale potknął się i spadł z okropnym rumorem. Zanim się podniósł, drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Flynn w koszuli nocnej i z dubeltówką w garści.

- Dopadłem cię, gnojku! - wrzasnął i wycelował.

Sebastian usłyszał szczęk odbezpieczanego zamka. Klęcząc krzyknął głośno: - Nie strzelaj! Flynn, to ja. Lufa opadła nieco.

- Kim jesteś i czego chcesz?

- To ja, Sebastian.

- Bassie? - Flynn na dobre opuścił strzelbę. - Nie może być. Wstań, niech na ciebie popatrzę.

Sebastian skwapliwie zastosował się do polecenia.

- Dobry Boże! - Flynn nie krył zdumienia. - To jesteś ty. Dobry Boże! Słyszeliśmy, że Fleischer złapał cię tydzień temu w wiosce M'topo. - Podszedł z prawicą wyciągniętą w powitalnym geście. - Zrobiłeś to, prawda? Dobra robota, Bassie.

Zanim jednak mogli uścisnąć sobie dłonie, w krzakach ukazała się Rosa, przemknęła obok Flynnna i niemal obaliła Sebastiana powtórnie na ziemię. Oplotła ramionami jego tors, przycisnęła policzek do nie ogolonej twarzy i powtarzała w kółko: - Jesteś bezpieczny! Och, Sebastianie, jesteś bezpieczny.

Kiedy Sebastian uświadomił sobie, że Rosa nie ma na sobie nic oprócz cieniutkiej koszuli nocnej i że

gdziekolwiek położyć ręce, dotykają one ciepłego, miękkiego ciała, zba-raniałym wzrokiem spojrzął na Flynna ponad ramieniem dziewczyny.

- Wybacz - wydukał.

Pierwsze dwa całusy chybiły celu, jako że Rosa strasznie się wierciła. Raz została trafiona w ucho, raz w brew, ale trzeci pocałunek wylądował na jej ustach. Kiedy wreszcie ich rozdzielono, a właściwie rozerwano, Rosa wydyszała: - Myślałam, że nie żyjesz.

- Dobra, panienko - burknął Flynn. - A teraz możesz pójść i włożyć coś na siebie.

Tego ranka śniadanie w Lalapanzi było wielką fetą. Flynn skorzystał z osłabienia stanowczości córki i przyniósł butelkę dzinu. Protesty Rosy były niemrawe, a później nawet własnymi rękoma wlała nieco trunku do herbaty Sebastiana.

Jedli w cieniu liści wielkiego krzewu. Rosa i Nanny pracowały w kuchni nad resztkami zapasów Hermanna Fleischera, które Sebastian przyniósł ze sobą.

Flynn miał przekrwione i podpuchnięte oczy, całą bowiem noc przy świetle lichej lampy zliczał zawartość skrzyni z pieniędzmi. Mimo zmęczenia był jednak w radosnym nastroju i chętnie wspomagał Rosę w jej solowych pieniach ku chwale Sebastiana.

- Zrobiłeś tyle, że można by książkę napisać - zagadnął z uśmiechem po skończonym posiłku. - Marzę po prostu, by usłyszeć, jak Fleischer tłumaczy się gubernatorowi Schee. Och, chciałbym być przy tym, kiedy będą mówić o podatkach. Do diabła, to zabije ich obu.

- Skoro już jesteś przy temacie pieniędzy - Rosa uśmiechnęła się do Flynna - czy wyliczyłeś już, tatusiu, ile przypadnie w udziale Sebastianowi?

Rosa używała ojcowskiego tytułu tylko wtedy, gdy była do Flynna wyjątkowo pozytywnie usposobiona.

- Obliczyłem to - przyznał tatuś, lecz błysk chytrości w jego oczach obudził

podejrzenia Rosy. Zacisnęła mocniej usta.

- Ile tego jest? - spytała lukrowanym tonem, w którym Flynn rozpoznał namiastkę krwiożerczego ryku rozdrażnionego lwa.

- Koniecznie teraz? Któż chciałby psuć sobie taki piękny dzień rozmową o interesach? - Flynn włożył w to zdanie dużo słodyczy, by oczarować córkę. Na próżno.

- Ile? - naciskała Rosa.

Zapadła grobowa cisza. Sebastian zaczerwienił się pod opaloną skórą i otworzył

usta, by zaprotestować. Czując siłę swej połowy łupu, uczynił Rosie pewną poważną propozycję, którą ta przyjęła.

- Zostaw to mnie, Sebastianie - szepnęła i położyła uspokajająco rękę na jego kolanie, odwracając się do ojca.

- Pozwolisz nam rzucić okiem na obliczenia, prawda? - spytała z wciąż przesadną słodyczą.

- Oczywiście. Są proste i klarowne.

Dokument, który został skreślony przez Flynna pod nagłówkiem „Joint Venture pomiędzy panem F. O'Flynnem a panem S. Oldsmithem. Okres od 15 maja 1913 roku do 21 sierpnia 1913 roku”, zdradzał, że jego autor nie należał do ortodoksyjnej szkoły

rachunkowości.

Całość pieniędzy przeliczył na funty szterlingi po kursie wziętym z „Pear's Almanac” z 1893 roku. Z całości sumy, wynoszącej 4652 funty 18 szylingów i 6 pensów, Flynn odliczył swoją połowę, a potem dziesięć procent dla innych partnerów -

portugalskiego przywódcy D'Posta i gubernatora Mozambiku. Następnie odliczył straty powstałe w wyniku wyprawy w deltę Rufiji (patrz osobne rozliczenie z administracją Niemieckiej Afryki Wschodniej) i przeszedł do wydatków związanych z drugą wyprawą, nie zapominając o takich szczegółach, jak: Dla Parbhoo (krawiec) L 15,10

za jeden niemiecki hełm (powiedzmy) L 5,10

za pięć mundurów (Askariów), każdy po L 2,10 L 12,10

za pięć strzelb (mauzery), każda po L 10 L 50

za sześćset dwadzieścia pięć sztuk amunicji 7 mm L 22,10

za dodatkowe koszty podróży powrotnej sto eskudów dane panu S. Oldsmithowi L

1,5

Koniec końców udział Sebastiana w stratach wyniósł nieco mniej niż dwadzieścia funtów.

- Nie martw się - Flynn podtrzymał go na duchu. - Nie upieram się, żebyś zapłacił

teraz. Potrącimy to po prostu z twoich zysków w następnej wyprawie.

- Ale, Flynn, myślałem, że mówiłeś, no, mam na myśli to, że powiedziałaś, że połowa udziału jest moja.

- I tak jest, Bassie, i tak właśnie jest.

- Powiedziałeś, że jesteśmy równorzędnymi partnerami.

- Musiałeś mnie źle zrozumieć, chłopcze. Powiedziałem połowa udziału, ale po odliczeniu kosztów. To wielka szkoda, że mieliśmy tyle wydatków.

Kiedy tak dyskutowali, Rosa pochłonięta była gorączkowym pisaniem na odwrocie Flynnowego rachunku. Po dwóch minutach skończyła i przez stół rzuciła kartkę do Flynna.

- A ja to tak wyliczyłam.

Rosa O'Flynn była uczennicą szkoły „Jeden dla ciebie, jeden dla mnie” i jej obliczenia były o wiele prostsze od ojcowskich.

Flynn spojrział na kartkę i jęk cierpienia wyrwał się z jego piersi.

- Nie znasz się na interesach - zaprotestował.

- Ale rozpoznam oszustwo, kiedy mam z nim do czynienia.

- Chcesz nazywać swego starego ojca oszustem?

- Tak.

- Przyszło mi do głowy, że dobrze by było przynieść pasek. Nie jesteś jeszcze na tyle dorosła, żebym nie mógł dać ci porządnie z skórę.

- Tylko spróbuj! - odparła Rosa, a Flynn szybko się wycofał.

- A tak w ogóle, co Bassie mógłby zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi? To nie wpłynie dobrze na tego młodzieńca. To może go zepsuć.

- Mógłby się ze mną ożenić. Oto, co mógłby z tym

zrobić.

Flynn wydał z siebie charkot, jakby rybia ość uwięzła mu w gardle. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości. Przechylił się złowieszczo w stronę Sebastiana.

- A więc to tak! - wy sapał. - Tak myślałem!

- Uspokój się, staruszkule - Sebastian próbował go zmity-gować.

- Przychodzisz do mojego domu i zachowujesz się jak jakiś przeklęty król Anglii.

Próbujesz bezczelnie zdefraudować moje pieniądze, ale nie dość na tym! O nie! Jak diabli, nie dość na tym! Zaczynasz też kombinować z moją córką, żeby dopiąć swego.

- Nie bądź ordynarny - upomniała go Rosa.

- To piękne, ona mówi „nie bądź ordynarny”, a co takiego wy oboje zmaistrowaliście za moimi plecami?

Sebastian z godnością wstał od stołu.

- Nie pozwolę panu mówić tak o damie w mojej obecności, sir. Szczególnie o damie, która uczyniła mi ten honor i zgodziła się zostać moją żoną. - To mówiąc odpinał guziki bluzy. - Czy zechce pan wyjść ze mną do ogrodu i dać mi satysfakcję?

- No to chodź - odparł Flynn i z łomotem odsunął krzesło, na którym przed chwilą jeszcze siedział. Chciał minąć Sebastiana, który próbował ściągnąć bluzę i którego ręce uwięzły właśnie za plecami w rękawach. Flynn zatrzymał się, wycelował i pięścią uderzył młodzieńca w odsłonięty brzuch.

- Uff! - jęknął Anglik i zgiął się wpół, po drodze napotykając twarzą drugą pięść przeciwnika. Trafiony między oczy, zatoczył się gwałtownie na

werandzie i poprzez niską barierkę wypadł na grządki z kwiatami.

- Zabiłeś go - wrzasnęła Rosa i porwała ze stołu ciężki dzbanek z herbatą.

- Mam nadzieję - powiedział Flynn, usuwając głowę z toru lotu naczynia, które przemknęło obok i rozbiło się z trzaskiem o ścianę.

Rosa hodowała w ogrodzie kwiaty w dużym wyborze, a między innymi również hortensje, których płatki ustroiły właśnie głowę Sebastiana w fiolety i czerwienie. Dla zachowania kolorystycznej harmonii, wokół oczu młodzieńca pojawiły się obwódki tego samego koloru. Jako kameleon Sebastian spisał się doskonale.

- Uważam, Flynn, że to nie było w porządku - oświadczył oficjalnym tonem.

- On nie patrzył! - krzyknęła Rosa oskarżycielsko. - Uderzyłeś go, kiedy jeszcze nie był gotowy.

- No cóż, ale teraz patrzy - wycharczał Flynn i zbiegł ze schodów niczym szarżujący hipopotam. Sebastian poderwał się z grządek i przyjął klasyczną postawę boksera na ringu.

- Reguły markiza Queensberry? - zaproponował, gdy Flynn podchodził do niego.

Flynn potwierdził znajomość reguł markiza, kopiąc Sebastiana w goleń. Ten syknął

i poderwał bolącą nogę, a Flynn poczęstował go serią kolejnych solidnych kopniaków.

Dwa razy udało mu się umieścić swój but pomiędzy nogami młodzieńca, ale gdy zamachnął się do decydującego ciosu, chybił celu i upadł na plecy. Chwilę potrwało, nim podźwignął się z murawy, co

pozwoili Sebastianowi odsapnać nieco i przygotować się do następanej rundy.

Choć oczy mu opuchły, a z tylnej części ciała promieniował dokuczliwy ból, nie zważając na nic, stanął raz jeszcze z lewą ręką wyciągniętą do przodu, a prawą przykurczoną przy piersiach, z pięścią na wysokości szczęki. Za plecami Flynna zobaczył swoją narzeczoną schodzącą z werandy. Była uzbrojona w nóż kuchenny.

- Rosa! - zaniepokoił się Sebastian. Było oczywiste, że Rosa nie cofnie się przed niczym, by bronić swej miłości. - Rosa! Co robisz z tym nożem?

- Mam zamiar dziabnąć nim tego tu.

- Nie zrobisz tego - powiedział Sebastian, lecz Flynn nie podzielał jego wiary w powściągliwość swojej córki. Bardzo szybko przeszedł do pozycji obronnej za plecami Sebastiana. Stamtąd przysłuchiwał się z dużą uwagą wymianie argumentów pomiędzy Rosą a Sebastianem. Całą minutę zajęło Anglikowi wyperswadowanie dziewczynie, że jej asysta nie jest konieczna i że on sam jest w stanie zapanować nad sytuacją.

Z ociąganiem Rosa wróciła w końcu na werandę.

- Dzięki, Bassie - powiedział Flynn i kopnął go w ten wielki siniak, którego postać przybrał tyłek młodzieńca. To było wyjątkowo bolesne.

Bardzo nielicznym dane było zobaczyć, jak Sebastian Oldsmith traci cierpliwość.

Ostatnio zdarzyło się to osiem lat temu dwóm chłopakom, którzy powołując się na swoje starszeństwo, włożyli głowę Sebastiana do muszli klozetowej i spuścili wodę.

Musieli na krótki czas poddać się leczeniu

szpitalnemu.

Tym razem było więcej świadków. Zwabieni krzykami i brzękiem tłuczonych naczyń, przybyli Askariowie z Mohammedem na czele. Patrzyli teraz z zapartym tchem na widowisko rozgrywające się na trawniku. Z podwyższenia werandy patrzyła Rosa, a jej oczy skrzyły się dziwną zajadłością, która narasta w najłagodniejszej nawet kobiecie, kiedy walczy o nią jej mężczyzna. To napełniło Sebastiana jeszcze większym okrucieństwem.

Jak wszystkie potężne burze, i ta nie trwała długo, a kiedy było po wszystkim, zapanowała absolutna cisza. Flynn leżał rozciągnięty jak długi na trawie. Oczy miał

zamknięte, oddech charczący, a z nosa sączyła mu się krew.

Mohammed wraz z pięcioma ludźmi dźwignęli go na ramiona i ponieśli w kierunku pawilonu. Leżał spokojnie na ich ramionach, wielki brzuch unosił się i opadał

rytmicznie, a wyraz błokiego spokoju panował niepodzielnie na zmasakrowanej twarzy.

Sebastian stał na polanie, zastraszone i wstrząsane dreszczami gorączki walki.

Patrzył, jak Murzyni podnoszą zwałiste cielsko i nagle opadło z niego napięcie, ustępując zrazu miejsca trosce, a potem rozżaleniu.

- Powiedziałem ci... - zaczął głuchym głosem, krocząc za nieprzytomnym Flynnem. -

Nie powinienes mnie kopać. Nie powinienes tego robić.

Rosa zeszła z werandy i wolnym krokiem podeszła do Sebastiana. Spojrzała na niego z uwielbieniem i

dumą.

- Byłeś wspaniały - szepnęła. - Jak lew. - Objęła go rękoma za szyję i nim go pocałowała, oświadczyła: - Kocham cię.

Sebastian miał niewiele bagaży do zabrania. Wszystko, co posiadał, miał na sobie.

Rosa dla odmiany posiadała wystarczająco dużo pakunków, by dać pełne zatrudnienie tuzinowi tragarzy, którzy stali zebrani na trawniku przed pawilonem.

- Cóż - wymamrotał Sebastian - myślę, że powinniśmy już ruszać.

- Tak - szepnęła Rosa i potoczyła wzrokiem po ogrodach Lalapanzi. Choć sama sugerowała ten wyjazd, teraz kiedy nadszedł nań czas, zdjęły ją wątpliwości. To miejsce było jej domem od dzieciństwa. Tu uprzedła sobie kokon, który ją chronił. Kiedy przyszła pora, by z niego wyjść, przepełniły ją obawy. Ścisnęła mocniej rękę Sebastiana, czerpiąc z niego siłę.

- Nie chcesz pożegnać się z ojcem? - spytał Sebastian, patrząc na narzeczoną opiekuńczo, a było to uczucie nowe i niezwykle przyjemne.

Rosa zwlekała z odpowiedzią, lecz zrozumiała, że niewiele trzeba, by osłabić jej postanowienie. Uwielbienie dla ojca, ukryte pod powłoką złości i urazy, mogłoby łatwo powrócić, gdyby Flynn zechciał wykrzesać nieco swojego uroku osobistego.

- Nie - rzekła krótko.

- Tak chyba będzie najlepiej - zgodził się Sebastian. Z poczuciem winy spojrział

w stronę pawilonu, gdzie zapewne leżał nieprzytomny Flynn, którym opiekował się wierny Mohammed.

- Myślisz, że wszystko z nim będzie dobrze? Wiesz, sędzę, że uderzyłem go raczej za mocno.

- Nic mu nie będzie - powiedziała Rosa bez przekonania i razem z Sebastianem zajęli miejsce na czele niewielkiej kolumny tragarzy.

Flynn patrzył na to wszystko zapuchniętym okiem z okna sypialni, przez szparę pomiędzy zasłoną a ścianą.

- Mój Boże! - szepnął zdruzgotany. - Ci młodzi idioci rzeczywiście odchodzą.

Rosa O'Flynn była ostatnim ogniwnem, które łączyło go z tamtą drobną Portugalką.

Była w jego życiu jedyną osobą, którą naprawdę kochał. Teraz, kiedy niemal ją tracił, zalała go nowa fala ciepłych uczuć dla krnąbrnej dziewczyny. Myśl, że już nigdy więcej jej nie zobaczy, napełniła go przerażeniem.

W przypadku Sebastiana Oldsmitha żadne sentymenty nie wchodziły w rachubę.

Sebastian był w interesach bardzo cennym walorem. Dzięki jego osobie Flynn mógł

wprowadzić w czyn wiele zamierzeń, których realizację porzucił z powodu zbyt dużego ryzyka osobistego. Przez ostatnie lata oczy, nogi i nerwy Flynn'a ulegały ciągłej deprecjacji.

Sebastian Oldsmith miał oczy orła, nogi geparda i żadnych nerwów. Flynn go potrzebował.

Otworzył usta i jęknął przeraźliwie. Było to jakby ostatnie tchenienie starego bawołu. Przez

zapuchniętą powiekę zobaczył, że młodzi znieruchomieli i spojrzeli w stronę pawilonu. Musiał jednak przyznać, że stanowią piękną parę. Wysoki Sebastian z ciałem gladiatora i twarzą poety; Rosa przy nim jakby drobniejsza, ale pełna cudownych kobiecych krągłości. Kaskada jej czarnych włosów mieniła się w słońcu, a ciemne oczy, szeroko teraz otwarte ze zdumienia, uroczo lśniły na jasnym obliczu.

Flynn jęknął ponownie, tym razem łagodniej, jakby było to ostatnie tchnienie umierającego człowieka. Młodzi natychmiast rzucili się w stronę pawilonu. Rosa, zadzierając spódnicę powyżej kolan, pierwsza wpadła na werandę.

Flynn miał wystarczająco dużo czasu, by wrócić do łóżka i przybrać pozę i minę człowieka szybko pogrążającego się w otchłani.

- Tatusiu - jęknęła Rosa, przyklękając u jego wezgłowia.

Flynn otworzył bezprzytomne oczy. Przez chwilę zdawał się jej nie rozpoznawać, a potem szepnął tak słabo, że ledwo mogła uchwycić słowa: - Moja mała dziewczynka.

- Och, tato, co ci jest?

- Moje serce.

Dłoń Flynnna jak włochaty pajak przeczołgała się wolno przez całą długość brzucha i rozpostarła się na owłosionej piersi. - Coś jakby nóż. Gorący nóż.

W pokoju panowała straszna cisza. Flynn przemówił znowu.

- Chcę... dać wam... swoje błogosławieństwo. Życzę wam szczęścia... dokądkolwiek pójdziecie.

Mówienie kosztowało go zbyt wiele wysiłku, leżał

więc przez chwilę w milczeniu, dysząc ciężko.

- Pomyśl czasem o swoim starym ojcu. Pomódl się za niego.

Wielka błyszcząca łza pojawiła się w kąciuku oka Rosy i szybko spłynęła po policzku.

- Bassie, chłopcze - oczy Flynna złowiły obraz Sebastiana jakby z oddali i z wysiłkiem skupiły się na nim. - Nie obwiniaj się za to. I tak byłem stary, przeżyłem, co moje. - Obrócił się nieco i jęknął z bólu. - Dbaj o nią. Dbaj o moją małą Rosę. Teraz jesteś moim synem. Nigdy nie miałem syna.

- Nie wiedziałem... nie miałem pojęcia, że twoje serce... Flynn, strasznie mi przykro.

Wybacz.

Na ustach Flynna zagościł nikły uśmiech. Podniósł rękę w geście pojednania i kiedy Sebastian ścisnął ją ostrożnie, już chciał podarować pieniądze, które były przedmiotem sporu, jako prezent umierającego, ale roztropnie powstrzymał się przed tą ekstrawagancją. Zamiast tego szepnął:

- Chciałbym zobaczyć mojego wnuka, ale mniejsza z tym. Do widzenia, mój chłopcze.

- Zobaczysz go, Flynn. Obiecuję ci to. Zostaniemy, prawda, Rosa? Zostaniemy z nim.

- Tak, zostaniemy - poparła go dziewczyna. - Nie zostawimy cię, tato.

- Moje dzieci - powiedział Flynn gasnącym głosem i zamknął oczy. Dzięki Bogu, że nie zaproponował tych pieniędzy. Błogi uśmiech zagościł na jego twarzy.

„Uszczęśliwiliście wielce starego człowieka” - pomyślał.

Flynn szybko powrócił znad krawędzi śmierci; tak szybko, że wzbudziło to w Rosie pewne podejrzenia. Przymknęła jednak na to oko, szczęśliwa, że uniknęła konieczności opuszczenia Lalapanzi. Poza tym inna jeszcze sprawa zaprzętała jej uwagę.

Odkąd pożegnała się z Sebastianem przed jego wyprawą po podatki, zauważyła u siebie zanik pewnej przypadłości kobiecej. Poradziła się w tej sprawie Nanny, która z kolei poradziła się miejscowego czarownika, ten zaś otworzył brzuch kurczaka i poradził się jego wnętrzności. Nanny przekazała definitywną odpowiedź, nie podając źródła informacji, jako że Mała Długowłosa wykazywała niemal bluźnierczy brak wiary w magię.

Uszczęśliwiona Rosa zabrała Sebastiana na spacer w dół doliny i kiedy dotarli do wodospadu, gdzie wszystko się rozpoczęło, wspięła się na palce, objęła swego mężczyznę za szyję i szepnęła mu coś na ucho. Po czym wszystko musiała powtórzyć, bo za pierwszym razem emocje uczyniły jej wypowiedź niezrozumiałym mamrotaniem.

- Żartujesz - wydyszał Sebastian i spłonął ognistym rumieńcem.

- Wiesz, że nie.

- Bożeż ty mój - powiedział Sebastian, lecz zaraz dodał coś wymowniejszego: -

Strzelbysyn!

- Nie cieszysz się? - Rosa zmarszczyła się gniewnie. - Zrobiłam to dla ciebie.

- Ale my nawet nie jesteśmy małżeństwem.

- To da się załatwić.

- I to szybko - zgodził się Sebastian i chwycił ją mocno w tali. - No chodź -

powiedział jej do ucha roznamiętnionym szeptem.

- Sebastianie, zważ na mój stan.

- Bożeż ty mój, przepraszam.

Zaniósł ją na rękach do Lalapanzi, tak ostrożnie, jakby była butelką nitrogliceryny.

- Po co ten straszny pośpiech? - spytał jowialnie Flynn przy obiedzie. - Mam najpierw dla Bassiego małą robotę. Wyślę go za rzekę...

- Nie, nie wyślesz - przerwała mu Rosa. - Zamierzamy pójść do księdza w Beirze.

- To zajmie Bassiemu tylko kilka tygodni. Możemy pogadać o tym po jego powrocie.

- Jedziemy do Beiry. Jutro!

- Po co ten pośpiech? - ponowił pytanie Flynn.

- No cóż, prawda jest taka, widzisz, chłopie... - Sebastian pokręcił się na krześle, poczerwieniał gwałtownie i zamilkł.

- Prawda jest taka, że będę miała dziecko.

- Co będziesz miała? - Flynn gapił się na nią z przerażeniem.

- Powiedziałaś, że chciałbyś zobaczyć wnuka - przypomniała Rosa.

- Ale nie miałem na myśli tego, żebyście zabierali się do pracy natychmiast -

wrzasnął Flynn i zwrócił się do Sebastiana. - Ty parszywy podrywaczu!

- Ojczy, twoje serce! - pohamowała go Rosa. - Tak w ogóle, to nie wiń Sebastiana, ja również miałam w tym swój udział.

- Ty bezwstydna... ty mała, bezczelna...

Rosa sięgnęła za oparcie siedzenia, gdzie Flynn ukrywał butelkę dżinu. - Łyknij trochę tego, to cię uspokoi.

Wyruszyli do Beiry następnego ranka. Rosę niesiono w prowizorycznej lektyce.

Sebastian szedł obok czujny i spięty, gotowy pomagać przenosić ciężar w trudniejszych miejscach i miotający szpetne przekleństwa, gdy któremuś z tragarzy zdarzyło się potknąć.

Flynn leżał na noszach na końcu kolumny w towarzystwie kanciastej butelki, kwękał coś i mamrotał o upadku i grzechu.

Ale Rosa i Sebastian ignorowali go zupełnie. Kiedy rozbili obóz, we dwójkę usiedli po przeciwnej stronie ogniska niż Flynn, szepcząc coś i chichocząc tajemniczo. Ściszyli głosy tak bardzo, że nawet nadstawiając czujnie uszu, Flynn nie mógł nic zrozumieć, co wprawiło go w taką wściekłość, że uczynił głośną uwagę o „wypieprzeniu do diabła tego, który za opiekę odpłacił zbeszczeszczaniem jego córki”.

Rosa odparła, że dałaby wszystko, by zobaczyć, jak próbuje powiedzieć to jeszcze raz. Dla niej byłoby to bardziej zajmujące niż wizyta w cyrku. Flynn zabrał swą dumę wraz z butelką dżinu i poszedł do Mohammeda, który przygotował sobie posłanie pod kolczastym krzakiem.

Podczas mrocznych godzin poprzedzających świt złożył im wizytę stary lew.

Pojawił się nagle w kręgu światła z drugiej strony ogniska i warcząc gardłowo, błyskawicznie zbliżał się do postaci leżących pod kocami.

Flynn jako jedyny nie spał. Czekał całą noc, obserwując Sebastiana. Czekał, aż Sebastian podejdzie do ciernistego krzaka, aby naruszyć spokój Rosy. Obok Flynna leżała potężna dubeltówka naładowana nabojami na lwy, gotowa do użytku.

Kiedy kot zaatakował, Flynn usiadł błyskawicznie i wypalił z obu luf wprost w głowę ludojada, zabijając go natychmiast. Siłą rozpędu zwierzak upadł jednak na Sebastiana i razem potoczyli się w stronę ogniska.

Młodzieniec został obudzony rykiem drapieżnika, wystrzałem z dubeltówki, zwałeniem się na niego jakiegoś cielska i widokiem krwistych plam na całym ciele.

Wrzeszcząc dziko, jednym susem poderwał się z ziemi, cisnął koc i rozpoczął

obłądny taniec, boksując i kopiąc niewidzialnego przeciwnika. Flynn, patrząc na to, śmiał się tak głośno i serdecznie, że zupełnie opadł z sił.

Śmiech, pochwały i podziękowania od Sebastiana, Rosy i tragarzy pokrzepiły nieco Flynna i oczyściły atmosferę.

- Uratowałeś mi życie - powiedział Sebastian z głęboką wdzięcznością.

- Och, tato, jesteś cudowny - powiedziała Rosa. - Dziękuję ci. Dziękuję. - I przytuliła się serdecznie.

W płaszczyku bohatera Flynn czuł się przytulnie i komfortowo. W miarę zbliżania się do małego portugalskiego portu Beira, robił się coraz bardziej

ludzki, bo ogromnie cieszyły go owe rzadkie wizyty w cywilizowanym świecie.

Ostatniej nocy przed wjazdem do miasta obozowali o milę od najdalszych przedmieść Beiry i stamtąd po poufnej rozmowie z Flynnem Mohammed ruszył do miasta z pewnym zapasem eskudów, by przygotować oficjalne przybycie swojego szefa.

Flynn wstał o brzasku, ogolił się, wdział na siebie czystą tropikalną koszulę i spodnie, a w tym samym czasie jeden z tragarzy wyczyścił mu buty sadłem hipopotama, dwóch innych zaś wspięło się po pniu palmy i nacięło z jej korony kilka wielkich liści.

Kiedy wszystko było już gotowe, Flynn położył się na noszach wyściełanych skórą lamparta, a po obu jego stronach stanęli tragarze dzierżący liście palmowe. Za nimi gęsiego stali w szeregu służący, którzy trzymali kły słoniowe i skórę dopiero co zabitego lwa. Sebastian i Rosa, pouczeni przez Flynna, nie zwracali na siebie nadmiernej uwagi.

Pochód zamykali tragarze z bagażami.

Niedbałym gestem, którym Neron mógłby dawać znak do rozpoczęcia rzymskich igrzysk, Flynn kazał ruszać.

Drogą pośród gęstych krzaków dotarli wreszcie do Beiry i weszli na główną ulicę.

- Na Boga - powiedział zdumiony Sebastian, gdy zobaczył, jakie przyjęcie im zgotowano - skąd oni wszyscy się tu wzięli?

Po obu stronach ulicy stał uśmiechnięty tłum, głównie tubylców, ale tu i tam jakiś Portugalczyk lub Hindus wyszedł ze swego sklepu, by przekonać się, jaka jest przyczyna zgiełku.

- Fini! - skandował tłum, klaszcząc do rytmu. -
Bwana Mkuba! Wielki Pan!

Pogromca słoni i lwów!

- Nie zdawałem sobie sprawy, że Flynn jest aż tak dobrze znany. - Sebastian był pod wrażeniem widowiska.

- Większość z nich nigdy o nim nie słyszała -
Rosa wyprowadziła go z błędu. -

Wysłał wczoraj Mohammeda, by zorganizował klakę. Zapłacił pierwszej setce po jednym esku-dzie, by przyszli i pouśmiejali się, a ci narobili tyle wrzawy, że reszta ściągnęła tu sprawdzić, co się dzieje. Za każdym razem dają się na to nabrać.

- Po co, u diabła, on robi wokół siebie tyle zamieszania?

- Bo lubi to. Popatrz tylko na niego!

Czoło pochodu dotarło do jedyne go hotelu w Beirze i przystanęło. Madame da Souza, przysadzista, lekko wąsata wdowa, właścicielka hotelu, zeszła, by przywitać Flynną głośnym cmoknięciem, po czym poprowadziła go ceremonialnie przez zaniedbany portal. Flynn był typem faceta, o którym zawsze marzyła.

Kiedy Rosa i Sebastian przebili się wreszcie przez tłum do hotelu, Flynn siedział już przy barze hotelowym z na wpół opróżnioną smukłą szklanką piwa. Obok niego siedział adiutant gubernatora Mozambiku, który przybył, by doręczyć od Jego Ekscelencji zaproszenie dla Flynną O'Flynną na wspólny obiad tego popołudnia w Domu Rządowym. Jego Wysokość Jose De Clare Don Felezardo da Silva Marques otrzymał od gubernatora Schee z Dar es Salaam raport o poczynaniach Flynną, zakończony oficjalnym protestem i żądaniem ekstradycji - stąd Jego Ekscelencja był

zachwycony perspektywą spotkania z Flynnem. Właśnie tego dnia mieli założyć spółkę „Flynn O’Flynn i inni”. Ponieważ omawianie interesów poszło gładko, Jego Ekszelencja użył swojego autorytetu, by skrócić formalności ślubne wymagane przez prawo portugalskie. To zaoszczędziło im tydzień i już następnego dnia po przybyciu do Beiry młoda para stała w katedrze na ślubnym kobiercu, a Sebastian z kiepskim skutkiem próbował wygrzebać z pamięci poznaną w szkole namiastkę łaciny, by zrozumieć, w co naprawdę się pakuje.

Ślubny welon, należący niegdyś do matki Rosy, pożółkł wyraźnie przez lata przechowywania w gorącym klimacie, ale wystarczająco dobrze chronił od much, szczególnie dokuczliwych w Beirze podczas pory suchej.

Przy końcu długiej ceremonii Flynn był tak otumaniony upałem, dżinem wypitym w czasie lunchu i niezwykle silnym przypływem irlandzkich uczuć, że zaczął głośno szlochać. Kiedy wycierał oczy i nos brudną chusteczką, adiutant gubernatora położył

mu rękę na ramieniu i szeptał słowa pocieszenia.

Ksiądz ogłosił zawarcie małżeństwa i zebrani odśpiewali chropawą wersję „Te Deum”. Flynn powtarzał w kółko „Moja mała dziewczynka, moja biedna mała dziewczynka” zachrypłym z emocji i alkoholu głosem. Rosa podniosła welon i odwróciła się do Sebastiana, który natychmiast zapomniał o swoich złych przeczuciach związanych z ceremonią i przycisnął ją do siebie z entuzjazmem.

Wciąż bełkocząc „Moja mała dziewczynka”, Flynn dał się wyprowadzić adiutantowi gubernatora do hotelu, gdzie trwały przygotowania do uczyty weselnej. Ze względu na nastrój Flyn-na uroczystość rozpoczęła się w grobowej atmosferze, szybko jednak

nabrała tempa, kiedy popłynął szampan, poprzedniego wieczoru butelkowany specjalnie na tę okazję przez Madame da Souza. Flynn ofiarował Sebastianowi prezent ślubny w postaci dziesięciu funtów i wylał pełną szklanice piwa na głowę adiutanta.

Kiedy późnym wieczorem Sebastian i Rosa udali się do pokoju znajdującego się na piętrze nad barem, Flynn gromkim głosem brylował w chórze śpiewającym „They are Jolly good fellows”, a Madame da Souza siedziała mu na kolanach i za każdym razem, gdy Amerykanin szczypał ją w tyłek, wybuchała głośnym śmiechem, który upodabniał

ją do rozdygotanej meduzy.

Położenie pokoju dokładnie nad barem okazało się wielce niefortunne, jako że Flynn urządził strzelanie do butelek na półkach ze swojej dubeltówki na śłonie. To popsuło nieco młodym przyjemność nocy poślubnej. Każde trafienie nagradzane było gromkimi brawami i okrzykami innych gości. Madame da Souza, wciąż trzęsąc się ze śmiechu, siedziała w kącie między ladą a ścianą, robiąc w swoim notesie takie uwagi, jak: „Jedna butelka Grandio London Dry Gin 14,50 eskudów; jedna butelka Grandio Scotch whisky 30,00 eskudów; jedna butelka Grandio French Cognac Five Star 14,50 eskudów; jedna butelka Grandio French Champagne 75,90 eskudów”. „Grandio” było znakiem firmowym tego hotelu i oznaczało, że mikstura w każdej z butelek została przygotowania w tej posiadłości i pod osobistym nadzorem Madame da Souza.

Nowożeńcy szybko odkryli, że hałasy na dole skutecznie zagłuszają skrzypienie ich rozklekotanego łoża, oboje więc przestali ciskać na Flynną przekleństwa, a nawet zapomnieli o jego obecności.

Wszystkim, którzy uczestniczyli w zabawie tamtej

nocy, zapadła ona głęboko w pamięć i przez długi czas była wspominana z nostalgią i uśmiechem melancholii.

32

Pomimo zadziwiająco dużych wydatków przez następne dwa tygodnie Flynn nie zdołał wydać wszystkich pieniędzy z wyprawy po podatki.

W tym okresie Rosa i Sebastian, trzymając się za ręce, spacerowali czasem po ulicach i targowiskach Beiry lub siadywali, wciąż trzymając się za ręce, na plaży i patrzyli na morze. Szczęście emanowało z nich tak mocno, że udzielało się każdemu, kto znalazł się w promieniu kilkunastu metrów. Zagoniony człowiek, truchtający wąską uliczką Beiry z obliczem zastygłym w wyrazie wiecznego zaaferowania, na ich widok nagle zwalniał, twarz mu pogodniała, a gdy powoli mijał Rosę i Sebastiana, uśmiechał się już promiennie. Znakomitą większość czasu młodzi spędzali jednak w pokoju nad barem, znikając wczesnym popołudniem i pojawiając się około południa dnia następnego.

Ani on, ani ona nie wyobrażali sobie nigdy, że istnieje aż takie szczęście.

Po upływie dwóch tygodni Flynn oczekiwał na nich w porze lunchu przy barze.

Kiedy się pojawili, wyszedł im na spotkanie, krzycząc: - Uszanowanie! Uszanowanie! - Stał pomiędzy nimi i objął ich rękoma. - Jak się macie tego pięknego ranka?

Słuchał bez zbytniego zainteresowania tyrady

Sebastiana, który rozwodził się nad tym, jak dobrze się czuje, jak dobrze czuje się Rosa i jak świetnie oboje spali tej nocy.

- Oczywiście, oczywiście - przerwał mu Flynn ten sło-wotok. - Posłuchaj, Bassie, mój chłopcze, pamiętasz te dziesięć funtów, które ci dałem?

- Tak. - Sebastian natychmiast stał się czujny.

- Mógłbyś mi je oddać?

- Wydałem te pieniądze.

- Co zrobiłeś? - ryknął Flynn.

- Wydałem je.

- O Boże Wszechmogący! Wszystkie? Przepuściłeś dziesięć funtów w dziesięć dni? -

Flynn był wyraźnie zdruzgotany rozrzutnością swego zięcia. Sebastian żywił niezłomne przekonanie, że pieniądze są jego i może z nimi zrobić, co zechce, teraz jednak stał

skruszony.

Ruszyli do Lalapanzi jeszcze tego popołudnia. Madame da Souza przyjęła od Flynna gwarancję spłacenia nie uregulowanych rachunków.

Na czele kolumny, daleko przed wszystkimi szedł Flynn w wisielczym nastroju, trawiony gigantycznym kacem. Tragarze, zdemoralizowani po dwóch tygodniach wylegiwania się i gnuśnienia, zmuszeni teraz do marszu z bagażami na plecach, byli w podobnym nastroju. Na końcu małej karawany szli Rosa i Sebastian, gawędząc radośnie, wtuleni w siebie - słoneczna wyspa pośród ponurego morza.

Szybko mijały miesiące podczas pory deszczowej

1913 roku. W miarę upływu czasu brzuch Rosy stawał się centralnym punktem życia w Lalapanzi. Ośrodkiem, wokół

którego kręcił się ten świat.

Pod przewodnictwem Nanny, cieszącej się powszechnym autorytetem, toczyły się wśród służby dyskusje na temat zawartości tego brzucha. Wszyscy byli gorąco przekonani, że jest to chłopiec, choć Nanny rozsiewała czasem wątpliwość, że może będzie to następna Mała Długowłosa.

Podczas tych dwóch miesięcy wymuszonej bezczynności, kiedy ulewy zmieniły ład w trzęsawisko, a rzeki w rwące strugi błota, nawet Flynn poczuł w sobie powołanie do roli dziadka. W przeciwieństwie do Nanny nie miał cienia wątpliwości co do płci nie narodzonego dziecka i zdecydował, że będzie się ono nazywało Patrick Flynn O'Flynn Oldsmith.

Swoją decyzję przekazał Sebastianowi podczas polowania na równinie nie opodal domu. Przed chwilą młodzieniec wykazał umiejętności strzelca wyborowego daleko większe, niżby można się było spodziewać po jego krótkiej praktyce i braku rzetelnego nauczyciela. Właśnie szli przyczajeni pośród skałek i karłowatych krzaków. Ustawiczny deszcz zmiękczył grunt i pozwolił im niepostrzeżenie skradać się wzdłuż jednego z parowów. Flynn szedł pięćdziesiąt jardów na prawo od Sebastiana.

Kudu leżały w gęstej trawie pod krawędzią parowu. Dwa złotobrazowe młode byki, z cienkimi liniami jaśniejszej sierści biegnącymi od grzbietu pionowo w dół. Od gardła pomiędzy przednie nogi biegł piękny grzebień długich jasno-żółtych włosów. Głowę wieńczyły ciężkie rogi, zakręcone o dwa i pół obrotu. Flynn zeskoczył nagle bliżej kudu, lecz

wysokie krzaki uniemożliwiły mu strzał. Zwierzęta uciekły w lewo.

- Ida na ciebie, Bassie - krzyknął Flynn, a Sebastian dwoma susami ominął kępę buszu zagrządzającą mu drogę do parowu, strząsnął krople zwieszające się z rzęs i odbezpieczył broń. Usłyszał stuknięcie dużego rogu o jakąś gałąź i jedna z antylop w pełnym biegu wypadła gdzieś blisko z zagłębienia. Wszystko było jakieś odrealnione w tej niebieskoszarej zasłonie deszczu. Zwierzę pędziło poprzez bujną, ociekającą wodą roślinność, niczym zjawia rozmyta we mgle. Raz po raz kudu niknęła za kępą trawy lub splątanych krzaków, złożenie się do strzału było więc prawie niemożliwe. Kiedy jednak młody byk ukazał się na chwilę pomiędzy dwiema kępami zarośli byczego kolca, Sebastian nie przepuścił okazji i wypalił. Trafił go w szyję, na dłoń nad obojczykiem.

Wraz z odgłosem wystrzału ponad krawędzią parowu ukazała się druga antylopa, pędząc w morderczym biegu o życie; próbowała właśnie przeskoczyć kępę krzaków, przyciskając przednie nogi do brzucha. Sebastian obrócił się płynnie bez odrywania kolby od ramienia i wystrzelił nie celując, jakby strzał był integralną częścią obrotu.

Ciężki pocisk ugodził antylopę w powietrzu i rzucił w bok. Kudu zsunęła się wzdłuż krawędzi parowu, wierzgając w śmiertelnych podrygach.

Mohammed wydał indiański okrzyk i przebiegł obok Sebastiana, wyszarpując zza pazuchy długi nóż, by podciąć gardło drugiej antylopie i dopełnić tym samym obrządków Koranu.

Flynn dotarł przez parów do Sebastiana.

- Piękne strzały, chłopcze. Posolimy to,

wysuszemy i mamy mięso na miesiąc.

Sebastian rozpromienił się, miłe połączony tym pochlebstwem. Razem poszli przypatrywać się, jak ludzie Mohammeda oprawiają te duże zwierzęta. Flynn, jako mistrz taktyki walki słownej, wykorzystał ten dogodny moment, by poinformować Sebastiana o swym wyborze imienia dla wnuka. Nie był przygotowany na tak gwałtowny sprzeciw ze strony zięcia. Otóż młodzieniec spodziewał się, że nazwą go Francis Sebastian Oldsmith. Flynn roześmiał się, a potem rzeczowo i rozsądnie jął

tłumaczyć Sebastianowi punkt po punkcie, jak okrutnym uczynkiem byłoby napiętnowanie dziecka podobnym imieniem. Poruszyło to dumę Oldsmithów i Sebastian bronił uparcie swego zdania. Dotarli do Lalapanzi, kłócąc się zapamiętale.

Brakowało już tylko kilku cięższych słów, by rozpętała się walka.

Rosa usłyszała, że wracają. Wrzask Flynna słychać było z daleka.

- Nie pozwolę, by mój wnuk nosił takie rozmemlane imię!

- Francis to imię królów, wojowników i dżentelmenów - zaprzeczył gorąco Sebastian.

- Jest jak moje obolałe półdupki, oto czym jest!

Rosa wyszła na werandę z rękoma opartymi na pięknym wybrzuszeniu, które gościło w swym wnętrzu przedmiot sporu.

Obaj dyskutanci, gdy tylko zobaczyli Rosę, na wyścigi rzucili się biegiem ku dziewczynie, by przedstawić jej swoje racje.

Rosa bez słowa słuchała przekrzykujących się mężczyzn, a po jej twarzy błąkał się dyskretny

uśmieszek. W końcu ucięła dyskusję: - Będzie się nazywać Maria Rosa Oldsmith.

Jakiś czas później Flynn i Sebastian siedzieli razem na werandzie.

Przed dziesięcioma minutami ostatnia nawałnica pory deszczowej przetoczyła się nad sawanną. Teraz ziemia schła; rzeki wyrównywały swój bieg i wracały do łożysk, świeża trawa wyrastała z czarnej gleby, by powitać powrót słońca. W tym krótkim okresie przyroda ożywała i wybuchała wszystkimi odcieniami zieleni; nawet powykręcane i sękaty cierniste krzewy porastały nikłymi liśćmi.

- Przestań się w końcu martwić - powiedział Flynn nerwowo, chodząc tam i z powrotem.

- Nie martwię się - odparł spokojnie Sebastian. - Wszystko będzie dobrze.

- A skąd to wiesz? - zaczepnie spytał Flynn, siadając z impetem na schodach pawilonu.

- No cóż...

- Czy wiesz, że dziecko może urodzić się martwe? - spytał znowu, celując palcem w Sebastiana. - Może mieć po sześć palców u każdej dłoni, i co wtedy? Słyszałem o jednym, które urodziło się z...

W miarę jak Flynn wyliczał długą listę potworności, z twarzy Sebastiana zniknął

wyraz dumy i ciepłego oczekiwania. Wstał z krzesła i usiadł obok Flynna.

- Zostało ci jeszcze trochę dżinu? - spytał głucho, patrząc z przerażeniem w zasłonięte okna sypialni Rosy.

Flynn wyjął butelkę z wewnętrznej kieszeni

kurtki.

Godzinę później Sebastian siedział z powrotem na krześle, ściskając kurczowo na wpół opróżnioną flaszkę. Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby urodził się z... - Nie potrafił dokończyć. Przytknął

butelkę do ust i pociągnął spory łyk. W tym momencie z sypialni dobiegł długi, przenikliwy krzyk. Sebastian zakrztusił się, jakby go ktoś zdzielił pięścią w plecy, i spora część dzinu wylała się na koszulę. Rzucił się ku sypialni i boleśnie zderzył się z Flynnem, który również obrał ten kierunek. Obaj spostrzegli jednocześnie swój błąd i razem pognali wzdłuż werandy do zamkniętych drzwi. Zaczęli stukać w nie pięściami, prosząc o wpuszczenie, ale Nanny wciąż odmawiała odsunięcia rygla i udzielenia jakichkolwiek informacji na temat postępów w rodzeniu. Rosa popierała jej determinację.

- Nie waż się ich wpuszczać, dopóki wszystko nie będzie gotowe - szepnęła drżącym głosem i dźwignęła się, by pomóc umyć i zawinąć noworodka.

Kiedy wreszcie wszystko było przygotowane, Rosa ułożyła się na poduszkach z dzieckiem w ramionach i skinęła na Nanny, by otworzyła drzwi.

Opóźnienie zdało się potwierdzać wszystkie obawy Flyna. Kiedy drzwi się otworzyły, obaj z Sebastianem wpadli do środka z dziką niecierpliwością.

- Och, dzięki Bogu, Rosa. Ty żyjesz! - Sebastian dosko-czył do łóżka i padł przy nim na kolana.

- Ty sprawdź stopy, a ja dłonie i głowę - zakomenderował Flynn i nim Rosa zdołała zaprotestować, wyjął jej z objęć dziecko.

- Palce w porządku. Dwie ręce, jedna głowa - wyliczał Flynn, nie zważając na protesty Rosy i niespokojne kwilenie maluszka.

- Z tej strony jest doskonały - relacjonował Sebastian z rosnącą radością. - Flynn, on jest piękny! - Uniósł becik okrywający noworodka i zamarł. - O mój Boże! - jęknął

załamującym się głosem. Oczy miał rozszerzone przerażeniem.

- Coś nie tak? - gwałtownie spytał Flynn.

- Miałeś rację, jest zdeformowany.

- Co? Gdzie?

- Tu! - wskazał Sebastian palcem. - On nie ma tego, no wiesz.

Teraz obaj gapili się w to miejsce ze zgrozą.

Minęło wiele długich chwil, nim obaj jednocześnie zrozumieli, że ten mały wzgórek nie jest zdeformowany, lecz ukształtowany dokładnie tak, jak tego chce natura.

- To dziewczynka! - powiedział Flynn rozczarowany.

- Dziewczynka! - Jak echo powtórzył Sebastian i szybko opuścił becik, by chronić cześć swej córki.

- To dziewczynka - uśmiechnęła się szczęśliwa Rosa.

- To dziewczynka - zaskrzeczała triumfalnie Nanny.

Maria Rosa Oldsmith przybyła na świat bez zbytnej opieszałości i nie sprawiając matce niepotrzebnych kłopotów, tak więc już po dwudziestu czterech godzinach od narodzin Rosa była na nogach.

Mała robiła wszystko według tego samego rytuału.

Płakała raz na cztery godziny; był to pojedynczy krzyk, który milkł jak nożem uciał, gdy tylko Rosa zatykała usta córeczki swą pierś. Z podobną regularnością dziewczuszka wydawała z siebie przetrawiony pokarm - zawsze we właściwej ilości i odpowiedniej konsystencji. Resztę dnia poświęcała prawie wyłącznie na spanie.

Była piękna; bez tej przesadnej puciołowatości i intensywnej różowości buzi, bez mętnego wzroku skośnych oczu. Od jedwabistych loczków na czubku głowy do paznokci u palców nóg była doskonała.

Dwa dni zajęło Flynnowi otrząśnięcie się z rozczarowania, że to nie wnuk. Znikał na długie godziny w magazynie lub przesiadywał zamyślony na końcu werandy. Drugiego popołudnia Rosa powiedziała tak głośno, by jej słowa dotarły na koniec werandy: - Czy nie uważasz, że Maria wygląda dokładnie tak samo jak mój tato? Te same usta, ten sam nos. Popatrz na jej oczy.

Sebastian już otwierał usta, by zaprzeczyć gorąco wszelkim podobieństwom, ale że Rosa kopnęła go boleśnie w kostkę, nic nie powiedział.

- Po prostu skóra zdjęta z Flyna. Nie ma wątpliwości, kto jest jej dziadkiem.

- No tak, jeśli się dobrze przyjrzeć - zgodził się Sebastian bez entuzjazmu.

Flynn siedział bez ruchu, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek słyszy. Po półgodzinie przestawił jednak swoje krzesło blisko kołyski i z uwagą jał studiować twarz dziewczynki, od czasu do czasu rzucając luźne uwagi w rodzaju: „Ma wszelkie cechy właściwe naszej rodzinie. Spójrzcie na te oczy - nie ma wątpliwości, kto jest jej dziadkiem!” Tym

podobne odkrywczymyśli przeplatane były napomnieniami i ostrzeżeniami: „Nie zbliżaj się za bardzo, Bassie. Swym oddechem rozsiewasz wokół

niej zarazki”. „Rosa, to dziecko potrzebuje jeszcze jednego kocyka. A w ogóle, to kiedy ona ostatnio jadła?” Nie minęło wiele czasu, a zaczął wywierać na Sebastiana presję.

- Masz teraz poważne obowiązki. Zastanowiłeś się nad tym?

- O co ci chodzi?

- Po prostu odpowiedz mi na pytanie. Co ty właściwie masz na tym świecie?

- Rosę i Marię - odparł Sebastian z dumą.

- Pięknie. Po prostu świetnie! A jak masz zamiar wyżywić je i ubrać, i w ogóle zadbać o nie?

Sebastian stwierdził, że jest zadowolony z istniejącego stanu rzeczy.

- Pewnie, że jesteś zadowolony! To nic cię nie kosztuje. Sądzę jednak, że czas już, byś ruszył tyłek i zrobił coś wreszcie.

- Na przykład co?

- Na przykład poszedł i ustrzelił kilka słońi.

Trzy dni później Sebastian szedł doliną w stronę Rovumy na czele kolumny myśliwych i tragarzy niosących wszystko, co potrzebne na długotrwałą wyprawę kłusowniczą zorganizowaną z dużym rozmachem.

Czternaście godzin później o szarym świcie cała wyprawa zawitała z powrotem w Lalapanzi.

- A cóż ty tu, do wszystkich świętych, robisz? - ciskał się Flynn.

- Miałem przeczucie - odparł Sebastian, w pół

śpiąc na stojąco.

- Jakie przeczucie?

- Że powinienem wrócić.

Wyruszyli po raz wtóry dwa dni później. Tym razem przeczucia Sebastiana zaordynowały powrót, nim przekroczyli rzekę.

- No cóż - rzekł Flynn zrezygnowany. - Sądzę, że muszę po prostu iść razem z tobą.

Rozczarowałeś mnie, Bassie.

Największym rozczarowaniem dla Flynna był fakt, że nie będzie miał wnuczki wyłącznie dla siebie przez kilka tygodni.

- Mohammedzie - krzyknął - przygotuj moje rzeczy.

33

Flynn wysłał zwiadowców na drugi brzeg, a kiedy wrócili z wieścią, że nie ma tam niemieckich patroli, zarządził przeprawę.

Ta wyprawa wyglądała zupełnie inaczej niż niedawne nieudane szwendanie się Sebastiana po niemieckim terytorium. Flynn był profesjonalistą. Przeprawili się w absolutnym milczeniu i wylądowali dwie mile w dół rzeki poniżej wioski M'topo. Nie marudzili długo na plaży, tylko z miejsca podjęli szybki marsz w głąb lądu. Szli w bezwzględnej ciszy piętnaście mil. Na godzinę przed świtem zatrzymali się w sporej kępie ciernistych krzewów, na terenie starannie dobranym pod względem pagórków i wykrotów, które dawały wielorakie możliwości ucieczki w każdym kierunku.

Sebastian był pod wrażeniem wszystkich uników, kluczenia, zacierania śladów w drodze oraz wyborem miejsca i sposobem rozbicia obozu. Przesiedzieli w nim dziesięć dni. Nie złamali ani jednej gałęzi, aby świeża rana rośliny nie zdradziła ich obecności. Niewielkie ogniska rozpalali tylko w nocy, używając starannie wybranego suchego drewna i chrustu. Ogień zasłaniali szczelnie ze wszystkich stron i przysypywali piaskiem z nastaniem świtu, tak aby nie zdradził ich ani blask w nocy, ani dym w dzień.

Rozmawiali cały czas przyciszonym głosem, a każdy głośniejszy dźwięk wywoływał

taką krwistą reprimendę ze strony Flynna, że wszyscy chodzili podenerwowani.

Ósmej nocy zaczęli schodzić się zwiadowcy, rozesłani na wszystkie strony przez Flynna.

Pojawiali się bezszelestnie jak nocne zwierzęta, siadali przy ognisku i zdawali relacje.

- Poprzedniej nocy widziałem trzy duże samce u wodopoju chorej hieny. Miały kły takie, takie i takie... - tu zwiadowca pokazywał rękoma rozmiary. - Oprócz nich dziesięć samic zostawiło ślady w błocie; sześć z nich z cielakami. Wczoraj w miejscu, gdzie wzgórze Inhosana spleta swe ramiona, widziałem inne stado: pięć młodych samców, dwadzieścia trzy samice i...

Raporty były niezrozumiałe dla Sebastiana, który nie miał w głowie mapy obszaru, lecz Flynn słuchał uważnie, składając w jedną całość liczne fragmenty, by dowiedzieć się, jak przemieszczają się słonie. Doszedł do tego, że stare samce są wciąż odseparowane od stada i pozostały na wyżej położonych terenach. Reszta słoni natomiast wróciła na mokradła, z których wyгнаła je powódź, a to w tym

celu, by ustrzec młode przed niebezpieczeństwami czyhającymi w zaroślach sawanny podczas pory suchej. Flynn notował w głowie przybliżoną grubość i długość kłów. Niedojrzała kość słoniowa była właściwie niewarta noszenia do domu. Rynek był nią zapchany.

Oferowano niskie ceny, gdyż nadawała się jedynie na kule bilardowe i klawisze do fortepianów. Z drugiej strony dojrzały kieł, ważący ponad pięćdziesiąt kilogramów, długi na dwa i pół metra i grubszy od uda przysadzistej kobiety, był wart sto szylingów za kilogram. Zwierzak z dwoma takimi kłami był warty czterysta lub pięćset funtów wypłacanych w dobrych złotych suwerenach.

Flynn wykluczał jeden po drugim obszary, na których nie będzie mógł polować.

Tego roku nie było słoni na wzgórzach M'bahora. Znał przyczynę tego stanu rzeczy -

trzydzieści kup grubych wybielonych na słońcu kości leżało pod urwiskiem, znacząc ścieżkę, którą przeszedł dwa lata temu ze swoimi chłopcami. Wspomnienie huku wystrzałów było widać na tyle świeże, że słonie unikały tego miejsca.

Nie było też czego szukać w zapadlisku Tabora. Jakaś zaraza dotknęła zagajniki drzew mapundu. Owoce spadły, zanim zdążyły dojrzeć. Ponieważ słonie uwielbiały owoce mapundu, przeniosły się gdzie indziej w poszukiwaniu swego przysmaku, przypuszczalnie na Wzniesienia Sania, w dolinę Kilombera i na wzgórze Salito. Te ostatnie były oddalone od niemieckiego obozu w Mahenge zaledwie o dzień spokojnego marszu. Flynn wykreślił to miejsce ze swoich planów. Kiedy każdy ze zwiadowców kończył raport, Flynn zadawał pytanie, które mogło wpłynąć na ostateczny wybór planu działania.

- A co z Wielkim Pługiem?

- Nic nie widziałem, o niczym nie słyszałem -
odpowiadali wszyscy.

Ostatni zwiadowca wrócił dwa dni po innych.
Wyglądał na wyjątkowo śpiącego i unikał wzroku
szefa.

- Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? - napadł na
niego Flynn, a chłopak miał

natychmiast gotową odpowiedź.

- Wiedząc, że Wielki Pan Fini zechce mieć
dokładne wiadomości, zboczyłem z wyznaczonej mi
trasy i odwiedziłem wioskę mego wuja Yetu. Mój wujek
jest fundi.

Antylopa nie złamie gałęzi, by mój wujek o tym
nie wiedział. Poszedłem więc spytać go o to
wszystko.

- Twój wuj jest sławnym fundi' i równie sławnym
siewcą córek. Rozsiewa córki jak księżyc gwiazdy -
zauważył Flynn z przekąsem.

- Rzeczywiście, wie o nim wielu. Mój wuj kazał
pokłonić się Panu Fini i powiedzieć tak: „W tym
sezonie jest dużo pięknych słońi na Wzniesieniach
Sania. Chodzą parami i trójkami. Na własne oczy
widziałem dwanaście z kłami długimi jak tor lotu
włóczni, a ślady następnych dwunastu odcisnięte były
w ziemi”. Wuj kazał też powtórzyć to: „Między nimi
jest jeden, którego Pan Fini dobrze zna, bo często o
niego pytał. Jedyne pośród wielkich samców. Ten,
który chodzi z niezwykłą godnością, a mówią o nim
Wielki Pług”.

- Czy ty przypadkiem tymi bajkami nie próbujesz
uśmierzyć mojej złości? - spytał

Flynn szorstko. - Czy aby nie przywidział ci się

ten Wielki Pług, kiedy swoim radłem orałeś liczne córki twego wuja? - Jego złość spotęgowana była przez sceptycyzm. Zbyt często wysłuchiwał opowiadań o wielkim słoniu. Pochylił się nad ogniskiem, by spojrzeć w oczy zwiadowcy, gdy ten będzie odpowiadał.

- Powiedziałem prawdę, panie.

Flynn przyglądał mu się badawczo, ale nie uchwycił cienia poczucia winy w twarzy chłopaka. Mruknął coś, siadł prosto i jął wpatrywać się w ognisko.

Przez pierwsze dziesięć lat pobytu w Afryce słyszał legendy o słoniu, którego kły były tak duże, że dotykały ziemi i zostawiały na jego drodze wyorane dwie duże bruzdy. Śmiał się z tej opowieści tak samo jak z tej o nosorożcu, który przed pięćdziesięcioma laty zabił arabskiego niewolnika i ma na rogu masywną złotą bransoletę wysadzaną drogimi kamieniami. Mówiło się, że bransoleta utkwiała tam, gdy nosorożec ubódł niewolnika. Istniało z tysiąc innych opowieści, od legendy o skarbach Salomona aż po domniemane cmentarzysko słoni. Flynn nie wierzył w żadną z nich.

Kiedys jednak mit ożył. Obozowali nad Zambezi na terytorium portugalskim.

Pewnego popołudnia wziął śrutówkę i poszedł z nadzieją, że upoluje jakiegoś ptaka.

Dwie mile od obozu zobaczył klucz szybko zbliżających się ptaków, schował się więc w trzcinach i obserwował, jak nadlatują. Kiedy były nad jego głową, wypalił ze strzelby i trafił pierwsze dwa ptaki, ale nie dane mu było zobaczyć, jak spadają na ziemię, zanim bowiem przebrzmiało echo wystrzału, ściana zarośli przed nim rozstała

się i pojawił

się słoń. Był to samiec wysoki na cztery i pół metra, tak stary, że uszy wystrzępiły mu się do połowy swojej normalnej wielkości. Skórę rzeźbiły wielkie bruzdy i zmarszczki, a na kolanach i pod brodą zwisał jej nadmiar jak pusty worek. Ze starości powypadały mu nawet wszystkie włosy z ogona.

Biegł z dziwnie odchylonym łbem. Flynn długo nie mógł uwierzyć w przyczynę tego kuriozalnego zachowania. Z obu stron szczęki wyrastały dwa identyczne kły, proste jak kolumny świątyni greckiej, bez żadnego przewężenia na całej długości: od paszczy aż do tępego końca. Pokryte były osadem koloru soku tytoniowego. Te niemal pięć metrów kości słoniowej mogło dotknąć ziemi, gdyby słoń na chwilę sobie pofolgował.

Wielki ssak minął zmrożonego niewiarygodnym widokiem Flynna o jakieś pięćdziesiąt metrów i zniknął w lesie. Pół godziny minęło, zanim Flynn dotarł do obozu, zamienił śrutówkę na wielką dubeltówkę Gibbs, porwał butelkę z wodą, zwołał swych myśliwych i wrócił nad rzekę.

Znaleźli ślady słońca i pod przewodnictwem Mohammeda biegłego w sztuce tropienia ruszyli w pogoń. Z początku prowadziły ich wielkie owalne odciski nóg, jakby ktoś szedł na szczudłach zrobionych z pni sporych drzew. Po przejściu pięciu mil zobaczyli jednak nowe ślady - dwie równoległe bruzdy rozcinające liście i trawę w miejscach, gdzie kły dotykały ziemi. Flynn zrozumiał, dlaczego ten stary słoń nazywany był Wielkim Pługiem.

Po trzech dniach zgubili trop w deszczu, ale przez lata Flynn jeszcze kilkanaście razy odnajdywał i gubił ślad podwójnej bruzdy, a raz nawet widział

starego samca przez lornetkę - stał w zagajniku drzew mauka z głową podpartą kłami, w odległości trzech mil. Kiedy Flynn dotarł do tego miejsca, słońca już nie było. Przez całe życie niczego nie pragnął tak obsesyjnie jak tych kłów.

Teraz wpatrywał się w milczeniu w ogień i czuł obezwładniającą żądzę, porównywalną tylko do pożądania, jakie odczuwał w stosunku do kobiet. To uczucie było jednak niepomierne silniejsze. W końcu podniósł oczy na zwiadowcę i rzekł

głucho:

- Jutro o świcie pójdziemy do wioski Yetu.

Mucha usiadła na policzku Hermanna Fleischera i pocierała przednie odnóża, jakby ciesząc się, że za chwilę będzie mogła do syta napić się potu, który skraplał się na twarzy Niemca. Zanim jednak zdążyła to zrobić, czarnoskóry żołnierz stojący za oparciem krzesła machnął ogonem zebry koło policzka komisarza z taką wprawą, że nie dotknął go nawet jednym włoskiem, a mucha przyłączyła się do aureoli innych jej podobnych, które krążyły dookoła głowy Hermanna.

Niemiec nie zwrócił uwagi na ten drobny incydent. Siedział na swoim krześle i patrzył na dwóch starych stojących na klepisku placu apelowego. Oczekiwali cierpliwie, aż Bwana Mkuba zareaguje na ich opowieść.

- Ilu zostało zabitych? - zapytał wreszcie Fleischer.

- Tylu, panie, co palców w obu twoich dłoniach - odparł starszy z naczelników wioski. - Ale to są tylko ci, których jesteśmy pewni. Być może są też inni.

Hermann interesował się liczbą ofiar nie z powodu poruszenia samym przejawem rytualnych morderstw, lecz dlatego, iż liczba ta była miarą powagi sytuacji - takie postęпки były zwykle wstępem do buntu. Zaczynał się on zwykle od kilkunastu mężczyzn spotykających się w świetle księżyca, przebranych w lamparcie skóry, z twarzami umalowanymi białą gliną. Prymitywnymi żelaznymi pazurami przymocowanymi do dłoni okaleczali rytualnie jakąś młodą dziewczynę, a potem pożerali określone kawałki jej ciała. Zdaniem Fleischera nie było to szkodliwe przedstawienie, ale gdy zdarzało się zbyt często, wywoływało w okolicy nastrój przemożnego strachu. To stwarzało klimat buntu. Kapłani w leopardzich skórach chodzili nocą z wioski do wioski, z pochodniami w ręku, i śpiewnym głosem dawali instrukcje ludziom drżącym ze strachu, zabarykadowanym w swoich domach. Tak właśnie było przed dziesięciu laty w Salito. Kapłani nakazali ludziom przeciwstawić się pobieraniu podatków, a oni ich posłuchali. Zaszlachtowany został komisarz i jego dwudziestu Askariów. Ich ciała pocięto na kawałki i ozdobiono nimi drzewa. Trzy miesiące później z Dar es Salaam wyruszył w kierunku Salito batalion niemieckiej piechoty. Palili wioski i strzelali do wszystkiego: mężczyzn, kobiet, dzieci, kur, psów i kóz. Ostateczna liczba ofiar może być jedynie szacunkowa, ale oficer dowodzący batalionem utrzymywał, że zabito dwa tysiące istot ludzkich. Prawdopodobnie przesadził, ale wzgórze Salito wciąż były miejscem, gdzie nie sposób było znaleźć ślady człowieka. Cały ten epizod był dla Fleischera irytujący i zbyt kosztowny. Komisarz nie życzył sobie podobnego wypadku podczas swojego urzędowania.

Opierając się na zasadzie, że zapobieganie jest lepsze niż leczenie, zdecydował, iż ruszy z własną pielgrzymką, by złożyć kilka ofiar według własnego obrządku. Zawołał

czarnoskórego sierżanta.

- Dwudziestu ludzi. Wyruszamy do wioski Yetu na Wzniesieniach Sania jutro przed świtem. Nie zapomnijcie sznurów.

34

W upalny dzień pory suchej pod rozłożystymi gałęziami dzikiego figowca na Wzniesieniach Sania stał słoń. Spał na stojąco z głową opartą na wielkich kłach, niczym staruszek, który drzemie z czujnie zamkniętymi oczyma, nigdy nie zapadając w stan zupełnej nieświadomości. Od czasu do czasu machał swymi postrzępionymi uszami, a wtedy stado much wzbijało się ponad jego głowę i napełniało powietrze bzy-czeniem skrzydeł.

Cztery mile od miejsca, gdzie drzemał słoń, trzech mężczyzn kroczyło zakrzaczonym wózem w kierunku jego krawędzi. Przewodził im Mohammed. Szedł

szybko, wpatrując się w ziemię lub rozglądając uważnie dookoła. Zatrzymał się w miejscu, gdzie ziemię zaścielała galaretowata, śmierdząca masa gnijących owoców mapundu. Spojrzał na dwóch białych i wskazał ślady odcisnięte w ziemi, a między nimi piramidę jasnego łajna.

- Zatrzymał się tu po raz pierwszy, by odpocząć od upału, ale nie spodobało mu się i poszedł dalej.

- Tak - zgodził się Flynn, ocierając pot z czoła krótkim rękawem koszuli. - Przejdzie przez krawędź.

- Skąd ta pewność? - spytał Sebastian głuchym szeptem.

- Chłodny wieczorny wietrzyk przyjdzie ze wschodu. Słoń przejdzie więc na tamtą stronę grzbietu - wyjaśnił Flynn niecierpliwie. - A teraz zapamiętaj, Bassie. To jest mój słoń, rozumiesz to? Spróbuj go tknąć, a jak mi Bóg miły, zastrzelę cię.

Skinął ręką na Mohammeda i ruszyli w górę stoku, postępując tropem biegnącym wśród obnażonych skał z szarego granitu i kolczastych zarośli. Krawędź grzbietu była mocno zaznaczona, ostra i postrzępiona niczym kręgosłup wygłodzonego wołu.

Zatrzymali się tuż pod nią, by zaczerpnąć oddechu. Flynn otworzył futerał, wyjął

lornetkę i przetarł szkła rąbkiem koszuli.

- Zostańcie tutaj! - rozkazał dwóm pozostałym mężczyznom, podczołgał się na brzuchu do samego szczytu, wychylił ostrożnie głowę i rozejrzał się. Pod nim Wzniesienia Sania opadały łagodnie kilkunastometrowym stokiem ku równinie.

Powierzchnia stoku była pocięta licznymi wąwozami i parowami, porośnięta ciemnymi kępami wybujałych krzaków, a gdzieniegdzie większymi drzewami.

Flynn oparł się wygodnie na łokciach, przytknął lornetkę do oczu i zaczął

przeglądać po kolei każdą kępę.

- Jest! - szepnął. Jedno z drzew rzucało wyjątkowo frapujący cień.

Opuścił lornetkę i otarł pot z czoła. Zamknął na chwilę oczy, by odpocząć od blasku i raz jeszcze uniósł lornetkę. Wpatrywał się dwie minuty, nim nabrał pewności. Słoń stał

pod figowcem, do połowy zakryty jego niższymi gałęziami. Spod korony drzewa wyrastały jakby dwa ukośne pnie, bo na gałęzie były zbyt grube. Flynn

wiedział, że to kły wielkiego słonia. Z wrażenia zaparło mu dech w piersiach.

- Tak! Tak! - powtarzał podekscytowany.

Flynn zaplanował wszystko bardzo starannie, tak by wykluczyć wpływ fatalnego losu, który nie sprzyjał mu przez minione dwadzieścia lat polowania na tego olbrzyma.

Zawrócił do Sebastiana i Mohammeda.

- Jest tam - powiedział.

- Mogę iść z tobą? - błagał Sebastian.

- Jeśli się zmieścisz do lufy - warknął na niego Flynn, zdejmując ciężkie buty i zakładając sandały, które podał mu Mohammed.

- Zostaniesz tutaj, dopóki nie usłyszysz mojego strzału. A spróbuj tylko wychylić nos z za grzbietu, to jak mi Bóg miły, odstrzelę ci go.

Podczas gdy Mohammed przywiązywał mu do kolan skórzane łątki, chroniące nogi podczas czołgania się przez ostre skałki i cierniste zarośla, Flynn odkorkował butelkę dzinu i pociągnął spory łyk.

Wychylił się jeszcze raz poza krawędź wzniesienia i spojrział w dół. Miał przed sobą milę czołgania się w trudnym terenie. Starał się zapamiętać charakterystyczne miejsca: większe zagłębienie, sporą żyłę białego kwarcu, drzewo przystrojone licznymi gniazdami. Z każdego z tych miejsc starał się zapamiętać swoją pozycję względem słonia. Wreszcie ześliznął się po zboczu i trzymając przed sobą strzelbę w zagięciu ramienia, rozpoczął mozolne czołganie się.

Po godzinie poprzez łądygi trawy zobaczył przed sobą granitową płytę, jakby nagrobek na starożytnym cmentarzu. Kanciasty kamień oznaczał koniec

czołgania.

Kiedy Flynn patrzył z góry, wybrał to miejsce jako najlepsze do oddania strzału. Kamień oddalony był od figowca o niecałe pięćdziesiąt metrów, nieco w prawo od słonia, Flynn mógł więc wyprostować się pod jego osłoną przed oddaniem strzału.

Poczuł, że ogarnia go przemożna chęć zobaczenia zwierzęcia, a jednocześnie strach, że może go tam nie być. Pokonał ostatni odcinek dzielący go od skały, oparł się o nią plecami i otworzył strzelbę. Wyjął z pasa dwa grube naboje i upewnił się, czy nie są uszkodzone. Włożył je do lufy i zatrzasnął ostrożnie broń, tak aby wywołać jak najmniej hałasu. Kciukiem odciągnął zamek. Przekręcił się na brzuch i uklęknął. Po raz pierwszy od godziny podniósł głowę i zaczął powoli się prostować. Przed oczyma przesuwała mu się ziarnista tekstura granitu, aż nagle ten obraz urwał się i wzrok Flynna przeskoczył o pięćdziesiąt metrów dalej.

Słoń stał bokiem, lecz głowę schował w koronie drzewa. Strzał w mózg był z tego miejsca niemożliwy. Flynn znalazł wzrokiem miejsce na brzuchu, gdzie powinien strzelić, by trafić w serce. Oparł broń na skale, przytknął kolbę do ramienia i spojrzał

wzdłuż obu luf. Zobaczył kawałek trawy, który przyczepił się nie wiadomo kiedy i utrudniał celowanie. Opuścił strzelbę i paznokciem usunął źdźbło. Raz jeszcze uniósł

broń i wycelował.

Ciemny brzuch słonia wyraźnie odcinał się od gałęzi figowca. Flynn wycelował

w dobrze znane miejsce i delikatnie, z lubością oparł palec na spuście.

Przytłumiony krzyk zmącił nagle ciszę upalnego

dnia. Dobiegał gdzieś spod wierzchołka.

- Flynn! Flynn!

Z nieprawdopodobną szybkością słoń wyskoczył spod drzewa, unosząc na sobie część gałęzi. Z podniesionym wysoko łbem błyskawicznie oddalał się od Flynnna. Ten stał wciąż za granitowym głazem, lufą śledząc drogę ucieczki swej wymarzonej zdobyczy. Zrozumiał, że szansa celnego strzału maleje z każdą sekundą, podbiegł więc do figowca, by stamtąd złożyć się ponownie i trafić słoń, gdy ten umykając krętą ścieżką w dół zbocza, będzie musiał skręcić w jego kierunku.

Okropny ból przeszył mu nogę. W gorączce polowania nie zauważył okazałego bawolego kolca. Miękka podeszwa sandała nie stępiła rośliny i ośmiocentymetrowy szpikulec wbił się w ciało Flynnna, który jęknął z bólu i przyklęknął. Dwieście metrów dalej stary słoń zniknął wśród drzew.

- Flynn! Flynn!

Szlochając z bólu i wściekłości, rozczarowany pogromca słońsi usiadł w trawie i czekał, aż Sebastian zejdzie.

- Pozwolę mu podejść naprawdę blisko - powiedział do siebie.

Sebastian zbiegał zboczem dziwacznymi długimi susami. Spieszył się tak, że zgubił

po drodze kapelusz i czarne loki podskakiwały w rytm jego kroków.

- Wpakuję mu to w brzuch - zdecydował Flynn i spojrzał na strzelbę leżącą obok. -

Oba naboje!

Sebastian dostrzegł teścia i skręcił w jego

stronę. Flynn chwycił broń.

- Ostrzegałem go. Mówiłem, że to zrobię - szeptał do siebie bezwiednie, opierając palec wskazujący na spuście.

- Flynn! Niemcy! Cała armia. Są tuż za szczytem tego wzgórza. Idą w naszym kierunku.

- Chryste! - Flynn natychmiast zapomniał o swych zbrodniczych planach.

35

Unosząc się w strzemionach, Hermann Fleischer obiema rękami masował

najbardziej obolałe części swego ciała. Były nimi pulchne pośladki, kobieco kształtne, miękkie i delikatne. Po pięciu godzinach w siodle Fleischer dał im wreszcie odpocząć.

Właśnie przekroczył na ośle grzbiet Wzniesień Sania i teraz stał w cieniu rozłożystego figowca, rozkoszując się chłodem. Przez chwilę walczył z pokusą dogodzenia sobie i odwrócił się do swego oddziału, by wydać rozkaz. Dwudziestu Askariów wpatrywało się w niego z napięciem, łaknąc pozwolenia na rozłożenie się tutaj i odpoczynek.

„Oż wy leniwe psy!” - pomyślał Fleischer, gdy popatrzył na ich błagalne miny.

Znowu odwrócił się do nich plecami, ostrożnie umieścił w siodle obolały tyłek i krzyknął: - Akwende! Ruszamy!

Spomiędzy gałęzi figowca trzy metry przed głową Niemca, patrząc ponad lufami swego karabinu, Flynn

O'Flynn obserwował odmarsz oddziału aż do momentu, kiedy ten zniknął het, daleko w buszu. Wtedy dopiero opuścił broń.

- Uff! Mało brakowało. - Głos Sebastiana dobiegł z liściastej gęstwiny w koronie figowca.

- Gdyby dotknął stopą ziemi, odstrzeliłbym mu tę pieprzoną głowę - powiedział

zapalczywie Flynn, jakby złoszcząc się, że przepuścił dogodną po temu okazję. - No dobra, Bassie, zdejmij mnie z tego drzewa strachu.

Flynn usiadł, oparł się o pień drzewa i wyciągnął nie obutą prawą nogę w kierunku Sebastiana.

- Miałem go już na celowniku - zasepił się.

- Kogo?

- Tego słonia, idioto. Pierwszy raz miałem go tak blisko. I wtedy... Au! Co robisz, do cholery?

- Próbuję wyciągnąć kolec, Flynn.

- A ja mam wrażenie, że wbijasz go młotkiem.

- Nie mogę chwycić dobrze końca.

- To wyciągnij go zębami. To jedyny sposób.

Sebastian odsunął się bezwiednie na myśl o tym sposobie.

Popatrzył na stopę Flynnna. Była duża. Zdobiło ją kilka narośli, strzępy schodzącej skóry zwieszały się tu i ówdzie, a pomiędzy palcami widać było ciemną substancję.

Z odległości metra Sebastian czuł jej zapach.

- Czy nie mógłbyś dosięgnąć tego swymi własnymi zębami? - zaproponował.

- Myślisz, że jestem jakimś przeklętym akrobatą?

- Mohammedzie? - Sebastian z nadzieją spojrział na czarnoskórego myśliwego.

W odpowiedzi stary wyszczerzył bezzębne dziąsła.

- No tak - zgodził się Sebastian. - Rozumiem, o co ci chodzi. - Z powrotem przeniósł

wzrok na brudną stopę. Przełknął głośno ślinę i skrzywił się z obrzydzeniem.

- No, wyciągnijże to - ponaglił go Flynn.

Sebastian ocknął się z odrętwienia i przyklęknął. Po chwili dał się słyszeć wrzask i młodzieniec zerwał się na równe nogi, z siłą eksplozji pozbywając się ciernia z ust.

Drapieżnie chwycił butelkę dzinu, którą podał mu Mohammed, i na dłuższą chwilę wpił się w nią ustami. Flynn jednak czuwał.

- Nie przesadz z tym, Bassie - powiedział, zabierając mu butelkę i przykładając do swoich ust. Dzin zdawał się napełniać Flynnowe zbiorniki złości, bo kiedy stary pijak przemówił, w głosie miał znowu ogień.

- Ten cholerny oślizły kiełbasożerny ślimak zepsuł mi najlepszą szansę, jaką kiedykolwiek miałem na ustrzelenie tego słonia. - Przerwał dla nabrania oddechu. -

Chciałbym mu zrobić coś naprawdę wstrętnego, na przykład... - szukał w myślach najlepszego sposobu, by obrzydzić życie Fleischerowi. - Na Boga! - Grymas nienawiści zmienił w rozkoszny uśmiech. - To jest to!

- Co? - spytał zaalarmowany Sebastian. Był pewien, że zostanie zmuszony do udziału w tym rewanzu.

- Pójdziemy... - Flynn zawiesił głos - ...do Mahenge!
- Na Boga, toż to niemiecka kwatera główna!
- Tak - przyznał zadowolony z siebie Flynn. - Bez komisarza, bez Askariów, bez nikogo, kto by jej bronił.

36

Uderzyli na Mahenge dwie godziny przed świtem, kiedy to ludzie mają najmniej sił

witalnych. Kapral i jego pięciu Askariów, pozostawieni dla ochrony kwatery głównej, nie bronili się bohatersko. Tak naprawdę obudziły ich brutalne i sprawiedliwie rozdzielane kopniaki Flynnowych buciorów. Kiedy zupełnie oprzytomnieli, mogli stwierdzić, że siedzą za kratami więzienia, którego zwykle byli strażnikami. Ofiary wśród napastników były niewielkie, właściwie jedna tylko i był nią oczywiście Sebastian Oldsmith, który w gorączce walki wpadł całym pędem w półotwarte drzwi.

Na szczęście, jak zauważył Flynn, uderzył w nie głową, bo w przeciwnym razie mógłby sobie zrobić krzywdę. O świcie odzyskał jednak przytomność w samym środku orgii wandalizmu, jaką uskuteczniali jego towarzysze.

Zaczęli w biurze komisarza. Tam właśnie stała wmurowana we wnękę w ścianie olbrzymia kasa pancerna.

- Najpierw otworzymy to - wskazał na nią Flynn. - Rozejrzyj się za jakimiś narzędziami.

Sebastian przypomniał sobie kuźnię na końcu placu

apelowego. Wrócił stamtąd z oburęcznym młotem kowalskim i potężnym łomem.

Dwie godziny później pocili się i klęli wśród gęstego kurzu, który wypełniał

pomieszczenie. Wyrwany ze ściany sejf leżał na środku pokoju. Trzech ludzi na zmianę waliło w niego wielkim młotem, ale z coraz mniejszym entuzjazmem, gdyż nie było widać żadnych efektów ich morderczej pracy. Sebastianowi, który pracował łomem przy stalowych zawiasach, udało się zrobić kilka sporych zadrapań na powierzchni sejfu. Flynn siedział za biurkiem komisarza i z rosnącą wściekłością patrzył na poczynania swych ludzi. Jego udział w otwieraniu sejfu ograniczył się do opróżnienia do połowy butelki sznapsa, którą znalazł w biurku.

- To na nic. - Sebastian odsunął ze spoconego czoła przyklepione doń loki i roztarł

pęcherze na dłoniach. - Zostawmy to.

- Odsunąć się - ryknął Flynn. - Zaraz otworzę tę przeklętą szafę. - Wstał z krzesła, ściskając w dłoniach swego dwu-lufowego gibbsa.

- Poczekaj! - krzyknął Sebastian i razem z pozostałymi czmychnął z biura.

Huk wystrzału wstrząsnął barakiem. Dym spalonego prochu mieszał się z zawiesiną kurzu w pomieszczeniu. Pociski odbiły się rykoszetem od szafy pancерnej i zostawiły na powierzchni dwa rozmazane ślady ołowiu. Liczne odłamki powbijały się w ściany, podłogę i meble.

Ten wybuch rozładował złość Flynna do tego stopnia, że Amerykanin zupełnie stracił zainteresowanie sejfem.

- Chodźmy poszukać czegoś do jedzenia -

powiedział miękko, zrezygnowany, i poprowadził wszystkich do kuchni.

Kiedy odstrzelił zamek spiżarni, ich oczom ukazał się sezam: z sufitu zwieszały się szynki, balerony i kiełbasy, na podłodze i półkach stały beczki z marynowanym mięsem, kręgi sera, skrzynki piwa Hansa, skrzynki prawdziwego koniaku, piramidy z puszek trufli, krewetek, szparagów, grzybków, oliwek w oliwie, pasztetów i innych frykasów.

Dłuższą chwilę patrzyli na ten przepych w niemym zachwycie, po czym wszyscy naraz weszli do skarbca Hermanna Fleischera i raczyli się według własnych upodobań.

Myśliwi wytoczyli beczkę z marynowaną wieprzowiną, Sebastian dobrał się nożem do puszek, a Flynn napoczął skrzynkę ze Steinhagerem.

Po dwóch godzinach nikt już nie mógł nic w siebie wcisnąć.

- Dobrze by było przygotować się do wymarszu - zaproponował Sebastian i beknął

cicho. Flynn potakująco skinął głową, pakując po kieszeniach butelki Steinhagera.

- Yp! Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy Hermann Fleischer wróci do domu. -

Spojrzał na Mohammeda. - Zrób zapasy dla wszystkich naszych chłopców. Czego nie zdołamy zabrać, utopimy w latrynie. Przed wyruszeniem w drogę osobiście sprawdzę, czy nie zapomnieliśmy o niczym ważnym - rozkazał i wyszedł uroczystym krokiem.

W biurze Fleischera stał minutę, zastanawiając się, co zrobić z szafą pancerną. Była z pewnością zbyt ciężka, by zabrać ją ze sobą. Z braku pomysłów

Flynn rozejrzał się za czymś, co mogło dać upust jego złości. Wzrok jego padł na wielki portret kajzera w pełnej gali, dosiadającego pięknego rumaka kawaleryjskiego. Flynn wyciągnął

z szuflady ołówek kopiowy i kilkunastoma kreskami zmienił zasadniczo stosunek cesarza do konia. Potem chichocząc napisał na wybielonej ścianie poniżej portretu: Kajzer kocha konie.

Ten błyskotliwy dowcip tak zachwycił Flynną, że czuł się zobowiązany podzielić się nim ze wszystkimi.

- To jest to, co ty nazywasz subtelnością, Bassie. Wszystkie dobre żarty są subtelne.

Sebastian uważał, że te bohomy są subtelne jak szarża rozwścieczonego nosorożca, ale zmusił się do śmiechu. To zachęciło Flynną do kolejnego psikusa. Kazał

dwóm ludziom przynieść z latryny pełne wiadro jej zawartości i postawić w lekko uchylonych drzwiach sypialni dostojnego komisarza.

Godzinę później ciężko obciążeni piechurzy rozpoczęli pierwszy dzień forsownego marszu w kierunku Rovumy.

37

Wśród wybuchów wściekłości, potęgowanej wciąż nowymi dawkami adrenaliny przy odkrywaniu kolejnych strat, Fleischer miotał się po swym spustoszonej obozie, dysząc ciężko. Najpierw polecił wyrąbać dziurę w ścianie więzienia, by uwolnić z niego Askariów. Zaraz potem kazał wypłacić im po

dwadzieścia batów. Widok otwartych ran na ciele żołnierzy uspokoił go nieco.

Łagodzące działanie oglądania chłosty pry snęło jednak, gdy wszedł do spiżarni i stwierdził, że zapasy zbierane z takim trudem, wśród wielu wyrzeczeń, będące jego dumą i radością, pozostaną już tylko w sferze wspomnień. Ten cios był zbyt silny.

Podbródek Fleischera zaczął drgać nerwowo, a na wspomnienie straconych smakołyków komisarz z nostalgią przełknął ślinę. Miesiąc zajmie mu odnowienie zapasów samej kiełbasy, a Bóg jeden wie, jak długo potrwa sprowadzenie serów z Vaterlandu.

Ze spiżarni poszedł do biura i tam zetknął się z subtelnościami Flynna, ale miał

widać inne poczucie humoru.

- Parszywa świnia, angielski bękart - wymamrotał nienawistnie i bezsilnie opadł na krzesło. Zdawał sobie sprawę, że mając dwa dni straty, w żaden sposób nie zdoła dopaść tamtych, zanim dotrą do Rovumy. Gdyby tylko gubernator Schee pozwolił mu przekroczyć z Askariami rzekę na jedną noc i złożyć wizytę społeczności Lalapanzi, to następnego ranka nie byłoby nikogo, kto mógłby złożyć skargę do rządu portugalskiego o naruszenie granicy.

Fleischer westchnął ciężko. Był zmęczony i przygnębiony. Chciał natychmiast położyć się do łóżka i odpocząć przed czekającym go porządkowaniem obozu. Wyszedł

z biura, poczłapał do swej kwatery i pchnął drzwi.

Jako że sypialnia tymczasowo nie nadawała się do zamieszkania, Hermann spędził

tę noc na powietrzu. Nie dane mu było jednak odpocząć; nękał go sen, w którym gonił

Flynna po bezkresnej równinie i wciąż nie mógł zmniejszyć ani o jotę odległości między nimi. Nad jego głową krążyły dwa ptaki - jeden z surową twarzą gubernatora Schee, drugi z obliczem tego młodego angielskiego bandyty. Regularnie, raz jeden, raz drugi, ptaki wypróżniały się na niego. Po doświadczeniach minionego popołudnia koszmarowi temu towarzyszyły wyjątkowo realistyczne omamy węchowe.

Kiedy jeden z osobistych służących obudził delikatnie Fleischera, ten usiadł na łóżku, czując ból w czaszce i obrzydliwy smak w ustach.

- Co jest? - wycharczał.

- To tragarz z Dodomy. Przyniósł książkę z czerwonym znakiem, który postawił

Bwana Mkuba.

Hermann jęknął. Koperta z pieczęcią gubernatora Schee oznaczała zwykle kłopoty.

Ale przecież gubernator nie mógł tak szybko dowiedzieć się o najnowszych wyczynach Flynna O'Flynna.

- Przynieś kawy!

- Nie ma kawy, panie. Została zrabowana.

Hermann znowu jęknął.

- No cóż. Przyprowadź w takim razie posłańca. - Postanowił stawić czoło naganom gubernatora bez poprawiania samopoczucia filiżanką kawy. Złamał pieczęć i zaczął

czytać:

4 sierpnia 1914 roku

Siedziba Rezydenta, Dar es Salaam Do Komisarza Południowej Prowincji w Mahenge Szanowny Panie!

Obowiązkiem moim jest poinformować Pana, że pomiędzy Cesarstwem Niemieckim a rządami Wielkiej Brytanii, Francji, Rosji i Portugalii panuje stan wojny.

Niniejszym zostaje Pan mianowany tymczasowo dowódcą wojskowym Południowej Prowincji Niemieckiej Afryki Wschodniej, z rozkazem podejmowania wszelkich działań, jakie uzna Pan za niezbędne, by chronić naszą granicę i nękać wroga.

We właściwym czasie oddziały wojskowe, obecnie zgrupowane w Dar es Salaam, zostaną rozlokowane na Pańskim terenie. Obawiam się jednak, że z realizacją tego zamierzenia trzeba będzie nieco poczekać.

Do tego czasu musi Pan operować siłami, które w tej chwili ma Pan do dyspozycji.

List był o wiele, wiele dłuższy, ale Fleischer czytał dalsze szczegółowe instrukcje bardzo pobieżnie. Zapomniał o bólu głowy, zniknął gdzieś obrzydliwy smak, a to dzięki wojowniczemu nastrojowi, który budził się w nim powoli. Na pulchnym obliczu zagościł złowrogi uśmiech.

- Ja, O'Flynn. Odpłacę ci teraz za to wiadro.

Wrócił do pierwszej strony listu i bezgłośnie poruszając ustami, przeczytał:...podejmowania wszelkich działań, jakie uzna Pan za niezbędne, by chronić naszą granicę i nękać wroga.

Wreszcie. Wreszcie miał rozkaz, o który błagał tyle razy. Zawołał sierżanta.

- Może wróca do domu dziś w nocy - rzekła Rosa, podnosząc wzrok znad kaftanika, który właśnie haftowała.

- Dziś w nocy albo jutro, albo pojutrze - odparła Nanny filozoficznie. - Nie ma żadnego pożytku ze zgadywania, kiedy wróca mężczyźni. Oni wszyscy mają robaki w głowie. - Wróciła do przerwane go bujania kołyską, gdyż dziecko niespokojnie poruszyło się przez sen.

- Jestem pewna, że to będzie dzisiaj w nocy. Czuję to... Wydarzy się coś dobrego. -

Rosa odłożyła robótkę i podeszła do drzwi wychodzących na sawannę. W ciągu minionych kilku minut słońce skryło się za drzewami i zapadł krótki afrykański zmierzch. Wyszła przed dom, objęła się ramionami dla ochrony przed chłodem i drżąc z zimna, wpatrywała się w pograżoną już w mroku dolinę. Stała tak, czekając cierpliwie na jakiś znak, aż nastąpiła ciemność nocy, a wraz z nimi opadły Rosę jakieś niejasne złe przeczucia.

- Zapal lampy, Nanny - powiedziała wreszcie.

Usłyszała za sobą chrobotanie szkła o metal, zobaczyła błysk zapalanej zapałki i po chwili żółta plama światła pojawiła się na werandzie i oświetliła stopy Rosy.

Pierwszy podmuch silnego wiatru owionął jej nagie ramiona. Przebiegł ją dreszcz, ale wpatrywała się uparcie w ciemność, dopóki nie rozmyły się w niej pnie drzew figowych rosnących na łące nie opodal. Wtedy nagle odwróciła się na pięcie, weszła do domu i opuściła sztabę blokującą drzwi od wewnątrz.

Obudziły ją ciche jęki Marii. Księżyc był w nowiu

i pokój tonął w ciemnościach.

Rosa przypominała sobie popołudniowe przeczucia i wytężyła słuch, lecz nie usłyszała nic szczególnego. Poczuała się malutka, samotna i zagubiona w tym wszechwładnym mroku.

Strwożona uniosła moskitierę i sięgnęła do kołyski. Niemowlę poruszyło się nerwowo, gdy przenosiła je do swego łóżka, lecz szybko zasnęło, ukojone smakiem matczynej piersi. Ciepło małego człowieczka uspokoiło też Rosę.

Obudziły ją krzyki na dworze. Otworzyła oczy, ciesząc się, że to nawoływania myśliwych Sebastiana. Szybko wyskoczyła z łóżka z dzieckiem przy piersi.

Zorientowała się, że pokój już nie jest pogrążony w ciemnościach. Przez okno wpadała czworokątna luna. Usłyszała głosy na zewnątrz. Ku jej zdumieniu nie były to jednak powitalne okrzyki, lecz jakieś gardłowe rozkazy, szepty i nawoływania. Podeszła powoli do okna, jakby bojąc się tego, co może przez nie zobaczyć, ale zanim przez nie wyjrzała, dobiegł ją od strony budynków gospodarskich krzyk przerażenia i bólu, który wibrował w powietrzu długo po tym, jak urwał się nagle.

- Miłosierny Boże! - szepnęła Rosa i zmusiła się, by spojrzeć przez okno.

Budynki należące do służby i wszystkie inne chaty płonęły, rzucając czerwono-żółtą lunę. W jej blasku dostrzegła mężczyzn, wielu mężczyzn ubranych w niemieckie mundury koloru khaki. Każdy z nich miał karabin, a na jego końcu bagnet, którego ostrze błyszczało złowrogo w świetle pożarów.

- Przekroczyli rzekę. Och, nie, proszę, Boże, nie! - wyszeptała Rosa, mocniej przycisnęła do siebie dziecko i przykucnęła za parapetem.

Znowu ktoś krzyknął, tym razem słabiej, i Rosa zobaczyła czterech Askariów kłębiących się nad kimś, kto wił się na ziemi. Usłyszała śmiech mężczyzn podekscytowanych perspektywą mordu i dostrzegła błyskające bagnety.

W tym momencie inny służący wyskoczył z płonącej chaty oślepiiony gryzącym dymem. Askariowie porzucili dogorywającego człowieka i złapali tego drugiego. Wśród salw śmiechu obracali go przez chwilę jak ciuciubabkę i pchnęli z powrotem w ogień.

Oszołomiony, zastraszony służący stanął i rozejrzał się trwożliwie wokół siebie, Askariowie zaś otoczyli go i zatłukli kolbami karabinów.

- Och, Boże, nie! - szepnęła Rosa, lecz nie mogła oderwać wzroku od straszliwego przedstawienia.

Nagle ponad wrzawą usłyszała silniejszy głos. Nie potrafiła zrozumieć niemieckich słów, ale zza rogu pawilonu wyłonił się zwalisty biały człowiek w niebieskim mundurze Niemieckiej Służby Kolonialnej, w garbatym hełmie mocno naciągniętym na czoło i z pistoletem w prawicy. Z opisu, który przedstawił jej Sebastian, rozpoznała Hermanna Fleischera.

- Powstrzymaj ich!- szepnęła Rosa cicho. - Nie pozwól im palić i mordować.

Biały krzyknął coś do Askariów i odwrócił twarz w stronę pawilonu. Rosa pomyślała, że ta pulchna twarz mogłaby należeć do jakiegoś przerośniętego niemowlaka. Jedynie duże krople potu na czole nie kojarzyły się z dzieckiem.

- Powstrzymaj ich. Proszę, powstrzymaj ich - błagała cicho Rosa.

Komisarz wydał rozkaz i trzech Askariów

przyniosło płonące pochodnie. Inni porzucili ciała dogorywających służących i przyłączyli się do swych kamratów otaczających kręgiem pawilon. Większość żołnierskich bagnetów umazana była świeżą krwią.

- Chcę Finiego i Singesa, a nie tragarzy i kłusowników. Chcę białych! Wykurzyć ich ogniem! - ciskał się Fleischer. Rosa wyłowiła spośród szczekanych jakby słów imię swojego ojca i zapragnęła wyć z bezsilnej złości, że nie ma go tu w tej chwili.

Trzech Askariów podbiegło do pawilonu i każdy z nich cisnął zapaloną pochodnię na kryty strzechą dach.

„Muszę wynieść stąd dziecko, nim uwiężą nas płomienie” - pomyślała Rosa i pobiegła przez pokój na korytarz. Było w nim zupełnie ciemno, a więc po omacku wzdłuż ściany doszła do drzwi, odsunęła zasuwę i lekko uchyliła skrzydło. Przez szparę zobaczyła ciemne mundury Askariów u podnóża płonących schodów. Wyjście tędy było niemożliwe.

- Okna w kuchni - powiedziała do siebie. - Są najbliżej buszu. To jedyna szansa.

Słyszała nad głową trzaskanie płonącej strzechy i poczuła w nozdrzach zapach dymu.

- Żeby tylko mogła dotrzeć do buszu - szeptała desperacko. Maria zaczęła płakać.

- Cicho, kochanie, bądź cicho - uspokajała Rosa, lecz głos drżał jej ze strachu. Mała jakby to wyczuła. Zwykły płacz zmienił się w rozdzierające serce zawodzenie.

Przez otwarte kuchenne okno Rosa zobaczyła żołnierzy Fleischera. Stali w kręgu światła rzucanego przez płonący dom. Poczuła, jak ze strachu jej żołądek zmienia się w twardą kulkę. Nogi jej

zmiękły i cała zaczęła drżeć jak w febrze. Z głębi pawilonu, za plecami, usłyszała potworny huk - część płonącego dachu zvaliła się na podłogę, wzbijając w powietrze snop ognia i iskier. Przez chwilę krąg światła na polanie rozszerzył się i Rosa zobaczyła za plecami oprawców znajomą postać, skaczącą na skraju buszu jak czarna małpka.

- Mała Długowłosa! Mała Długowłosa! - usłyszała głos Nanny.

Staruszka uciekła zaraz na początku ataku. Czekając na Rosę ukryta w krzakach, lecz gdy zawalił się dach, nie wytrzymała. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, próbowała wrócić. Askariowie, zaaferowani okrzykiem, rzucili się w jej stronę. Starannie uformowany kordon pękł, tworząc w jednym miejscu sporą furtkę. Nagle droga do zbawionego buszu stanęła przed Rosą otworem. Teraz miała szansę, bardzo nikłą szansę, wynieść dziecko bezpiecznie. Pchnęła okno na oścież i zeskoczyła na ziemię.

Rozejrzała się szybko. Kilku zaaferowanych Murzynów biegło na prawo od niej. Jeden z nich dogonił staruszkę i pchnął ją w plecy bagnetem. Nanny rozłożyła ręce i przez chwilę wydawało się Rosie, że widzi szpic śmiercionośnego ostrza dziwnie sterczący z wątlej piersi żony Mohammeda. Rosa rzuciła się pędem w kierunku ściany buszu.

Miała do przebycia niecałe pięćdziesiąt metrów, z płaczącą Marią w ramionach. Krzyk małej zaalarmował Askariów. Jeden z nich wrzasnął coś i cała grupa żołnierzy podekscytowanych mordowaniem zwróciła się w jej stronę. Zmysły Rosy były tak wyostrzone przerażeniem, że zdawało się, iż czas zwolnił bieg. Każdy krok trwał

straszenie długo, jakby poruszała się w wodzie

sięgającej do pasa. Koszula nocna plątała jej się wokół kostek, a kamienie i kolce roślin boleśnie raniły nagie stopy. Zbawcza ściana zarośli zdawała się nie przybliżać, gdy biegła bez tchu z piersią ściśniętą przerażeniem. Kątem oka zobaczyła zwalistego Murzyna mknącego długimi susami niczym pawian. Rosa krzyknęła z przerażenia i skręciła w bok. Teraz biegła równoległe do ściany buszu, a za plecami słyszała coraz wyraźniej tupot rozwrzeszczanych żołnierzy.

Poczuła rękę chwytającą ją za ramię. Wyrwała się i oślepią strachem zawróciła w stronę płonącego domu. Zdażyła przebiec kilkanaście kroków. Przez cienką bieliznę poczuła ciepło płomieni i w tej samej chwili otrzymała cios w plecy kolbą karabinu.

Upadła na kolana, wciąż przytulając kurczowo Marię.

Otoczyła ją zgraja rozwrzeszczanych żołdaków - mur czarnych ciał i twarzy wykrzywionych żądzą krwi. Ten, który zdzielił ją kolbą, pochylił się i nim Rosa zrozumiała jego zamiary, wyrwał jej z rąk dziewczynkę i odsunął się, szczerząc zęby w szaleńczym uśmiechu. Złapał dziecko za kostki i bujał nim lekko. Delikatna twarzyczka Marii zrobiła się purpurowa.

- Nie, proszę, nie! - błagała Rosa, czołgając się w kierunku Murzyna. - Oddaj mi ją.

Moje maleństwo. Oddaj mi ją, proszę. - Uniosła ramiona w błagalnym geście.

Oprawca machał zwodniczo dzieckiem tuż przed nosem Rosy, cofając się, w miarę jak podpełzała. Pozostali rechotali tuż nad jej głową. Przepychali się jeden przez drugiego, by nie uronić nic z widowiska.

Nagle Murzyn z dzikim krzykiem cisnął Marię w kierunku płonącego pawilonu.

Krucze ciało poszybowało wysoko w powietrzu, koziółkując niczym lalka.

Dziewczynka spadła na płonący dach, jej ubranko natychmiast zajęło się ogniem.

Sturlała się nieco po pochyłości i znikła w płonącej dziurze. Wtedy po raz ostatni Rosa słyszała jej płacz. Nigdy nie miała go zapomnieć.

Askariowie zamarli w przerażeniu i cofnęli się o krok. Rosa, wciąż klęcząc, patrzyła oniemiała na dom, z którego pozostały tylko płonące zgliszcza, zasłoniła twarz rękoma i upadła na ziemię. Murzyn, który rzucił w ogień Marię, stanął nad Rosą i wycelował

karabin w jej głowę. Nie zdążył nacisnąć spustu. Hermann Fleischer trafił go strzałem w potylicę.

- Głupi psie! - krzyknął nad ciałem Askaria komisarz. - Mówiłem, że macie je wziąć żywcem.

Dyszac ciężko po krótkim biegu zwrócił się do Rosy.

- Fraulein, proszę o wybaczenie - rzekł szarmancko; z niezgrabną kurtuazją zdjął

garbate nakrycie głowy i dodał po niemiecku: - Nie wojujemy z kobietami i dziećmi.

Rosa nie spojrzała na niego. Płakała, skrywając twarz w dłoniach.

wymamrotał Flynn, ściskając w dłoniach emaliowany kubek z gorącą kawą. Siedział na posłaniu, w którym spał

jeszcze kilka minut wcześniej.

Po drugiej stronie ogniska Sebastian podniósł oczy znad swojego kubka i podążył

wzrokiem w stronę, w którą patrzył jego kompan. Łuna rozjaśniała horyzont niby jutrzienka i oświetlała wzgórza przed sobą, tak że zdawały się być o wiele bliżej niż w rzeczywistości. Gdzieś tam właśnie było Lalapanzi, a w nim Rosa i Maria.

Bez specjalnego zainteresowania Sebastian przyglądał się nikłemu blaskowi migoczącemu w jednym miejscu nad krawędzią wzgórza.

- Niezbyt duży - powiedział.

- Owszem. Mam nadzieję, że się nie rozprzestrzeni - rzekł Flynn i siorbnął głośno.

Sebastian wpatrywał się tępo w łunę, która wraz z nastaniem świtu zbladła i zniknęła.

- Lepiej ruszajmy. Mamy przed sobą długą drogę, a już dość czasu zmarnowaliśmy na tej wycieczce.

- Cholernie świerzbia cię nogi, gdy tylko zbliżamy się do uciech domowych pieleszy - zakpił Flynn, ale na myśl, że niedługo zobaczy wnuczkę, szybko dopił kawę.

Sebastian miał słuszość. Zmarnowali mnóstwo czasu w drodze powrotnej z płądowania Mahenge.

Najpierw nadłożyli drogi, by ominąć wioskę M'topo. Zaprzyjaźniony naczelnik jednej z wiosek ostrzegł ich, że są tam niemieccy Askariowie. Musieli więc przez trzy dni wędrować w górę rzeki, zanim znaleźli miejsce bezpieczne do przepłynięcia i

wioskę, w której mogli wynająć czółna. Następnie doświadczyli starcia z hipopotamem, co kosztowało ich prawie tydzień. Zgodnie z przyjętymi zwyczajami cztery łódki wylądowane były do granic możliwości. Niosły na swych pokładach Sebastiana, Flynna, kilku jego myśliwych, wyposażenie, łupy i wioślarzy. Ponad powierzchnią wody pozostawało zaledwie kilkanaście centymetrów wolnej burty.

Bystry prąd rzeki zdryfował znacznie czółna, tak że zbliżały się do portugalskiego brzegu na wysokości wioski M'topo. Byli już blisko celu, gdy podróż zakłóciło pojawienie się hipopotamicy.

Była to stara samica, która kilka godzin wcześniej urodziła cielaka na wąskiej trzciniastej wysepce oddzielonej od lądu pięćdziesięcioma metrami wody porośniętej lilią. Cztery kanu wpłynęły jedno po drugim do tego kanału. Wioślarze śpiewnie skandowali rytm, szczęśliwi, że są na miejscu. Samica uznała, że to zamach na jej potomstwo i wpadła w histerię.

Dwutonowy hipopotam w ataku hysterii ma siłę niszcząca porównywalną z huraganem pośledniej mocy. Samica wypłynęła gwałtownie pod pierwszą łodzią i cisnęła Sebastiana, dwóch myśliwych, czterech wioślarzy i sporo ekwipunku na trzy metry w powietrze. Kadłub nadżarty przez robaki rozpadł się na dwoje i zatonał

błyskawicznie. Hipopotamica potraktowała z podobnym zapamiętaniem pozostałe kanu i po kilku minutach kanał usłany był pływającymi szczątkami ekwipunku i miotającymi się w panice ludźmi. Na szczęście do brzegu było niespełna trzydzieści metrów. Sebastian dotarł doń pierwszy, lecz pozostali byli niewiele za nim. Wszyscy wyrwali w głąb lądu, jakby był to start do jakiegoś biegu

przełajowego po sawannie, a to z tej przyczyny, że hipopotamica, niezadowolona z pogromu flotylli, postanowiła schrupać kilku intruzów swymi ogromnymi szczękami. Po stu metrach zawróciła, strzygąc małymi uszami i parskając triumfująco, a pół mili dalej rozbitkowie przestali uciekać.

Spali tej nocy bez broni, jedzenia i koców. Następnego ranka, po burzliwej naradzie wojennej, postanowili wysłać Sebastiana, by sprawdził, czy hipopotamica wciąż kontroluje przesmyk. Wrócił pędem, aby oznajmić, że i owszem.

Następne trzy dni czekali z nadzieją, że para hipopotamów pójdzie sobie dokądś.

W tym czasie doświadczali zimnych nocy i głodnych dni, lecz największa bieda wynikła z faktu, że skrzynka z dżinem leżała na dnie kanału, dwa i pół metra pod powierzchnią wody. Trzeciego dnia Flynn popadł w delirium tremens. Sebastian właśnie szykował się do porannego rekonesansu przesmyku, gdy Flynn gorączkowo poinformował go, że siedzą mu na głowie trzy niebieskie skorpiony. Sebastian początkowo przestraszył się mocno, lecz już po chwili ze stoickim spokojem zdejmował wyimaginowane stawonogi i rozdeptywał je z zapamiętaniem. To uspokoiło Flyna.

Sebastian wrócił znad rzeki z wieścią, że hipopotamy opuściły wyspę i można zacząć akcję ratunkową. Protestował nieśmiało i mówił coś o krokodylach, gdy przepasano go liną i pchnięto do wody. Przy pierwszym nurkowaniu przywiązał linę do skrzynki z dżinem. Skrzynkę wydobyto na brzeg.

- Błogosławiony z ciebie chłopak, Bassie - mruzczał Flynn, gorączkowo odkorkowując butelkę. Do następnego poranka Sebastian wydobył prawie cały ekwipunek i łupy, a że nie zjadły go krokodyle,

wszyscy razem ruszyli do Lalapanzi.

To był ich ostatni postój przed przybyciem do domu. Sebastian czuł narastającą niecierpliwość, chciał być już z Rosą i małą Marią. Wieczorem powinni dotrzeć do Lalapanzi.

- No już, chodźmy, Flynn. - Łyknął resztę kawy razem z fusami, odrzucił koc i krzyknął do Mohammeda i pozostałych, którzy grzali się przy drugim ognisku: -

Safari! Ruszajmy.

Dziewięć godzin później, pośród umierającego dnia, Sebastian wspiał się na szczyt ostatniego wzgórza i zatrzymał się na chwilę.

Cały dzień szedł gnany niecierpliwością, a więc kolumna ciężko obciążonych kompanów została daleko w tyle. Teraz stał samotnie i bezmyślnie gapił się na zgliszcza Lalapanzi, z których tu i ówdzie unosiły się cienkie smugi dymu.

- Rosa! - wrzasnął przerażony i ruszył pędem w stronę domu.

- Rosa! - krzyczał biegnąc przez zdeptaną polanę.

- Rosa! Rosa! Rosa! - odbijało się głośnym echem od strony buszu.

- Rosa! - Zobaczył coś w krzakach na skraju polany i pobiegł tam. Stara Nanny leżała martwa w koszuli nocnej pokrytej zaskorupiałą krwią.

- Rosa! - Pobiegł do pawilonu. Mgiełka ciepłego popiołu wzbijała się przy każdym kroku w pogorzelsku.

- Rosa! - krzyczał do ścian, przedzierając się przez wypalone belki zwałonego dachu.

Smród spalonego drewna, ubrań i włosów przyprawił

go o mdłości, głos miał więc stłumiony, gdy krzyknął ponownie: - Rosa!

Kiedy znalazł ją w wypalonej kuchni, pomyślał, że nie żyje. Leżała pod osmaloną ścianą, w postrzępionej koszuli nocnej. Skołtunione nadpalone włosy zasłaniały jej twarz. Cała pokryta była cienką warstwą popiołu.

- Kochanie. Kochanie moje. - Klęknął koło niej i czule dotknął jej ramienia. Poczul

ciepło jej ciała i nagły skurcz ścisnął mu gardło ze wzruszenia. Nie mógł wydusić z siebie słowa, odsunął więc tylko skołtunione włosy z twarzy Rosy. Była popielatoszara od brudu, lecz mimo to widać było sine obwódki wokół zaciśniętych powiek. Dotknął

koniuszkami palców jej ust. Otworzyła oczy. Były przekrwione i patrzyły na niego, jakby był przezroczysty. Przestraszył się tego wzroku, przytulił więc Rosę do ramienia.

Poddała się bezwładnie. Wtulił twarz w jej włosy i poczul, jak bardzo przesiąknięte są dymem.

- Jesteś ranna? - szepnął. - Powiedz mi, Rosa. Powiedz coś. Gdzie jest Maria?

Na dźwięk imienia córki po raz pierwszy zareagowała - zaczęła drżeć.

- Gdzie Maria? - spytał Sebastian bardziej natarczywie.

Odwróciła głowę i spojrzała w odległy kąt pokoju.

Pod ścianą część podłogi była wyczyszczona ze szczątków i popiołu. Rosa zrobiła to gołymi rękoma, gdy popiół był jeszcze gorący. Palce miała nadpalone i pokryte bąblami, a całe ręce czarne od sadzy. Pośrodku oczyszczonego miejsca leżało coś małego i osmalonego.

- Maria? - szepnął Sebastian. Rosa trzęsła się coraz bardziej w jego ramionach.

- Boże! - rzekł ze zgrozą. Uniósł żonę z ziemi i tuląc do piersi, wyniósł ze zgliszczy w chłodne ożywcze powietrze wieczoru, lecz w nozdrzach wciąż czuł zapach dymu i spalonego ciała. Chciał uciec od tego. Biegł na oślep byle dalej, a Rosa bezwładnie zwisała w jego ramionach.

40

Następnego dnia Flynn pochował zmarłych na wzgórzu koło Lalapanzi. Położył

cienką płytę granitu na małym grobie nieco oddalonym od pozostałych. Gdy skończył, wysłał jednego z tragarzy, by sprowadził Rosę i Sebastiana.

Kiedy przyszli, wciąż stał samotnie pod drzewem obok grobu Marii. Twarz miał

purpurową i obrzmiała. Siwe włosy opadły smętnie na czoło i uszy, niby mokre pióra starego koguta. Cały jakby zapadł się w sobie - stał przygarbiony i smutny. Koszulę i spodnie miał mokre od potu. Alkohol i żal wytrąciły go zupełnie z równowagi.

Stali w trójkę, w milczeniu żegnając Marię.

- Nic więcej nie możemy już zrobić - powiedział głucho Sebastian.

- Owszem. - Flynn pochylił się powoli i wziął z grobu garść świeżej ziemi. -

Owszem, możemy. - Zacisnął dłoń kurczowo. - Musimy znaleźć człowieka, który to zrobił, i zabić go.

Rosa powoli odwróciła twarz do Sebastiana i przemówiła po raz pierwszy, odkąd wrócił do domu.

- Zabij go! - powiedziała miękko.

CZEŚĆ DRUGA

41

Kontradmirał sir Percy Howe stał z rękoma założonymi do tyłu i w zamyśleniu przygryzał dolną wargę.

- Kiedy ostatnio widziano „Blüchera”? _ spytał wreszcie.

- Miesiąc temu, sir. Dwa dni przed wybuchem wojny. Widziano go z SS

„Tygenberg”. Szerokość 0° 27' N. Długość 52° 16' E. Kierunek południowy zachód; przybliżona prędkość osiemnaście węzłów.

- A co nas, do cholery, to wszystko obchodzi? - Sir Percy przerwał kapitanowi swego flagowego statku i spojrzał na wielką mapę Oceanu Indyjskiego. - Mógłby być teraz z powrotem w Bremerhaven.

- Mógłby, sir - skinął głową kapitan.

Sir Henry spojrzał na niego przenikliwie i pozwolił sobie na chłodny uśmiezek.

- Ale nie wierzysz w to, Henry, nieprawdaż?

- Nie, sir. Nie wierzę. Przez minione trzydzieści dni osiem statków handlowych zniknęło między Adenem

i Lourenco Marques. Prawie ćwierć miliona ładunku. To robota „Blii-chera”.

- Tak, to robota „Blüchera”, zgoda - przyznał admirał i sięgnął po kartonik w kształcie statku „Blücher”, leżący gdzieś pośrodku Oceanu Indyjskiego.

Pełna szacunku cisza zapadła w pokoju. Cały personel czekał w napięciu, aż wielki człowiek podejmie decyzję. A podejmował ją długo. Stał, trzymając w dłoni miniaturkę „Blüchera”, a krzaczaste siwe brwi najeżyły mu się niczym kolce. Trwało to całą minutę.

- Odświeżcie moją pamięć o jego klasie i uzbrojeniu.

Jak większość ludzi sukcesu sir Percy nie spieszył się z podejmowaniem decyzji, kiedy miał czas do namysłu. Porucznik odpowiedzialny za wiadomości dotyczące okrętów przeciwnika wystąpił z księgą „Cesarska Niemiecka Marynarka Wojenna”, otwartą na odpowiedniej stronie.

- „«Blucher». Zwodowany 16 sierpnia 1905 roku. Ciężki krążownik klasy B.

Uzbrojenie główne: osiem dział dwieście trzydzieści milimetrów. Uzbrojenie uzupełniające: sześć dział sto pięćdziesiąt dwa milimetry”.

Porucznik skończył czytać i czekał w milczeniu.

- Kto jest dowódcą? - spytał sir Percy.

Oficer spojrzał do księgi.

- Otto von Kleine, hrabia. Poprzednio dowodził lekkim krążownikiem „Sturm Vogel”.

- Tak, tak. Słyszałem o nim - powiedział sir Percy, umieścił na mapie miniaturkę „Blüchera” i

położył na niej dłoń. - Niebezpieczny człowiek, gdybyśmy mieli go tutaj, na południe od Suezu - przesunął okręciak wzdłuż Morza Czerwonego, aż do Kanału Sueskiego, gdzie schodziły się w większą arterię liczne czerwone linie - lub tutaj -

przesunął go w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei, wokół którego przechodziły takie same czerwone linie łączące Londyn z Australią i Indochinami. Zostawił czarny okręciak i położył dłoń na mapie.

- Jakie siły możemy mu przeciwstawić w tej chwili?

Kapitan chwycił drewniany wskaźnik i dotknął czerwonych okręciaków wokół Oceanu Indyjskiego.

- „Pegasus” i „Renounce” na północy. „Eagle” i „Plunger” patrolują wody południowe, sir.

- Jakie siły mamy w odwodzie, Henry?

- Cóż, sir, „Orion” i „Bloodhound” stoją w Simonstown.

- „Orion” to Manderson, prawda?

- Owszem, sir.

- A kto jest na „Bloodhoundzie”?

- Little, sir.

- To dobrze. - Admirał pokiwał głową z satysfakcją. - Krążownik ze stu pięćdziesięciodwumilimetroвыми działami i niszczyciel powinny poradzić sobie z „Blücherem”. - Uśmiechnął się znowu. - Zwłaszcza że „Bloodhoundem” będzie dowodzić ten diabeł wcielony Charles Little. Grałem z nim w golfa zeszłego lata i pobił

mnie doszczętnie.

Kapitan spojrział na admirała i przypomniawszy sobie reputację dowódcy niszczyciela, zdobył się na nieroztropną uwagę.

- Młode damy w Cape Town będą lamentować z powodu jego wyjazdu.

- Miejmy nadzieję, że kapitan Otto von Kleine będzie lamentował z powodu jego przybycia - roześmiał się sir Percy.

- Tatuś bardzo cię lubi.

- Twój ojciec to człowiek cechujący się nadzwyczaj dobrym gustem - przyznał

szarmancko czcigodny kapitan Charles Little, odwrócił głowę i uśmiechnął się do młodej damy siedzącej obok niego na kocu w cieniu sosnowego lasu.

- Czy nigdy nie możesz być poważny?

- Helen, moja słodka, zawsze jestem śmiertelnie poważny.

- Och, ty! - Jego towarzyszka spłonęła rumieńcem na wspomnienie niedawnych wyczynów Charlesa. Ojciec diametralnie zmieniłby o nim zdanie, gdyby się o tym dowiedział.

- Doceniam dobrą opinię twego ojca o mnie, ale cała moja uwaga skupia się na pytaniu, czy ty podzielasz tę opinię?

Dziewczyna wyprostowała się i nie odrywała od niego wzroku, podczas gdy ręce miała wyjątkowo zajęte - wy-czesywała igły sosnowe z włosów, poprawiała guziki na bluzce, rozprostowywała fałdy swej spódnicy do jazdy konnej, by przykryć piękne nóżki, ściśnięte teraz butami z ciemnej skóry.

Wpatrywała się w Charlesa, cierpiąc z powodu żądy. Nie było to pożądanie zmysłowe, lecz obezwładniające obsesyjne podniecenie, by mieć tego mężczyznę na swoją wyłączność, by posiadać go w ten sam sposób, jak już posiadała diamenty i futra, i jedwabie, i pawie, i inne piękne rzeczy.

Charles rozparł się na ławce z gracją lamparta. Cień uśmiechu zabłąkał się w kącikach jego ust. Charles musiał przymknąć powieki, by ukryć iskry w oczach.

Było w nim coś szatańskiego, otaczała go jakaś aura grzeszności. Helen stwierdziła, że wiąże się to z jego skośnymi brwiami i nieco spiczastymi uszami, różowymi i gładkimi jak u niemowlaka.

- Myślę, że masz diabelskie uszy - powiedziała, płoniąc się znowu i gwałtownie zerwała się na równe nogi unikając ręki Charlesa, która wyciągnęła się, by ją objąć. -

Dość tego! - zachichotała, odwiązując lejce.

Charles podniósł się leniwie, włożył w bryczesy rąbek koszuli, złożył koc, na którym siedzieli, i poszedł po swego konia. Na skraju lasu zatrzymali się i spojrzeli w dół na dolinę Constantia.

- Czyż nie jest piękna? - stwierdziła raczej, niż zapytała Helen.

- W rzeczy samej - przyznał, wpatrując się w dziewczynę przenikliwie.

- Mówię o dolinie.

- I ja o niej mówię. - Odkąd poznał ją przed sześcioma dniami, przyprowadziła go już po raz drugi na tę zalesioną górę i kusiła. U ich stóp leżało sześć tysięcy akrów najbardziej urodzajnej ziemi w całej Afryce.

- Kiedy zabito mojego brata Huberta, nie pozostał nikt, kto mógłby zatroszczyć się o to wszystko. Jest tylko moja siostra i ja, biedny tata nie czuje się zbyt dobrze.

Charles leniwie przesunął wzrokiem od przysadzistego kształtu Góry Stołowej, poprzez dolinę wypełnioną palmami winnej latorośli u stóp, aż po skrzącą się taflę False Bay wrzynającą się w zbocza gór.

- Czyż domostwo nie wygląda stąd ślicznie? - Helen skierowała jego uwagę na masywną budowlę z holenderskim dachem, otoczoną mniejszymi budynkami gospodarczymi.

- Istotnie, jestem pod wrażeniem wspaniałości tej stadniny rozplodowej - przyznał

Charles, celowo niewyraźnie wymawiając dwa ostatnie słowa.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Że to wspaniała sceneria. - Jej wysiłki, by go usidlić, zaczęły być nużące. Zwodził

łowczynię i umykał.

- Charles - szepnęła - co byś powiedział na życie tutaj na zawsze?

Charles osłupiał. Ta mała prowincjuszka nie miała pojęcia o regułach rządzących sztuką flirtowania. Był tak zdziwiony, że wybuchnął głośnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

Kiedy Charles się śmiał, dreszcze rozkoszy przenikały wszystkie kobiety w promieniu stu metrów. Jego śmiech brzmiał radosnym wdzięcznym tonem z jakąś niepokojącą zmysłowością w tle. Zęby kłuły w oczy bielą na tle ogorzalej twarzy, a mięśnie klatki piersiowej rysowały się pięknie pod jedwabną

koszula.

Helen była niestety jedynym świadkiem tego szczególnego widowiska i była zagubiona jak wróbel podczas huraganu. Nie zsiadając z konia, zbliżyła się do Charlesa i dotknęła jego ramienia.

- Zechciałbyś? No powiedz.

Nie wiedziała, że Charles Little dysponuje przychodami rocznymi rzędu dwudziestu tysięcy funtów, że po śmierci ojca odziedziczył tytuł wicehrabiego Sutherton i posiadłości ziemskie z tym związane. Nie wiedziała, że jedna z takich posiadłości trzykrotnie przerastała włości jej ojca ani że Charles przechodził mimo dam dwukrotnie piękniejszych, dziesięciokrotnie bogatszych i o manierach stokroć zacniejszych.

- Chcesz, Charles. Wiem, że chcesz!

Była taka młoda, taka wrażliwa, że powstrzymał kpiącą odpowiedź cisnącą mu się na usta.

- Helen - ujął jej dłoń - jestem stworzeniem morskim i ruszam zawsze tam, gdzie wiatr i fale. - Mówiąc to, podniósł jej dłoń do ust.

Przez chwilę czuła, jak ciepło tych ust rozlewa się falą po całym jej ciele i jednocześnie łączy stanęły jej w oczach. Wyrwała rękę, spięła konia i zdzieliła go szpicrutą w zad. Ogier zerwał się do szaleńczego galopu wzdłuż drogi do doliny Constantia.

Charles z niezadowoleniem pokręcił głową. Nie miał zamiaru jej ranić. To była po prostu eskapada, jedna z tych, które wypełniały nudę podczas ostatnich dni remontu „Bloodhouna”. Postanowił sobie jednak zakończyć ten rodzaj przygód - więcej żadnych łez i tragedii.

- Wstydz się, ty bezduszny chamie - powiedział głośno, ściągnął lejce i puścił się galopem za Helen.

Dogonił jej ogiera dopiero koło zagrody. Koń chodził powoli po wybiegu, dysząc ciężko po wyczerpującym galopie. Helen nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale w drzwiach stajni stał jej ojciec - zwalisty mężczyzna z ciemną, lekko siwiejącą brodą, przyciętą w kant.

- Udała się przejażdżka?

- Owszem, dziękuję, panie Uys. - Charles nie rozwijał zbytnio tematu.

- Jakiś marynarz czeka tu na pana od godziny.

- Gdzie jest? - Ton głosu Charlesa błyskawicznie zmienił się na bardzo służbowy.

- Tutaj, sir. - Z głębokiego cienia stajni wyszedł na podwórko zalane słońcem młody człowiek w mundurze marynarki wojennej.

- O co chodzi, człowieku? - Little niecierpliwie przerwał mu oddawanie honorów.

- Kapitan Manderson przesyła wyrazy uszanowania, sir, i prosi na pokład HMS

„Orion” najszybciej, jak to tylko możliwe. Samochód czeka, by zabrać pana do bazy.

- Obowiązki wzywają, komendancie. Obawiam się, że długo o panu nie usłyszymy -

wyraził swą opinię Uys, oparty o ścianę stajni.

Ale Charles nie słuchał. Wstąpiło w niego dziwne podniecenie, jakby dobry pies myśliwski zwęszył jakiegoś ptaka.

- Rozkaz wypłynięcia - szepnął. - Nareszcie.

Nareszcie!

Wysokie fale z południowego wschodu rozбивały się o klif wokół latarni Cape Point, wzbijając raz po raz fontanny kropel. Zawiesina słonej wody różowo skrzyła się na tle zachodzącego słońca.

„Bloodhound” minął Cape Hangklip i brnął przez fale południowego Atlantyku.

Dziób zanurzał się raz po raz i przez przedni pokład błyskawicznie przetaczała się spieniona woda. Okręt unosił się na następnej fali, by za chwilę zanurkować w dolinę.

Charles Little cieszył się całym ciałem, że znowu czuje ten rytmiczny ruch pod stopami.

- Skreć na zero pięćdziesiąt.

- Zero pięćdziesiąt, sir - powtórzył oficer nawigacyjny.

- Prędkość siedemnaście węzłów.

Niemal natychmiast zmieniły się obroty silnika i okręt z mniejszym impetem przebijał się już przez fale. Charles przeszedł na skraj mostka i spojrzał do tyłu, w ciemną przestrzeń False Bay, obramowaną górami. Dwie mile za rufą zarys kształtu „Oriona” majaczył w dogasającym świetle dnia.

- No, rusz się, staruszk. Wysił się i trzymaj się nas - mamrotał Charles Little z lekceważeniem, jakie każdy człowiek z niszczyciela czuje do statków nie mogących utrzymać prędkości marszowej powyżej dwudziestu węzłów. Spojrzał też dalej, gdzie u stóp Góry Stołowej u wylotu doliny Constantia paliło się pojedyncze, ledwo widoczne światełko.

- Dzisiaj w nocy będzie mgła, sir - powiedział pilot. Charles odwrócił się powoli i spojrzał w mrok przed dziobem okrętu.

- Tak, będzie dobra noc dla piratów.

42

Mgła kondensowała się na metalowej powierzchni pokładu i mostka, przenikała chłodem marynarzy i skraplała się na brwiach i brodzie kapitana Otto von Kleinego.

Umożliwiała też jemu i jego czeladnikom korsarstwa dokonanie dla ojczyzny czynów bohaterskich.

Co kilka sekund porucznik Kyller spoglądał niecierpliwie na swego dowódcę, zastanawiając się, kiedy wyda on rozkaz zmiany kursu. Nienawidził tego całego podchodzenia pod brzeg we mgle, a potem dryfowania z prądem wzdłuż wybrzeża.

- Zatrzymać wszystkie silniki - powiedział von Kleine, a Kyller powtórzył rozkaz sternikowi. Pokład przestał drżeć pod ich stopami i zamglone powietrze wypełniła niczym nie zmacona cisza.

- Spytaj tego na oku, czy widzi ląd - rozkazał von Kleine, nie odwracając się. Po chwili Kyller przyniósł wiadomość.

- Maszt główny tonie we mgle. Nic nie widać z bocianiego gniazda. Z przedniego pokładu meldują głębokość sto metrów, która szybko maleje.

Von Kleine skinął głową. Potwierdzało to jego wyliczenia, że znajdują się około pięciu mil od falochronu portu w Durbanie. Kiedy poranny wiatr rozwieje mgłę, miał

nadzieję ujrzeć przed sobą niskie wzgórza Natalu

z terasowymi ogrodami i białymi budynkami, ale najbardziej pragnął zobaczyć co najmniej sześć brytyjskich statków handlowych zakotwiczonych na redzie w oczekiwaniu na swoją kolejkę wejścia do zapchanego portu, nie baczących na niebezpieczeństwa, ufnych w siłę baterii brzegowych, składających się z kilku archaicznych dziesięciofuntowych dział

obsługiwanych przez starszków i nastolatków z ochotniczych oddziałów milicji.

Wywiad niemieckiej marynarki dał bardzo dokładne dane o możliwościach obronnych Durbanu. Po przestudiowaniu raportu von Kleine zdecydował, że warto zaryzykować zdradzenie Anglikom swej pozycji w zamian za łatwy pogrom kilku statków. Ryzyko było istotnie niewielkie. Wystarczyło wejść do zatoki na pełnej szybkości, oddać po jednej salwie burtowej do każdego statku i zniknąć za horyzontem, nim baterie nabrzeżne zdążą załadować działa.

Oczywiście największym ryzykiem było pokazanie się „Bluchera” po raz pierwszy od czasu wypowiedzenia wojny. W kilka minut po jego pierwszej salwie brytyjskie eskadry będą pędziły ze wszystkich stron, by zablokować każdą z możliwych dróg ucieczki. Miał nadzieję, że uda mu się przemknąć na południe, poniżej czterdziestego stopnia szerokości, w strefę szalejących sztormów i gór lodowych, gdzie wyznaczono spotkanie z „Esther” - jego statkiem zaopatrzeniowym. Potem do Australii albo Ameryki Południowej, zależnie od okoliczności.

Spojrzał na chronometr. Za trzy minuty wschód słońca, mogą oczekiwać wiatru porannego.

- Z masztu meldują, że mgła znika.

Von Kleine wstał i spojrzał w zawieszoną mgłę,

która poczęła się kłębić i nieznacznie przerzedzać, ogrzana pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

- Wszystkie silniki mała naprzód - rozkazał.

- Melduje się oko - zaskrzeczał głos w jednej z tub łącznościowych naprzeciw Kyllera. - Ład prawo czterdzieści, odległość dziesięć tysięcy metrów. Duży przyładek.

To mogło być urwisko ponad Durbanem, góra w kształcie grzbietu wieloryba, która osłaniała port. Von Kleine źle ocenił we mgle odległość. Był dwukrotnie dalej od brzegu niż zamierzał.

- Wszystkie silniki cała naprzód. Nowy kurs: zero-zero-sześć. - Począł, aż rozkaz dotrze do sternika, po czym podszedł do tub łącznościowych. - Działa, tu kapitan.

- Zgłaszają się działa.

- Otworzymy ogień za dziesięć minut. Celem będzie statek handlowy, przypuszczalnie na kierunku trzysta. Odległość pięć tysięcy metrów. Możesz strzelać, gdy tylko znajdzie się w naszym zasięgu.

- Kierunek trzysta, odległość pięć tysięcy metrów, sir - powtórzył głos w tubie. Von Kleine założył na nią osłonę i z rękoma założonymi na plecach patrzył, jak obracają się wieże strzelnicze, a długie lufy podnoszą się leniwie i celują gdzieś w dal.

Blask słońca rozświetlił mostek kapitański tak nagle, że Kyller odruchowo zasłonił

oczy, lecz po chwili wpłynęli w następny obłok mgły. Kiedy wreszcie na dobre przebili się na światło słoneczne, wokół panował pogodny poranek. Przed nimi wyrastały zielone wzgórza Afryki, obramowane u podstawy jasną wstęgą plaży i gęsto

upstrzone białymi domami Durbanu. Ramiona dźwigów wzdłuż nabrzeży wyglądały jak rząd szubienic.

Na gładkiej tafli zielonego zwierciadła pomiędzy „Blii-cherem” i portem stały cztery spore jednostki, niczym rodzina wylegujących się hipopotamów - brytyjskie statki handlowe.

- Tylko cztery - mruknął zawiedziony von Kleine.
- Miałem nadzieję, że będzie ich więcej.

Dwunastometrowe lufy dwustuttrzydziestomilirnetrowych dział poruszały się nieznacznie w tę i z powrotem, jakby węsząc ofiarę. „Blücher” pruł wodę na pełnej szybkości. Pokład wibrował od wytężonej pracy turbin.

- Tu oko! - krzyknął gorączkowo głos w jednej z tub.

- Mostek - powiedział Kyller, lecz odpowiedź zginęła w huku pierwszej salwy.

Skoczył do przodu i podniósł do oczu lornetkę, by skierować ją na brytyjski statek.

Uwaga wszystkich skupiona była na celu przed dziobem. Czekano, aż doleczą pociski.

W dźwięczącej ciszy, która zapadła po grzmocie salwy armatniej, głośno i wyraźnie słyhać było paniczny meldunek z oka na maszcie głównym.

- Okręty! Nieprzyjacielskie okręty wojenne wprost za rufą!

- Prawo dziesięć. - Von Kleine podniósł głos o jeden ton wyżej, niżby sobie tego życzył. „Blücher” pochylił się w skręcie i wciąż na pełnej szybkości oddalał się od brzegu ku zbawczej zasłonie mgły, pozostawiając nienaruszony łup na redzie. Von Kleine i oficerowie na mostku wpatrywali się w horyzont, w diametralnie przeciwnym kierunku niż statki

handlowe.

- Dwa okręty - marynarz z oka rozwijał swój meldunek. - Niszczyciel i krążownik.

Kierunek prawo dziewięćdziesiąt. Odległość pięć-zero, siedem-zero. Niszczyciel z przodu.

Von Kleine dostrzegł przez lornetkę mały punkt wrogiego niszczyciela. Krążownik nie był jeszcze widoczny z poziomu mostka.

- Gdyby zjawili się godzinę później - lamentował Kyller - mielibyśmy całą robotę za sobą i...

- Co oko może powiedzieć o krążowniku? - przerwał mu niecierpliwie von Kleine.

Nie miał czasu na rozpamiętywanie straconej szansy; musiał ocenić siłę ścigających go przeciwników, a potem podjąć decyzję, czy uciekać czy zawrócić i zaatakować natychmiast.

- Krążownik jest średni, z działami stu pięćdziesięciodwu- lub dwustutrzydziestomilimetroowymi, klasy „O” lub „R”. Płynie cztery mile za swą eskortą. Oba okręty wciąż poza zasięgiem.

Niszczyciel się nie liczył. Mogli zamienić go w płonący wrak, zanim zbliżyłby się na odległość skutecznego strzału ze swych studziesiętomilimetrowych armatek. Ale krążownik trzeba było wziąć pod uwagę. Aby się z nim zmierzyć, musieli mieć pewność, że jest tej samej klasy, ale nawet w takim wypadku zwycięstwo mogli osiągnąć tylko po wymianie ciosów. „Blucher” był oddalony o sześć tysięcy mil od najbliższego bezpiecznego portu, w którym mógłby przeprowadzić niezbędne naprawy.

Istniała jeszcze jedna okoliczność. Te dwa

brytyjskie okręty mogły być przednią strażą eskadry bojowej. Jeśli teraz zawrócą i podejmą akcję zaczepną, mogą w krótkim czasie znaleźć się w niezgorszych opałach, gdy pojawi się następny krążownik, za nim drugi i trzeci, a być może nawet pancernik. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami von Kleine powinien umknąć, nie podejmując walki, by „Blucher” jak najdłużej posiadał zdolność bojową.

43

- No szybciej! Szybciej! - Charles Little, zirytowany uderzył dłonią w oparcie swego kapitańskiego krzesła, patrząc na „Oriona”. Cały dzień i całą noc obserwował, jak zbliżają się do „Blüchera”, ale odległość między nimi malała niezmiernie powoli.

Dziób „Oriona” uniesiony był dziwnie wysoko ponad powierzchnią i pruł wodę, odrzucając na boki dwie wielkie fale, białe niczym skrzydła mewy w promieniach tropikalnego słońca. Kapitan Manderson kazał opróżnić dziobowe zbiorniki wody pitnej i wyrzucić amunicję z magazynów dziobowych. Wszyscy, których obecność w przedniej połowie okrętu nie była niezbędna dla funkcjonowania jednostki, dostali rozkaz ustawienia się na otwartym pokładzie rufowym jako żywy balast, by dziób bardziej wyszedł z wody, a krążownik popłynął jeszcze jeden ułamek węzła szybciej.

Nadeszła najniebezpieczniejsza godzina w dotychczasowym żywocie „Oriona”.

Wszedł już w zasięg dwustutrzydziestomilimetrowych armat „Blüchera”, a biorąc pod uwagę niewielką różnicę w prędkości,

dopiero za godzinę będzie mógł skutecznie użyć własnych dział stu pięćdziesięciodwumilimetrowych. Przez ten czas będzie bezbronnym celem dla Niemców.

Charlesa zalewała krew, że jest tylko widzem. „Bloodhound” miał zapas prędkości, który pozwoliłby mu nawiązać walkę w ciągu pięćdziesięciu minut, lecz nie został do tego dopuszczony.

Tak więc trzy okręty gnały ku wciąż cofającemu się północnemu horyzontowi.

Krażowniki płynęły jeden za drugim, wyrzucając w powietrze kłęby czarnego dymu.

„Bloodhound” tymczasem, niczym żuczek wodny, podpełzł z b'oku do „Blüchera”, by obserwować, gdzie spadną pociski „Oriona”, i podawać ewentualne poprawki. Cały czas jednak niszczyciel taktownie zachowywał dystans piętnastu mil, by nie wchodzić w zasięg rażenia potężnych dział niemieckiego krążownika.

- „Blücher” może teraz w każdej chwili otworzyć ogień, sir - oświadczył oficer nawigacyjny, odkładając sekstant, którym mierzył kąt pomiędzy dwoma krążownikami.

Charles skinął głową.

- Tak, von Kleine musi spróbować szczęśliwego trafu, nawet z tak dużej odległości.

- To nie będzie przyjemny widok.

- Możemy tylko siedzieć twardo, trzymać kciuki i mieć nadzieję, że stary „Orion”

potrafi... - urwał nagle i podskoczył ze swego krzesła. - Cholera! „Blücher” coś kombinuje!

Zarys niemieckiego okrętu zmienił się drastycznie w ostatnich kilku sekundach.

Przestrzeń między kominami zniknęła, a garbaty zarys przedniej wieży armatniej zlał się w jedno z nadbudówką.

- Na Boga, on zmienił kurs! Pieprzony sukinsyn, chce strzelić ze wszystkich dział.

Porucznik Kyller wpatrywał się w twarz swojego kapitana. Podczas snu otaczała go jakaś pogodna aura. Kyller przypomniał sobie obraz, który widział w norymberskiej katedrze - wizerunek świętego Łukasza pędzla Holbeina. Takie same kości policzkowe, takie same wrażliwe usta złociście obramowane brodą i wąsami. Odpędził od siebie te myśli, pochylił się i lekko potrząsnął ramieniem von Kleinego.

- Kapitanie, kapitanie.

Von Kleine otworzył oczy, z których nie opadły jeszcze resztki snu.

- O co chodzi, Kyller?

- Oficer artyleryjski melduje, że nieprzyjaciel znajdzie się w zasięgu dział za piętnaście minut.

Von Kleine rozejrzał się szybko po pokładzie. Ze wszystkich kominów buchały snopy iskier, niknące w gęstych kłębach dymu. Z rozgrzanej do czerwoności metalowej powierzchni odpadła farba. „Blücher” został zmuszony do znacznego przekroczenia prędkości ustalonej przez konstruktorów. Von Kleine zastanawiał się, jakie szkody może to wyrządzić okrętowi. Pod stopami czuł nienaturalne drżenie kadłuba. Spojrzał

za rufę. Brytyjski krążownik był teraz dobrze widoczny na horyzoncie. Różnica w prędkości może wynosić węzeł lub nieco więcej, lecz „Blücher” miał

przyniatająca przewagę w uzbrojeniu. Pomyślał o arogancji narodu, który uparcie i jakby umyślnie wystawia swych mężów i okręty na wielce niepewne igrzyska. Zawsze posyłają teriery przeciw wilkom. Von Kleine uśmiechnął się do siebie; trzeba być Anglikiem albo szaleńcem, by zrozumieć Anglika.

Spojrzał na brytyjski niszczyciel, który czaił się na trawersie prawej burty. Z tej odległości nie mógł on zagrozić „Blucherowi”.

- Bardzo dobrze, Kyller... - powiedział jakby do siebie i wstał.

- Mostek, tu maszynownia - krzyknął głos w tubie.

- Maszynownia, zgłasza się mostek - odpowiedział Kyller.

- Nasze prawe łożysko główne rozgrzało się do czerwoności. Muszę zastopować prawą turbinę!

Von Kleine przyskoczył do tuby, jakby mu ktoś wsypał wiadro lodu za koszulę.

- Tu kapitan. Muszę mieć pełną moc przez następną godzinę!

- Nie mogę tego zrobić, sir. Jeszcze piętnaście minut i zairze się wał główny. Jeden Bóg wie, jakie nieszczęścia mogą z tego wyniknąć.

Na pięć sekund von Kleine zawisł nieruchomo nad tubą. Myśli błyskawicznie przebiegały mu przez głowę. Na jednym silniku „Blucher” będzie płynął o dziesięć węzłów wolniej. Nieprzyjaciel będzie mógł swobodnie manewrować wokół niego. Być może poczeka do zmroku i wtedy... Trzeba natychmiast zaatakować; zawrócić i uderzyć z całą mocą.

- Dajcie pełną moc tak długo, jak możecie - rozkazał pierwszemu mechanikowi i pochylił się nad tubą oficera artyleryjskiego. - Mówi kapitan.

Zrobimy zwrot o cztery rumby w prawo i przez piętnaście minut będziemy płynąć tak, by mieć nieprzyjaciela na trawersie prawej burty. Potem będę zmuszony zmniejszyć prędkość. Otwórzcie ogień, gdy tylko wejdą w pole rażenia. - Von Kleine przykrył otwór tuby i odwrócił się do podoficera sygnałowego. - Wciągnij flagę bitwy!

Mówił spokojnie, bez zbytniego nacisku, lecz oczy skrzyły mu się bitewnym podnieceniem.

- Tu cię mam! - szepnął Charles Little, nie odrywając lornetki od oczu. Z końców luf armatnich „Bluchera” wykwitły jęzory ognia. Charles przeniósł wzrok na „Oriona”.

Płynął szybko, wciąż zmniejszając dystans dzielący go od Niemców. W ciągu najbliższych siedmiu minut będzie mógł odpowiedzieć na strzały „Bluchera”.

O ćwierć mili przed „Orionem” wykwitło nagle kilka słupów wody, wysokich, smukłych i jasnych niczym kolumny świątyni greckiej.

- Za krótko - mruknął oficer nawigacyjny.

- Działa ma jeszcze nie rozgrzane - skomentował Charles. - Och, Boże, pomóż staremu „Orionowi” dojść na odległość strzału.

Następna salwa „Bluchera” była zbyt krótka, i jeszcze następna, lecz za każdym razem pociski padały bliżej smukłego kadłuba „Oriona”, aż przy czwartej salwie upadły wokół starego krążownika, a słupy wody częściowo przysłoniły jego zarysy. „Orion”

zaczął płynąć zygzakiem.

- Jeszcze trzy minuty - powiedział głucho oficer nawigacyjny.

Regularnie, co piętnaście sekund, niemieckie pociski padały niedaleko „Oriona”, aż raz wybuchły tak blisko, że jego dziób wpłynął w stojące jeszcze fontanny wody.

- No, dawaj, staruszkule! Dopadnij go. Naprzód! Naprzód!

Charles ścisnął kurczowo reling i szczyrzył zęby jak szaleniec. Całe dostojęstwo jego wysokiej rangi oraz dojrzałego wieku prysnęły w bitewnym podnieceniu. Udzieliło się to wszystkim obecnym na mostku - gestykulowali namiętnie i wrzeszczeli razem z nim.

- Teraz! - krzyknął oficer nawigacyjny.

- Otwiera ogień.

- Zrób to. Zrób to, staruszk.

Na „Orionie” działa wieża dziobowej trysnęły ogniem. Cichy pomruk wystrzału dotarł po chwili do „Bloodhouna”.

- Krótki - jęknął Charles. - Jest wciąż zbyt daleko.

- Znowu krótki!

- Wciąż za krótki.

Za każdym razem celność strzału była podawana aldisem przez szefa sygnalizacyjnego i natychmiast analizowana na mostku „Oriona”.

- O Boże - jęknął Charles.

- Trafili go! - zawtórował mu pierwszy oficer.

Żółte jęzory ognia wykwitły na pokładzie rufowym i prawie natychmiast tylna część okrętu zniknęła za zasłoną ciężkich kłębow szarego dymu. Od czasu do czasu dym rzedł i widać było, że tylna wieża artyleryjska jest przechylona pod dziwnym kątem.

- Płyń dalej!

„Orion” zrzucił z siebie zasłonę dymu niczym pelerynę żałobną i płynął dalej z tą samą prędkością, a jego przednie wieże artyleryjskie raz po raz ziały ogniem w „Bluchera”.

- Teraz trafili - rozradował się pierwszy oficer.

Charles szybko spojrział na „Bluchera”, zobaczył pożar na jego pokładzie i obnażył

zęby w szerokim uśmiechu.

- Dobij go! Dobij go! - charczał. Wiedział, że choć „Blücher” ma potężne działa, jest słabiej opancerzony i pociski ze stu pięćdziesięciodwumilimetrowych dział mogą łatwo przebić się przez skorupę niemieckiego krążownika i wyrządzić pokaźne szkody.

Teraz oba okręty strzelały bez przerwy. Odległość pomiędzy nimi zmniejszała się tak szybko, że wkrótce musiały się zderzyć. Z takiego pojedynku tylko jeden z okrętów mógł wyjść cało lub zgoła żaden.

Przez ostatnie minuty Charles próbował ocenić szkody na „Blucherze”. Pokład dziobowy krążownika opanowany był przez pożar, ale widać było zza szarej zasłony dymu, że regularnie co piętnaście sekund działa wypluwają śmiercionośny ładunek.

Charles odwrócił się w stronę „Oriona”, by porównać zniszczenia. Odnalazł go w szklach lornetki i w tym momencie okręt przestał istnieć. Jeden z kotłów wybuchł, trafiony niemieckim pociskiem, i rozerwał „Oriona” na dwie części. Biały słup pary wystrzelił ponad sto metrów w górę, a kiedy opadł, „Oriona” już nie było. Plama oleju i pływających szczątków znaczyła miejsce, gdzie został pogrzebany.

Na mostku „Bloodhonda” radosne okrzyki zamilkły jak nożem uciał i zapadła śmiertelna cisza. Słysząc było wyraźnie uporczywą pracę turbin.

Przez sześć długich godzin Charles Little zmagał się ze złością i nienawiścią, które nim targały. Udało mu się jednak utrzymać w korbach rozszalałe nerwy i nie poszedł za pierwszym impulsem, nakazującym mu rzucić się na „Bluchera” pełną mocą maszyn i polec, jak polegli koledzy z „Oriona”.

Zaraz po zatopieniu angielskiego krążownika „Blücher” znacznie zmniejszył

prędkość i skierował się na południe. Płynący wolno, naznaczony niewygasłymi pożarami i zasnuty dymem niemiecki krążownik wyglądał niczym czmychający ukradkiem ranny lew. Flagi wywieszane na czas bitwy na topie masztu głównego były poharatane odłamkami i osmalone dymem.

Kiedy tylko „Blücher” się oddalił, Charles Little kazał skierować „Bloodhonda” na miejsce tragedii, gdzie powierzchnia morza usłana była odpadkami i wciąż błyszczała tęczowo. Szukali na próżno. Nie było rozbitków. Wszyscy marynarze z „Oriona” poszli na dno razem z okrętem. „Bloodhound” skierował się więc w ślad za okaleczonym krążownikiem. Wszystkich przepełniała taka nienawiść do nieprzyjaciela, że gdyby można jej było nadać wymiar materialny, „Blücher” już dawno poszedłby na dno. Ale Charles Little widział, że kolejne ogniska pożarów zostały stłumione, aż wreszcie zniknęło z pokładu ostatnie źródło dymu.

- Ugasili pożary - stwierdził porucznik, lecz Charles zbył to milczeniem. Łudził się, że ognie przegryzą się do jednego z magazynów amunicji na „Blücherze” i poślą go w otchłań zapomnienia, tak jak on zrobił to z „Orionem”.

- Ale nie robią więcej niż sześć węzłów. „Orion” musiał trafić w maszynownię -

ciągnął podporucznik. - Założę się, że mają jakąś poważną awarię. Jeżeli będą płynąć z tą prędkością, to „Pegasus” i „Renounce” dogonią nas jutro w południe. Wtedy „Blücher” nie będzie miał żadnych szans!

- Owszem - zgodził się Charles.

Poinformowane przez radio z „Bloodhonda”, „Pegasus” i „Renounce”, dwa ciężkie krążowniki z północnej eskadry mknęły wzdłuż wybrzeży Afryki Wschodniej na południe, by pokonać pięćset mil morskich dzielących je od pola niedawnej walki.

46

- Kyller. Spytajcie chiefa, jak mu idzie naprawa. - Von Kleine był sam ze swoimi myślami wśród milczącej świty na mostku kapitańskim. Zapadał zmrok. Noc zbliżała się szybko, a w ciemności nawet ten wąły angielski niszczyciel stanowił dla niego niebezpieczeństwo. Musi mieć sprawną turbinę na prawej burcie, zanim noc nastanie na dobre. To sprawa życia i śmierci. Musi mieć prędkość, by przebić się na południe przez sfory polujących na niego Brytyjczyków, tam gdzie czeka „Esther”, gdzie może uzupełnić pociski wystrzelone podczas pojedynku oraz zapasy węgla, które topniały w zastraszającym tempie. Wtedy „Blücher” znowu będzie dysponował siłą, z którą nie sposób się nie liczyć. Ale najpierw musi mieć prędkość.

- Kapitanie. - Kyller znów był u jego boku. - Kapitan Lochtkamper melduje, że dostali się do łożyska głównego, rozebrali je i nie stwierdzili uszkodzenia wału. Teraz mocują nowe półpanwie. Prace

są zaawansowane, sir.

Przed oczyma von Kleinego pojawił się obraz półnagich mężczyzn, umorusanych po czubki głów czarnym smarem, zlanych potem z powodu gorąca panującego w tunelu wału.

- Jak długo to jeszcze potrwa?

- Obiecał pełną moc w obu turbinach w ciągu dwóch godzin.

Von Kleine rozchmurzył się, spojrzął za rufę na okręt brytyjski, który podążał za nim jak cień, i uśmiechnął się do swoich myśli.

- Mam nadzieję, przyjacielu, że jesteś odważnym człowiekiem. Mam nadzieję, że nie potrafisz opanować swego rozczarowania, gdy zobaczysz, że moja prędkość rośnie.

Mam nadzieję, że dziś w nocy spróbujesz użyć swych torped i będę mógł cię zgnieść, ponieważ twe oczy śledzące każdy mój ruch to dla mnie kłopot i niebezpieczeństwo -

mówił cicho, ledwo poruszając wargami. Odwrócił się do Kyllera i rozkazał: - Chcę, żeby sprawdzono i przygotowano wszystkie pociski oświetlające.

- Tak jest, sir.

Von Kleine podszedł do tub łącznościowych.

- Dowódca artylerii - powiedział. - Załadować działa wieży „X” pociskami świetlnymi i nastawić maksymalną wysokość... - Dłuższy czas wymieniał listę czynności w przygotowaniu do akcji nocnej, aż wreszcie dobiegł końca litanii - ...obsługa dział ma być na dole. Pozwólcie im zjeść i odpocząć. Od ogłoszenia alarmu będą musieli pozostawać w najwyższej gotowości bojowej.

- Panie kapitanie!

Niecierpliwy krzyk zaskoczył Charlesa Little'a tak, że rozlał kakao z kubka. To była jedyna chwila odpoczynku, na jaką pozwolił sobie przez cały dzień, i została przerwana po dziesięciu minutach.

- Co się dzieje? - otworzył z impetem drzwi kabiny nawigacyjnej i wszedł na mostek.

- „Blucher” gwałtownie zwiększa prędkość.

- Nie! - To było zbyt okrutne, by dało się przełknąć spokojnie. Pochylił się nad tubą komunikacyjną.

- Dowódca artylerii. Meldujcie o celu.

Po krótkiej zwłoce nadeszła odpowiedź.

- Cel po prawej, zero-zero. Odległość jeden-pięć-zero-zero-pięć-zero. Prędkość siedemnaście węzłów.

To była prawda. „Blucher” znowu dysponował całą mocą turbin, a przy tym miał

wciąż wszystkie działa nie uszkodzone. „Orion” utonął na darmo.

Charles w zamyśleniu potarł dłonią brodę i poczuł pod palcami drapanie nie ogolonego zarostu. Napięta i zmęczona twarz poszarzała mimo opalenizny. Pod oczyma pojawiły się ciemne sińce, a białka oczu przybrały kolor czerwony. Bruzdy na twarzy pogłębiły się, a spod czapki wymknęły się zmierzwione kosmyki włosów.

Powoli zaczęła narastać w nim gorączka walki, którą okiełznywał przez cały dzień.

Czuł, jak podnosi się ona z lędźwi i ogarnia całe ciało.

Już nie potrafił tego powstrzymać.

- Sternik, daj dwa rumby w prawo. Wszystkie turbiny cała naprzód.

Rozległ się szcęk telegrafu maszynowego i „Bloodhound” drgnął jak kucyk smagnięty batem. Minie pół godziny, zanim zdołają osiągnąć pełną prędkość, a do tego czasu powinno być już zupełnie ciemno.

- Zarządzić stan podwyższonej gotowości.

Charles chciał zaatakować, zanim wzejdzie księżyc. Na całym statku rozległy się dzwonki alarmowe. Little stał nieruchomo i przysłuchiwał się kolejnym meldunkom ze wzrokiem utkwionym w ciemniejącym horyzoncie, aż usłyszał to, na co czekał.

- Wyrzutnie torped gotowe, sir.

Charles podszedł do tuby.

- Torpedy - rzekł. - Mam nadzieję dać wam szansę odwetu na „Blücherze”.

Odpalicie torpedy prawo - i lewoburtowe. Zamierzam podejść tak blisko, jak to tylko będzie możliwe.

Mężczyźni skupieni dookoła Charlesa, słysząc słowa: „tak blisko, jak to tylko będzie możliwe”, wiedzieli, że właśnie wydał na nich wyrok śmierci.

Henry'ego Sargenta, oficera nawigacyjnego, ogarnął strach. Gorączkowo zaczął

gmerać w kieszeniach munduru, aż znalazł mały srebrny krzyżyk, który dała mu Lynette. Był nagrzany ciepłem jego ciała. Henry ścisnął go mocno w dłoni. Przypomniał

sobie, jak krzyżyk wisiał na srebrnym łańcuszku w zagłębieniu pomiędzy piersiami Lynette. Jak

próbowała go odpiąć, klęcząc przed nim na łóżku. Zapięcie łańcuszka zaplątało się w kaskadzie jej jasnych włosów i nie mogła sobie z nim poradzić, a on przyklęknął przed nią i pochylił się ponad ramieniem, by jej pomóc i wtedy poczuł na sobie ciepło gładkiej krągłości jej brzemiennego brzucha.

- Niechaj cię Bóg chroni, mój drogi mężu - szepnęła. - Boże, pozwól mu wrócić bezpiecznie do nas.

Henry'ego ogarnął strach o żonę i córkę, której nigdy nie widział.

- Trzymaj kurs, do diabła! - warknął na sternika Herberta Gryera.

- Aj, aj, sir - odparł tamten, a w jego głosie zabrzmiała nuta urażonej niewinności.

Żaden człowiek z taką niezachwianą precyzją nie potrafił prowadzić „Bloodhonda”, gdy ten przewalał się z boku na bok i na pełnej prędkości tłukł dziobem w falę. Ta reprimenda była całkowicie niezasłużona, podyktowana strachem i napięciem. - Daj spokój tym przycinkom, macie - mamrotał Herbert pod nosem. - Nie jesteś jedyny, którego to chwyciło. Ściśnij mocniej dupę, jesteś wszak pieprzonym oficerem i sakramenckim dżentelmenem.

Herbert był niedościgniony w milczących dialogach z oficerami na mostku. Kiedy ogarniały ich emocje, byli wspaniałymi obiektami dla jego prześmiewczego usposobienia. Teraz, ponieważ strach ogarnął i jego, stał się liryczny.

- Wskocz na pokład ekspresu do ulotnej chwały naszego Romea. - Kapitan Little cieszył się dużą estymą wśród załogi z powodu swych podbojów miłosnych, choć jednocześnie pokpiwano sobie z niego. - Przyłącz się do nas. Wyruszyliśmy, by

zakrzyczeć diabła, podczas gdy Charles całuje jego córkę.

Herbert łypnął w bok na swego dowódcę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Strach sprawił, że był to wilczy uśmiech. Charles Little dostrzegł ten grymas, lecz źle go zrozumiał. Pomyślał, że jest to uzewnętrznienie tej samej szaleńczej wściekłości i desperacji, która ogarnęła jego samego. Patrzyli na siebie chwilę, aż Herbert spojrział

przed siebie, by zareagować na następne gwałtowne uderzenie w falę.

Charles też się bał. Bał się, że okaże swoją słabość. Był to strach, który szedł z nim ręką w rękę przez całe życie, szepcząc do ucha w trudnych chwilach: „Bardziej, spróbuj bardziej. Musisz zrobić to lepiej, musisz zrobić to szybciej lub mocniej niż inni, bo będą się z ciebie śmiali. Nie możesz się potknąć, w żadnym wypadku, nawet na chwilę, nie możesz zawieść. Nie możesz zawieść”. Ten strach był jego stałym towarzyszem i partnerem we wszystkich ryzykownych przedsięwzięciach, w których uczestniczył.

Stał przy nim, gdy jako trzynastolatek strzelał z dwunastostrzałowego potężnego karabinu i łykał ciężkie łzy cierpienia, gdy kolba raz po raz uderzała boleśnie w jego posiniaczone ramię. „Wstawaj, wstawaj” - syczał na niego, gdy leżał w błocie, trzymając się za złamany obojczyk. Podnosił się, słysząc ten głos, by za chwilę upaść znowu, i znowu, i znowu. Tak był uzależniony od strachu, że kiedy poczuł, jak zbliża się, staje za nim i skrzeczy mu do ucha: „Udowodnij to! Udowodnij!”, wiedział, że dla Charlesa Little'a jest tylko jeden kurs: na „Bluchera”.

- Zwrot w prawo był sfingowany - mówił Otto von Kleine z pewnością w głosie, patrząc w miejsce, gdzie zmierzch przykrył nikły zarys angielskiego niszczyciela. -

Teraz robi drugi zwrot, by przeciąć znowu nasz kilwater. Zaatakuje z lewej burty.

- Kapitanie, to może być podwójny blef - wyraził przypuszczenie Kyller.

- Nie. - Von Kleine potrząsnął złotą brodą. - Musi spróbować umiejscowić nas w ostatnich przebłyskach dnia. Zaatakuje od wschodu. - Na chwilę zastygł w bezruchu, starając się przewidzieć posunięcia przeciwnika na ciemnej szachownicy oceanu. -

Kyller, niech mi pan wykreśli jego kurs, zakładając prędkość dwadzieścia pięć węzłów, zwrot o cztery rumby w lewo trzy minuty od czasu, gdy ostatnio go widzieliśmy, potem piętnaście mil prosto w poprzek naszego kilwateru, a potem zwrot o cztery rumby w prawo. Jeżeli utrzymamy obecny kurs i prędkość, to gdzie on znajdzie się w odniesieniu do nas za dwadzieścia minut?

Pracując gorączkowo, Kyller rozwiązywał zadanie. Von Kleine śledził w myślach każdy krok w jego obliczeniach.

- Tak - zgodził się z wynikiem i już miał gotowe rozkazy, jak zmienić kurs i prędkość, by złapać „Bloodhonda” w zasadzkę.

Płynąc całą mocą turbin, „Bloodhound” wzbijał dziobem trzymetrowe fale, zamieniające się w fosforyzującą kipieli, która ciągnęła się daleko za nim, znacząc drogę w ciemnościach.

Na „Blucherze” ze sto par oczu wpatrywało się uporczywie w mrok, by dostrzec ślady tej fosforyzacji. Wyczekiwali w napięciu ludzie stojący za potężnymi reflektorami, wyczekiwali ludzie w wieżach armatnich, wyczekiwali ci na mostku i ci w maszynie, cała załoga „Blüchera”.

Von Kleine zmniejszył prędkość, by uczynić słabiej widocznym swój własny kilwater i kazał zrobić zwrot w lewo o czterdzieści pięć stopni. Chciał złapać Anglika, będąc na jego trawersie prawej burty, poza zasięgiem torped.

Stał, wpatrując się uważnie w ciemną powierzchnię oceanu, z kołnierzem płaszczu postawionym wysoko, by osłonić uszy. Noc była chłodna. Morze otwierało się ciemną otchłanią w miejscu, gdzie niknęły gwiazdy.

Kilkunastu ludzi dostrzegło to w tej samej chwili - ulotny, blady znak odcinający się słabo na tle pogrążonego w mroku oceanu niczym przeczucie opalizującej mgły -

kilwater Anglika.

- Flary świetlne! - Von Kleine wykrzyczał ten rozkaz, zaalarmowany bliskością przeciwnika. Miał nadzieję dostrzec go z większej odległości.

Wysoko ponad powierzchnią oceanu rakiety rozbłysły błękitnym blaskiem, oświetlając dwa okręty, które właśnie w tej chwili zapaliły

naprzeciw siebie reflektory.

Ich światła spotkały się niczym dłonie niecierpliwych kochanków we wspólnym biegu ku szczęściu.

Niemal w tej samej sekundzie oba okręty otworzyły ogień, lecz odgłos niewielkich studwudziestomilimetrowych dział „Bloodhonda” utonął w łomocie salwy burtowej niemieckiego krążownika.

„Blücher” strzelał z działami opuszczonymi równolegle do powierzchni wody, lecz i tak jego pierwsza salwa poszła zbyt wysoko i olbrzymie pociski przeleciały ponad mostkiem „Bloodhonda”.

Charles Little, słysząc świst przelatujących nisko śmiertelnych pocisków, wykrzyczał komendę do sternika:

- Zwrot cztery rumby w lewo! Kieruj się na nieprzyjaciela. - I „Bloodhound”, niczym baletnica, obrócił się zwinnie wprost na „Bluchera”.

Następna salwa burtowa poszła zbyt wysoko, lecz zaraz odezwało się uzbrojenie uzupełniające. Pociski jednego z szybkostrzelnych pom-pomów przeszły jak burza przez stanowisko dowodzenia, siejąc śmierć i zniszczenie.

Zginał oficer nawigacyjny. Dwukilogramowy pocisk trafił go prosto w głowę, która pękła niczym bańka mydlana. Mózg Henry’ego Sargenta rozprysnął się po całym mostku. Gorący odłamek wielkości paznokcia trafił Herberta Gryera w prawy łokieć i zdruzgotał go doszczętnie. Zaszokowany sternik potoczył wzrokiem dookoła i usiadł

obok koła sterowego.

- Trzymaj kurs! Trzymaj kurs! - wrzasnął na niego

kapitan Little.

Herbert Gryer dźwignął się z wysiłkiem i chwycił koło, lecz prawa ręka zwisała mu bezwładnie, więc sterowanie nie szło mu zbyt zgrabnie - nie mógł ustawić okrętu na kursie i z opóźnieniem reagował na fale.

- Aj, aj, sir. - Gryer spojrział na swego dowódcę i zamarł przerażony. Odłamek rozciął ucho kapitana i rozorał cały policzek, aż po brodę, tak że widać było dziąsła, zęby i nagą kość policzkową. Z piersi zwieszał się płat oderwanego ciała, a z licznych małych ran sączyła się krew, tworząc ciemne plamy na marynarskim mundurze.

Stali we dwóch za kołem, obaj ranni i kierowali „Bloodhonda” wprost na wielkie cielsko niemieckiego krążownika. Od rakiet świetlnych „Bluchera” było jasno jak w dzień. Ocean dookoła niszczyciela kipiał od gradu odłamków i pocisków z broni małokalibrowej. Wysokie jasne słupy wody wy tryski - wały raz po raz tuż obok nich.

I nagle stało się nieuniknione. „Bloodhound” zatrząsł się, jakby uderzył w granitowy klif. Dwustutrzydziestomilimetrowy pocisk trafił w dziób.

- Ster lewo na burt. - Charles Little mówił trochę niewyraźnie z powodu krwi wypełniającej mu usta. Razem obrócili ster maksymalnie w lewo.

Ale „Bloodhound” umierał. Pocisk rozpruł kadłub, który otworzył się niczym makabryczny kwiat orchidei, i woda wdzieriała się do środka. Dziób pogrążał się w toni, a rufa uniosła się do góry, tak że płetwa steru wystawała częściowo ponad wodę. Nawet w tej agonii okręt obracał się powoli, stopień za stopniem.

Charles Little puścił ster i powlókł się do

relingu na prawej burcie mostka. Nogi miał ciężkie jak z ołowiu, a w uszach huczało mu z powodu utraty krwi. Dotarł do relingu, oparł się na nim bezwładnie i spojrzał na wyrzutnie torped stojące pod nim na pokładzie. Przypominały wyglądem wielkie cygara. Charles z satysfakcją stwierdził, że człowiek obsługujący wyrzutnie jest wciąż na swoim stanowisku; schowany za pancerną osłoną, czekał w napięciu, aż dziób „Bloodhonda” skieruje się na kadłub „Blüchera”.

- Obróć się stary! No, dalej! Obracaj się! - charczał Charles, łykając krew.

Następny pocisk trafił w dogorywający kadłub i być może siła jego uderzenia sprawiła, że niszczyciel przekręcił się o te ostatnie kilka stopni. Na wprost wylotów wyrzutni torpedowych, w odległości pięciuset metrów, stał teraz „Blücher”, wyraźnie widoczny w świetle flar.

Charles usłyszał świst zwalnianych torped i zobaczył, jak wylatują z wyrzutni, wpadają do wody i mkną w stronę krążownika, zostawiając na wodzie białe ślady.

- Wszystkie torpedy odpalone. Płyną w kierunku celu! - usłyszał za sobą triumfujący okrzyk oficera torpedowego, zniekształcony przez tubę komunikacyjną.

Charles nigdy nie zobaczył swych torped uderzających w krążownik, gdyż jeden z dwustutrzydziestomilimetrowych pocisków uderzył w pokład u podstawy mostku kapitańskiego. Przez jedną krótką chwilę czuł, że znalazł się w wielkim piecu, gorącym jak powierzchnia słońca.

Otto von Kleine patrzył, jak wybucha angielski niszczyciel. Na wszystkie strony wystrzeliły zeń języki ognia, a nad nimi zawisł czarny obłok smolistego dymu. Dostojne fontanny wzbijane przez strzały z ciężkich dział wykwitwały pośród kipieli małych pocisków i odłamków.

- Wstrzymać ogień - rozkazał, nie odrywając oczu od zatykającego dech w piersiach straszego widoku, którego był sprawcą. W powietrze poszybowała następna salwa rakiet świetlnych i von Kleine musiał przyłożyć dłoń do czoła, robiąc z niej prowizoryczny daszek, by osłonić oczy od blasku. Było po wszystkim. Poczł się zmęczony.

Był zmordowany i wyczerpany z wszelkiej energii psychicznej i fizycznej, przytłoczony nawałem wydarzeń dwóch ostatnich dni i nocy nieustannego napięcia. I przepełniał go smutek z powodu tego dzielnego człowieka, którego zabił, i tego straszliwego zniszczenia, którego był sprawcą. Otworzył usta, by wydać rozkaz obrania kursu na południe, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, szaleńczy krzyk rozległ się gdzieś z boku.

- Torpedy z prawej burty!

Minęło kilka długich sekund, nim von Kleine zareagował. Już zdążył odprężyć się i pozwolił swojemu mózgowi popaść w rozleniwienie. Bitwa się skończyła, cofnął się więc z krawędzi najwyższego napięcia, na której balansował przez ostatnie kilkadziesiąt godzin. Musiał teraz zebrać wszystkie siły, by przywołać rezerwy uciszonej energii, a w ciągu tych sekund torpedy odpalone w agonii „Bloodhonda” pruły wodę, by pomścić ten okręt.

Wreszcie von Kleine otrząsnął się z odrętwienia. Podeszedł do relingu po prawej stronie mostka i zobaczył w świetle rakiet cztery fosforyzujące ślady torped. Na tle ciemnej wody wyglądały niczym warkocze spadających meteorów na nocnym niebie.

- Ster lewo na burt. Wszystkie maszyny cała wstecz! - krzyknął, a głos zapiszczał mu dziwnie ze zdenerwowania. Poczul drzenie okrętu pod stopami, gdy wielkie śruby męły wodę, by uchronić go od znalezienia się na szlaku torped.

Von Kleine stał zdziwiony i zdruzgotany, w myślach robił sobie wyrzuty: „Powinienem to przewidzieć. Powinienem był wiedzieć, że niszczyciel odpalił

torpedy”. Bezradnie obserwował, jak cztery jasne linie mkną szybko w kierunku prawej burty kieżownika. W ostatniej chwili poczul jeszcze gwałtowny przypływ nadziei. Trzy torpedy najprawdopodobniej chybią. To było oczywiste. Kiedy „Blücher” obróci się nieco, przepłyną tuż przed dziobem. Czwarta też powinna chybić. Zacisnął kurczowo dłonie na pręcie relingu. Zaschło mu w gardle i prawie przestał oddychać z napięcia.

„Blücher” obracał leniwie dziób. Och, gdyby wydał rozkaz zmiany kursu choćby pięć sekund wcześniej...

Torpeda trafiła „Blüchera” półtora metra pod linią zanurzenia. Eksplozja wyrzuciła ścianę wody na pięćdziesiąt metrów w górę i wstrząsnęła statkiem tak silnie, że wszystkich na mostku kapitańskim ścięło z nóg. Von Kleine dźwignął się na kolana i spojrzął przed siebie. Mglista zawiesina przesłaniająca gwiazdziste niebo opadała powoli.

Całą noc walczyli, by utrzymać okręt na

powierzchni. Odcięli pomieszczenia dziobowe, zamykając grodzie wodoszczelnymi drzwiami grubości dwudziestu centymetrów. Za nimi zostało trzydziestu marynarzy, których stanowiska bojowe znajdowały się właśnie w tej części okrętu. Tej nocy, podczas krótkich chwil wytchnienia od gorączkowej pracy, von Kleinemu stawał przed oczyma obraz owych nieszczęśników, pływających twarzą w dół pośród szczątków wyposażenia.

Kiedy wypompowano tony wody, które zdażyły wedrzeć się do kadłuba, von Kleine opuścił mostek i wraz z pierwszym mechanikiem oraz szefem służb awaryjnych sporządził listę szkód. O świcie zebrali się w pokoju nawigacyjnym na tyłach mostka kapitańskiego, by ocenić swoje położenie.

- Jaką moc może mi pan dać, panie Lochtkamper? - spytał von Kleine pierwszego mechanika.

- Mogę dać tyle mocy, ile pan zażąda - odparł tamten. Połowa twarzy oficera miała kolor purpurowoczerwony, gdyż wstrząs spowodowany uderzeniem torpedy rzucił go wprost na strużkę gorącej pary, która unosiła się z zaworu kontrolnego. - Ale jeżeli popłyniemy szybciej niż pięć węzłów, grodzie nie wytrzymają. Będą musiały teraz wytrzymać cały napór morza.

Von Kleine zwrócił się ku szefowi służb awaryjnych.

- Jakich napraw może pan dokonać na morzu?

- Żadnych, sir. Wzmocniliśmy i podparliśmy grodzie, załataliśmy dziury zrobione przez pociski brytyjskiego krążownika. Ale nie mogę zrobić nic z uszkodzeniami w części podwodnej, dopóki nie staniemy w suchym doku lub w zacisznej zatoce na niezafalowanej wodzie, gdzie mógłbym posłać nurków,

aby dokonali naprawy. Musimy zawinąć do portu.

Von Kleine odchylił się do tyłu na krześle i przyknuął oczy, by zebrać myśli. Jedyne przyjazne port w promieniu tysięcy mil to Dar es Salaam, stolica Niemieckiej Afryki Wschodniej, ale Brytyjczycy z pewnością go zablokowali. Natychmiast skreślił ten port z listy możliwych miejsc schronienia.

Może jakaś wyspa? Zanzibar? Seszele? Mauritius? Wszystko to nieprzyjazne terytoria, bez kotwiczowiska bezpiecznego od pocisków brytyjskich okrętów.

Ujście jakiejś rzeki? Zambezi? Nie, to na terytorium portugalskim, a poza tym koryto jest żeglowne tylko na przestrzeni kilku mil.

Otworzył oczy w nagłym olśnieniu. Było jedno idealne schronienie na terytorium niemieckim, rzeka, którą nawet okręt wielkości „Bluchera” mógł popłynąć dwadzieścia mil w górę nurtu. Dostępu od strony lądu bronił trudny do przebycia teren, a przy tym można było zawiadomić komisarza niemieckiego, by ten dostarczył żywność, pomógł

w naprawie i w razie potrzeby w odparciu ataków od strony lądu.

- Kyller - powiedział - niech pan wykreśli kurs na Kikunya w delcie Rufiji.

Pięć dni później pokiereszowany „Blücher” niczym ranna stonoga wpełzł do północnej odnogi delty Rufiji. Przedstawiał sobą żalosny widok: okopcony dymem bitewnym, ze strzypami takielunku zwieszającymi się smętnie, z tysiącami dziur w pancerzu, z rozerwanym dziobem.

Kiedy przepływali wśród lasów namorzynowych,

które zarastały oba brzegi, zdawało im się, że wpływają w ramiona radośnie rozwarte na ich powitanie.

Spuszczono dwie łodzie, które kluczyły pracowicie przed dziobem niby jakieś żuczki wodne, sondując dno w poszukiwaniu bezpiecznego przejścia i gruntu dobrego do rzucenia kotwicy. Stopniowo „Blücher” zagłębiał się coraz bardziej w dziką deltę.

W miejscu, gdzie nurt Rufiji wyciął głęboką zatokę pomiędzy dwiema wyspami i stworzył naturalne nabrzeże z obu stron, krążownik zatrzymał się na dobre.

50

Hermann Fleischer otarł chusteczką twarz, po czym z dezaprobatą spojrział na przemoczony kawałek materiału. Boże, jak on nienawidził basenu Rufiji. Kiedy tylko wszedł w ten wilgotny i cuchnący skwar, tysiące porów otworzyło mu się na skórze, wydalając soki ciała.

Perspektywa pozostania dłużej w tej okolicy napawała go niechęcią do wszystkiego dookoła, a zwłaszcza do tego młodego snoba, który stał obok niego na pokładzie małego parowca. Patrzył chłodno przed siebie, jakby był właśnie na czerwcowej przechadzce po Unter den Linden. Jego tropikalny mundur, kłujący w oczy nieskazitelną bielą, był nienagannie świeży i suchy, w przeciwieństwie do sztruksów Fleischera, przepoconych pod pachami i w kroczu. „Cholera, znowu dostanę wysypki”

- pomyślał Fleischer i natychmiast poczuł swędzenie, zaczął się więc dyskretnie drapać.

Powstrzymał się, widząc uśmiech na twarzy porucznika.

- Jak daleko jeszcze do „Bluchera”? - spytał, a po namyśle dodał jego nazwisko z pominięciem stopnia: - Jak daleko, Kyller? - Ten zabieg miał przypomnieć porucznikowi, że jako odpowiednik pułkownika Fleischer jest od niego o wiele wyższy ranga.

- Gdzieś za następnym zakolem, komisarzu - flegmatyczny ton Kyllera przywodził

Fleischerowi na myśl szampana, opery, zabawy na nartach i polowania na dziki.

- Mam nadzieję, że kapitan von Kleine poczynił odpowiednie kroki, aby zabezpieczyć okręt przed nieprzyjacielskim atakiem?

- Okręt jest bezpieczny. - Po raz pierwszy dało się wyczuć w głosie porucznika nutkę niechęci.

Fleischer chwycił się tego. Przez ostatnie dwa dni, odkąd spotkali się w widłach Rufri i Ruaha, sondował Kyllera, by znaleźć jakiś jego słaby punkt.

- Powiedz mi, Kyller - przybrał poufały ton - mówię to oczywiście w ścisłej tajemnicy, ale czy rzeczywiście uważacie, że kapitan von Kleine jest w stanie poradzić sobie w tej trudnej sytuacji? Mam na myśli to, czy nie uważacie, że kto inny mógłby zrobić to lepiej? - Och! Tak! To jest to! Wystarczy spojrzeć, jak pod opalenizną policzki tamtego zaczynają pałać wściekłością. Po raz pierwszy przewaga była po jego stronie.

- Komisarzu Fleischer - powiedział Kyller miękko - kapitan von Kleine jest najbieglejszym, najbardziej kompetentnym i najmężniejszym oficerem, pod którym miałem honor służyć. A co więcej, jest dżentelmenem.

- Tak? - Fleischer odchrząknął, zbity z tropu. - To dlaczego ten wzór doskonałości kryje się teraz w delcie Ruffri z tyłkiem pełnym dziur? - Odchylił do tyłu głowę i spojrzał triumfalnie.

- W innym czasie, sir, i w innych okolicznościach poprosiłbym pana o odwołanie tych słów. - Kyller odwrócił się i odszedł w stronę burty. Stał nieruchomo, patrząc wprost przed siebie, podczas gdy łódź minęła następny cypel i otworzył się przed nią taki sam jak wcześniej obraz: ciemna rzeka obrośnięta mangrowcami. - Oto „Blucher” -

powiedział Kyller, nie odwracając ani na chwilę głowy.

Poza mangrowcami obrastającymi wyniosłość terenu u brzegu zatoki nie było tu nic szczególnego. Śmiech wstrząsnął nalaną twarzą Fleischera, lecz zamienił się w nieprzyjemny grymas, gdy komisarz uświadomił sobie, że Kyller naigrawa się z niego. Z pewnością nie było tu żadnego krążownika.

- Poruczniku... - zaczął Fleischer groźnie, ale natychmiast się pohamował.

Wyniosłość terenu przedzielona była kanałem szerokości nie większej niż pięćdziesiąt metrów, lecz kanał ten urywał się nagle, zablokowany jakąś bezkształtną masą roślinności. Wpatrywał się w to z niedowierzaniem, aż nagle pod siatką przystrojoną gałęziami mangrowców zobaczył kanciaste kształty wieży armatniej.

Maskowanie zostało wykonane z zachwycającą pomysłowością. Z odległości stu pięćdziesięciu metrów „Blücher” był niewidoczny.

Bąble przebijały się powoli przez ciemną wodę, jakby ta miała gęstość ciepłego miodu, po czym pękały na powierzchni, tworząc małą kipieli.

Kapitan von Kleine wychylił się przez reling na przednim pokładzie i wpatrywał się uważnie we wzburzoną wodę, z uwagą człowieka pragnącego odczytać swą przyszłość w mętnym zwierciadle Rufiji. Niemal od dwóch godzin trwał w takiej pozycji, sukcesywnie wyciągając i zapalając coraz to nowe krótkie cygara. Od czasu do czasu dla wygody zmieniał pozycję.

Choć ciało kapitana zażywało odpoczynku, umysł pracował gorączkowo, w nieskończoność analizując przygotowania i plany. Przygotowania zostały zakończone. Nie pominięto niczego z listy, którą ułożył sobie w głowie.

Sześciu marynarzy zostało wysłanych na małej łódce piętnaście mil w dół rzeki do jej ujścia do morza. Rozbili się obozem na wyniosłości terenu, by wypatrywać na morzu ewentualnych okrętów brytyjskiej blokady. Ponieważ wpływając do odnogi postawili za rufą ostatnie miny wieloczo-powe, żaden okręt brytyjski nie mógł podążać ich śladem.

Możliwość ataku od strony lądu wydawała się mało prawdopodobna, ale mimo to von Kleine ustanowił system obronny wokół „Bluchera”. Połowa marynarzy czuwała na brzegu w sieci stanowisk broniących dostępu z każdej możliwej strony. W lesie namorzynowym zostały wyrąbane pola ostrzału dla szybkostrzelnych karabinów Maxim, z pni i ziemi utworzono prowizoryczne fortyfikacje i rozciągnięto linie komunikacyjne. Wszystko było gotowe.

Po długich dyskusjach z lekarzem okrętowym von Kleine wydał rozkazy mające na celu ochronę zdrowia jego ludzi, dotyczące uzdatniania wody,

unieszkodliwiania odchodów i odpadków, jak również połykania przez każdego pięciu tabletek chininy dziennie, oraz pięćdziesiąt innych przykazań stojących na straży zdrowia i morale jego żołnierzy.

Zarządził też spis zapasów żywności i był zadowolony, gdy dowiedział się, że przy oszczędnym gospodarowaniu wystarczy tego na cztery miesiące. Potem pozostanie mu tylko łowienie ryb i polowanie, aby zapewnić pożywienie podwładnym.

Wysłał również Kyllera w górę rzeki, by nawiązał kontakt z niemieckim komisarzem i zapewnił pełną z nim współpracę.

Cztery dni zajęło maskowanie „Bluchera” i naprawy na przednim pokładzie, a teraz wreszcie zaczęli naprawę uszkodzeń okrętu w części podwodnej.

Za plecami usłyszał podoficera wydającego rozkaz ekipie przy kabestanie.

- Wyciągnijcie go, powoli.

Szczęknięty tryby wyciągarki i stalowa linka zaczęła nawijać się na bęben. Von Kleine wychylił się za burtę. Po chwili na powierzchni wody pojawił się nurek zawieszony na linie. Jego czarny kombinezon lśnił od wilgoci, a trzy duże okienka na hełmie patrzyły groteskowo niczym oczy morskiego potwora.

Kiedy postawiono nurka na pokładzie, dwaj marynarze podbiegli doń, odkręcili śruby przy szyi i zdjęli hełm, obnażając głowę starszego mechanika Lochtkampera. Jego płaska twarz o grubych rysach nasuwała skojarzenie z mastifem. Teraz bruzdy na obliczu oficera pogłębiły się z powodu zamyślenia i troski. Lochtkamper podszedł do kapitana i powoli pokręcił głową.

- Proszę przyjść do mojej kabiny, kiedy będzie

pan gotów - powiedział von Kleine i odszedł.

- Lampkę koniaku?

- Z przyjemnością, sir. - Lochtkamper potoczył wzrokiem po eleganckiej kabinie.

Chwytał delikatny kieliszek swą olbrzymią dłonią, pokrytą licznymi zadrapaniami i siecią pęknięć i linii papilarnych wypełnionych resztkami smarów i olejów, niemożliwych do usunięcia przy kilkakrotnym nawet myciu. Kiedy usiadł w fotelu, wydawało się, że ma o wiele za duże kolana, podobnie jak ręce.

- A więc? - zagaił von Kleine i Lochtkamper zaczął zdawać relację.

Mówił bez przerwy przez dziesięć minut, a kapitan brnął z nim cierpliwie przez meandry terminologii technicznej najeżonej obscenicznymi określeniami. W chwilach największej koncentracji Lochtkamper popadał w brukowe słownictwo rodzinnego Hamburga i von Kleine nie potrafił ukryć uśmiechu zdziwienia, gdy dowiedział się, że ogłędnie mówiąc, ko-pulator torpedy dokonał czynu lubieżnego na ramie konstrukcyjnej, rozrywając płytę pancerną o wielce podejrzanej reputacji. Tak brzmiące zniszczenia mogły wydarzyć się w knajpie podczas burdy w sobotnią noc.

- Czy może pan to naprawić? - spytał wreszcie.

- To będzie oznaczało wycięcie całej tej plugawie pokierszowanej płyty, podniesienie jej na pokład, przycięcie, po-spawanie i uformowanie. Ale wciąż będzie nam brakowało co najmniej siedemdziesięciu metrów kwadratowych blachy, sir.

- Artykuł niełatwy do zdobycia w delcie Rufrji - zasępił się von Kleine.

- To prawda, sir.

- Ile czasu zajmie panu naprawa, jeśli dostarczą blachę?

- Przypuszczalnie dwa miesiące.

- Kiedy może pan zacząć?

- Natychmiast, sir.

- A więc do dzieła.

Lochtkamper spił z kieliszka ostatnie krople, oblizał usta i wstał.

- Bardzo dobry koniak, sir - pochwalił trunek i wyszedł.

52

Hermann Fleischer z bezbrzeżnym zdumieniem szczeniaka lądowego patrzył na uszkodzenia „Bluchera”. Widział poszarpane otwory po trafieniach dużymi pociskami, wypalone powierzchnie na pokładzie i nadbudówkach, nieregularne głębokie rysy i wgłębienia, gdzie trafiały i odbijały się rykoszetem odłamki. Fleischer przeniósł wzrok na dziób krążownika. Kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią raz po raz rozbłyskiwało blade światło maszyny spawalniczej, a nad nim kłębiła się grupa marynarzy.

- Dobry Boże, cóż za rana! - powiedział z sadystyczną radością.

Kyller zignorował tę uwagę. Kierował ciemnoskórego sternika w miejsce, gdzie z burty okrętu zwisał trap. Nawet obecność tego przepoconego wieśniaka Fleischera nie mogła zepsuć mu przyjemności powrotu do domu. Dla Ernsta Kyllera „Blücher” był

domem w najgłębszym tego słowa znaczeniu; było na

nim wszystko, co cenił w życiu, włączając w to człowieka, do którego czuł przywiązanie o wiele większe niż syn do ojca.

Próbował czytać w myślach swego kapitana i ubiegać jego rozkazy, a największą radość sprawiał mu uśmiech kapitana i słowa pochwały za następne dobrze wykonane zadanie.

- Och, Kyller! - Von Kleine wstał zza biurka i wyszedł na spotkanie porucznika. -

Tak szybko pan wrócił? Znalazł pan Fleischera?

- Czeka na zewnątrz, sir.

- Dobrze, dobrze. Wprowadź go.

Hermann Fleischer przystanął w otwartych drzwiach i podejrzliwie rozejrzał się po kabinie. Szybko przeliczył w myślach wyposażenie na reichsmarki. Błękitno-złoto-czerwone dywany tkane z jedwabiu teherańskiego, krzesła i fotele obite ciemną skórą, meble i boazeria wykonane z polerowanego mahoniu. Drobne elementy wykończeniowe, jak zawiasy i zamki, zrobiono z miedzi. Barek rozbłyskiwał

kryształami otoczonymi przez plutony butelek w mundurach najlepszych winnic Szampanii, Alzacji i Nadrenii. Naprzeciw biurka wisiał olejny portret dwóch pięknych jasnowłosych kobiet, najpewniej matki i córki. Iluminatory przysłonięte były aksamitnymi zasłonami w kolorze leśnej zieleni, obrębionymi złotą koronką. Hermann Fleischer uznał, że hrabia musi być bogatym człowiekiem, a on czuł respekt przed bogactwem, co tym razem objawiało się w ten sposób, iż postąpił do przodu, wyprężył

się i mocno trzasnął obcasami, aż zafalował jego wypięty brzuch.

- Kapitanie, po otrzymaniu pańskiej wiadomości

przybyłem tak szybko, jak to tylko było możliwe.

- Jestem niezmiernie wdzięczny, komisarzu - von Kleine odsalutował. - Czy zechce się pan pokrzepić?

- Może szklane piwa i... - Hermann był pewny, że na okręcie muszą być jakieś rzadkie i wykwintne delikatesy - ...coś do zjedzenia. Od południa nic nie jadłem.

Niewiele czasu minęło od południa i von Kleine nie wiedział, cóż takiego dziwnego jest w dwugodzinnym niejedze-niu, mimo to jednak wydał stewardowi odpowiednie dyspozycje, kiedy ten zjawił się z piwem dla gościa.

- Muszę, kapitanie, pogratulować panu zwycięstwa nad dwoma angielskimi okrętami. Wspaniałe, doprawdy wspaniałe!

Fleischer, rozwalony na jednym ze skórzanych krzeseł, nieprzerwanie ocierał pot z czoła i szyi, a Kyller patrzył nań cynicznie, gdy słyszał nowy ton w jego głosie.

- Zwycięstwo to zostało drogo opłacone - powiedział von Kleine, podając Fleischerowi szklanę z piwem. - A teraz potrzebuję pańskiej pomocy.

- Oczywiście! Wystarczy powiedzieć, o co chodzi!

Von Kleine usiadł za biurkiem, wyciągnął plik notatek, otworzył skórzane etui i założył na nos okulary w cienkich złotych oprawkach.

- Komisarzu... - zaczął, ale w tym momencie stracił zupełnie zainteresowanie adresata tych słów. Z dyskretnym pukaniem pojawił się steward z wielką rzeźbioną tacą, którą postawił na stoliku obok Fleischera.

- Słodka Matko Boska! - wyszeptał Hermann z błyszczącymi oczyma. - Łosoś wędzony?

Ani von Kleine, ani Kyller nie mieli nigdy przedtem przy-jemości oglądania Fleischera podczas jedzenia. Teraz patrzyli na to w niemym zachwycie. Mieli przed sobą fachowca pracującego umiejętnie i z zaangażowaniem. Po jakimś czasie von Kleine podjął jeszcze jedną próbę zwrócenia uwagi Fleischera na swoje notatki, ale mlaskaniom i westchnieniom ukontentowania wciąż nie było końca. Von Kleine spojrział na porucznika i uniósł brew ze zdziwieniem - Kyller uśmiechał się półgębkiem, zmieszany nieco, jakby podglądał mężczyznę w czasie przeżywania orgazmu. Von Kleine zapalił

lampkę nad portretem swej żony i córki i na nim skupił całą uwagę.

Głębokie westchnienie zasygnalizowało szczytowanie Fleischera i von Kleine ponownie przeniósł na niego wzrok. Komisarz siedział rozparty na krześle, z głową odchylną do tyłu. Po ustach błakał mu się rozmarzony, sprośny uśmiezek. Taca była pusta, a Fleischer właśnie wkładał do ust ostatni płatek łososia, z wyrazem słodkiej tęsknoty mężczyzny wspominającego minioną miłość.

- To był najlepszy łosoś, jakiego kiedykolwiek jadłem.

- Cieszę się, że tak panu smakował - głos von Kleinego drżał nieco. Był zakłopotany tą sceną ekshibicjonizmu.

- Nie śmiem kłopotać pana prośbą o jeszcze jedną szklanekę piwa.

Von Kleine skinął na Kyllera, a ten podszedł i napełnił szklanekę.

- Komisarzu, potrzebuję co najmniej siedemdziesięciu metrów kwadratowych czterdziestomilimetrowej blachy pancernej.

Chciałbym, żeby dostarczył ją pan tutaj w ciągu sześciu tygodni...

Hermann Fleischer roześmiał się serdecznie niczym mężczyzna, którego dziecko raczy opowieściami o strachach i czarownicach, ale nagle napotkał wzrok von Kleinego i urwał.

- W zatoce Dar es Salaam blokowanej przez Brytyjczyków stoi parowiec „Rheinlander”. Uda się pan tam najszybciej, jak to możliwe. Pójdzie z panem jeden z moich inżynierów. Zajmie się on wyciąganiem statku na plażę i zdemontowaniem płyty. Następnie zorganizuje pan konwój, który dostarczy mi blachę tutaj, na miejsce.

- Ależ Dar es Salaam jest o sto kilometrów stąd.

- Zgodnie z moimi mapami siedemdziesiąt pięć kilometrów - poprawił go von Kleine.

- Ten pancierz będzie ważył tony! - zapiszczał Fleischer.

- W tym kraju są setki tysięcy biedaków. Nie wątpię, że zdoła ich pan przekonać, by służyli za tragarzy.

- Ta droga jest nie do przejścia... a co więcej, na północ stąd grasuje oddział wrogich partyzantów. Przewodzą im ci sami bandyci, którym pozwolił pan ująć z życiem z delty tej rzeki. - W ślepych zapale Fleischer podniósł się z krzesła i teraz celował swym grubiańskim palcem w von Kleinego. - Pozwolił im pan uciec, a teraz oni pustoszą całą prowincję. Zanim przejdę z Dar es Salaam dziesięć kilometrów z tą powolną karawaną, już będą o mnie wiedzieć. Nie podejmę się tego. To szaleństwo!

- A więc wygląda na to, że ma pan pewien wybór. - Von Kleine uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały chłodne. - Ci angielscy łupieżcy albo pluton

egzekucyjny na rufie tego okrętu.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - głucho spytał Fleischer.

- Chcę powiedzieć, że moja prośba przestała być prośbą; teraz jest rozkazem. Jeżeli odmawia pan wykonania go, natychmiast zwołam sąd wojenny. - Von Kleine wyciągnął

swój złoty zegarek i sprawdził godzinę. - Będziemy w stanie załatwić wszelkie formalności i rozstrzelać pana przed zmrokiem. Co pan o tym myśli, Kyller?

- Będzie trochę zamieszania, sir, ale myślę, że uda się to zorganizować.

53

Kiedy gubernator Mozambiku zaproponował Flynnowi wstąpienie do armii portugalskiej, miała miejsce nieprzyjemna scena. Flynn był przekonany, że w najgorszym razie zasługuje na stopień pułkownika. Przypomniawszy swemu rozmówcy, jak pilnie się uczył, prowadząc ich wspólne interesy. Gubernator odpowiedział

propozycją mianowania go majorem i skinął na adiutanta, by napełnił szklanke Amerykanina. Ten zaakceptował obie oferty, ale tylko jedną z niejakim oporem. Działo się to przed siedmioma miesiącami, zaledwie kilka krótkich tygodni po masakrze w Lalapanzi.

Od tego czasu armia Flynna, czyli około setki uzbrojonych tubylców pod dowództwem jego samego oraz Sebastiana i Rosy Oldsmith, operowała prawie bez przerwy na terytorium niemieckim. Mieli za sobą

udaną akcją na linię kolejową Songa.

Spalili wtedy pięćset ton cukru i prawie tysiąc ton prosa, które leżały w magazynach, czekając na wysyłkę do Dar es Salaam. Gubernator Schee i pułkownik Lettow von Vorbeck bardzo potrzebowali tych zapasów dla armii, którą ten ostatni organizował

właśnie na wybrzeżu.

Następnym błyskotliwym sukcesem było zaskoczenie i wybicie bandy trzydziestu Askariów w czasie przeprawy przez rzekę. Flynn uwolnił wtedy trzystu rekrutów, których eskortowali Askariowie, i poradził im, żeby poszli w cholerę z powrotem do swoich wiosek i zapomnieli raz na zawsze o ambicjach zdobycia sławy wojennej - tu wskazał ku przestrodze ciała Askariów zaścielające brzegi rzeki.

Poza poprzecinaniem wszystkich linii telegraficznych i wysadzeniem w powietrze linii kolejowych, które napotkali na swej drodze, zakończyli trzy kolejne rajdy połowicznymi sukcesami. Dwukrotnie przechwycili kolumny tragarzy niosących zaopatrzenie dla oddziałów niemieckich, lecz w obu przypadkach zmuszeni byli do ucieczki, kiedy nadeszły posiłki wrogich oddziałów. Trzecia akcja zakończyła się sromotną klęską, tym bardziej gorzką, że prawie mieli wtedy w ręku komisarza Fleischera we własnej osobie.

Biegacze byli integralną częścią sieci wywiadowczej Flynn'a, i to na ich szybkich nogach nadeszła wieść, że Hermann Fleischer wraz z oddziałem Askariów opuścił

Mahenge i ruszył do zbiegu rzek: Ruany i Rufiji. Tam wsiedli na mały parostatek i popłynęli w dół rzeki.

- Co poszło w górę, musi pójść w dół - powiedział Flynn do Sebastiana. - A co popłynęło w dół, musi popłynąć w górę. Udamy się do ujścia Ruany i tam poczekamy na powrót Hermanna Fleischera.

Sebastian i Rosa nie mieli żadnych obiekcji. Wszyscy troje rozumieli bez zbędnego tłumaczenia, że armia Flynn'a działa jedynie w celu dokonania zemsty. Ślubowali to sobie nad grobem dziecka i teraz walczyli nie tyle z poczucia patriotycznego obowiązku, ile z powodu trawiącej ich chęci odwetu. Pragnęli śmierci Hermanna Fleischera jako częściowego zadośćuczynienia za śmierć Marii Oldsmith.

Ruszyli w stronę Ruany. Jak to często w tych dniach bywało, Rosa maszerowała na czele kolumny. Gdyby nie długi ciemny warkocz, zwieszający się wzdłuż jej pleców, trudno byłoby rozpoznać, że jest kobietą. Ubrana była w zielonkawą koszulę i długie bawełniane spodnie koloru khaki, na tyle luźne, by tuszować krągłości bioder.

Maszerowała zamasyście, z przewieszonym przez ramię mauzerem, który uderzał

lekko o udo w rytm jej kroków.

Rosa zmieniła się tak bardzo, że Sebastianowi trudno było w to uwierzyć. Jej usta stanowiły teraz prostą, cienką linię, z oczu emanowała jakaś mroczna determinacja, a głos stracił tę trudno uchwytną nutkę radości. Mówiła niewiele, ale kiedy już się odezwała, nie sposób było nie przyjąć tego z respektem. Sebastian czuł czasem podskórny strach, słuchając tego suchego głosu.

Dotarli do nabrzeża nad Ruaną i czekali na powrót łodzi. Pojawiła się trzy dni później, oznajmiając swe przybycie rytmicznym ciuchcianiem turbiny

parowej. Kiedy wychynęła zza zakrętu rzeki, prac śmiało pod prąd, wprost w kierunku drewnianego nabrzeża, oddział Flynna leżał przyczajony w oczekiwaniu przeciwników.

- Jest tam! - Głos Sebastiana zadrżał z emocji, gdy rozpoznał gruszkowatą postać na dziobie. - Świniak, przeklęty świniak! - Sprawdzał, czy strzelba jest załadowana, i zatrzasnął ją.

- Poczekaj! - Rosa ścisnęła go, nim przyłożył kolbę do ramienia.

- Mogę go stąd ustrzelić! - zaprotestował Sebastian.

- Nie. Chcę, żeby nas zobaczył. Chcę mu najpierw coś powiedzieć. Chcę, żeby wiedział, dlaczego musi umrzeć.

Łódź obróciła się bokiem do nurtu, wytraciła prędkość i łagodnie przybiła do pomostu. Dwaj Askariowie wyskoczyli z cumami, obłożyli je na pachołkach i po chwili komisarz mógł opuścić pokład. Kiedy stanął na pomoście, odwrócił się i przez chwilę patrzył w dół rzeki. To zachowanie powinno było obudzić czujność Flynna, ale Amerykanin nie dostrzegł w nim niczego szczególnego. Fleischer wreszcie pokręcił

głową i ruszył w stronę budynku przystani.

- Powiedz swoim ludziom, by wrzucili broń do rzeki - rozkazał Flynn swoją najlepszą niemczyzną, wstając z krzaków.

Hermann Fleischer zamarł w pół kroku i powoli odwrócił głowę.

Zobaczył Flynna i głośno przełknął ślinę.

- Powiedz to szybko, bo przestrzele ci brzuch.

Fleischer powtórzył Askariom rozkaz i dookoła pomostu rozległy się chlupoty.

Dostrzegł kątem oka ruch, odwrócił głowę w tę stronę i stanął oko w oko z Rosą Oldsmith. Przed nią stał Sebastian, a oprócz niego kilkunastu uzbrojonych tubylców otaczało komisarza półokręgiem, ale Fleischer miał przeczucie, że to owa kobieta stanowi największe niebezpieczeństwo. Była w niej jakaś bezlitosna determinacja, jakiś nieopisany cień morderczego zamysłu. Do niej skierował pytanie: - Czego chcesz?

- Co on powiedział? - spytała Rosa ojca.

- On chce wiedzieć, czego chcesz.

- Spytaj, czy mnie pamięta.

Kiedy Flynn przetłumaczył, Fleischer przypomniał sobie Rosę, jak klęczała w łunie pożaru, ubrana tylko w koszulę nocną. Ogarnął go strach.

- To był błąd - wyszeptał. - To dziecko! Nie zrobiono tego z mojego rozkazu.

- Powiedz mu... Powiedz mu, że zamierzam go zabić - powiedziała Rosa i podniosła mauzera, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z twarzy Fleischera.

- To był błąd - powtórzył komisarz i cofając się po pomoście, wyciągnął ręce, jakby chciał zasłonić się przed pociskiem, o którym wiedział, że za chwilę go dosięgnie.

- Spójrz! - krzyknął nagle Sebastian.

Zza zakrętu rzeki, zaledwie o sto metrów od miejsca, gdzie stali, wyłoniła się druga łódź. Na jej maszcie powiewała flaga Niemieckiej Marynarki Wojennej. Na dziobie stał

karabin maszynowy Maxim, a dookoła niego uwijało się kilku marynarzy w wymuskanych białych mundurach.

Flynn i reszta oniemieli ze zdumienia. Ten widok wydawał się tak nieprawdopodobny jak obecność potwora z Loch Ness w stawie Serpentine w londyńskim Hyde Parku lub lwa ludożercy w katedrze Świętego Pawła. W czasie tych długich sekund, kiedy stali jak sparaliżowani, łódź zbliżała się szybko do pomostu.

Z zamroczenia wyrwał ich potężny, dobyty z głębi przepaścistego brzucha krzyk Hermanna Fleischera.

- Kyller, to są Anglicy!

Obrócił się na pięcie i przewalając się z boku na bok, z zadziwiającą prędkością podbiegł trzema wielkimi susami do krawędzi pomostu i skoczył w zielone odmęty rzeki.

Wraz z głośnym plaśnięciem jego cielska o wodę rozległo się terkotanie karabinu i powietrze dookoła wypełniło się świstem dziesiątków przelatujących pocisków. Łódź

płynęła wprost na nich, ziejąc ogniem z karabinu. Koło nóg Flynnna, Sebastiana i Rosy ziemia zawrzała od spadających pocisków. Jeden z czarnoskórych zaczął podskakiwać niczym w tańcu derwiszów, po czym pobiegł pędem w zarośla.

Flynn i reszta ocknęli się wreszcie i w popłochu wycofali się z pomostu w stronę nadbrzeżnych krzaków, ale Rosa pobiegła do przodu. Wśród gradu pocisków dotarła do krawędzi pomostu, odnalazła wzrokiem pływającego Fleischera i wycelowała w niego swojego mauzera.

- Zabiłeś moje dziecko - wrzasnęła.

Fleischer spojrział w górę, zobaczył otwór lufy karabinu i zrozumiał, że śmierć jest blisko. W tym

momencie kula z maksima uderzyła w mauzera Rosy i wytrąciła jej go z ręki. Impet uderzenia sprawił, że dziewczyna straciła równowagę i upadła na deski pomostu. Sebastian był już jednak na miejscu. Porwał ją z ziemi, przerzucił sobie przez ramię i gnany strachem pobiegł w stronę zarośli.

Wraz z dziesięcioma ludźmi Sebastian objął straż tylną. Tego dnia i przez cały następny wycofywali się powoli, wykorzystując każde miejsce dobre do obrony przed niemieckim maksimum zdemontowanym z łodzi. W tym czasie Rosa i Flynn szybko szli wprost na umówione miejsce spotkania. Drugiej nocy oddziałowi Sebastiana udało się oderwać od przeciwników. Ruszyli wprost na północ ku strumieniowi niedaleko Lalapanzi. Dotarli tam po czterdziestu ośmiu godzinach. Sebastian wkroczył do obozu oświetlonego księżycową poświatą, a Rosa na jego widok wyskoczyła spod koców i wybiegła na spotkanie, popiskując z radości.

Usiedli przy ognisku. Sebastian oddał się przyjemności picia gorącej kawy z dzinem, którą zaparzył Flynn, a tymczasem Rosa uklękła przed mężem, rozwiązała i zdjęła mu buty, a potem obmyła stopy pełne pęcherzy i obtarć. Później wytarła ręce, wstała i sięgnęła po koce.

- Chodź - powiedziała i razem poszli na spacer brzegiem strumienia. Za zasłoną zwieszających się gałęzi drzew, na posłaniu z trawy i koców obdarowali się wzajemnie ciepłem swych ciał po raz pierwszy od czasu śmierci dziecka. Potem zasnęli spleceni w uścisku, aż obudził ich brzask słońca. Pobiegli razem nago do strumienia. Zaczęli chlapać się i baraszkować w zimnej wodzie niczym dzieci. Rosa chichotała jak podlotek, zerwała się i pobiegła po płytkiej wodzie, rozchlapując dookoła miliony skrzących się w słońcu kropel i zostawiając za sobą

lśniąca mgiełkę.

Jej figura przywodziła na myśl dzban wenecki, rozszerzając się od talii ku dołowi w dwie kształtne krągłości.

Sebastian puścił się za Rosą w pogoń, złapał ją i razem przewrócili się w płytkiej wodzie. Uklękli twarzą w twarz i śmiali się serdecznie, a Sebastian patrzył

zafascynowany, jak piersi Rosy falują przy tym rytmicznie. Przestał chichotać, pochylił

się i ujął je w dłonie. Rosa zamarła, spojrzała na niego dziwnie chłodno i odepchnęła natrętne ręce.

- Nie! - syknęła, zerwała się na nogi i pobiegła na brzeg, gdzie leżało jej porzucone ubranie. Szybko okryła swą nagość, a kiedy przypinała pas z nabojami, ostatni cień chwil wypełnionych miłością zniknął z jej twarzy.

54

Hermann Fleischer, wstrząsany kolejnym skurczem, nabrał pewności, że zaszkoziła mu śmierdząca woda Rufiji. Przekręcił się, obolały, na noszach, a gorąca dłoń dyzenterii ścisnęła mu trzewia, pograżając go jeszcze bardziej w mrocznych myślach. Przyczyną jego obecnego stanu było przybycie „Blüchera”. Kapitan znieważył

go dotkliwie i wyznaczył misję, która już na samym początku pchnęła go w ręce angielskich bandytów. Komisarz mógł spodziewać się następnego ataku w każdej chwili. Do tego von Kleine zostawił mu na głowie zrzedzającego inżyniera. Fleischer

serdecznie nienawidził tego przeklętego okrętu i całej jego załogi. Kołysanie noszy, wywołane krokami tragarzy, znowu zbełtało mu zawartość żołądka, z którego dobyło się gwałtowne burczenie. Komisarz zapragnął kolejnego postoju i wzrokiem szukał

miejsca, w którym mógłby przykucnąć w odosobnieniu.

Długa na pół mili kawalkada około tysiąca ludzi wiła się przed nim bezładnie dnem wąskiej doliny, otoczonej stromymi skalistymi zboczami, na których z rzadka rosły drzewa.

Na przedzie szła jakaś setka czarnoskórych siepaczy dzierżących maczety. Murzyni, odziani jedynie w przepaski na biodrach, mienili się od potu, wyrabując pod okiem młodego inżyniera Gunthera Rauba ścieżkę w gęstych zaroślach.

Tą ścieżką posuwały się mozolnie cztery grupy ludzi, a każda z nich dźwigała wielkie przedmioty. W porównaniu z tymi przedmiotami tragarze wyglądali jak skrzaty. Od czasu do czasu któraś grupa przystawała, zatrzymana zwalonym pniem lub występem skalnym, lecz po chwili zwierzęcego wysiłku ruszała dalej.

Trzy tygodnie wcześniej na plażę w zatoce Dar es Salaam wyciągnęli frachtowiec „Rheinlander” i zdemontowali osiem płyt blachy z jego kadłuba. Następnie z wręg statku Raub wyciął i uformował osiem olbrzymich kolistych ram cztero-ipółmetrowej średnicy i do każdej z nich przyspawał arkusz czterdziestomilimetrowej blachy o powierzchni metra kwadratowego. Używając pachołków z frachtowca jako osi, połączył tych osiem dysków w cztery pary; powstały w ten sposób cztery olbrzymie osie z kołami, jakby wzięte z gigantycznego rydwanu.

Hermann Fleischer zorganizował szybką mobilizację w Dar es Salaam i najbliższej okolicy i zdołał zebrać dziewięciuset dobrze zbudowanych ochotników, którzy teraz toczyli cztery wehikuły na południe, w kierunku delty Rufiji. Askariowie Fleischera cały czas towarzyszyli im z nabitymi karabinami, by powstrzymać ochotników od zbytniego ulegania atakom chorobliwej tęsknoty za domem, która to przypadłość osiągała rozmiary epidemii, w miarę jak na ramionach tworzyły się strupy skóry spalonej przez kontakt z nagrzaną blachą, a ręce i plecy zamieniały się w jedną wielką ranę z powodu ciągłego obcierania przez szorstką, napiętą linę. Od dwóch tygodni byli w drodze i wciąż pozostawali o pięćdziesiąt morderczych kilometrów od rzeki.

Hermann Fleischer jęknął znowu, gdy dyzenteria ścisnęła mocniej jego wnętrzności.

- Do cholery! - wymamrotał i krzyknął do swych tragarzy: - Szybko, zanieście mnie do tych drzew - wskazał kępę dzikich hebanowców rosnących na jednym ze stoków doliny.

Tragarze pospiesznie zeszli ze ścieżki i wspięli się po zboczu w stronę drzew. Kiedy tam dotarli, komisarz kazał postawić nosze, a gdy te zaledwie dotknęły ziemi, wstał

i pobiegł w najgęstsze zarośla, aby przez chwilę być sam. Tragarze natomiast zmuszeni byli wysłuchać lekcji rytmiki niekoniecznie afrykańskiej.

Kiedy komisarz opuścił swoje ustronie, był głodny. W cieniu drzew panował chłód i spokój, wymarzone miejsce na pierwszy popołudniowy posiłek. Raub z pewnością da sobie radę sam przez godzinę lub dłużej. Fleischer skinał na swego osobistego sługę, by rozłożył przenośny stolik i otworzył tobołek z pożywieniem. Kiedy padł pierwszy strzał, usta miał

pełne kiełbasy.

55

- Gdzie on jest? Musi być tutaj. Zwiadowcy mówili, że tu był. Widzisz go? -

dopytywała się Rosa. Wargi miała spierzchnięte i popękane od słońca i wiatru, na spalonym nosie łuszczyła się skóra, a białka oczu zaszyły krwią od kurzu i blasku słońca.

Leżała na brzuchu, znad krawędzi wzniesienia spoglądając w dół doliny, a obok spoczywał jej mauzer.

- Widzisz go? - powtórzyła niecierpliwie, odwracając głowę do ojca.

Flynn przytaknął wymijająco i nie odrywając lornetki od oczu, przeglądał dziwną karawanę od przodu do tyłu i z powrotem.

- Jest tam jakiś biały - powiedział.

- Czy to Fleischer? Czy to on?

- Nie - zaprzeczył Flynn bez specjalnego przekonania. - Nie, nie sędzę.

- Poszukaj go. Musi tam gdzieś być.

- Zastanawiam się, co to za cholerne wehikuły. - Flynn skupił uwagę na czterech parach wielkich kół.

- Szukaj Fleischera. Chrzań te pojazdy, szukaj Fleischera - gorączkowała się Rosa.

- Nie ma go tam.

- Musi być. Musi być z nimi. - Rosa przekreśliła

się i wyrwała lornetkę z rąk ojca.

Niecierpliwie omiotła wzrokiem długą kolumnę, powoli poruszającą się w ich stronę w górę doliny. - On musi tam być. Proszę, Boże, on musi tam być - szeptała z nienawiścią.

- Za chwilę musimy zaatakować. Już niemal doszli do ustalonego miejsca.

- Musimy znaleźć Fleischera. - Rosa desperacko przeglądała kolumnę, a dłonie tak mocno zacisnęła na lornetce, że skóra na kostkach stała się biała pomimo opalenizny.

- Nie możemy pozwolić im iść dalej. Sebastian jest na stanowisku i wygląda mojego sygnału.

- Poczekaj. Musimy poczekać.

- Nie. Nie możemy pozwolić im podejść bliżej. - Flynn podniósł się nieco na rękach. -

Mohammedzie! Jesteście gotowi? - krzyknął przytłumionym głosem.

- Jesteśmy gotowi. - Odpowiedź nadeszła z dołu, gdzie na pochyłości stoku leżeli ukryci partyzanci Flyna.

- Zapamiętaj moje słowa, ty, wybrańcze Allaha. Najpierw zabij Askariów, a inni uciekną.

- Twe słowa dźwięczą w mych uszach jasno i pięknie niczym odgłosy złotych dzwonów - odparł Mohammed.

- Trzymaj się! - powiedział Flynn, odpiął kieszeń, wyjął małe lustro i ustawił je tak, by odbite promienie słońca padały na przeciwny stok. Po chwili Sebastian odpowiedział w ten sam sposób, puszczając zajaczki zza spiętrzonych skałek porośniętych krzakami.

- Och! - westchnął teatralnie Flynn. - Obawiałem się, że możesz tam usnąć, Bassie -

powiedział i sięgnął po mauzera.

- Zaczekaj - błagała Rosa. - Proszę, zaczekaj.

- Nie możemy. Wiesz, że nie możemy. Jeżeli Fleischer jest tam, w dole, to go dostaniemy. Jeśli go tam nie ma, czekanie nic nam nie pomoże.

- Zapomniałeś już o Marii. Nic cię nie obchodzi.

- Nieprawda. Nie zapomniałem - zaprzeczył spokojnie Flynn i przyłożył karabin do ramienia. Był w kolumnie żołnierz, którego obserwował od dłuższego czasu. Zwalisty Murzyn, poruszający się ze zwinnością i ostrożnością lamparta, szedł na czele pochodu, rozglądając się czujnie na boki. Nawet z tej odległości Flynn czuł, że ów człowiek jest niebezpieczny. Wymierzył w jego brzuch, a potem przesunął lufę nieco niżej, by zrekompensować strzał w dół stoku. Delikatnie nacisnął spust. Mauzer wypalił i Flynn zobaczył, nie dowierzając własnym oczom, że kula wzbija obłoczek kurzu poniżej Askaria. Kompletne pudło po starannym przymierzeniu się do celu z odległości niecałych czterystu metrów - na Boga, starzał się.

Błyskawicznie zarepetował karabin, ale żołnierz zdążył zanurkować w kępę ciernistych krzaków i następny nabój trafił w splecione suche gałęzie.

- Do jasnej cholery! - wściekł się Flynn, lecz jego krzyk utonął w nawałnicy strzałów, która rozpętała się dookoła. Z obu stoków wszyscy jego ludzie strzelali do zwartej grupy postaci w dolinie.

Przez pierwsze sekundy tubylcy stali jak zakłęci w takiej pozycji, w jakiej zastał ich atak. Jedni wygięci pod ciężarem lin, którymi ciągnęli wehikuły, inni z biczem wzniesionym do ciosu, jeszcze inni

patrzący po prostu, jak pracują tamci. Wszyscy unieśli głowy, jakby chcieli przekonać się, skąd przychodzi zagrożenie, i wtedy podniósł się pojedynczy krzyk, który niemal natychmiast utonął w powszechnym zgiełku.

Wbrew rozkazowi Flynna, by wyłuskiwać tylko uzbrojonych Askariów, jego ludzie palili na oślep do mężczyzn stłoczonych przy kołach.

Kule zaczęły uderzać o blachę, odbijając się rykosztetem z głośnym brzękiem.

Robotnicy rzucili się do ucieczki. Ciżba ciemnych ciał spłynęła w dół doliny niczym potok, unosząc ze sobą Askariów, wyraźnie odcinających się mundurami koloru khaki.

Leżąca obok Flynna Rosa strzelała również. Jej długie kobiece palce z zapamiętaniem raz po raz repetowały karabin i naciskały spust. Wargi poruszały się bezgłośnie, wymawiając imię, które stało się jej okrzykiem bojowym.

- Maria! Maria! - powtarzała po każdym strzale.

Kiedy Flynn wyciągnął nową ładownicę z bandoliera, spojrzał na córkę kątem oka.

Nawet w gorączce walki zaniepokoił się widokiem jej twarzy. W oczach Rosy czaił się obłęd, szaleństwo zbyt długiego cierpienia i starannie pielęgnowanej nienawiści, która nie mogła znaleźć ujścia.

Jego broń była naładowana, popatrzył więc na pole walki. Sytuacja się zmieniła.

Niemiec, którego Flynn obserwował wcześniej przez lornetkę, zdołał powstrzymać od ucieczki oszalałych ze strachu robotników i uformować obronę. Był z nim postawny Murzyn, ten sam, którego Flynn nie trafił

za pierwszym strzałem. Ci dwaj zatrzymali najpierw uciekających strażników, a z ich pomocą zawrócili resztę, formując obronę za zasłoną wielkich kół i występów skalnych. Teraz wrzała regularna bitwa pozycyjna.

- Mohammedzie! Celuj w tamtego! Tego białego, traf go! - wrzasnął Flynn i strzelił

dwukrotnie, chybiając w obu przypadkach, lecz jego pociski przeszły tak blisko, że Niemiec cofnął się za pancerz najbliższego koła.

- No to po wszystkim! - lamentował Flynn, kiedy szczyły jego nadzieje na szybki sukces. - Usadawił się tam na dobre. Będziemy musieli ich sobie odpuścić.

Perspektywa kontynuowania walki rysowała się wyjątkowo mało zachęcająco.

Flynn wiedział z doświadczenia, że choć wśród tej pstrej zbieraniny, która stanowiła jego bandę, każdy był bohaterem, kiedy strzelał z ukrycia, i mistrzem w sztuce strategicznego odwrotu, to jednak ich słabym punktem był atak frontalny lub jakikolwiek inny manewr, który niesie ze sobą konieczność pokazania się przeciwnikowi. Spośród stu ludzi pod jego komendą wskazałby może kilkunastu, na których mógłby polegać, gdyby wydał rozkaz do ataku. Flynn ze zrozumiałych względów unikał wydania takiego rozkazu, bo niewiele wyobrażał sobie sytuacji bardziej poniżających niż wrzaśnienie: „Do ataku!”, a potem wpatrywanie się w twarze wyrażające pytanie: „Kto, niby ja? Chyba sobie żartujesz!”

Teraz jednak zbierał się w sobie, by mimo wszystko wydać ten rozkaz, pomny faktu, że z każdą chwilą stygnie w jego ludziach gorączka walki, a zastępuje ją zdrowy rozsądek i ostrożność. Nabrał

powietrza i otworzył usta do krzyku, ale uratowała go Rosa.

Skoczyła na równe nogi i rzuciła się w dół stoku, nieco zbyt męska z karabinem u boku, lecz mimo to pełna wdzięku. Biegła z rozwianymi włosami, na swych pięknych długich nogach, strzelając raz po raz.

- Rosa! - krzyknął przerażony Flynn i pognął za nią niczym szarżujący bawół.

- Fini! - wrzasnął Mohammed i pomknął za swym panem.

- Na Boga! - Sebastianowi zaparło dech, gdy zobaczył, co się dzieje na przeciwległym stoku. - To Rosa! - Zupełnie bezwiednie znalazł się na nogach i pobiegł

w stronę nieprzyjacielskich pozycji.

- Akwende! - wrzasnął człowiek leżący obok Sebastiana i nim ktokolwiek miał czas się zastanowić, pięćdziesięciu ludzi biegło w dół stromych stoków z coraz większym przyspieszeniem. Gnali, zsuwali się i ślizgali na luźnych kamieniach, deptali kolczaste krzaki, wrzeszczeli, krzyczeli i zbliżali się bardzo szybko do Askariów skupionych dookoła wehikułów.

Z jednej strony doliny Rosa, a z drugiej Sebastian byli tymi, którzy pierwsi dotarli do niemieckich pozycji. Siłą rozpędu minęli pierwszą linię obrony i Rosa z pustym magazynkiem starła się pierś w pierś z olbrzymi Askariem, który wychynał zza głazu, by ją zatrzymać. Krzyk przerażonej żony sprawił, że w Sebastianie zawrzała furia.

Dwadzieścia metrów dalej Rosa walczyła z Murzynem, lecz była słaba jak niemowlę przeciw jego zwierzęcej sile. Złapał ją oburącz i uniósł nad głowę niczym kawałek drewna. Odchylił się do tyłu,

chcąc mocniej rzucić nią o głaz, z za którego przed chwilą wstał. W tym zamachu było tyle dzikiej pasji, że Sebastian zamarł z przerażenia.

Wiedział, że Rosa niechybnie zginie, jeżeli Murzyn wykona swój zamiar. Jej kruche ciało nie mogło wytrzymać takiego upadku.

Sebastian nie mógł strzelić, gdyż bał się trafić w Rosę, rzucił się więc biegiem, rażąc dwóch przeciwników, którzy stanęli na jego drodze. Dopadł Murzyna w momencie, gdy ten już skłaniał się do przodu, by rzucić dziewczynę.

- Uch! - gromkie sapnięcie wyrwało się z piersi Sebastiana, gdy niczym siekierą uderzył Askaria kolbą w nerki, wkładając w szeroki zamach całą swoją siłę. Tamten upadł na plecy, a na niego spadła bezpiecznie Rosa. Sebastian odrzucił karabin i pochylił się, by ująć ją w ramiona.

Dookoła nich Flynn i jego ludzie rozbrajali obrońców, szturchając ich i pokrzykując, zachwyceni swą własną odwagą.

Sebastian już wstał z Rosą w objęciach znad ciała martwego olbrzyma, lecz rozejrzał

się szybko, czy nic jej nie grozi, i znieruchomiał. Dziesięć kroków od niego w cieniu wielkich kół klęczał biały oficer. Był młodym człowiekiem, śniadym jak na Niemca, ale jego oczy były jasnozielone. Miał na sobie przepocony i brudny biały mundur tropikalny, kapelusz zsunął mu się na tył głowy. Z twarzy biła wściekłość i determinacja. W prawej dłoni ścisnął lugera. Teraz podniósł go i wycelował.

- Nie! - krzyknął Sebastian, niezdarnie próbując zasłonić sobą Rosę. - Mddchen!' -

wrzasnął w swej szkolnej niemczyźnie. - Nein

schützen, das ein Mädchen! - Zobaczył

zmianę na twarzy Niemca, gdy odwołał się do jego rycerskości. Oficer zawahał się, lecz nie opuścił pistoletu. Trwało to zaledwie parę sekund, ale wystarczyło. Flynn przytknął

lufę do szyi Niemca.

- Rzuć to, piękniutki, bo zaraz wywalę ci migdałki przez jabłko Adama.

56

Dno doliny zaścielały paczki porzucone przez tragarzy, którzy uciekli w siną dal.

Większość była otwarta i rozbe-beszona, a pomiędzy nimi, niczym szakale wokół

zabitego lwa, uwijali się partyzanci Flynnna, wybierając co bardziej wartościowe przedmioty.

Niemiecki oficer siedział spokojnie, oparty o metalowe koło. Naprzeciw niego stała Rosa z pistoletem w ręku. Wpatrywali się w siebie obojętnie. Flynn przetrząsał kieszenie Niemca, a obok stał Sebastian, gotowy pomóc w każdej chwili.

- Jest oficerem marynarki wojennej - stwierdził Sebastian patrząc na jeńca z zainteresowaniem. - Ma kotwicę na czapce.

- Zrób mi przyjemność, Bassie... - poprosił Flynn.

- Oczywiście - Sebastian zawsze chętnie spełniał prośby.

- Stul gębę! - powiedział Flynn, nie odrywając wzroku od rzeczy wyciągniętych z kieszeni Niemca i

rozłożonych na ziemi. Podczas współpracy z Flynnem Sebastian nauczył się skrywać wrażliwość pod wyhodowanym pancerzykiem, kontynuował więc, nie zmieniając ani o jotę tonu głosu.

- Zastanawiam się, co oficer marynarki robi w środku sawanny, popychając to śmieszne urządzenie. - Przyjrzał się z zainteresowaniem konstrukcji i zwrócił się do Niemca: - Bitte, was is das? - Wskazał koło.

Młody człowiek nawet nie spojrział na niego. Patrzył na Rosę z niemal hipnotyczną koncentracją. Sebastian powtórzył pytanie, ale stwierdziwszy, że znowu został

zignorowany, pochylił się, by podnieść kartkę leżącą na ziemi przed Flynnem. I tu jednak spotkało go rozczarowanie, gdyż został skarcony klapssem w rękę.

- Zostaw to. Czytam.

- W takim razie, czy mogę popatrzeć na to? - Dotknął fotografii.

- Tylko nie zgub - ostrzegł go Flynn.

Sebastian podniósł zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie. Przedstawiało trzech młodych mężczyzn w białych mundurach i czapkach marynarskich. Spleceni ramionami, uśmiechali się szeroko do aparatu. W tle widać było kawałek okrętu wojennego z wyraźnymi wieżami armatnimi. Jeden z ludzi na fotografii był tym samym człowiekiem, który siedział teraz oparty o koło. Sebastian odwrócił zdjęcie i przeczytał

podpis: Bremerhaven. 6 sierpnia 1911 roku.

I Flynn, i Sebastian byli pochłonięci poszukiwaniami, a tymczasem Rosa i Niemiec, pozostawieni sami sobie, pograżyli się w intymnym

odosobnieniu.

Giinther Raub był zafascynowany. Patrząc na oblicze dziewczyny, poczuł w sobie nie znane wcześniej uczucie niepokoju i uniesienia. Choć jej twarz nie wyrażała absolutnie nic, wyczuł w niej jakąś żądzę i obietnicę. Wiedział, że są ze sobą złączeni w niezrozumiały sposób. Coś bardzo ważnego miało wydarzyć się między nimi. Poczuł

podniecenie ogarniające lędźwia, biegnące w górę kręgosłupa. Jego oddech stał się płytki i urywany. A teraz do tego wszystkiego doszła jeszcze obawa; obawa, która niczym ciepła oliwa rozlała się w trzewiach.

- Co to jest? - spytał szeptem niczym kochanek. - Nic z tego nie rozumiem.

Wytłumacz mi.

Wyczuł, że ona nie rozumie jego języka, ale ton jego głosu wywołał w jej oczach pewną reakcję. Ściemniały nagle, jakby nad oświetloną słońcem zieloną tafłę morską nasunęła się chmura. Ta kobieta była piękna. Z bólem pomyślał, jak niewiele brakowało, by wypalił do niej z lugera, którego teraz ona ścisnęła w swej dłoni.

„Mogłem ją przecież zabić” - pomyślał i zapragnął podejść i dotknąć jej. Powoli przechylił się do przodu, a Rosa strzeliła mu w sam środek klatki piersiowej. Uderzenie pocisku odrzuciło go do tyłu. Znowu siedział oparty o koło i wpatrywał się w nią.

Ze spokojem, robiąc pauzę po każdym strzale, opróżniła magazynek pistoletu.

Luger podskakiwał raz po raz w jej dłoni, a po każdym strzale na białej koszuli Giinthera pojawiała się nowa czerwona plamka, która szybko się powiększała.

Pusty pistolet szczęknał sucho i Rosa wypuściła go z ręki.

57

Sir Percy wyciągnął czworokątny kartonik na długość ręki i przeczytał.

- Bremerhaven. 6 sierpnia 1911 roku - powiedział do kapitana swego okrętu admirałskiego. Kapitan kręcił się niespokojnie na twardym krześle Jego Królewskiej Mości. Zagłębił prawą rękę w kieszeń, namacał coś, ale po chwili powoli wyciągnął ją pustą.

- Na miłość boską, Henry, pal to świństwo, jeśli musisz - burknął sir Percy.

- Dziękuję, sir. - Pełen wdzięczności kapitan Henry Green wyciągnął z kieszeni sękatą fajkę z korzenia wrzośca i zaczął napełniać ją tytoniem.

Odłożywszy na bok fotografię, sir Percy wziął do ręki zszarganą kartkę papieru i zaczął studiować koła narysowane niewprawną ręką oraz opisy połączone z kołami za pomocą strzałek. Ta próbka sztuki prymitywnej została w pocie czoła stworzona przez Flynna Patricka O'Flynna jako dodatek do raportu.

- Powiadasz, że to nadeszło w przesyłce dyplomatycznej z ambasady w Lourenco Marques?

- Tak właśnie, sir.

- Co to za facet... - Sir Percy spojrział na kartkę
- ...ten Flynn Patrick O'Flynn?

- Wygląda na to, że jest majorem w armii portugalskiej, sir.

- Z takim nazwiskiem?

- Ci Irlandczycy są wszędzie, sir - uśmiechnął się kapitan. - Dowodzi grupą zwiadowców, którzy działają na terytorium niemieckim. Dokonali podobno kilku bohaterskich czynów.

Sir Percy odchrząknął, rzucił kartkę na stół, zaplótł ręce na karku i spojrzał na portret lorda Nelsona, wiszący na przeciwległej ścianie.

- W porządku, Henry. Posłuchajmy, co masz na ten temat.

Kapitan przytknął zapaloną zapałkę do otworu w główce fajki, pociągnął głośno dym z cybucha i przemówił zza siwej zasłony.

- Najpierw zdjęcie. Jest na nim trzech oficerów mechaników, stojących na przednim pokładzie jakiegoś krążownika. Ten w środku to człowiek zabity przez zwiadowców. -

Pyknął znowu. - Wywiad donosi, że jest to krążownik klasy „B”. Wieże armatnie z działami dwustu trzy dziesiętomilimetrowymi.

- Klasy „B”? Zwodowali tylko dwa takie.

- Tak. Były to „Battenburg” i „Blücher”, sir.

- „Blücher”! - powtórzył sir Percy.

- „Blücher”! - przytaknął mu Henry Green. - Prawdopodobnie zniszczony z walce z okrętami Jego Królewskiej Mości „Bloodhoundem” i „Orionem” w pobliżu wschodnich wybrzeży Afryki między szesnastym a dwudziestym września.

- Mów dalej.

- No cóż, ten oficer może być rozbitkiem z „Bluchera”, który miał wystarczająco dużo szczęścia, by dotrzeć do wybrzeży Niemieckiej Afryki

Wschodniej, a teraz służy w armii von Vorbecka.

- I ubrany w kompletny mundur marynarski turla dziwne okrągłe przedmioty przez kontynent? - spytał sceptycznie sir Percy.

- Zgadza się, sir, że to dość niezwykle zajęcie.

- No, a co sądzisz o tym? - Sir Percy wskazał palcem rysunek leżący na stole.

- Koła - stwierdził Green.

- Do czego?

- Do transportu materiałów.

- Jakich materiałów?

- Arkuszy blachy.

- No, a kto może potrzebować blachy na wschodnim wybrzeżu Afryki?

- Być może kapitan uszkodzonego korałowca.

- Zejdźmy do nawigacyjnego - zdecydował sir Percy. Wstał z krzesła i skierował się do drzwi.

Barczysty admirał Hove pochylał się nad mapą Oceanu Indyjskiego.

- Gdzie została przechwycona ta kolumna? - spytał.

- Tutaj, sir. - Green dotknął wskazówką olbrzymiej mapy. - Około piętnastu mil na południowy wschód od Kibiti. Maszerowali na południe w kierunku... - Nie dokończył

zdania, lecz przesunął wskazówkę do grupy wysp rozrzuconych w paszczy długiego węża, którym była rzeka Rufiji.

- Dajcie mi, proszę, locję Wschodniej Afryki - zwrócił się sir Percy do porucznika odpowiedzialnego

za mapy i locje, a ten wyciągnął z półki jedną z grubych książek w granatowej oprawie.

- Jakie są uwagi dotyczące żeglugi w ujściu Rufiji? - spytał admirał i porucznik zaczął czytać.

- „Od Ras Pombwe do odnogi Kikunya, włączając Mto Rufiji i deltę Rufiji (szerokość $8^{\circ} 17' S$, długość $39^{\circ} 20' E$). Na przestrzeni dwudziestu mil wybrzeże jest podzielone na płaskie, bagniste, pokryte lasami namorzynowymi wyspy, oddzielone od siebie odnogami Mto Rufiji. W porze deszczowej cały obszar jest często zalewany.

Wybrzeże delty dzieli dziesięć dużych ujść, z których osiem jest połączonych ciągle z korytem Mto Rufiji”.

Sir Percy zniecierpliwił się. - Co to jest to całe „Mto”?

- Arabskie słowo, które znaczy „rzeka”, sir.

- To dlaczego tak nie napiszą? Czytaj dalej.

- „Z wyjątkiem odnóg Simba Uranga i Kikunya wszystkie inne są płytkie i możliwe do przepłynięcia łodzią o zanurzeniu nie większym niż jeden metr”.

- Skoncentruj się na tych dwóch - mruknął sir Percy i porucznik przewrócił kartkę.

- „Odnoga Simba Uranga. Używana przez statki przybrzeżne przewożące drewno.

W 1911 roku admiralicja niemiecka stwierdziła tam niski poziom wody, około dziesięciu fathomów.

Kanał rozwidla się w miejscu, gdzie przegradza go wyspa w kształcie klina, zwana Rufiji-yawake. Oba ramiona pozwalają na zakotwiczenie nawet dużych statków. Grunt trzyma jednak słabo i pożądane jest zabezpieczenie w postaci przywiązania do drzew na

brzegu. Pływające wyspy trawy i krzaków są bardzo powszechne”.

- W porządku - przerwał recytację sir Percy i wszyscy w nawigacyjnej spojrzeli na niego wyczekująco. On tymczasem przypatrywał się mapie, głośno oddychając przez nos.

- Gdzie jest modelik „Blüchera”? - spytał.

Porucznik zniknął w pomieszczeniu obok i pojawił się po chwili z czarnym drewnianym czółenkiem, które zdjął z mapy dwa miesiące wcześniej. Sir Percy wziął go do ręki i trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. W pomieszczeniu zapadła kompletna cisza.

Sir Percy pochylił się i z głośnym plaśnięciem położył okręciak na szybie przykrywającej mapę. Czarny kształt wyglądał jak nowotwór w miejscu, gdzie zielony ład spotykał się z błękitnym oceanem.

- Wezwać łącznościowca! - zażądał sir Percy i po chwili pojawił się żołnierz.

- Depesza do dowódcy Floty Oceanu Indyjskiego. Kapitan Joyce, HMS „Renounce”.

Bardzo pilne. Wiadomość jest taka: „Doniesienia wywiadu pozwalają wnioskować z dużym prawdopodobieństwem...”

58

- Wie pan, kapitanie Joyce, że to cholernie dobry dżin - Flynn wskazał na szklanę, którą trzymał w dłoni, i wychylił jej zawartość tak gwałtownie, że razem z płynem niemal połknął plasterek cytryny, który steward dołożył mu dla poprawy smaku. Twarz

Flynna stała się nagle jeszcze bardziej czerwona. Po chwili, w ataku gwałtownego kaszlu, wyrzucił z siebie cytrynę oraz część džinu i toniku w postaci rozpylonej.

- Wszystko w porządku? - zirytowany kapitan Joyce podszedł do niego i zaczął

poklepywać go między łopatkami. Już widział, jak najważniejszy trybik nadchodzącej operacji umiera przez zadławienie przed rozpoczęciem działania.

- Pestki! - wy sapał Flynn. - Pieprzone pestki cytryny.

- Steward! - zawołał kapitan Joyce przez ramię, nie przestając klepać Flynna po plecach. - Przynies panu majorowi wody. Szybko!

- Wody? - przeraził się Flynn tak mocno, że zaistniało niebezpieczeństwo nawrotu ataku kaszlu.

Steward, który dzięki bogatemu doświadczeniu rozpoznawał pijaka na pierwszy rzut oka, spisał się świetnie w potrzebie. Podszedł do Flynna i podał mu szklankę. Duży haust czystego spirytusu sprawił niemal cudowne uzdrowienie. Flynn oparł się w fotelu i choć twarz miał wciąż czerwoną, oddychał równo i spokojnie. Kapitan oddalił się ku odległej ścianie kabiny, by z rozkoszą wdychać gęste gorące powietrze tropikalne, które sączyło się leniwie przez otwarty bulaj. Po bliskim kontakcie z zapachem ciała Flynna zdało mu się ono pachnące jak bukiet tulipanów. Od sześciu tygodni nie zdarzyło się Amerykaninowi zmienić ubrania. Czuć było od niego serem roquefort.

Po przerwie, podczas której wszyscy nabierali oddechu, Joyce podjął temat w miejscu, gdzie mu przerwano.

- Mówiłem, majorze, że to bardzo uprzejmie z pańskiej strony, tak szybko przybyć na spotkanie ze

mna.

- Ruszyłem, gdy tylko otrzymałem wiadomość od pana. Zdałem dowodzenie w moim obozie polowym na południe od Rovumy i nie oszczędzając się, przemierzyłem tę drogę. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów w trzy dni! Nieźle, co?

- Diabelnie świetny wynik! - zgodził się Joyce i spojrzał na dwóch pozostałych w kabinie mężczyzn, jakby szukając potwierdzenia adiutanta portugalskiego gubernatora i młodego porucznika wojsk lądowych. Żaden z nich nie rozumiał słowa po angielsku. Adiutant przybrał dyplomatyczną, grzeczną, nieodgadnioną minę, a porucznik siedział rozparty na kanapie, z rozpiętym kołnierzykiem i małym czarnym papierosem zwisającym z kącika ust. Wykombinował sobie widać, że w ten sposób jest pełen wdzięku i buty niczym zuchwały matador.

- Kapitan pyta, czy zarekomenduje mnie pan gubernatorowi, by przyznał mi Gwiazdę Świętego Piotra? - Flynn przetłumaczył słowa Anglika adiutantowi.

Flynn chciał dostać medal. Przez ostatnie sześć miesięcy namawiał do tego gubernatora.

- Zechce pan powiedzieć kapitanowi, że będę szczęśliwy, gdy otrzymam jego pisemną pochwałę pańskich czynów. - Adiutant uśmiechnął się półgębkiem.

Czasem prowadził z Flynnem wspólne interesy, wiedział więc, że nie należy jego tłumaczenia brać dosłownie. Flynn rzucił mu gniewne spojrzenie i Joyce, czując napięcie w kabinie, podjął szybko wątek.

- Prosiłem pana na spotkanie, aby omówić kwestię wielkiej wagi - zrobił pauzę. -

Dwa miesiące temu pańscy partyzanci zaatakowali niemiecką kolumnę zaopatrzeniową niedaleko miejscowości Kibiti.

- Tak było. - Flynn poprawił się w fotelu. - Co za piekielna walka. Biliśmy się jak szaleni. Piersią w pierś.

- Z pewnością - szybko zgodził się Joyce. - Z pewnością. W tej kolumnie był oficer niemieckiej marynarki.

- Ja tego nie zrobiłem - wybuchnął Flynn. - To nie ja. Próbował uciec. Nie może mnie pan winić.

Joyce wyglądał na zaskoczonego.

- Wybacz pan...

- Został zastrzelony podczas próby ucieczki, a pan próbuje udowodnić mi co innego - Flynn rzucił kapitanowi gorączkowe wyzwanie.

- Wiem o tym. Mam kopię pańskiego raportu. Co za szkoda. Wielka szkoda. Chętnie byśmy przesłuchali tego człowieka.

- Nazywa mnie pan kłamcą?

- Na Boga, majorze O'Flynn. Nic podobnego. - Joyce odkrył, że rozmowa z Flynnem O'Flynnem przypomina błędzenie po kolczastych krzakach z zawiązanymi oczyma. -

Pańska szklanka jest pusta. Czy mogę zaproponować panu drinka?

Flynn już otworzył usta, by wyrzucić z siebie kolejne zaprzeczenia, ale propozycja kapitana sprawiła, że uznał to za mało ważne i tłumaczenie się odsunął na dalszy plan.

- Dziękuję. To cholernie dobry dżin. Nie piłem od lat nic równie smacznego.

Przypuszczam, że nie ma pan na zbyciu skrzynki lub dwóch?

Joyce znowu był zaskoczony i wstrząśnięty.

- Jestem pewny, że ochmistrz będzie w stanie zorganizować coś dla pana.

- Cholernie dobra rzecz - powiedział Flynn, przyłożył pełną już szklankę do ust i wysiorbał jej zawartość jednym haustem.

Joyce zdecydował się podejść inaczej.

- Majorze O'Flynn, słyszał pan o niemieckim okręcie, krążowniku „Blucher”?

- Słyszałem, cholera! - wrzasnął Flynn z takim zapamiętaniem, że Joyce nie miał

wątpliwości, iż poruszył następny drażliwy temat.
- Ten bękart mnie zatopił.

Kapitan Joyce wyobraził sobie makabryczny widok Flyn-na pływającego na plecach i krążownika strzelającego doń z dwustutrzydziestomilimetrowych dział.

- Zatopił pana?

- Rozwalił mnie! Żeglowałem ja sobie kiedyś spokojnie na moim dhow jakby nigdy nic, a ten pojawił się i bach, Prosto w dupę.

- Rozumiem - wymamrotał Joyce. - Czy to było zamierzone?

- Cholernie zamierzone.

- Dlaczego?

- No więc... - zaczął Flynn, ale szybko zmienił zdanie. - To długa historia.

- Gdzie to się stało?

- Jakieś pięćdziesiąt mil od ujścia Rufiji.

- Rufiji? - Joyce przechylił się do przodu. - Zna pan deltę Rufiji?

- Czy ja znam deltę Rufiji? - zaśmiał się Flynn.
- Znam ją tak dobrze jak pan drogę do swego wychodka. Prowadziłem tam przed wojną interesy.

- Wspaniale! Wybornie! - Joyce nie mógł się powstrzymać od zagwizdania dwóch taktów z „Tipperary”. Oznaczało to, że jest w stanie niewysłowionej radości.

- Taa? A co w tym wspaniałego? - Flynn natychmiast stał się podejrzliwy.

- Majorze O'Flynn. Na podstawie pańskiego raportu wywiad marynarki uznał, że z dużym prawdopodobieństwem „Blücher” stoi zakotwiczony gdzieś w delcie Rufiji.

- Kogo chce pan nabrać? „Blücher” został zatopiony dwa miesiące temu. Wszyscy o tym wiedzą.

- Przypuszczalnie zatopiony. Ten okręt oraz dwa brytyjskie, które go ściagały, zniknęły z powierzchni ziemi, a dokładnie mówiąc: oceanu. Staranne oględziny pływających szczątków wykazały, że bitwa rozegrała się pomiędzy trzema okrętami.

Przypuszczano, że wszystkie poszły na dno. - Joyce przygładził siwe włosy na skroniach. - Ale teraz wydaje się pewne, że „Blücher” został ciężko uszkodzony podczas pojedynku i teraz zaszył się w delcie.

- Te koła. Stal do naprawy poszycia.

- Dokładnie tak, majorze, dokładnie. Ale... - Joyce się uśmiechnął - ...dzięki panu nie dostarczono tych blach.

- Owszem, dostarczono - burknął Flynn.
- Dostarczono? - spytał szorstko kapitan.
- Tak. Zostawiliśmy je tam. Moi szpiedzy donieśli, że kiedy odeszliśmy, Niemcy przysłali następną grupę tragarzy i zabrali te koła.
- Nie przeszkodził pan temu?
- A po jakie licho? Te maszyny nie mają żadnej wartości.
- Zawziętość wroga dowodzi ich wartości.
- Wróg był tak zawzięty, że przysłał z drugą grupą kilka karabinów maszynowych Maxim. Według mojego cennika im więcej maksimów czegoś broni, tym mniej jest to warte.
- A dlaczego nie zniszczyliście tych blach, kiedy mieliście po temu sposobność?
- Posłuchaj, przyjacielu, jak wyobrażasz sobie zniszczenie dwudziestu ton stali?
- Może przez połykanie?
- Czy zdaje pan sobie sprawę, jakim zagrożeniem będzie ten okręt, gdy osiągnie sprawność bojową? - Joyce zamilkł dla wywołania większego efektu. - Powiem panu teraz w absolutnym zaufaniu, że niedługo będzie miała miejsce inwazja na Niemiecką Afrykę Wschodnią. Czy może pan sobie wyobrazić, jakie spustoszenie spowoduje „Blucher”, gdy wypłynie z Rufiji i wedrze się pomiędzy statki konwojów?
- Taa, każdy z nas ma jakieś kłopoty.
- Majorze - głos kapitana zadrżał od hamowanej złości. - Majorze, chciałbym, aby zrobił pan dla nas rozeznanie i umiejscowił „Bluchera”.
- Ach, to tak? - wściekł się Flynn. - Chce pan,

bym ganiał po delcie Rufiji, kiedy za każdym pnem mangrowca stoi karabin maszynowy? Rok może zlecieć na poszukiwaniach w tej delcie. Nie ma pan pojęcia, jak tam jest.

- To nie będzie konieczne. Ten oficer jest lotnikiem - wskazał na portugalskiego porucznika.

- Co to znaczy?

- On lata.

- Taak? To nadal takie modne? Byłem trochę sennym młodzieńcem i sam nie puszczałem latawców, ale do dziś się to robi?

Joyce odkaszlnął. - On lata samolotem. Latająca maszyną.

- Och! - Flynn był pod wrażeniem. - Kurczę! To prawda? - spojrzał na młodego porucznika z szacunkiem.

- Z pomocą armii portugalskiej chciałbym przeprowadzić rozpoznanie lotnicze delty Rufiji.

- Ma pan na myśli unoszenie się ponad delta w latającej maszynie?

- Dokładnie.

- Cóż za świetny pomysł! - Flynn nie krył entuzjazmu.

- Kiedy może pan być gotowy?

- Gotowy do czego?

- Do lotu zwiadowczego.

- Chwileczkę, przyjacielu! - Flynn przeraził się nie na żarty. - Nie zamierzasz chyba wsadzić mnie w jedną z tych latających machin?

Dwie godziny później wciąż dyskutowali na mostku HMS „Renounce”. Joyce kazał

skierować okręt z powrotem w stronę plaży, by wysadzić Flynna i dwóch Portugalczyków w miejscu, gdzie rano podjęła ich szalupa. Brytyjski krążownik płynął

po gładkiej wodzie, a w dali majaczyła ciemna linia horyzontu.

- Jest nieodzowne, by z pilotem leciał ktoś, kto zna deltę. Porucznik przybył właśnie z Portugalii, gdzie został gruntownie przeszkolony w prowadzeniu samolotu. Musi mieć obserwatora - Joyce spróbował raz jeszcze.

Flynn zupełnie stracił zainteresowanie tą dyskusją, ważniejsze sprawy zaprzętały teraz jego głowę.

- Kapitanie, jest jeszcze jedna sprawa do omówienia.

- Przepraszam, nie nadażam.

- Ten dzin, który mi pan obiecał, co z nim?

Kapitan Joyce, oficer Królewskiej Marynarki Wojennej, był człowiekiem z pozoru łagodnym. Twarz miał gładką, pozbawioną właściwie zmarszczek, usta pełne i znamionujące powagę, oczy zamyślane. Kosmyki siwych włosów na skroniach przydawały mu dostojności. Tylko jeden szczegół twarzy zdradzał jego prawdziwe usposobienie - brwi ciągnące się prostą nieprzerwaną linią ponad oczyma i nosem. Joyce miał naprawdę okrutny i wybuchowy charakter mimo swego poczciwego wyglądu.

Dziesięć lat na mostku kapitańskim, na którym dzierżył nieograniczoną władzę kapitana Królewskiej Marynarki Wojennej, nie utemperowało jego

charakteru, lecz nauczyło, jak trzymać go w karbach. Od wczesnego ranka, kiedy to po raz pierwszy potrząsnął wielką owłosioną łapą Flynnna, Arthur Joyce został skutecznie pozbawiony wszystkich zasobów swej powściągliwości. Teraz tamy puściły.

Flynn stał oniemiały i słuchał, jak kapitan, cedząc każde słowo, w krótkiej mowie oznajmił mu, co myśli o jego odwadze, charakterze, solidności, pijaństwie i higienie osobistej.

Flynn był wstrząśnięty i głęboko dotknięty.

- Posłuchaj... - powiedział.

- TY posłuchaj - przerwał mu Joyce. - Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż patrzeć, jak schodzisz z tego statku. A kiedy już to zrobisz, możesz być spokojny, że pełne sprawozdanie z twoich poczynań znajdzie się u moich szefów, a jego kopie u gubernatora Mozambiku i w portugalskim sztabie wojennym.

- Zaczekaj! - jęknął Flynn. Nie dość, że zejdzie z pokładu bez dżinu, to jeszcze raport Joyce'a może spowodować, że nie dostanie swego upragnionego odznaczenia. Mogą nawet pozbawić go stopnia oficerskiego. W tej ciężkiej chwili nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie. - Jest jeden człowiek. TYLKO jeden, który zna deltę lepiej ode mnie.

Jest młody, ma dużo ikry i oczy niczym jastrząb.

Joyce patrzył na niego i dysząc ciężko, próbował powstrzymać się od następnego wybuchu.

- Kto?

- Mój własny syn - powiedział Flynn. Brzmiało to lepiej niż „zięć”.

- Zrobi to?

- Zrobi. Ja to sprawię - zapewnił Flynn.

59

- To bezpieczne jak koń i wóz - gromkim głosem stwierdził Flynn. Spodobało mu się to porównanie, powtórzył je więc chętnie.

- Jak bezpieczny jest koń i wóz, gdy zawiesi się je ponad chmurami? - spytał

Sebastian, nie odrywając oczu od nieba.

- Jestem tobą rozczarowany, Bassie. Większość młodych ludzi ochoczo złapałaby się tej szansy. - Flynn był w doskonałym nastroju, bo Joyce przybył z trzema skrzynkami najlepszego dżinu Beefeater. Siedział na beczce z paliwem, ukrytej powyżej plaży, w cieniu palm kokosowych, a dookoła w przeróżnych pozycjach wylegiwało się dwudziestu znudzonych czarnoskórych partyzantów. Był ciepły, leniwy, bezwietrzny poranek. Słońce naświetlało niemilosiernie biały piasek, który mocno odcinał się od błękitnych wód oceanu. Niewielka fala wśliznęła się na plażę, a pół mili dalej chmura ptaków z wrzaskiem uwijała się nad ławicą ryb.

Choć byli na terytorium niemieckim, o sto mil na północ od ujścia Rovumy, panowała świąteczna atmosfera. Wszyscy cieszyli się na przybycie latającej maszyny -

wszyscy z wyjątkiem Sebastiana i Rosy. Ci trzymali się mocno za ręce i patrzyli z niepokojem w niebo na południu.

- Musisz znaleźć go dla nas. - Ton głosu Rosy był łagodny, lecz wyczuwało się w nim napięcie. Odkąd Flynn wrócił dziesięć dni temu ze spotkania z Joyce

'em na pokładzie „Renounce'a”, mówiła jedynie o niemieckim krążowniku. Było to następne naczynie, do którego mogła przelać nadmiar swojej nienawiści.

- Spróbuję - powiedział Sebastian.

- Musisz. Musisz!

- Powinien być stamtąd dobry widok. To jakby stać na wysokiej górze, tylko że pod tobą nie ma góry - powiedział Sebastian i poczuł gęsią skórę.

- Posłuchaj!

- Co?

- Cii...

I usłyszał odgłos niczym brzęczenie jakiegoś owada, które nasilało się i milkło raz po raz. Ci pod drzewami też usłyszeli i wylegli na plażę z głowami zadartymi w górę.

Nagle na niebie błysnęło słońce odbite od szkła lub metalu i krzyk radości wyrwał się z piersi zgromadzonych.

Samolot zniżył lot. Po chwili wszyscy mogli się przyjrzeć jego chwiejnym skrzydłom i posłuchać narastającego crescendo silników, gdy zbliżał się tuż nad piaskiem plaży i z każdą sekundą ogromniał w oczach. Grupa czarnoskórych partyzantów rozprysła się w nagłej panice, a Sebastian upadł ze strachu twarzą w piach. Jedynie Rosa stała niewzruszona, gdy samolot przeleciał kilka metrów nad jej głową, po czym wzniósł się nieco i zatoczył duże koło.

Sebastian wstał i otrzepał się z piasku, a tymczasem pilot nadleciał nad ubity piach blisko linii wody, przymknął gaz i posadził maszynę na plaży. Wyhamował i powoli podkołował do nich, wzbijając pracującym śmigłem tumany drobnego piachu. Skrzydła dygotały, jakby za chwilę miały odpaść.

- W porządku - krzyknął Flynn do ludzi, którzy stali ukryci za pniami palm kokosowych. - Weźcie te beczki tam, na dół.

Silnik przestał pracować i zrobiło się tak cicho, że aż huczało w uszach. Pilot wygramolił się sztywno z kabiny, zsunął się na niższy płat, a z niego zeskoczył na ziemię. Rozpiął skórzaną kurtkę, zdjął hełm i gogle i skierował się w stronę Sebastiana, który biegł mu na spotkanie.

- Da Silva - przedstawił się i uścisnął dłoń Sebastiana. - Hernandez da Silva.

Był to portugalski porucznik, którego Flynn poznał podczas spotkania z kapitanem Joyce'em.

Kiedy Sebastian i Flynn nadzorowali uzupełnianie paliwa w samolocie, Rosa usiadła z pilotem w cieniu palm, by towarzysze mu przy egzotycznym śniadaniu stosownym dla rycerza podniebnych szlaków, na które składała się kiełbasa wieprzowa przyprawiana czosnkiem i białe wino. Wszystkie te specjały porucznik przywiózł ze sobą.

Pilot był zajęty jedzeniem, ale nie na tyle, żeby choć na moment spuścić wzrok z Rosy. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów Sebastian wyczuł, że nagle Rosa staje się znowu kobietą. Wysoko uniesioną głowę i twardy męski wzrok zastąpiły teraz ukradkowe spojrzenia spod powiek unoszonych tylko na chwilę. Towarzyszyły temu nieśmiałe uśmiechy i delikatne rumieńce na policzkach i szyi, widoczne nawet pod opalenizną. Włosy niesfornie opadające na twarz zostały założone delikatnie za ucho.

Rosa rozprostowała nieco wygniecioną na piersiach koszulę i podwinęła nogi pod siebie. Oczy pilota śledziły wszystkie te ruchy. Wreszcie Portugalczyk chwycił butelkę z winem i wyciągnął ją w stronę

kobiety.

Rosa bąknęła słowo podziękowania, przytknęła butelkę do ust i delikatnie wysączyła kilka małych łyków. Z rumieńcami na policzkach i łuszczącą się skórą na nosie wygląda świeżo i niewinnie niczym mała dziewczynka, pomyślał Sebastian.

Porucznik natomiast wręcz przeciwnie - nie wyglądał ani świeżo, ani niewinnie. Był

przystojny, jeśli ktoś gustuje w chu-derlawych typach podobnych do steranych kotów domowych. Sebastian widział coś bezwstydnie erotycznego w tych jego małych czarnych wąsikach podkreślających wąskie wargi. Kiedy patrzył, jak Portugalczyk bierze butelkę z rąk Rosy i podnosi ją w toaście, miał dwie myśli: żeby wcisnąć butelkę do gardła pilotowi oraz żeby wsadzić go do samolotu i odesłać z dala od Rosy tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Paci. Paci - burknął na Mohammeda i jego pomocników, którzy nalewali benzynę. -

Pospieszcie się, do jasnej cholery!

- Zamiast zrzędzić, weź się do roboty, Bassie, i przestań rozkazywać. Wiesz, że to wszystkich wkurza.

- Nie wiem, co z tym zrobić. Powiedziałybyś lepiej temu utytłańcowi, żeby tu przyszedł i pomógł im. Nie mówię w jego języku.

- Połóż to w przedniej kabinie, kabinie obserwatora.

- Powiedz temu przekłętemu Portugalczykowi, by przyszedł tutaj - wściekał się Sebastian. - Powiedz mu, żeby zostawił Rosę w spokoju i przyszedł tutaj.

Kiedy Rosa przyszła wraz z pilotem, a potem z niemym uwielbieniem wpatrywała się w niego, gdy wydawał po por-tugalsku kolejne komendy, Sebastiana

zalała krew.

Rytuał przygotowań do startu został dopełniony, a on stał, wciąż trzęsąc się ze złości, i zaciskał pięści. Pilot niecierpliwie machnął do niego, by zajął miejsce w kabinie, ale zamiast skierować się w stronę samolotu, Sebastian podszedł do Rosy i mocno chwycił

ją w ramiona.

- Kochasz mnie? - spytał.

- Co? - krzyknęła przez łoskot silnika.

- Czy mnie kochasz? - wrzasnął Sebastian.

- Oczywiście, że tak, głupku - odkrzyknęła, uśmiechnęła się promiennie i stanęła na palcach, by go pocałować, podczas gdy wokoło kłębiły się tumany piachu poruszonego kręcącym się śmigłem. Jej pocałunek miał w sobie moc, jakiej Sebastian nie doświadczył

przez te wszystkie długie miesiące. Młodzieniec zastanawiał się gorzko, ile z tej mocy pochodziło ze źródła zewnętrznego.

- Możesz to zrobić, jak wrócisz - krzyknął Flynn, rozdzielił ich i pomógł zięciowi wejść do kabiny.

Maszyna skoczyła do przodu, Sebastian przytrzymał się czegoś kurczowo, by nie stracić równowagi, po czym się obejrzał. Rosa machała uśmiechnięta, ale nie był pewien, czy do niego, czy do tej osłoniętej hełmem głowy w kabinie za nim. Zazdrość ustąpiła jednak szybko instynktowi przetrwania. Ściskając z całej siły krawędzie kabiny, zapierając się mocno nogami, Sebastian patrzył przerażony przed siebie. Na skutek prędkości samolotu plaża zlała mu się w jedną białą masę, palmy umykały do tyłu, z drugiej strony to samo czynił ocean. Pęd powietrza wyciskał

ły z oczu, maszyna krztusiła się i podskakiwała, wreszcie podskoczyła mocniej i uniosła się w powietrze.

Duch Sebastiana uniósł się razem z samolotem. Jego uprzedzenia rozplynęły się bez śladu. Przypomniawszy sobie w końcu o założeniu gogli i chroniony przez nie popatrzył na mały spokojny świat w dole. Kiedy spojrzął przez ramię na pilota, dziwne i cudowne wrażenie nieśmiertelności spowodowało, że zapomniał o żałosnych urazach zazdrosnego mężczyzny i uśmiechnął się.

Pilot odwzajemnił uśmiech i wskazał końcówkę prawego skrzydła. Sebastian podążył za nim wzrokiem. Daleko, daleko na błękitnej tafli oceanu zobaczył szary kształt brytyjskiego krążownika „Renounce”, zwieńczony jasną smugą dymu z komina.

Skinął głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się do kompana. Pilot raz jeszcze wskazał ręką, tym razem przed siebie.

W oddali, za zasłoną mgiełki wilgotnego powietrza widać było wyspy delty Rufiji nieskładnie wciśnięte pomiędzy ląd i ocean, niczym nie dopasowane części układanki.

Sebastian schylił się w głąb kokpitu i wyciągnął lornetkę, ołówek i mapę.

60

Panował gorąc. Zawiesisty, lepki gorąc. Nawet pod osłoną siatek maskujących pokład „Blüchera” omiatany był gorącymi podmuchami bagienno-powietrza. Pot ściekający po ciałach wółrozebranych ludzi

tyrających na przednim pokładzie nie dawał ulgi, gdyż powietrze było zbyt wilgotne, aby ciało mogło wyparować jakikolwiek płyn. Poruszali się jak lunatycy, powoli, z determinacją podczepiali blachę pod dźwig.

Pierwszy mechanik Lochtkamper pracował ze swoimi ludźmi, tak jak oni rozebrany do pasa. Tatuaze na jego ramionach i piersiach poruszały się jak żywe, gdy potężne mięśnie mechanika wykonywały pracę.

- Odpoczynek - wysapał i wszyscy oderwali się od harówki. Dysząc ciężko i masując sobie obolałe plecy, patrzyli na kawał blachy z prawdziwą nienawiścią.

- Kapitan. - Lochtkamper po raz pierwszy poczuł się nieswojo, gdy dostrzegł

dowódcę. Von Kleine stał przy przedniej wieży artyleryjskiej, smukły w swym białym mundurze. Mechanik podszedł do niego.

- Wszystko idzie dobrze? - spytał kapitan.

Inżynier przecząco pokręcił głową.

- Nie tak dobrze, jak miałem nadzieję. - Olbrzymią dłonią otarł pot z czoła, zostawiając na nim smugę smaru i rdzy. - Wolno. Zbyt wolno.

- Czy napotyka pan trudności?

- Na każdym kroku - mruknął mechanik, tocząc wzrokiem po mangrowcach rozmytych w wilgotnym powietrzu i ciemnej wodzie oblewającej błotniste brzegi.

- Nic tu nie działa: ani spawarka, ani kabestany, ani nawet ludzie. Wszystko jest chore w tym parszywym upale.

- Ile to jeszcze potrwa?

- Nie wiem, kapitanie. Naprawdę nie wiem.

Von Kleine nie chciał naciskać. Jeżeli ktokolwiek może przywrócić „Blücherowi”

zdolność żeglugową, to właśnie ten człowiek. Kiedy Lochtkamper w ogóle kładł się spać, robił to tutaj, na przednim pokładzie. Zwijął się niczym pies na materacu, rzuconym wprost na pokład, i spał parę krótkich godzin pośród terkotania i skrzypienia kabestanów, świstu spawarek i dudniących uderzeń młotów o blachę. Potem zrywał się i znów kierował, wymierzał, rysował i poganiał.

- Jeszcze trzy tygodnie - ostrożnie oceniał Lochtkamper. - W najgorszym wypadku miesiąc, jeżeli wszystko będzie szło tak jak dotąd.

Obaj stali w milczeniu, dwóch ludzi z zupełnie innych światów, zjednoczonych we wspólnej sprawie, darzących się wzajemnym szacunkiem za swe jakże odmienne umiejętności.

Uwagę ich zwrócił ruch na wodzie. O milę od nich pojawiła się jedna z łodzi parowych wysyłanych w górę rzeki. Przypominała bardziej wóz z sianem niż cokolwiek innego, a to z powodu wyrastającej ponad pokładem fury drewna, na której siedziało kilkunastu czarnoskórych mężczyzn.

Von Kleine i Lochtkamper patrzyli, jak łódź, której pozostało zaledwie kilka centymetrów wolnej burty, zbliża się do okrętu.

- Wciąż nie jestem przekonany do tego plugawego drewna, kapitanie. - Mechanik potrząsnął z dezaprobatą swą wielką głową. - Jest za miękkie, będzie zbyt dużo popiołu, piec może się zapchać.

- Nie możemy zrobić nic innego - przypomniał mu von Kleine.

Kiedy „Blucher” wchodził do ujścia Rufiji, jego zapasy węgla były na wykończeniu.

Opał wystarczyłoby tylko na cztery tysiące mil, zbyt mało, żeby dopłynąć do czterdziestego piątego stopnia szerokości południowej, gdzie oczekiwał statek „Esther”, by zaopatrzyć ich w paliwo i amunicję.

Nie było najmniejszej szansy na zdobycie węgla. Zamiast tego von Kleine wysłał

komisarza Fleischera i jego tysiąc tubylców w górę rzeki do wyrąbania lasu, który rósł

u szczytu delty. Oczywiście Fleischer protestował gorączkowo, używając wszelkich argumentów. Uważał, że dostarczając bezpiecznie blachy z Dar es Salaam, wypełnił

wszelkie powinności wobec „Blüchera”. Jego elokwentna mowa nie poszła na marne.

Lochtkamper kazał zrobić z blachy dwieście prymitywnych siekier, a von Kleine przydzielił Fleischelowi porucznika Kyllera, by ten podtrzymywał w komisarzu płomień entuzjazmu dla sprawy wyrębu lasu.

Już trzy tygodnie łodzie z „Blüchera” pływały tam i z powrotem. Dotąd dostarczyły jakieś pięćset ton drewna. Pojawił się problem znalezienia miejsca dla tego ładunku, skoro bunkry węglowe były już prawie zapełnione.

- Niedługo będziemy musieli zacząć układać te pnie na pokładzie - mruknął von Kleine.

Lochtkamper otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale w tym momencie rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Von Kleine odwrócił się i pobiegł w kierunku mostka. Na drabinie zderzył się z jednym ze swoich poruczników.

Objęli się nawzajem, by nie stracić równowagi i młody oficer wykrzyczał w twarz von Kleinego: - Kapitanie, samolot. Leci nisko. Zbliża się z tej strony. Ma barwy portugalskie.

- Cholera jasna! - Von Kleine przepchnął się obok młodzieńca i szybko pokonał kilka ostatnich stopni dzielących go od mostka. - Gdzie on jest? - krzyknął.

Oficer wachtowy oderwał lornetkę od oczu i odwrócił się do kapitana.

- Tam jest, sir - wskazał przez dziurę w siatce maskującej.

Von Kleine wyrwał mu z ręki lornetkę, przybliżył ją do oczu i nastawiając ostrość na odległy jeszcze samolot, wydawał rozkazy.

- Ostrzec ludzi na brzegu. Wszyscy kryć się. Działka nastawić na maksymalną wysokość. Pom-pomy załadować szrapnelami. Obsługa karabinów maszynowych w gotowości, ale nie otwierać ognia bez mojego rozkazu.

Udało mu się złapać wreszcie odpowiednią ostrość.

- Portugalski, w porządku - mruknął pod nosem. Zielono-czerwony znak odcinał

się wyraźnie na tle brązowego kadłuba.

- On czegoś szuka...

Samolot latał tam i z powrotem, od morza, w głąb lądu i w drugą stronę. Za każdym razem lecąc równoległe do poprzedniego kursu, kreślił na niebie szlak, niczym rolnik orający pole. Von Kleine dostrzegał głowę i ramiona człowieka wychylającego się z przedniej kabiny samolotu.

- No to sprawdzimy, jak skuteczne jest nasze

maskowanie - powiedział do siebie.

„A więc nieprzyjaciel połapał się w końcu. Musieli dowiedzieć się o konwoju z blachami albo zaalarmowało ich wyrąbywanie lasu - myślał patrząc, jak samolot powoli skręca w jego stronę. - Nie mogliśmy spodziewać się, że nigdy nas nie odkryją, ale nie oczekiwałem, że wyślą samolot”.

Nagła myśl zelektryzowała go. Podbiegł do przedniego relingu i spojrział przez siatkę maskującą przed dziób okrętu. W odległości pół mili płynęła łódź z drewnem, zostawiając za sobą biały kilwáter. Pękata niczym brzemienna hipopotamica, płynęła wprost w kierunku „Bluchera”. Z powietrza będzie widoczna niczym opity kleszcz na białym prześcieradle.

- Łódź! - krzyknął von Kleine. - Zawróćcie ją, kaźcie jej płynąć do brzegu i ukryć się.

Wiedział jednak, że to bezcelowe. Kiedy łódź znajdzie się w zasięgu głosu, będzie za późno. Pomyślał, by rozkazać obsłudze pierwszej wieży zatopienie jej, ale zarzucił ten pomysł natychmiast - wybuch pocisku od razu zwróci uwagę nieprzyjaciela.

Stał ściskając reling i miotał ciche przekleństwa w kierunku zbliżającej się łodzi.

61

Sebastian wychylał się przez krawędź kokpitu. Wiatr targał nim niemiłosiernie, przyklejając koszulę do ciała i rozwiewając ciemne loki. Z właściwą sobie zręcznością młodzieniec nie omieszkał

wypuścić poza samolot lornetki. Była ona własnością Flynna Patricka O'Flyna. Sebastian wiedział, że teść będzie oczekiwał zapłaty. Ta myśl trochę zepsuła mu przyjemność lotu, gdyż dotychczas był mu winny nieco ponad trzysta funtów. Rosa też będzie miała coś do powiedzenia. Strata lornetki była jednak nieistotna dla osiągnięcia celu wyprawy. Samolot leciał tak nisko i był tak niestabilny, że nie uzbrojone oko było o wiele bardziej przydatne.

Z wysokości stu pięćdziesięciu metrów las namorzynowy wyglądał jak stary powypychany materac w kolorze zgniłej zieleni, a odnogi rzeki miały barwę ciemnej stali, niczym lufy karabinu. Stada białych czapli, które podrywały się spłoszone pracą silnika, wyglądały jak strzępy podartych kartek rzucone w powietrze. Orzeł rybołów, powoli i dostojnie lecący nad nimi, zorientował się bardzo późno w niebezpieczeństwie i w ostatniej chwili zrobił unik, niewiele mijając się ze skrzydłem samolotu. Był tak blisko, że Sebastian widział strach w bystrym żółtym oku i zaśmiał się głośno, ale po chwili musiał chwycić się mocno, gdyż maszyna dziko się zakołysała. Był to sposób stosowany przez pilota na zwrócenie uwagi Sebastiana ku właściwym sprawom.

Sebastian wolałby, żeby da Silva wymyślił inny sposób na osiągnięcie tego celu.

Spojrzał ze złością do tyłu.

- Uważaj sobie! Ty głupi dago. - Próbował przekrzyczeć wiatr i odgłos silnika.

Da Silva, dziko gestykulując, paplając coś i przewracając oczyma, wskazał w prawo.

Sebastian dostrzegł to natychmiast. Szeroką odnogą płynęła łódź, a była tak dobrze widoczna, że Sebastian zastanowił się, dlaczego nie dostrzegł jej

wcześniej. Szybko jednak przypomniał sobie, że skupiał się na tym, co było przed samolotem, wszystko więc sobie wybaczył.

Pomyślał, że poruszenie da Silvy było niepotrzebne. To nie był krążownik, to była licha łódź, niespełna dziesięciometrowa. Szybko pobiegł wzrokiem w dół rzeki, aż do otwartego oceanu. Nie było nic. Obejrzał się na pilota i pokręcił głową. Ale podniecenie da Silvy wzrosło jeszcze bardziej. Dawał jakieś nowe gwałtowne znaki, z których Sebastian nic nie mógł zrozumieć, więc aby oszczędzić sobie fatygi, nie próbował

wdawać się w wymianę argumentów na migi. Skinął głową potakująco i w tym samym momencie maszyna zanurkowała tak gwałtownie, że brzuch Sebastiana przykleił się do oparcia fotela. Po chwili wyrównała lot, muskając niemal kołami korony mangrowców.

Kiedy zbliżyli się do rzeki, da Silva ponownie szybko obniżył lot tuż za linią nadbrzeżnych drzew i teraz lecieli kilka metrów nad taflą wody. Był to piękny lot, ale Sebastian wcale się nim nie cieszył. Z wybałuszonymi oczyma i rękoma kurczowo ściskającymi krawędzie otwartej kabiny złorzeczył w duchu na da Silvę.

W odległości mili płynęła przeładowana łódź, a oni lecieli niemal na jej wysokości, zostawiając na wodzie zmarszczki wywołane podmuchem śmigła.

- Mój Boże! - jęknął Sebastian, po czym w bluźnierczych słowach scharakteryzował

da Silvę. - On chce wjechać w tę stertę.

Była to opinia, którą zdaje się podzielała załoga łodzi, gdyż dwóch ludzi siedzących na szczycie piramidy drewna w popłochu wskoczyło do wody. W ostatniej sekundzie da Silva uniósł nieco maszynę,

tak że przeskoczyli nad łodzią i Sebastian miał

sposobność spojrzeć z odległości pięciu metrów w twarz niemieckiego porucznika marynarki, który stał za rumblem steru. Portugalczyk wzniósł wyżej maszynę i zatoczył

koło. Sebastian zobaczył, że łódź również zawraca, a już po chwili przez burty gramolili się ludzie, którzy wcześniej wskoczyli do wody. Da Silva przymknął gaz i silnik terkotał

teraz na połowie mocy. Tym razem nadlecieli nad rzekę na wysokości dwudziestu metrów i wcale nie kierowali się na łódź z drewnem, lecz wprost ku północnemu brzegowi odnogi.

- Co robisz? - spytał Sebastian na migi.

W odpowiedzi pilot zamaszystym gestem wskazał na zwartą grupę drzew po prawej stronie samolotu. Zdziwiony Sebastian wpatrzył się w mangrowce. Co ten dureń robi, nie myśli chyba, że...

Na brzegu widać było garb terenu, pagórek, który wyrastał jakieś pięćdziesiąt metrów ponad powierzchnię wody. Samolot zbliżał się do niego.

Niczym myśliwy, który tropi rannego bawołu, skradającego się ostrożnie przez krzaki zbyt rzadkie, by zasłonić tak dużego zwierza, a potem staje nagle przed nim tak blisko, że widzi krew kapiącą z wilgotnych nozdrzy i małe, świńskie oczka wpatrujące się w niego z tępą zawziętością - tak Sebastian odnalazł „Bluchera”. Stał tak blisko, że widać było główki nitów na pancerzu, podpory siatek maskujących, mężczyzn stojących na mostku kapitańskim, ludzi obsługujących pom-pomy i ciężkie karabiny maszynowe w gniazdach na nadbudówkach. Z przysadzistych wieżyczek olbrzymie działa patrzyły swymi przepaścistymi oczodołami, śledząc tor lotu

maszyny.

Był monstrualny, szary i złowrogi. Sebastian krzyknął zdumiony i w tej samej chwili silnik samolotu zawył na maksymalnych obrotach. Da Silva pociągnął wolant do siebie i kiedy samolot wyprysnął w górę, pokład „Bluchera” rozbłysnął niczym wulkan tysięcznymi erupcjami. Ogień ział z dwustutrzydziestomilimetrowych dział, z wielolufowycli pom-pomów i ciężkich karabinów maszynowych. Powietrze koło samolotu zawrzało. Przerażliwy świst kul i odłamków ze szrapneli zmieszał się ze złowrogim dudnieniem przelatujących pocisków armatnich. Dookoła wykwitały obłoczki wybuchów. Coś uderzyło w maszynę, która zaczęła się kręcić wokół własnej osi, niczym płonący liść unoszący się nad ogniskiem. Metr po metrze samolot z coraz mniejszą prędkością piał się w górę. Przeciążone wiązania kadłuba i skrzydeł

trzeszczały niebezpiecznie. Ze złamanego nosa Sebastiana krew buchnęła ze zdwojoną siłą, zalewając koszulę na torsie.

Samolot stanął na ogonie. Śmigło bezsilnie męłło powietrze. Nagle maszyna przechyliła się przez skrzydło i z impetem zwała się w dół. Da Silva próbował

wyprowadzić ją z lotu. nurkowego, gdy prędkość wzrastała i skrzydła odzyskały swą siłę nośną. Postrzępione wierzchołki mangrowców zbliżały się jednak z przeraźliwą prędkością. Da Silva pociągnął wolant i linka ciągną sterów zatrzeszczała cicho.

Maszyna wyrównała lot w ostatniej chwili. Lecieli tuż nad drzewami. Oprócz wycia silników słyhać było uderzenia gałęzi o podwozie. Wreszcie samolot powoli wspiał się w górę i oddalił od złowrogich mokradeł.

Silnik prychał i zatykał się, wolant stawiał dziwny opór. Da Silva nie ufał sterom, lecieli więc przed siebie, nabierając upragnionej wysokości. Na trzystu metrach pilotowi udało się wykonać powolny, łagodny skręt i samolot skierował się na południe, kuśtykając w przestworzach na zatykającym się silniku i jednym płacie poważnie uszkodzonym. Tam czekał na nich Flynn O'Flynn.

62

Flynn powoli i z dostojeństwem wstał spod palmy, pod którą siedział.

- Dokąd idziesz? - spytała Rosa, otwierając oczy.

- Zrobić coś, czego ty nie możesz zrobić za mnie.

- To trzeci raz w ciągu godziny! - Rosa była podejrzliwa.

- Dlatego nazywają mnie Rączka Stopa - odparł Flynn i z godnością odszedł w stronę krzaków. Tam rozejrzał się ostrożnie. Nie wiadomo było, czy Rosa nie pójdzie za nim.

Upewniwszy się, że nie ma niebezpieczeństwa, uklęknął i zaczął odgarniać dłońmi sypki piasek.

Westchnął radośnie jak stary pirat, który odkopał szkatułkę z dublonami, wyjął

butelkę z dołka i odkorkował.

Właśnie przykładał szyjkę do ust, gdy usłyszał przytłumiony warkot powracającego samolotu. Spojrzał uważnie w górę, nie przerywając konsumpcji, i rozejrzał się, gorączkowo pracując grdyką. Z jego twarzy emanowało uczucie zadowolenia, gdy korkował, a następnie zakopywał butelkę z dzinem.

- Widzisz ich? - krzyknął do Rosy, wynurzając się z krzaków. Stała z zadartą głową, tak że jej długi czarny warkocz zwieszał się poniżej talii. Nic nie odpowiedziała, ale wystarczyło spojrzeć na zatroskany wyraz jej twarzy. Mężczyźni' wokół niej stali również bez słowa, wpatrując się z obawą w niebo.

Flynn podniósł wzrok i zobaczył, jak samolot zbliża się niczym ranny ptak. Silnik zacinał się i milkł raz po raz, zrywając się po chwili do dalszej pracy. Skrzydła przy każdym takim zrywie trzęsły się szaleńczo. Spod kadłuba zwisały resztki urwanego koła, a z tyłu ciągnęły się kłęby smolistego dymu.

Kiedy samolot podchodził do lądowania, silnik prychnął i umilkł na dobre, tak że słychać było świst wiatru na linkach pomiędzy skrzydłami. Jedyne koło dotknęło ubitego piasku. Przez pięćdziesiąt metrów samolot trzymał się równo, po czym przechylił się, lewe skrzydło wbiło się w piach i z przeraźliwym trzaskiem maszyna obróciła się w stronę morza. Ogon uniósł się wysoko w górę, śmigło uderzyło w piach i rozprysło się na drzazgi, a z przedniego kokpitu niczym z procy wystrzeliła ludzka postać i spadła w płytką wodę, podczas gdy konstrukcja samolotu z głośnym chrobotem łamanego szkieletu i rozdzieranego poszycia zamieniała się w bezładną stertę rupieci.

Da Silva zawisł bez ruchu głową w dół, przytrzymywany przez pasy.

Zapadła grobowa cisza. Po kilku długich sekundach przerwała ją Rosa.

- Pomóżcie pilotowi. Ja zajmę się Sebastianem - krzyknęła.

Mohammed i dwóch Askariów pobiegło za nią w

miejsce, gdzie leżał nieprzytomny Sebastian, omywany kolejnymi falami.

- Ruscie się! - wrzasnął Flynn do ludzi stojących obok i brnąc w grząskim piachu, pobiegł w stronę samolotu. Nie zdążyli jednak dotrzeć do niego.

Huk eksplozji osadził ich w miejscu, gdy ogień dosięgnął zbiornika paliwa. Maszyna i morze dookoła niej zmieniły się w huczącą ścianę ognia. Bijące od niej gorąco kazało im się cofnąć. Języki ognia strawiły szybko poszycie, obnażając szkielet samolotu.

W sercu szalejących płomieni da Silva wisiał na swych pasach. Jego odzież płonęła.

Wreszcie nadgryzione ogniem pasy pękły i pilot wpadł do wody, która z sykiem ugasiła płonące ciało.

Ogień jeszcze się nie dopalił, gdy Sebastian odzyskał świadomość i podniósł się nieco, wsparłszy się na łokciu. Popatrzył błędnym wzrokiem na dymiący wrak.

- Da Silva? - spytał zmienionym głosem. Nos miał złamany i rozplaszczony i choć Rosa zdążyła zetrzeć większość krwi, koło nosa i w kącikach ust pozostały ciemne skrzepy. Oczy obramowane były fioletowymi siniakami.

- Nie! - Flynn potrząsnął głową. - Nie udało mu się.

- Nie żyje? - szepnął Sebastian.

- Pochowaliśmy go w buszu.

- Co się stało? - spytała Rosa. - Co tam się wydarzyło? - Usiadła blisko niego.

Sebastian powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Znaleźliśmy „Blüchera”.

63

Kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Arthur Joyce był szczęśliwym człowiekiem. Stał, opierając się rękoma na blacie swego biurka, na którym leżała mapa admiralicji. Z satysfakcją patrzył na narysowany odręcznie niebieskim ołówkiem okrąg, jakby był to podpis prezesa Banku Angielskiego widniejący na czeku na milion funtów szterlingów.

- Dobrze. Bardzo dobrze - powiedział i złożył usta w ciup, jakby chciał zagwizdać „Tipperary”. Zamiast tego cmoknął tylko i uśmiechnął się do Sebastiana. Zza rozplaszczzonego nosa i zasiniaczonych oczu Sebastian odwzajemnił uśmiech.

- Cholernie dobra robota, Oldsmith! - Nagle przypomniał sobie coś i popatrzył

badawczo na Sebastiana. - Oldsmith? - powtórzył. - Czy przypadkiem nie był pan otwierającym w drużynie Sussexu w sezonie kwietniowym 1911?

- Tak było, sir.

- Na Boga! - rozpromienił się Joyce. - Nigdy nie zapomnę pańskiego otwarcia przeciw Yorkshire w pierwszym meczu sezonu. Odprawił pan Grahama i Penridye'a w dwóch gon-kach. Dwóch w dwóch, no nie?

- Dwóch w dwóch, tak było. - Sebastian lubił tego człowieka.

- Piekielna robota! A potem zrobił pan

pięćdziesiąt pięć gonek?

- Sześćdziesiąt pięć - poprawił go Sebastian. - Rekord w dziewiątym okresie obronnym przeciw Clifford Dumont, sto osiemdziesiąt sześć!

- Tak! Tak! Pamiętam dobrze. Piekielna robota! Miał pan cholernego pecha, że nie zagrał pan w reprezentacji Anglii.

- Och, nic mi o tym nie wiadomo - zgodził się skromnie Sebastian.

- Tak, to prawda. Cholerny pech.

Flynn O'Flynn nie rozumiał z tego ani jednego słowa. Wiercił się w fotelu niczym ranny bawół w potrzasku. Rosa Oldsmith rozumiała niewiele więcej, ale była zauroczona. To oczywiste, że kapitan Joyce wiedział o jakichś wyjątkowych dokonaniach Sebastiana, a skoro wiedział o nich taki człowiek jak kapitan, to Sebastian był sławny.

- Nic nie wiedziałam o tym, Sebastianie. Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Posłała mu promienny uśmiech.

- Może innym razem - szybko przerwał Joyce. - Musimy załatwić jeszcze tamte sprawy. - Spojrzał na mapę. - Chciałbym, żeby cofnął się pan pamięcią do lotu. Proszę zamknąć oczy i popatrzeć na to raz jeszcze. Każdy szczegół, który pan sobie przypomni, każdy nawet najbliższy szczegół może być istotny. Czy zauważył pan oznaki zniszczenia?

Sebastian posłusznie zamknął oczy i zdziwił się, jak mocnym piętnem strach odcisnął obraz „Bluchera” w jego pamięci.

- Tak - zaczął. - Były w nim dziury. Setki małych czarnych dziur. A z przodu przy dziobie były także trapezy wiszące na linach nad powierzchnią wody. Wie pan, takie jakich używają przy malowaniu wysokich

budynków...

Joyce skinął na sekretarza, by zapisywał każde słowo.

64

Pojedynczy podmuch poruszył powietrze w mesie oficerskiej, gęste i lepkie niczym opary nad posłaniem chorego na malarię.

Oprócz cichego brzęknięcia łyżki o porcelanę jedynym źródłem dźwięków w pomieszczeniu był Hermann Fleischer. Jadł gęstą, gorącą grochówkę. Po zaczerpnięciu każdej łyżki dmuchał w nią głośno i zawzięcie, po czym pochłaniał ją z siorbnięciem, może nie tak mocnym, jak woda spuszczana w klozecie, ale na pewno o równie delikatnym brzmieniu. Zrobił sobie przerwę na wrzucenie kawałków chleba do talerza i spojrzał ponad stołem na porucznika Kyllera.

- Tak więc nie znaleźliście maszyny wroga?

- Nie. - Kyller nie odrywał wzroku od kieliszka z winem, który trzymał w palcach.

Przez czterdzieści osiem godzin kilkoma grupami przetrząsali bagna, odnogi i lasy namorzynowe w poszukiwaniu wraku samolotu. Kyller był wycieńczony i cały pokryty bąblami ukąszeń.

- Ja - Fleischer skinął głową z namaszczaniem. - Spadł trochę w dół, ale nie uderzył

w drzewo. Byłem tego pewien. Widziałem, jak coś podobnego robią stepówki, gdy trafi się je śrutem. Pach! A one zaczynają koziołkować w dół, o tak -

machnął w powietrzu ręką, pozwalając jej przelecieć nad zupą - ...i nagle robią tak. - Ręka znowu podjęła lot, tym razem w kierunku grubo ciosanej niderlandzkiej twarzy inżyniera Lochtkampera.

Wszyscy patrzyli.

- Ptaszek odleciał do domu. Kiepsko strzelaliście z tak niewielkiej odległości -

ciągnął Fleischer i zakończył swą wypowiedź, podniósłszy łyżkę z zupą do ust.

Lochtkamper milczał jak zakłęty. Nawet kiedy ręka Fleischera podleciała blisko jego twarzy, nie przestał obliczać. Jego myśli zajęte były stałą, ciężarem i punktami ciężkości. Chciał pochylić „Bluchera” o dwadzieścia stopni na prawą burtę, tak aby większa powierzchnia dna odsłoniła się dla spawaczy. To oznaczało przemieszczenie tysiąca ton ruchomego ciężaru. „To niemożliwe - pomyślał - chyba że zalejemy prawoburtowe magazyny, zdemontujemy działa z wieżyczek i przeniesiemy je na rufę”.

- To nie było kiepskie strzelanie - odparł starszy artylerzysta. - Samolot był tak blisko, że tor pocisków był... - Potarł palcem swędzący nos. Ten tłusty kmiotek i tak nic nie pojmie. Nie warto tracić energii na tłumaczenie mu technicznych zawiłości. - To nie było kiepskie strzelanie - zadowolili się powtórzeniem zdania.

- Myślę, że musimy pogodzić się z myślą, iż samolot nieprzyjaciela wrócił

bezpiecznie do bazy - powiedział porucznik Kyller. - Tak więc możemy oczekiwać, że w najbliższej przyszłości przeciwnik podejmie przeciwko nam akcję ofensywną.

Kyller cieszył się w mesie uprzywilejowaną pozycją. Żaden z młodych oficerów nie śmiałyby

wyrażać swojej opinii tak swobodnie ani też żaden nie miałby tylu słuchaczy.

Kiedy Kyller mówił, starsi oficerowie słuchali, jeżeli nie z szacunkiem, to co najmniej z uwagą. Kyller skończył pomyślnie Akademię Marynarki Wojennej w Bremerhaven w 1910 roku. Jego ojciec był baronem, osobistym przyjacielem kajzera i admirałem Floty Kolonialnej. Kyller był pupilkiem mesy nie tylko dzięki świetnej aparycji i nienagannym manierom, ale również dzięki nieprzepartej chęci do ciężkiej pracy, drobiazgowej dbałości o szczegóły, otwartemu umysłowi. Taki oficer na okręcie był jego niezaprzeczalnym walorem.

- Co wróg może nam zrobić? - spytał ironicznie Fleischer. Nie podzielał

powszechnych opinii o Ernście Kyllerze. - Tutaj jesteśmy bezpieczni, co może nam zrobić?

- Wnikliwe studia nad historią walk morskich dowodzą, sir, że po Anglikach można spodziewać się tego wszystkiego, czego najmniej można by się po nich spodziewać.

I zrobią to szybko, skutecznie i z żelazną konsekwencją. - Kyller rozgniółł czerwonego owada, który usiadł na jego lewym uchu.

- Phi! - prychnął Fleischer, rozpylając w powietrzu grochówkę w nagłym ataku oburzenia. - Anglicy to głupcy i tchórze, w najlepszym razie przyczają się poza delta.

Nie odważą się wpłynąć tu po nas.

- Nie wątpię, że czas dowiedzie słuszności pańskich słów, sir. - To było zdanie, które Kyller wypowiadał wobec starszych oficerów, gdy nie zgadzał się z nimi w sposób szczególny. Wiedział o tym von Kleine i jego oficerowie. Wszyscy uśmiechnęli się

pod nosem.

- Ta zupa jest gorzka - stwierdził Fleischer, zadowolony, że wygrał potyczkę słowną.

- Kucharz musiał użyć do niej wody morskiej.

Oskarżenie było tak oburzające, że nawet von Kleine spojrzął znad talerza.

- Nie chciałbym, abyśmy poczuli się zmuszeni do zaniechania wobec pana naszej skromnej opieki. Proszę pomyśleć, że będzie pan musiał wrócić do swych powinności przy wycinaniu drzew.

Fleischer szybko pochylił się nad talerzem. Von Kleine przeniósł wzrok na Kyllera.

- Kyller, nie popłynię pan z panem komisarzem. Wyślę z nim tym razem Ensigna Prousta. Obejmie pan dowodzenie na pierwszej linii, którą zamierzam wyznaczyć dla obrony przed Anglikami. Przyłączy się pan do narady, która odbędzie się w mojej kabinie zaraz po posiłku.

- Dziękuję, sir - głos Kyllera drżał z przejęcia.

Von Kleine zwrócił się do dowódcy artylerii.

- Pana także proszę. Chciałbym zdemontować pańskie ulubione pom-pomy.

- Ma pan zamiar wyjąć je z podstaw, sir? - spytał dowódca artylerii, patrząc smętnie znad swojego długiego nosa.

- Przykro mi, ale to konieczne - z sympatią zapewnił go von Kleine.

65

- No cóż, Henry. Mieliśmy rację. „Blücher” tam

jest.

- To pech, sir.

- Dwa ciężkie krążowniki zajęte nie wiadomo jak długo dokowaniem tamtego okrętu to rzeczywiście nic dobrego. - Sir Percy wydał dolną wargę, przyglądając się modelom „Renounce'a” i „Pegasus” na makiecie Oceanu Indyjskiego.

- Jest dla nich dużo roboty gdzie indziej.

- Owszem, sporo, sir.

- Ta prośba Joyce'a o dwa kutry torpedowe...

- Tak, sir.

- Najpewniej zamierza zmontować atak torpedowy w delcie.

- Na to wygląda, sir.

- Może to coś da, w każdym razie warto spróbować. Co możemy dla niego wskrobać?

- Jedna kompletna eskadra jest w Bombaju, a druga w Ade-nie, sir.

Pięć sekund sir Percy Howe przeglądał w myśli szczupłe siły, którymi miał

dysponować na dwóch oceanach. Przez to nowe zagrożenie ze strony grasujących łodzi podwodnych nie mógł odwołać ani jednego okrętu z drogi do Kanału Sueskiego. Musiał

uszczańć coś z Bombaju.

- Poślijcie mu MTB z eskadry w Bombaju.

- Prosił o dwa, sir.

- Joyce dobrze wie, że daje mu połowę z tego, czego żąda. Zawsze prosi o dwa razy więcej, niż potrzebuje.

- A co z rekomendacją dotyczącą odznaczenia, sir?
- Chodzi o tego faceta, który wypatrzył „Blüchera”?
- Tak, sir.
- To nieco podejrzane, udział w nieregularnych siłach portugalskich i te inne rzeczy.
- Jest poddany brytyjskim, sir.
- No to nie powinien być z dagos. Odłóżmy to do czasu zakończenia operacji.
- Pomyślmy o tym, jak już zatopimy „Blüchera”.

66

Zachód słońca rzucał czerwony blask na brytyjską eskadrę zbliżającą się do afrykańskiego wybrzeża. Przewodził im „Renounce” z flagą dowódcy eskadry powiewającą na maszcie. W jego szerokim kilwaterze płynął „Pegasus”. W kształcie gazownika było coś sztucznego i staromodnego - ani solidnego dostojeństwa pancernika, ani radosnej bez troski niszczyciela.

Tuż przy burcie „Pegasusa”, niczym pisklę u boku dorosłego łabędzia, płynął kuter torpedowy. Nawet przy tym niewielkim zafalowaniu jego dziób wbijał się w fale i co chwila tony spienionej wody przelewały się przez pokład ku rufie, a na szybie osłaniającej otwarty mostek osadzały się drobne krople rozpylonej wody.

Flynn O'Flynn stał za szybą i kłął durną ambicję, która kazała mu zgłosić się ochotniczo na pilota tej ekspedycji. Spojrzał na Sebastiana, stojącego na otwartym końcu mostka, tuż za brezentowymi osłonami

działek Lewisa. Sebastian, z twarzą zmoczoną kroplami słonej wody, uśmiechnął się, patrząc przed siebie.

Joyce zarekomendował Sebastiana do Orderu za Wyróżniającą Służbę. Tego Flynn nie mógł znieść. Chciał też taki dla siebie. Postanowił zgłosić się na ochotnika z tej jedynej przyczyny. To Sebastian jednak był winien jego obecnemu położeniu i Flynn poczuł odrobinę satysfakcji, kiedy patrzył na spłaszczony negroidalny profil zięcia.

„Ten młody bękart zasłużył sobie na to, a byłoby nieźle, gdyby tym razem oberwał

jeszcze bardziej” - pomyślał Flynn.

- Order za Wyróżniającą Służbę - mruknął. - Póltresowany szympanś mógłby dokonać tego, co on. A kto za pierwszym razem znalazł wielkie blaszane koła? O nie, Flynnie Patricku, nie masz ci sprawiedliwości na tym świecie, ale pokażemy jeszcze tym sukinsynom.

Jego rozmyślenia zostały przerwane przez nagłą krzątaninę na mostku. Z pokładu „Renounce'a” dawano im sygnały świetlne aldisem. Porucznik dowodzący kutrem torpedowym zaczął odszyfrowywać wiadomość.

- Flagowy do YN2. P... W punkt wyjściowy. Powodzenia. - Pokiwał głową w zamyśleniu. - Dzięki, brachu, ty też trzymaj sztywno swoją fajkę. Nie, sygnalista, nie nadawaj tego - dodał szybko. - Daj tak: YN2 do Flagowego. Zrozumiano. - Pochylił się ku tubie do maszynowni. - Obie turbiny stop - rozkazał.

Dudnienie umilkło. Siłą inercji kuter uderzył jeszcze w następną falę, potem wytracił

prędkość i płaśał szaleńczo na falach pozostawionych przez oddalające się w szyku torowym okręty. W zapadającym zmroku samotny niewielki

obiekt, odległy o pięć mil od ujścia Rufiji, był zupełnie niewidoczny dla obserwatorów na brzegu.

Porucznik Ernst Kyller obserwował przez lornetkę, jak dwa brytyjskie krążowniki zmieniają kurs i oddalają się od brzegu. Po chwili zniknęły w mroku, który szybko przykrył swym całunem morze i ląd. Odpłynęły.

- Codziennie to samo. - Kyller opuścił lornetkę, która zwiesiła mu się na piersi, i z kieszeni munduru wyjął zegarek. - Piętnaście minut przed zachodem słońca i potem piętnaście minut przed wschodem przypływają, by pokazać, że wciąż tam są.

- Tak jest, sir - zgodził się marynarz, który siedział ściśnięty razem z Kyllerem na platformie obserwacyjnej.

- Schodzę na dół. Dzisiaj księżyc wschodzi o dwudziestej trzeciej czterdzieści cztery.

Bądź czujny.

- Tak jest, sir.

Kyller przerzucił nogi ponad krawędzią platformy i namacał stopami sznurową drabinę. Szybko pokonał piętnaście metrów dzielących koronę palmy kokosowej od ziemi. Nim stanął na dole, zdążyły już zniknąć ostatki światła dziennego. Plaża ścieliła się teraz jak rozmyta jasna plama, aż do linii fosforyzujących zielonkawym światłem fal, które załamywały się przy brzegu. Piach chrzęścił niczym cukier, kiedy Kyller kroczył

w kierunku zacumowanej łodzi. Idąc rozmyślał o szczegółach swego systemu obronnego. Anglicy mogli zaatakować tylko przez dwie odnogi. Były one

oddzielone od siebie płaską wyspą w kształcie klina, składającą się z piasku, błota i mangrowca. Na tej właśnie wyspie Kyller rozlokował od strony morza czterolufowe pom-pomy, zdemontowane z górnego pokładu „Bluchera”.

Zatopił w miękkim mule tratwę z pni drzew, by stworzyć solidną podstawę, na której można by postawić działka. Kazał też wyciąć mangrowce, aby móc ostrzeliwać cele w obu odnogach wszystkimi działkami. Reflektory umieścił tak, by w żadnym wypadku nie oślepiały obsługi działek. Od komendanta Lochtkampera wyprosił spory kawałek stalowej liny centymetrowej grubości, co było czynem graniczącym z wyłudzeniem nie oprocentowanej pożyczki od lichwiarza, gdyż Lochtkamper niełatwo rozstawał się ze swymi zapasami. Daleko w górze rzeki Ensign Proust skierował kilku drwali do ścięcia pięćdziesięciu potężnych drzew mahoniowych. Pnie o rozmiarach kolumn greckiej świątyni spławiono rzeką do ujścia i to z nich właśnie oraz ze stalowej liny Kyller stworzył zaporę na obu odnogach. Była to przeszkoda tak potężna, że mogła nadszarpnąć nawet kadłub ciężkiego krążownika, gdyby wpłynął na nią z dużą prędkością.

Kyller wykazywał znacznie rozwiniętą germańską dbałość o szczegóły. Wciąż więc z siebie niezadowolony podniósł pękate, kolczaste miny, które „Blücher” postawił

przezornie na drodze w górę rzeki. Miny rozmieścił za linią pni, a zadanie to niemal wykończyło nerwowo jego ludzi.

Prace zajęły dziesięć dni, a potem Kyller zaczął budować punkty obserwacyjne.

Zakładał je na każdej wyniosłości terenu, w koronach palm kokosowych i na małych wyspach

wysuniętych w morze. Ustalił system sygnałów pomiędzy obserwatorami -

flagi i błyski lusterkami w dzień, rakiety świetlne w nocy. Od zmroku do świtu dwie wielkie łodzie wiosłowe pływały tam i z powrotem wzdłuż zapory. Marynarze na tych łodziach opędzali się, jak mogli, od chmar moskitów, które nieustannie krążyły nad ich głowami, i od czasu do czasu wymieniali między sobą krótkie, lecz jadowite uwagi na temat porządków porucznika Kyllera, jego obecnej wartości i widoków na przyszłość.

O godzinie dwudziestej drugiej 16 czerwca 1915 roku brytyjski kuter torpedowy YN2 skradał się na wolnych obrotach wprost w środek wymyślnych fortyfikacji porucznika Kyllera.

68

Pozbawieni świeżego powietrza znad otwartego morza, poczuli się tak, jakby weszli do bunkra z małpami w londyńskim zoo.

- Na Boga, co za smród. - Sebastian zatkał swój złamany nos. - Wzbudza on we mnie najczarniejsze wspomnienia.

- Urocze, no nie? - zgodził się Flynn.

- Musimy być prawie u ujścia. - Sebastian wpatrywał się w mrok, bardziej przeczuwając, niż widząc mangrowce przed dziobem i po obu stronach okrętu.

- Nie wiem, co u jasnej cholery robię na tej barce - mruknął Flynn. - To jakiś pieprzony szaleńczy idiotyzm. Mamy większe szanse na złapanie tu trypra niż znalezienie drogi do miejsca, gdzie stoi zakotwiczony „Blücher”.

- Więcej wiary, majorze O'Flynn i chrzanić resztę! - dowódca kutra podtrzymywał

go na duchu. - Pokładamy nasze nadzieje w panu i Panu Bogu. - Odwrócił głowę do stojącego obok sternika. - Daj rumb w prawo - powiedział poważnym tonem.

Długi nos kutra z wielkimi tubami na pokładzie obrócił się powoli. Dowódca nadstawił ucha, by usłyszeć meldunki szeptane z dziobu przez marynarza sondującego dno.

- Dwanaście sążni - powtórzył w zamyśleniu. - Jak dotąd, dobrze. - Odwrócił się z powrotem do Flynna.

- No, majorze, słyszałem, jak podlizywał się pan kapitanowi Joyce'owi, wygadując, że dobrze zna pan rzekę. Myślę tu o pańskich słowach: „tak jak pan zna drogę do swego wychodka”. Czy już nie jest pan tego tak skończenie pewny? Dlaczego?

- Jest ciemno - powiedział sucho Flynn.

- No cóż, jest. Ale to nie powinno frustrować takiego starego wygi rzecznego jak pan.

- Ale frustruje.

- Jeżeli wpłyniemy do ujścia i poczekamy, aż pojawi się księżyc, czy to coś pomoże?

- Na pewno nie zaszkodzi.

Ta wymiana zdań wyczerpała temat na dłuższy czas. Przez piętnaście minut cisza na mostku zakłócana była jedynie z rzadka rozkazami dowódcy do sternika, w celu utrzymania kutra w linii dziesięciu sążni głębokości.

Nagle Sebastian wniósł pewne ożywienie.

- Rzekłbym, że coś jest na wprost nas.

Był to jakiś głębszy cień w mroku. Rozmyty kształt na tle ulotnego lśnienia gwiazd, odbitego od powierzchni wody. Może rafa? Nie, słychać było plusk wiosła.

- Łódź strażnicza! - powiedział dowódca i nachylił się nad tubą. - Obie turbiny cała naprzód.

Kadłub drgnął pod ich nogami, pokład uniósł się nieco, turbiny zaczęły wycić na wysokich obrotach i kuter skoczył naprzód niczym szarżujący byk.

- Trzymaj tak! Staranujemy ich - spokojnym głosem rozkazał dowódca. Przed dziobem mimo huku maszyn dały się słyszeć gorączkowe krzyki wiosłarzy, próbujących umknąć z linii ataku.

- Steruj na nich - powiedział dowódca miłym głosem i sternik skorygował kurs.

Błysk i trzask towarzyszył spotkaniu kutra z łodzią, gdyż ktoś stamtąd w ostatniej chwili wypalił z karabinu. Czółno wypłynęło za rafa już bez wiosła i wiosłarzy, bujając się żwawo w zawirowanej wodzie.

I wtedy nagle przestało być ciemno. Zewsząd dookoła nich wykwitły smugi wystrzelianych rakiet, a po chwili mdły, niesamowity niebieskawy blask rozświetlił

mrok.

- Rakiety świetlne, o Jezu. Guy Fawkes. Jak na Guya Fawkesa - powiedział spokojnie dowódca.

Po obu stronach zobaczyli brzegi zarośnięte mangrowcami, a przed dziobem dwa ujścia rzeki.

- Steruj na południową odnogę - dowódca nieco podniósł głos.

Kuter skręcił trochę w lewo i gnał przed siebie, prując wodę z zawrotną prędkością.

Wtedy spotkała ich kolejna przykra niespodzianka. Oślepiło ich mocne światło reflektorów, bijące z wyspy i przeciwległego brzegu, które oplotło kadłub niczym macki ośmiornicy.

- Weźcie te światła! - tym razem dowódca wykrzyczał rozkaz do ludzi obsługujących działka po obu stronach mostku. Pociski świetlne znaczyły w powietrzu blade ślady w powodzi światła, którego źródło miały zniszczyć.

Kuter torpedowy wpłynął do odnogi.

Wtedy usłyszeli następny dźwięk: tump, tump, tump, jakby pracującej daleko pompy wodnej. To porucznik Kyller otworzył ogień ze swych szybkostrzelnych pom-pomów. Dwukilogramowy pocisk świetlny wyleciał z ciemnej czeluści wyspy i zdawało się, że trafi w kuter, lecz na szczęście minął go z jazgotem.

- Jezusie! - powiedział Flynn, jakby zobaczył Boga we własnej osobie. Usiadł twardo na pokładzie i zaczął rozwiązywać buty.

Kuter mknął dalej wśród fontann wody wykwitających dookoła, skąpany w blasku światła. Pociski z działek Lewisa dosięgnęły wreszcie jeden z reflektorów.

Zrobiło się nieco ciemniej. Sebastian, mrugając oczyma, jakby chciał zrzucić z nich oślepiający blask, zobaczył nagle przed dziobem węża morskiego. Rozciągał się swym grubym cielskiem od brzegu do brzegu, długi i groźny. Zapora porucznika Kyllera czekała, by ich powitać.

- Dobry Boże, co to?

- Ster lewo na burt! - wrzasnął dowódca. - Obie turbiny cała wstecz.

Zanim kuter zdążył zareagować na wychylenie steru lub odwrotną pracę śrub, już wpłynął na kłodę ponad metr grubą i trzydzieści metrów długą. Wbili się w nią niczym w twardą rafę, roztrzaskując zupełnie dziób. Ludzie na mostku upadli na podłogę.

Z bezładnej plataniny ludzkich ciał pierwszy podniósł się Flynn O'Flynn. W samych skarpetkach ruszył ku burcie.

- Flynn, dokąd idziesz? - krzyknął za nim Sebastian.

- Do domu - odparł tamten.

- Poczekaj na mnie. - Sebastian zaczął gramolić się za nim. Śruby pracowały do tyłu i ściągały kadłub z zapory, ale kuter był śmiertelnie ranny. Zaczął szybko nabierać wody i tonać.

- Opuścić okręt! - wrzasnął dowódca.

- Ty cholerny krzykaczu - burknął na niego Flynn i wskoczył na oślep do wody.

Niczym igrająca foka, kuter przekreślił się na bok i wtedy Sebastian wskoczył do wody. W locie nabrał powietrza i spał się przed spotkaniem z zimną wodą.

Kiedy już do niej wpadł, zdziwił się, jak bardzo jest ciepła.

69

Z mostka HMS „Renounce” rozbitkowie wyglądali niczym stadko szczurów wodnych. Prąd Rufiji wyniósł ich na pełne morze i o świcie „Renounce” znalazł ich, zanim zdążyły zrobić to rekiny. Rekiny natomiast nie znalazły ich, ponieważ nie było krwi.

Była złamana noga, pęknięty obojczyk i kilka nadwerężonych żeber, ale cudownym zrzadzeniem losu nie było krwi. Tak więc uratowano wszystkich czternastu członków załogi oraz dwóch pilotów.

Wchodzili na pokład ze zlepionymi włosami, usmarowanymi twarzami i przekrwionymi oczyma, a wszystko to z powodu oleju silnikowego, w którego płamie pławili się przez kilka godzin. Kiedy szli wsparci na ramionach pomocnych marynarzy, zostawiając za sobą smugę smrodu gnijącej wody Rufiji, przedstawiali sobą żalosną doprawdy karykaturę istot ludzkich.

- No cóż - rzekł Flynn O'Flynn - jeżeli za to nie dostaniemy orderu, to chrzanię ich i wracam do starego zajęcia.

- To nie był oszałamiający sukces - powiedział kapitan Joyce z za swego biurka. Nie wykazywał skłonności do gwizdania „Tipperary”.

- To nawet nie była dobra próba - zgodził się dowódca kutra torpedowego. - Szwabcy mieli przygotowane wszystko, co można było zrzucić nam na głowy.

- Zapora z pni. - Joyce pokręcił głową. - Na Boga, oni tu wyjeżdżają z jakąś nową wojną napoleońską! - powiedział to takim tonem, jakby padł ofiarą nieuczciwej gry.

- Niezwykle to było skuteczne, sir.

- Tak, to musiało zadziałać - zgodził się Joyce. - No cóż, ale przynajmniej ustaliliśmy, że atak w kanale jest niepraktyczny.

- Zanim spłynęliśmy z pni, zobaczyłem miny za zaporą. Myślę, że Bosze zrobili tam pole minowe,

sir.

- Dziękuję, poruczniku - Joyce skinął głową. - Dopilnuję, aby Ich Lordowskie Moście otrzymali wszystkie wyniki pańskiej akcji. Moim zdaniem wykonał pan świetną robotę.

- Przerwał, a po chwili namysłu dodał: - Cenna byłaby dla mnie pańska opinia o majorze O'Flynnie i jego synu. Czy myśli pan, że są to ludzie godni zaufania?

- No cóż... - rzekł dowódca kutra z ociąganiem - obaj umieją pływać, a ten młodszy ma zdaje się dobry wzrok. Poza tym naprawdę nie jestem w stanie wydać o nich sądów.

- Nie, nie oczekuję tego od pana. Wciąż jednak chciałbym wiedzieć o nich coś więcej.

W następnej fazie operacji zamierzam zawierzyć im dość poważnie. - Wstał, by pożegnać gościa. - Myślę, że zaraz z nimi porozmawiam.

- Pan rzeczywiście chce, żeby ktoś wszedł na pokład „Bluchera”! - Flynn był wzburzony.

- Tłumaczyłem panu, majorze, jak ważne jest dla mnie ustalenie, w jakim stanie jest ten okręt. Muszę w przybliżeniu wiedzieć, kiedy będzie w stanie opuścić deltę. Muszę wiedzieć, ile mam czasu. !

- Sebastianie - szepnął Flynn - to kompletnie obłąkane pieprzone szaleństwo. -

Z niedowierzaniem wpatrywał się w Joyce'a.

- Opowiadał mi pan, jak świetnie zorganizowany jest pański system wywiadowczy.

Ze ma pan ludzi, na których może polegać. I rzeczywiście, to dzięki panu wiemy, że Niemcy ścinają drzewa i transportują je na okręt. Wiemy też, że zwerbowali do pracy armię miejscowych i posługują się nimi nie tylko do ścinania drzew, lecz także do ciężkich robót na pokładzie „Blüchera”.

- No i? - Flynn nadstawił ucha.

- Jeden z pańskich ludzi mógłby wniknąć do grupy robotników i dostać się na kładźnik.

Flynn natychmiast się ożywił. Dotąd myślał, że Joyce próbuje zasugerować, że on, Flynn Patrick O'Flynn, ma osobiście sprawdzić uszkodzenia „Blüchera”.

- To da się zrobić. - Flynn rozważał przez chwilę w myśli wszystkie aspekty tego interesu. - Oczywiście, kapitanie, moi ludzie nie są wojującymi patriotami jak pan czy ja.

Oni robią to dla pieniędzy. Oni są... - Flynn na próżno szukał określenia. - Oni są...

- Najemnikami?

- Tak. Dokładnie właśnie tym są.

- Hmm - zasępił się Joyce. - Myśli pan, że będą chcieli zapłaty?

- Będą chcieli kupę forsy i nie może ich pan za to potępiać, prawda?

- Osoba, którą pan wyśle, musi być absolutnie świetna.

- Będzie - zapewnił Flynn.

- Z ramienia rządu Jego Królewskiej Mości mogę zobowiązać się do nabycia pełnego i rzeczowego raportu ze stanu, w jakim znajduje się niemiecki kładźnik „Blücher” za sumę... - zastanowił się przez

chwilę - ...tysiąca funtów.

- W złocie?

- W złocie - zgodził się Joyce.

- To wystarczy w zupełności - przytaknął Flynn i obrócił wzrok na Sebastiana i Rosę, którzy siedzieli na kanapie pod ścianą kabiny, trzymali się za ręce i wykazywali z pewnością więcej zainteresowania sobą nawzajem niż targami Flynna z kapitanem Joyce'em.

To dobrze - uznał Flynn - że plemię Wakamba, z którego komisarz Fleischer czerpie większość siły roboczej, ma zupełnie ogolone czachy. Europejczyk nie mógłby ufryzować włosów na wzór murzyńskiego runa. Dobrze też, że jest drzewo m'senga.

Z jego kory rybacy środkowoafrykańscy wyciskali płyn, którym nasączali sieci.

Zabarwiał on włókna sieci, a także skórę. Kiedyś Flynn włożył palec w naczynie z czymś takim i mimo ciągłego drapania dopiero po piętnastu dniach zniknęło czarne zabarwienie. Wreszcie dobrze, że Sebastian ma taki, a nie inny nos. W nowym kształcie wyglądał zdecydowanie negroidalnie.

70

- Tysiąc funtów! - powiedział Flynn uroczystym tonem, jakby była to formuła błogosławieństwa. Zaczerpnął następny kubek czarnej cieczy i wylał ją na ogoloną do gołej skóry głowę Sebastiana. - Pomyśl o tym, Bassie, mój zuchu, tysiąc funtów. Twój udział to pięćset funtów. Będiesz mógł wreszcie oddać mi co do pensa cały dług.

Rozbili obóz nad rzeką Abati, jednym z dopływów Rufiji.

O dziesięć kilometrów w dół rzeki był obóz drwali komisarza Fleischera.

- Tyle forsy za nic - stwierdził Flynn. Siedział sobie wygodnie na krześle obok balii, w której z podwiniętymi nogami tkwił Sebastian z miną nieszczęśliwego spaniela, poddawanego kąpieli w szamponie przeciw pchłom. Płyn w balii miał barwę mocnej kawy, a twarz i ciało młodzieńca też już nabrały koloru czekolady.

- Sebastiana nie interesują pieniądze - rzekła Rosa Oldsmith. Klęczała właśnie obok balii i cierpliwie, niby matka kąpiąca niemowlaka, rozcierała sok kory m'senga na plecach i ramionach Sebastiana.

- Wiem, wiem! - przyznał Flynn. - Wszyscy czynimy swoją powinność. Pamiętamy naszą wniusę, niechaj Bóg ma w swej opiece jej malutką duszyczkę. Ale pieniądze nam nie zaszkodzą.

Sebastian zamknął oczy, gdy kolejna porcja płynu spłynęła mu po twarzy.

- Wetrzyj to dokładnie dookoła oczu i pod pachami - przypomniał Flynn Sebastianowi. - No to przelecimy wszystko jeszcze raz, żeby ci się nie pomieszało. Jeden z kuzynów Mohammeda jest szefem grupy ładującej pnie na łodzie. Obozują nad brzegiem Rufiji. Mohammed przemyci cię tam dzisiaj w nocy, a jutro kuzyn przydzieli cię na jedną z łodzi płynących z ładunkiem dla „Blüchera”. Jedyne twoje zajęcie to mieć oczy szeroko otwarte. Joyce chce po prostu wiedzieć, jakich dokonują napraw i czy rozpalili już ogień pod kotłami. Takie i tym podobne rzeczy, rozumiesz?

Sebastian niemrawo skinął głową.

- Jutro w południe wrócisz, wyśliźniesz się z obozu zaraz po zmroku i tu się spotkamy. Plan prosty jak krosty, prawda?

- Prawda - bąknął Sebastian.

- No to dobrze. Wyłaż i wysusz się.

Kiedy ciepły wiatr wiejący od strony płaskowyżu omiatał nagie ciało Sebastiana, purpurowy odcień barwnika zmieniał się powoli w czekoladowy brąz. Zawstydzona Rosa odeszła w zarośla drzew manila, a Flynn co chwila dotykał skóry zięcia, by sprawdzić, czy dobrze wyschła.

- Coraz lepiej - mówił, a potem: - Już prawie doszło - lub: - Jezu, wyglądasz lepiej niż normalnie - aż wreszcie w suahili: - Dobra, Mohammed, pomaluj mu twarz.

Stary przykucnął naprzeciwko siedzącego teraz Sebastiana, wyposażony w niewielki zestaw kosmetyków: tłuszcz zwierzęcy wymieszany z popiołem i ochrą.

Przekrzywiając głowę i przygryzając język, z wyrazem artystycznego uniesienia i koncentracji twórczej na twarzy upstrzył policzki, nos i czoło Sebastiana barwami plemiennymi. Wreszcie odetchnął głośno i odsunął się, patrząc z zadowoleniem na swoje dzieło.

- Gotowe - oznajmił.

- Włóż ubranie - powiedział Flynn.

W tym określeniu było dużo przesady. Strój Sebastiana niewiele miał wspólnego z ubraniem. Ze skórzanego paska zapiętego wokół szyi zwieszały się rogi małej antylopy, a między nimi paski skóry zwierzęcej śmierdzącej dymem z ogniska i ludzkim

potem.

- To cuchnie - zaprotestował Sebastian, unosząc jak najwyżej nos. - I pewnie są w tym wszy.

- Oryginalna rzecz - zgodził się Flynn jowialnie.
- Dobra, Mohammedzie, pokaż mu, jak włożyć kapelusz istopo.

- Tego nie muszę wkładać - zaprotestował Sebastian, widząc, z czym zbliża się do niego uśmiechnięty Mohammed.

- Oczywiście, że musisz - zniecierpliwił się Flynn.

Kilkunastocentymetrowa wydrażona tykwa, którą antropolodzy zwykli nazywać futerałem penisa, miała dwa przeznaczenia: chroniła głowę właściciela przed ciernistymi krzakami i manifestowała jego męskość. Kapelusz na głowie Sebastiana wyglądał imponująco.

Rosa nic nie powiedziała po powrocie. Popatrzyła przeciągle na tykwę i nagle odwróciła wzrok, rumieniąc się gwałtownie.

- Na miłość Boga, Bassie. Tak się prezentujesz, że jestem z ciebie dumny. Wstań i weź ręce na boki.

Mohammed włożył Sebastianowi sandały i dał mu mały koc, zwinięty w ciasny rulon i przewiązany kawałkiem rzemienia. Młodzieniec przewiesił go sobie przez ramię, chwycił w rękę długą włócznię, wbił ją tępym końcem w ziemię i lewą stopę oparł na prawej łydce. Wyglądał teraz dokładnie tak jak odpoczywający wojownik z plemienia Wakamba.

- Uda ci się - stwierdził Flynn.

Kiedy o brzasku komisarz Fleischer pojawił się nad brzegiem rzeki i wszedł na zaimprovizowany pomost z pni, delikatne opary mgły ścielącej się tuż nad powierzchnią wody oplotły mu nogi. Spojrzał na dwie łodzie załadowane pniami. Były gotowe do wysyłki. Przyjrzał się baczniej linom i węzłom przytrzymującym ładunek.

- Jesteście gotowi? - spytał sierżanta dowodzącego Askariami.

- Ludzie się posilają, Bwana Mkuba.

- Powiedz im, żeby się pospieszyli - burknął i poszedł na koniec pomostu, odpinając po drodze guziki spodni. Z głośnym pluskiem wysikał się do rzeki, a ludzie skupieni na pomoście wokół garnka zawieszzonego na trójnogu przyglądali się temu w milczeniu, nie przerywając jedzenia. Mieli na sobie skórzane płaszcze dla ochrony przed chłodem ciągnącym od wody. Teraz każdy z nich zwrócił się z powrotem w stronę garnka, nabrał

ręką garść owsianki w postaci białej, zbitej masy, uformował ją w kulkę i kciukiem wycisnął w niej wgłębienie, formując coś w rodzaju łyżki, którą nabierał następnie gęsty żółty sos z mniejszego naczynia, przyrządzony z wędzonych zębaczy i gąsienic drzewnych. Sebastian po raz pierwszy jadł te smakołyki. Siedział w kręgu ludzi skupionych dookoła trójnoga i starał się dokładnie powtarzać po nich każdą czynność.

Właśnie zmusił się, by włożyć do ust białą papkę z żółtawym płynem. Żuł ją długo, lecz nie potafił się przemoc, by przełknąć. Strawa rosła mu w ustach. Smakowała jak tran z sianem, pewnie przez wspomnienie tych grubych żółtych gąsienic pływających w garnku. Ale gdyby nawet Sebastian jadł teraz kanapki z szynką, nie robiłby tego ze szczerem

apetytem, żołądek miał bowiem ściśnięty ze strachu. Jedno słowo któregoś z kompanów mogłoby sprawić, że komisarz Fleischer zarządziłby przygotowanie stryczka. Sebastian miał przed oczyma mężczyzn, których widział powieszonych niedaleko obozu. Wspomnienie rojów much unoszących się wokół nich nie uatrakcyjniało śniadania.

Sebastian obserwował Fleischera, udając zajętego jedzeniem. Po raz pierwszy miał

okazję mu się przyjrzeć. Zwalista postać w szarym mundurze, różowa nalana twarz, na której słabo zaznaczały się złotawożółte brwi, mięsiste wargi, pulchne dłonie. To wszystko napełniało go odrazą. Niedawny strach ustąpił miejsca tym wszystkim uczuciom, które przepełniały go, kiedy stał nad świeżo usypanym grobem córki.

- Czarne świnię! - wrzasnął Fleischer w języku suahili, zapinając rozporek. - Dosyć tego! Nic tylko byście żarli i spali. Czas do roboty. - Podszedł do ogniska, pierwszym kopniakiem przewrócił trójnog z garnkiem, drugim trafił Sebastiana w plecy. - Rasch!

-

Wymierzył cios następnemu, lecz jego noga nie dosięgła celu, gdyż wszyscy pospiesznie skoczyli ku łodziom.

Sebastian wstał powoli. Wcześniej tylko raz w życiu został kopnięty. Flynn O'Flynn został wtedy pouczony, by tego nie robić. Dla Sebastiana nie było nic równie upokarzającego jak kontakt jego osoby ze stopą innego mężczyzny. A w dodatku tym razem odczuł silny ból fizyczny.

Hermann Fleischer stał tyłem do niego i rugał innych, nie widział więc, z jaką nienawiścią w oczach Sebastian postąpił w jego stronę, spięty i

przyczajony niczym lampart przed skokiem. Jeszcze chwila i byłby na nim. Być może zabiłby Fleischera, zanim Askariowie zdążyliby go zastrzelić, lecz nie zdołał podjąć tej próby.

Poczuł dotyk czyjejs ręki na ramieniu i usłyszał cichy, spokojny głos kuzyna Mohammeda.

- Chodź! Daruj sobie. Nas też pozabijają.

Nim Fleischer się odwrócił, obaj szli w kierunku łodzi.

Kiedy już płynęli w dół rzeki, Sebastian siedział ściśnięty pomiędzy innymi robotnikami, ale w przeciwieństwie do nich nie spał. Spod współprzymkniętych powiek obserwował Hermanna Fleischera, a miał przy tym wyjątkowo parszywe myśli.

Mimo że płynęli z prądem, dopiero po czterech godzinach mocno obciążona łódź

minęła ostatnie zakole rzeki i około południa przed dziobem ukazała się potężna kępa wyspy porośniętej mangrowcami.

Sebastian patrzył, jak Hermann Fleischer odgryza ostatni kęs z pokaźnej kiełbasy, po czym pakuje starannie resztę Peta do chlebaka.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział kuzyn Mohammeda. Grupka robotników obudziła się i wszyscy wstali.

W miarę zbliżania się coraz wyraźniej widać było „Blii-chera” pod bezkształtną masą maskującej roślinności. Z poziomu powierzchni wody okręt przytłaczał swym ogromem, wyrastając niczym góra stali ponad głowami robotników na łodzi. Sebastian zadrżał, przypomniawszy sobie, jak ostatnio widział ten kształt z podobnej perspektywy, gdy ostry niczym

siekiera dziób krażownika sunął wprost na niego. Dziś jednak „Blücher” stał bez ruchu, przechylony dziwnie na burtę. Sebastian podzielił się tym spostrzeżeniem z kuzynem Mohammeda.

- Tak, Niemcy tak chcieli. Było wielkie przenoszenie rzeczy wewnątrz. Przekładali wszystko, co się dało, żeby się przechylił.

- Dlaczego?

Murzyn wzruszył ramionami.

- Wyciągnęli brzuch z wody. Popatrz, jak pracują z ogniem przy naprawianiu jego skóry. - Wskazał na małych niczym chrząszcze ludzi uwijających się wokół dziury w poszyciu. Nawet w blasku południa kadłub oświetlało raz po raz błękitne światło.

Nowo wspawane arkusze blachy, pomalowane brunatną farbą cynkową, wyraźnie odcinały się na tle szarego kadłuba.

W miarę jak łódź zbliżała się do okrętu, Sebastian mógł dokładniej przyjrzeć się postępowi prac. Naprawa uszkodzenia była już prawie skończona. Spawano jeszcze ostatni fragment pancerza, ale malarze kładli już ostatnią warstwę matowej szarej farby na wcześniej wstawione arkusze.

Dziury po pociskach na nadbudówkach i kadłubie były usunięte, a tu i ówdzie na ławkach bosmańskich przymocowanych do lin zwieszali się marynarze z farbą i pędzlami.

Na pokładzie panowało gorączkowe poruszenie, oficerowie kierujący pracami, odziani w białe mundury, stanowili wysepki względnego bezruchu pośród krzątających się wszędzie marynarzy.

- Zaspawali już wszystkie dziury w kadłubie? - zapytał Sebastian.

- Wszystkie - potwierdził kuzyn Mohammeda. - Zobacz, jak wypływa wodę z brzucha. - Wskazał ruchem głowy kilkanaście wylotów węży, którymi wypompowywano brunatną ciecz z zalanych grodzi dziobowych.

- Z kominów leci dym - zdumiał się znowu Sebastian.

- Tak. Rozpalili ogniska w żelaznych pudłach, głęboko w jego środku. Mój brat Walaka pracuje tam teraz. Pomaga utrzymywać ogień. Na początku ogniska były małe, ale codziennie robią je coraz większe.

Sebastian skinął głową w zamyśleniu. Wiedział, że kotły trzeba rozgrzewać powoli, by nie popękała okładzina z glinki ogniotrwałej.

Łódź dobiła do krążownika, wyrastającego ponad wodę jak klif.

- Chodź - powiedział kuzyn Mohammeda. - Będziemy teraz nosić drewno z pokładu do środka. Tam zobaczysz więcej.

Nowa fala strachu obezwładniła Sebastiana. Nie chciał wchodzić pomiędzy wrogów. Ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego przewodnik już wspinał się po trapie. Sebastian włożył na głowę futerał penisa, odetchnął głęboko i ruszył za nim.

72

- Czasami tak to idzie. Na początku wszystko tonie w parszywym bałaganie. Nic tylko przeszkody, wypadki i opóźnienia. I nagle wszystko znajduje się na miejscu i robota skończona. - Inżynier Lochtkamper wyglądał na zadowolonego, gdy rozejrzał

się dookoła, stojąc na pokładzie dziobowym. - Dwa tygodnie temu wydawało się, że będziemy tu tkwili do końca wojny, ale teraz!

- Świetna robota - von Kleine zgodził się z faktami. - Raz jeszcze nie zawiódł pan mojego zaufania. Muszę jednak pana obarczyć następnym zadaniem.

- Jakim, kapitanie?

- Chcę zmienić wygląd okrętu, tak by stał się podobny do ciężkiego krążownika brytyjskiego.

- Jak?

- Makieta komina od strony rufy. Płótno na drewnianej ramie. Potem zakrycie wieży „X” i wyrównanie obniżenia na śródokręciu. Jeżeli wpłyniemy w nocy pomiędzy okręty blokady brytyjskiej, da nam to pewnie kilka minut, które mogą zdecydować o naszym powodzeniu. Chodźmy, pokażę panu, co mam na myśli.

Ruszyli powolnym krokiem w kierunku rufy. Stanowili dziwną parę.

Lochtkamper, w wygniecionym uniformie, człapał przygarbiony, z luźno wiszącymi rękoma, niczym tresowana mała człekokształtna. Von Kleine, wyższy od niego, w wyprasowanym mundurze, szedł wyprostowany jak struna, z rękoma założonymi do tyłu.

- Kiedy będę mógł wypłynąć? Muszę wiedzieć dokładnie. Czy prace są na tyle zaawansowane, że może pan określić to z pewnością? - spytał z troską w głosie.

Lochtkamper milczał, rozważając w myślach odpowiedź. Kroczyli powoli pośród ciżby marynarzy i czarnych robotników.

- Jutro w nocy będę miał pełne ciśnienie w kotłach, za dwa dni ukończymy naprawę kadłuba, potem dzień na wyrównanie trymu okrętu i zmiany w wyglądzie. - Przerwał

i zastanowił się jeszcze chwilę. Wreszcie podniósł wzrok na kapitana. - Cztery dni. Będę gotowy za cztery dni.

- Cztery dni? Jest pan pewien?

- Tak.

- Cztery dni - powtórzył von Kleine i zamyślony przystanął w pół kroku.

Rano odebrał wiadomość z dowództwa w Berlinie, przekazaną przez gubernatora Schee z Dar es Salaam. Wywiad marynarki wojennej donosił, że przed trzema dniami konwój złożony z dwunastu okrętów z żołnierzami hinduskimi i południowoafrykańskimi na pokładzie opuścił Durban. Nie wiadomo, jaki jest ich port przeznaczenia, ale istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Brytyjczycy mają zamiar otworzyć nowy teatr wojny. Walki w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej zmierzały do szybkiego zakończenia. Oddziały Bothy i Smutsa kontynuowały ofensywę z dwóch kierunków i parły wzdłuż szlaków komunikacyjnych ku stolicy Windhoek.

Bliska kapitulacja armii niemieckiej pozwalała przerzucić część wojsk południowoafrykańskich w inne miejsca. Było niemal pewne, że okręty, które wyruszyły z Durbanu, posuwały się w tej chwili na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża z zamiarem wylądowania w którejś z licznych małych zatoczek na terytorium Niemieckiej Afryki Wschodniej. Być może nawet w samym Dar es Salaam. Von Kleine koniecznie musiał mieć okręt sprawny i gotowy do walki, aby przebić się przez blokadę i zniszczyć konwój.

- Najwięcej roboty będzie z przywróceniem trymu. Jest dużo do zrobienia.

Przeniesienie zapasów amunicji do magazynów, zamontowanie dział. - Lochtkamper oderwał się od swych głośnych rozmyślań. - Będziemy potrzebowali siły roboczej.

- Rozkażę Fleischerowi, by sprowadził na okręt wszystkich swoich robotników -

zapewnił go von Kleine. - Ale musimy wypłynąć za cztery dni. Trzynastego w nocy będzie sprzyjający nam księżyc, a więc wtedy musimy się przebić. - Na twarzy kapitana pojawiły się zmarszczki skupienia. Szedł powoli ze swą złotą brodą opartą na piersi i mówił głośno, pochłonięty myślami. - Kyller zablokował ujście. Musi zacząć likwidować pole minowe. Przegrodę z pni możemy przeciąć w ostatniej chwili, a nurt rzeki i tak odsunie ją na bok.

Dotarli do śródokręcia. Von Kleine był tak zagłębiany w rozmyślaniach, że dopiero dotyk ręki Lochtkampera przywrócił go do rzeczywistości.

- Ostrożnie, sir.

Von Kleine wzdrygnął się i podniósł wzrok. Zabrnęli pomiędzy ciemnoskórych robotników, nagich pod lichym odzieniem i pomalowanych ochrą. Przenosili oni wiązki porąbanych kłoców drzewa opałowego, które wciągano z łodzi stojącej przy burcie „Blüchera”. Kilka metrów ponad pokładem z boku żurawia zwieszał się pęk drewna i von Kleine prawie wszedł pod opuszczany ładunek. Lochtkamper zatrzymał go jednak.

Kiedy beczynn timer czekali, aż wiązka zostanie opuszczona, von Kleine patrzył na pracujących tubylców. Jeden z nich zwrócił jego uwagę. Był wyższy niż pozostali, miał

jakby gładsze ciało, bez nabrzmiąłych żył i płataniny mięśni. Miał też silne i dobrze ukształtowane nogi. Człowiek ten podniósł głowę i von Kleine mógł przyjrzeć się jego twarzy. Była dziwnie delikatna; usta nie tak pełne, a czoło szersze i mniej wysklepione niż u typowego Afrykanina. Ale dopiero oczy tego człowieka oderwały von Kleinego od myśli o nieprzyjacielskim konwoju. Były brązowe, ciemnobrązowe, i jawiła się w nich przebiegłość. Kapitan nauczył się rozpoznawać poczucie winy w wyrazie twarzy swoich podwładnych. Ten człowiek był winny. W chwili gdy von Kleine dostrzegł to w jego oczach, robotnik szybko opuścił wzrok na wiązkę drewna pod stopami.

Niepokoił kapitana; kapitan chciał z nim porozmawiać. Postąpił w jego stronę.

- Kapitanie! Kapitanie! - Ciężko dysząc, komisarz Fleischer wtoczył się z trapu na pokład i oparł swą spoconą łapę na ramieniu von Kleinego. - Muszę z panem porozmawiać - wysapał.

- Ach, komisarz - powitał go chłodno kapitan, próbując się wysunąć spod ciężkiej dłoni. - Jedną chwilę, proszę. Chciałbym...

- To rzecz niezwyklej wagi. Ensign Proust...

- Za chwilę, komisarzu - von Kleine zrzucił jego rękę z ramienia, ale Fleischer był

uparty. Stał przed von Kleinem, blokując mu przejście.

- Ensign Proust, ten tchórzliwy zarozumialec...

Tu von Kleine został zasypany słowami i musiał wysłuchać długiego raportu o braku szacunku Ensigna Prousta dla powagi komisarza. Był niesubordynowany, dopuszczał się dyskusji z panem Fleischerem, a co więcej ośmielił się powiedzieć panu Fleischerowi, że

uważa go za grubasa.

- Porozmawiam z Proustem - oświadczył von Kleine. Chciał uwolnić się od tej błażej sprawy.

Lochtkamper stojący obok przypomniał, że mieli porozmawiać z komisarzem o dodatkowych robotnikach do przenoszenia ciężarów. Kiedy pograżyli się w dyskusji, grupa robotników obciążona ładunkiem drewna wtopiła się w tłum tubylców uwijających się po pokładzie.

Sebastian spocił się i drżał ze strachu. Wyczuł doskonale podejrzliwość niemieckiego oficera. Spojrzenie tych zimnych błękitnych oczu paliło niczym suchy lód.

Teraz szedł z wiązką drewna na plecach, starając się stać niewidocznym i opanować obezwładniający strach.

- On cię widział - syknął mu do ucha kroczący obok kuzyn Mohammeda.

- Wiem - Sebastian zgiął się jeszcze bardziej. - Ciągle jeszcze patrzy?

Staruszek się obejrzał.

- Nie. Rozmawia z Mafuta, tym grubym.

- To dobrze. - Sebastianowi ulżyło nieco. - Musimy wrócić na łódź.

- Rozładunek jest prawie skończony, ale najpierw musimy porozmawiać z moim bratem. On czeka na nas.

Za wieżą armatnią skręcili ku stosowi drewna starannie ułożonego na pokładzie i związanego linami. Dwaj czarnoskórzy robotnicy właśnie rozkładali na nim brezentowy pokrowiec. Sebastian i jego towarzysz dołożyli swoje wiązki do stosu i

afrykańskim zwyczajem zrobili przerwę na pogawędkę. Jeden z mężczyzn zszedł

z góry drewna i przyłączył się do nich. Był to zwany starszy jegomość. Spod kapelusza typu Pochwa penisa wystawała niesforna gęstwa siwych wełnistych włosów. Kuzyn Mohammeda przywitał się z nim serdecznie.

- Ten człowiek jest moim bratem - powiedział do Sebastiana. - Ma na imię Walaka.

Kiedy był młodszy, zabił włócznią lwa. To był duży lew z czarną grzywą.

Dla Sebastiana były to nieistotne informacje, strach przed zdemaskowaniem uczynił

go niezwykle niecierpliwym. Dookoła byli Niemcy, wysocy, jasnowłosi, wykrzykiwali rozkazy do grup robotników, spoglądali na Sebastiana ze wszystkich nadbudówek, łypali podejrzliwie, gdy przechodzili obok. Sebastian miał trudności ze skupieniem się.

Dwaj współudziałowcy przestępstwa pogrążeni byli w dyskusji o sprawach rodzinnych. Wyglądało na to, że najmłodsza córka Walaki wydała na świat syna, ale lampart napadł na wioskę i pożarł trzy kozy Walaki. Nowy wnuk, zdaje się, nie wynagradzał staruszkowi straty trzech kóz. Walaka był poważnie strapiony.

- Lamparty to odchody martwych trędowatych - powiedział z naciskiem i chciał

rozwinąć ten temat, ale przerwał mu Sebastian.

- Powiedz mi o wszystkim, co widziałeś w tym kanu. Mów po kolei. Czasu jest niewiele. Muszę odejść, zanim Allemandowie przyjdą tu po nas wszystkich z linami.

Wspomnienie o linach wprowadziło do spotkania ład i Walaka przeszedł do swej relacji.

Ognie płonęły w żelaznych pudłach w brzuchu kanu. Ognie tak gorące, że bolały oczy, gdy otwierano drzwi pudła; ognie huczące głośniej niż sto pożarów buszu; ognie, które pożerały..

- Tak, tak - Sebastian uciał epicki opis. - Co jeszcze?

Było wielkie przenoszenie rzeczy na jedną stronę, żeby kanu się przechyliło.

Przenosili pudła i bele, rozmontowane karabiny i działa. Spod dachu kanu powyciągali mnóstwo olbrzymich pocisków i białe worki z proszkiem do dział. To wszystko przenieśli do pomieszczeń po drugiej stronie.

- Co jeszcze?

Było więcej, dużo więcej do opowiadania. Walaka mówił z entuzjazmem o mięsie dobywanym z małych puszek, latarniach palących się bez knotów, ognia i nafty, olbrzymich wirujących kołach, brzęczących i wrzeszczących stalowych pudłach, o tryskającej z paszcz długich gumowych żmij czystej, świeżej wodzie, czasami zimnej, czasami cieplej, tak jakby była gotowana nad ogniem. Cuda były tak rozliczne, że oszałamiały każdego.

- O tym wiem. Czy nic więcej nie widziałeś?

Widział, a jakże. Allemandowie zastrzelili trzech robotników, ustawivszy ich obok siebie i zawiązawszy im na oczach paski białego materiału. Ludzie ci podskoczyli, okręcili się i upadli w bardzo komiczny sposób, a zaraz potem Niemcy zmyli krew z pokładu wodą z długich żmij. Odtąd nikt nie pozwalał sobie na branie koców, wiader i innych drobnych ruchomości - cena była zbyt wygórowana.

Opis egzekucji wywarł wstrząsające wrażenie na Sebastianie. Zrobił, co miał do zrobienia, a teraz

owładnęła nim przemożna chęć opuszczenia pokładu „Blüchera”.

Wzmógł ją jeszcze niemiecki podoficer, który bez zaproszenia przyłączył się do rozmowy.

- Wy leniwe czarne pawiany! - wrzasnął. - To nie żadna cholerna niedzielna wycieczka szkolna. Ruszać się, świnię, ruszać się! - I w ruch poszły buty. Nie pożegnawszy się z Walaką, kuzyn Mohammeda, a za nim Sebastian ruszyli w stronę wyjścia na trap. Kiedy doń doszli, dwóch oficerów stało nadal w tym samym miejscu, patrząc do góry na dymiące kominy. Ten wyższy, ze złotą brodą, pokazywał coś ręką i mówił, a krępy słuchał uważnie. Kuzyn Mohammeda przemknął obok nich i zniknął

za wyjściem na trap. Sebastian stał i nie mógł odważyć się, by przejść przed miażdżącym spojrzeniem tych wypłowiałych błękitnych oczu.

- Manali, chodź szybko. Łódź odpływa! Zostaniesz tu! - dobiegł gdzieś z dołu głos kuzyna Mohammeda, przekrzykującego pracę silnika.

Z żołądkiem ściśniętym ze strachu Sebastian ruszył do wyjścia. Kilkanaście kroków i był przy nim.

Oficer odwrócił się i zobaczył go. Powiedział coś podniesionym głosem i podszedł

do Sebastiana z wyciągniętą ręką, chcąc go zatrzymać. Młodzieniec skoczył na trap i puścił się pędem w dół. Łódź była już odcumowana i spod jej rufy śruba wyrzucała spienioną wodę. Kiedy dotarł do pomostu na poziomie wody, między nim a łodzią były ze cztery metry. Odbił się z całej siły i skoczył do przodu. Końcami palców dosięgnął!

okrężnicy, lecz nogi pozostawały w ciepłej wodzie. Kuzyn Mohammeda chwycił go pod pachy i

wciągnął do środka. Opadli ciężko na pokład, spleceni w uścisku.

- Cholerne czarnuchy - powiedział Fleischer, zdzielił boleśnie w kark jednego i drugiego, po czym wrócił na rufę, na swoje miejsce przy rumplu.

Sebastian uśmiechnął się do niego niemal z czułością. W zestawieniu z przerażającym spojrzeniem tamtych błękitnych oczu Hermann Fleischer wydawał się niebezpieczny jak miś pluszowy. Młodzieniec spojrział na „Bluchera”. Oficer stał na szczycie trapu i patrzył na odpływającą łódź. Potem odwrócił się i poszedł na okręt.

73

Sebastian siedział na kanapie w kajucie kapitana i walczył z ogarniającą go sennością. Nie spał od trzydziestu godzin. Po ucieczce z „Bluchera” nie zmrużył oka przez całą drogę w górę rzeki, pobudzony niedawnymi silnymi emocjami. Kiedy dotarli do obozu, musiał wyśliznąć się niepostrzeżenie, a potem truchtać w świetle księżyca na spotkanie z Flynnem i Rosą.

Po posiłku, zjedzonym w pośpiechu, wszyscy troje wsiedli na rowery, które posiadali dzięki uprzejmości Królewskiej Marynarki Wojennej, i pedałowali przez resztę nocy po wyboistej ścieżce do miejsca, gdzie w trzcinach przy brzegu jednej z odnóg Rufiji ukryli kanu. O brzasku wypłynęli na spotkanie z łodzią z HMS „Renounce”.

Dwa długie dni wzmożonej aktywności i żadnego odpoczynku. Sebastian słał się ze zmęczenia. Obok

siedziała na kanapie Rosa. Pochyliła się w stronę męża i spojrzała na niego z troską. Żadne z nich nie brało udziału w konferencji, która toczyła się w zatłoczonej kabinie.

Joyce występował jako przewodniczący, a obok niego siedział starszy wiekiem i znaczniejszej postury oficer o siwych krzaczastych brwiach, mocno zarysowanej szczęce i włosach zaczesanych od ucha do ucha przez szczyt czaszki, by ukryły łysinę.

Był to Armstrong, kapitan HMS „Pegasus”, drugiego krążownika z eskadry blokującej ujście Rufiji.

- No cóż, wygląda na to, że „Blücher” w końcu uporał się na dobre z uszkodzeniami.

Jeżeli już rozpalił pod kotłami, możemy spodziewać się, że wypłynie lada dzień. Von Kleine nie marnowałby dobrego opału. - Mówił to z upodobaniem człowieka lubiącego twardą walkę. - Mam mu do przekazania pewną wiadomość od „Bloodhonda”

i „Oriona”, a także stary rachunek do wyrównania.

Ale Joyce też miał pewną wiadomość. Pochodziła ona od admirała sir Percy'ego Howe'a, dowódcy Floty Południowego Atlantyku i Oceanu Indyjskiego. Mówiła między innymi:

„Bezpieczeństwo pańskiej eskadry jest sprawą drugopla - y nową wobec konieczności powstrzymania „Blüchera”. Ryzyko związane z oczekiwaniem, aż okręt ten opuści deltę, i zaatakowaniem go dopiero wtedy jest zbyt duże. Absolutną koniecznością jest zniszczenie lub zatrzymanie „Blüchera” w miejscu jego obecnego postoju. Konsekwencje wymknięcia się tego krążownika i zaatakowania konwoju okrętów przewożących wojska inwazyjne do Tonga będą katastrofalne. Zostały poczynione pewne wysiłki, by

przesłać panu dwa parowce handlowe w celu zablokowania ujścia, ale jeżeli one nie dotrą przed 30 lipca 1915 roku, a także do tego dnia nie przyniesie efektu akcja zaczepna przeciwko „Blucherowi”, otrzymuje pan niniejszym rozkaz zatopienia „Renounced” i „Pegasus” w ujściu Rufiji, by uniemożliwić wypłynięcie „Blüchera”.

Był to rozkaz, który napawał kapitana Arthura Joyce'a dreszczem przerażenia.

Zatopić ten wspaniały okręt - pomysł tak obmierzły i budzący taką odrazę jak kazirodztwo, ojco-bójstwo czy składanie ludzi w ofierze. Dziś był 26 lipca, kapitan miał

więc cztery dni, by znaleźć alternatywę, zanim rozkaz wejdzie w życie.

- Wypłynie oczywiście w nocy, ręczę za to. - W głosie Armstronga wyczuwało się już uniesienie gorączką walki. - Tym razem nie będzie miał przeciw sobie staruszka i dzieciaka jak „Orion” i „Bloodhound”. Musimy bacznie uważać. Za trzy dni księżyc będzie w nowiu, „Blucher” będzie więc miał ciemną noc. Może nastąpić też zmiana pogody... - Armstrong wyglądał teraz na nieco zaniepokojonego. - ...musimy zewrzeć szyki...

- Proszę przeczytać to - Joyce podał Armstrongowi kartkę.

- O Boże! Zatopić. O mój Boże!

- Są dwa ujścia, którymi może wypłynąć „Blucher”. - Joyce mówił spokojnie. -

Musimy zablokować oba. Jedno „Pegasusem” i jedno „Renounce'em”.

- Jezu Chryste - zaklinał się przerażony Armstrong. - Musi być jakiś inny sposób.

- Myślę, że jest - powiedział Joyce i spojrzał na Sebastiana.

- Panie Oldsmith - zwrócił się do niego miękko - czy byłoby możliwe, by dostał się pan na pokład niemieckiego krążownika po raz wtóry?

Sebastian, ze śladami barwnika na twarzy, spojrzał na niego przekrwionymi ze zmęczenia oczyma.

- Wolałbym nie, mój drogi. - Potarł ręką odrastającą szczecinę na ogolonej głowie. -

To były jedne z najnieprzyjemniejszych godzin w moim życiu.

- Właśnie. No właśnie. Nie pytałbym, gdybym nie uważał, że jest to sprawa najwyższej wagi. - Joyce urwał i zaczął w zamyśleniu gwizdać „Marsz żałobny”

Chopina. Wreszcie potrząsnął głową i spytał: - A gdybym powiedział, że jest w pańskiej mocy ocalenie obu naszych krążowników od zagłady i ocalenie życia piętnastu tysięcy brytyjskich żołnierzy i marynarzy - co wtedy by pan powiedział?

Sebastian odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- A czy mógłbym się przespać kilka godzin?

74

To, co leżało na biurku kapitana Joyce'a, miało rozmiary pudełka hawajskich cygar Monte Christo. Twórca tego cuda tłumaczył zgromadzonym, na czym polega jego działanie.

- To jest bardzo proste - oznajmił z akcentem równie charakterystycznym jak zapach whisky z jego

kraju.

- Powinno być - stwierdził Flynn O'Flynn. - Żeby Bassie mógł to zrozumieć.

- Wszystko, co trzeba zrobić, to podnieść wieczko.

Wynalazca wprowadził słowa w czyn i nawet Flynn wyciągnął szyję, by zobaczyć, co zawiera pudełko po cygarach. Było w nim sześć starannie zapakowanych ładunków, które wyglądały jak grube świece zawinięte w woskowany papier. Była tam też płaska batedfta z latarki ręcznej i zegarek kieszonkowy. Wszystko to owinięte zostało zwojami dobrego drutu miedzianego. Na kopercie zegarka wygrawerowany był napis: Mojemu drogiemu mężowi Arthurowi Z wyrazami miłości Iris Boże Narodzenie 1914 roku \Kapitan Arthur Joyce poczuł ukłucie żalu na myśl o stracie pamiątki, ale wiedział, że Iris by go zrozumiała.

- Potem... - powiedział wynalazca, wyraźnie ukontentowany uwagą, z jaką słuchali go wszyscy obecni - trzeba nakręcić zegarek... - dotknął pokrętła palcem wskazującym -

zamknąć pudełko - zrobił to - poczekać dwanaście godzin i bum! - Flynn cofnął się, by znaleźć się poza zasięgiem kropelek śliny, które Szkot z siebie wyrzucił, z entuzjazmem symulując eksplozję.

- Poczekać dwanaście godzin? - spytał, ocierając krople śliny z policzków. - Czemu tak długo?

- Zażądałem dwunastogodzinnej zwłoki między umieszczeniem a wybuchem ładunku - odpowiedział Joyce. - Jeżeli pan Oldsmith ma uzyskać dojsście do magazynów amunicji „Bluchera”, będzie musiał wniknąć do grupy robotników zatrudnionych przy przenoszeniu pocisków. Kiedy już dostanie się do takiej grupy, może mieć trudności z opuszczeniem okrętu zaraz po

zamontowaniu ładunku wybuchowego. Jestem pewny, że pan Oldsmith mógłby z niechęcią odnieść się do propozycji podjęcia tej próby, gdybyśmy nie mogli zapewnić mu czasu na ucieczkę z „Bluchera”, kiedy już jego wysiłki... och - zaplątał się w potoku słów - och... okazały się owocne. - Joyce był

zadowolony z przemówienia. Zwrócił wzrok na Sebastiana, szukając słów. - Czy nie mylę się w swych założeniach, panie Oldsmith?

Aby nie zostać prześcigniętym w kwiecistości mowy, Sebastian zwlekał przez chwilę z odpowiedzią. Pięć godzin kamiennego snu w ramionach Rosy odświeżyło go i wyostrzyło dowcip niczym miecz toledański.

- Niewątpliwie - odparł i rozpromienił się triumfalnie.

75

Siedzieli razem, gdy słońce dogasało za horyzontem. Siedzieli razem na płaskowyżu, tuż u nasady wąwozu, który schodził do doliny Rufiji. Siedzieli w milczeniu. Rosa wszywała kieszeń do obrzydliwego skórzanego kaftana murzyńskiego. Była to kieszeń na pudełko od cygar. Sebastian patrzył na żonę z czułością. Rosa ostatni raz pociągnęła igłą, zrobiła supełek i pochyliła się, by przegryźć nić.

- No, skończone. - Podniosła głowę i napotkała wzrok męża.

- Dziękuję - powiedział Sebastian.

Siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Rosa pochyliła się i dotknęła jego ramienia.

Muskuły pod zabarwioną na brązowo skórą były sprężyste i twarde.

- Wróc - powiedziała i przytuliła się do niego. Zapadł już zmrok i w oddali dało się słyszeć głucho wycie szakali.

- Jesteś gotowy? - Stał przy nich Flynn z Mohammedem u boku.

- Tak. - Sebastian podniósł wzrok.

- Pocałuj mnie - szepnęła Rosa - i wróc bezpiecznie.

Łagodnie wyzwolił się z jej objęć i wdział na siebie kaftan.

Pudełko po cygarach zwieszało się teraz ciężko pomiędzy łopatkami.

- Czekaaj na mnie - powiedział i zniknął w mroku.

Flynn Patrick O'Flynn wiercił się niespokojnie pod przykryciem. Zgaga paliła go w gardle i było JHU zimno. Ziemia pod nim dawno już oddała całe ciepło, które wchłonęła od wczorajszych promieni słońca. Rąbek księżycy w nowiu rozświetlał mrok nocy lichą poświatą. Flynn nie mógł zasnąć i z rosnącą irytacją wsłuchiwał się w oddech Rosy leżącej obok. Gdyby miał jakiś powód, chętnie obudziłby ją i kazał rozmawiać ze sobą. Zamiast tego sięgnął ręką do chlebaka, który służył mu za poduszkę, i jego palce zacisnęły się na chłodnej szyjce butelki.

Jakiś nocny ptak zahuczał w dole wąwozu. Flynn wsunął z powrotem butelkę i usiadł na posłaniu. Włożył do ust dwa palce i powtórzył pohukiwanie. Po kilku minutach Mohammed wyłonił się z mroku niby czarny duch i przykucnął obok Flynnna.

- Widzę cię, Fini.

- Ja ciebie też widzę, Mohammedzie. Wszystko poszło dobrze?

- Poszło dobrze.

- Manali dostał się do obozu Allemandów?

- Śpi teraz obok człowieka, który jest moim kuzynem, a o świcie popłyną raz jeszcze z prądem do statku AUemandów.

- Dobrze! Świetnie się sprawiłeś.

Mohammed chrząknął, dając do zrozumienia, że to nie wszystko.

- No co tam jeszcze?

- Kiedy już Manali znalazł się po opieką mojego kuzyna, wracałem sam doliną i... -

przerwał na chwilę - ...może to nieodpowiednie, by mówić o tym, gdy nasz Pan Manali poszedł nieuzbrojony i samotny do obozu AUemandów... Kiedy szedłem bezszelestnie, dotarłem do miejsca, gdzie dolina opada do małej rzeki zwanej Abati. Znasz, panie, to miejsce?

- Tak. O milę stąd w dół wąwozu.

- To jest to miejsce. - Mohammed skinął głową. - Tam właśnie zobaczyłem, że coś rusza się w ciemnościach. Wyglądało to jakby wędrująca góra.

Flynn przełknął ciężko ślinę i zaczął szybciej oddychać.

- Tak?

- Była to góra uzbrojona w kły, które wyrastały ze szczęki i dotykały podłoża, kiedy szedł.

- Wielki Pług - szepnął Flynn i położył rękę na strzelbie, która leżała obok posłania.

- To był właśnie ten - Mohammed znowu przytaknął.
- Pożywiał się i przesuwiał

powoli w stronę Rufiji. Ale odgłos wystrzału dotarłby do uszu AUemandów.

- Nie będę strzelał - szepnął Flynn. - Chcę tylko na niego spojrzeć. Chcę tylko popatrzeć na niego jeszcze raz. - Dłoń spoczywająca na strzelbie zacisnęła się mocniej i zaczęła drżeć, jakby Flynn dostał gorączki.

76

Słońce weszło nad wzgórzami w dolinie Rufiji i drgało niby krążek płynnego złota w powietrzu falującym od upału. Ponad chłodnymi jeszcze mokradłami i zaroślami trzciny unosiła się mglista zasłona, niczym dym z dogorywającego ogniska.

Przez gałęzie akacji słońce słało długie jasne promienie, które ogrzewały wciąż jeszcze zimne powietrze, skryte pod osłoną drzew.

Trzy antylopy szły od strony rzeki. Były to stare samce, większe niż domowe konie, ubarwione jasnobrązowo, z delikatnymi paskami biegnącymi pionowo po brzuchu.

Ciężka skóra na podgardlu kołysała się w rytm stapania, a spomiędzy potężnych rogów wyrastała kępa sterczącej ciemniejszej sierści. Dotarły do lasu akacjowego i nagle samiec idący na czele zamarł. Przez chwilę antylopy z napięciem wciągały nozdrzami powietrze, a potem z lekkością zadziwiającą u tak okazałych zwierząt uskoczyły z dróżki i pognały w górę stoku, do kęp cierni sty sfr krzaków.

- Jest tam - szepnął Mohammed. - Antylopy zobaczyły go i umknęły.

- Tak - zgodził się Flynn. - Takie miejsce mógł wybrać na przeczekanie dnia. -

Siedział okrakiem na gałęzi drzewa m'bunga trzy metry nad ziemią i patrzył na oddalony o trzysta metrów akacyjny zagajnik. Lornetka drżała mu w rękach z powodu podniecenia i nadmiaru wypitego dżinu. Pocił się obficie. Właśnie spod włosów wypłynęła mu kropla potu i znacząc jaśniejszy ślad na zakurzonym policzku, przesuwając się powoli w dół, niczym niemrawy owad. Starł ją niecierpliwym ruchem dłoni.

- Rozsądny człowiek dałby spokój i odszedł, tak jak uczyniły to antylopy - wyraził

swoją opinię Mohammed. Stał oparty o drzewo, trzymając przy piersiach strzelbę. Flynn nie odpowiedział. Uważnie przepatrywał zagajnik, powoli przesuwając lornetkę.

- Musi być gdzieś w głębi. Stąd go nie widzę. - Szybko zszedł na ziemię, wziął swoją strzelbę z rąk Mohammeda i sprawdził, czy jest załadowana.

~ Zostaw go, Fini - przekonywał łagodnie Mohammed. - Nie będziemy mieli z tego żadnego pożytku. Nie będziemy mogli zabrać kłów.

- Zostań tutaj - powiedział Flynn.

- Fini, Allemandowie usłyszą cię. Oni są blisko, bardzo blisko.

- Nie będę strzelał. Muszę zobaczyć go jeszcze raz, to wszystko. Nie będę strzelał.

Mohammed wyjął z chlebaka butelkę i podał ją Flynnowi. Ten wypił kilka łyków i powiedział głosem przytłumionym z emocji: - Zostań tutaj.

- Bądź ostrożny, Fini. To stary wyga z wyjątkowo diabelskim usposobieniem.

Mohammed patrzył, jak Flynn idzie lekkim krokiem w kierunku lasu akacjowego, z radością człowieka zdążającego na upragnione i dawno umówione spotkanie. Dotarł

do skraju i nie rozglądając się, wszedł między drzewa.

Wielki Pług spał na stojąco. Spod małych, przymkniętych oczu wypływały strużki śluzu, a dookoła nich uwijały się roje much. Poszarpane uszy spoczywały nieruchomo wzdłuż tułowia niczym chorągwie bojowe w bezwietrzną pogodę. Pomiędzy kłami opartymi o ziemię zwieszała się wielka nieruchoma trąba.

Olbrzymi słoń przedstawiał się niesamowicie w zielonkawym świetle promieni słońca nisko stojącego na niebie. W wilgotnym powietrzu cykady głośno dawały znać o swej obecności.

Flynn podszedł na dwadzieścia kroków, zatrzymał się i patrzył na olbrzyma. Aż do tej chwili wciąż wierzył, że nie zamierza strzelać, ale było to jak postanowienie alkoholika, który obiecuje sobie wciąż od nowa, że weźmie tylko jeden łyeczek. Poczuł, jak ogarnia go szaleństwo polowania, jak rośnie w nim napięcie rozpalające trzewia.

Próbował się opanować, lecz strzelba bezwiednie powędrowała do ramienia. Poczuł

kolbę na obojczyku. Zaskoczony usłyszał głos dźwięczący w nieruchomym powietrzu.

Był to jego własny głos.

- No chodź! - krzyknął.

Stary słoń ocknął się natychmiast i rzucił gwałtownie do przodu. Zbliżał się niczym czarne urwisko wysadzone ładunkiem dynamitu. Flynn wycelował w poziomy fałd skóry u nasady trąby pomiędzy oczyma.

Huk wystrzału odbił się tysięcznym echem wśród pni akacji. Słoń został śmiertelnie raniony w pełnym biegu. Przednie nogi ugięły się pod nim i siłą rozpędu przeleciał

jeszcze kilka metrów, zanim na dobre zarył się w ziemi. Flynn niczym matador odskoczył w bok trzema tanecznymi susami, ale kieł trafił go w udo i odrzucił na kilka metrów. Impet uderzenia wyrwał mu strzelbę z rąk. Flynn upadł na liście z nogami wygiętymi pod nieprawdopodobnym kątem. Jego stare kruche kości połamały się, jakby były z porcelany. Kość udowa wyskoczyła ze stawu biodrowego i złamała miednicę.

Leżał twarzą do ziemi, zdziwiony nieco brakiem bólu. Przy najmniejszym ruchu czuł poszarpane końce kości przesuwające się wewnątrz ciała, lecz nie czuł bólu.

Powoli uniósł się na rękach i podczołgał do padłego słonia, ciągnąc za sobą nieruchome nogi. Położył dłoń na pożółkłym kle, który go zranił.

- No - wyszeptał, głaskając wypolerowaną kość niczym ojciec pierworodnego syna. -

No, jesteś mój.

I wtedy odezwał się ból. Flynn legł bezsilnie obok stygnącego zwalistego cielska, które jeszcze niedawno było Wielkim Pługiem. Ból buzował mu w uszach niczym rój cykad, ale zdołał usłyszeć jeszcze:

- Fini, to nie było mądre.

Otworzył oczy i zobaczył nad sobą małą twarz Moham-|tteda, przepełnioną troską.

- Zawołaj Rosę - wycharczał Flynn. - Zawołaj Małą Długowłosą. Powiedz, żeby przyszła.

Znowu zamknął oczy i o władnął nim szybko narastający ból - najpierw były to bębny, potem tam-tamy, które w nim pulsowały. Potem było morze i długie powolne fale agonii. Zapadł się w mrok, zimną czarną ciemność, która sprawiła, że trząsał się i majaczył. Po nocy przyszło słońce. Olbrzymia płonąca kula bólu, która w nim promieniowała. Po niej znowu przyszły bębny.

Czas nie miał znaczenia. Leżał minutę i milion lat. Pośród uderzeń bębnowagonii usłyszał, że ktoś się zbliża.

- Rosa - wyszeptał. - Już dotarłaś!

Przekręcił głowę i zmusił się, by unieść powieki. Nad nim stał Hermann Fleischer i szczyrzył zęby w uśmiechu. Dyszał ciężko jak po długim biegu, a jego różowa nalana twarz upstrzona była kroplami potu.

Flynn był zbyt otępiały z bólu, by pojawienie się Fleischera wstrząsnęło nim naprawdę silnie. Patrzył beznamiętnie na zakurzone cholewy Niemca, potem przeniósł

wzrok wyżej, na jego przeupocony mundur. Zobaczył wycelowanego w siebie lugera.

Drugą ręką Fleischer odsunął z czoła swą kopulastą czapkę.

- Herr Flynn! - usłyszał swe nazwisko wypowiedane pośród dychawicznego chichotu.

Flynn zastanawiał się z wysiłkiem, w jaki sposób Fleischer odnalazł go tak szybko w tym gęstym buszu. Strzał mógł go zaalarmować, ale co doprowadziło go

wprost do akacjowego zagajnika? Usłyszał trzepot skrzydeł i spojrział w górę. Poprzez płataninę gałęzi dostrzegł sępy zataczające kręgi na tle błękitnego nieba.

- Ja! Ptaki. Szliśmy za ptakami.

- Szakale zawsze podążają za ptakami - szepnął Flynn.

Fleischer wybuchnął śmiechem. Odrzucił głowę do tyłu i rechotał w najlepsze.

- Dobrze. Och, ja. To dobre! - powiedział i powoli, leniwie kopnął Flynna swym potężnym buciorem. Flynn jęknął tak przeraźliwie, że śmiech zamarł w gardle Niemca.

Fleischer pochylił się nad jeńcem. Dostrzegł, jak dziwacznie powyginane są jego dolne kończyny. Uklęknął i delikatnie dotknął czoła Flynna. Było nienaturalnie zimne.

- Sierzancie! - krzyknął desperacko. - Ten człowiek jest ciężko ranny. Już długo nie pociągnie. Pospieszcie się! Mocujcie linę! Musimy go powiesić, zanim straci przytomność.

77

Rosa obudziła się o wschodzie słońca i odkryła, że jest sama. Przy posłaniu Flynna leżał niedbale rzucony koc. Strzelby nie było.

Nie zaniepokoiło jej to. Przynajmniej nie od razu. Pomyślała, że ojciec[^]poszedł do lasu na jedną z tych porannych wycieczek, podczas których wypijał śniadanie. Ale kiedy nie wracał przez godzinę,

niepokój Rosy zaczął narastać. Usiadła ze strzelbą na kolanach. Każde poruszenie ptaka w gałęziach, każdy odgłos zwierzęcia drażnił jej napięte nerwy. Po upływie następnej godziny była pełna czarnych myśli. Co kilka minut wstawiała, wychodziła z cienia drzew hebanowych i nasłuchując uważnie, patrzyła poprzez pustą przestrzeń w stronę zarośli nad rzeką. Potem wracała i siadała coraz bardziej zmartwiona. Gdzie podziewał się Flynn? Dlaczego Mohammed nie wracał? Co się stało z Sebastianem? Czy był bezpieczny, czy też zdemaskowano go? Czy Flynn poszedł, żeby mu pomóc? Co ona sama powinna zrobić: czekać tu czy pójść ich tropem?

Siedziała, zadając sobie wciąż od nowa te pytania, i niecierpliwym gestem obwijała pasmo włosów wokół palca. Nie potrafiła podjąć decyzji. Wtedy nadszedł Mohammed.

Wychylił się nagle z krzaków obok Rosy, tak że ta zerwała się z krzykiem.

- Fini! Jest ranny. Olbrzymi słoń złamał mu kości i on leży teraz w boleściach. Prosił, żebyś przyszła, pani.

Rosa patrzyła na Mohammeda szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

- Słoń?

- Wytropił Wielkiego Pługa, wielkiego słonia i zastrzelił go. Ale zwierzę padając uderzyło go i połamało mu kości.

- To głupiec. Och, co za głupiec! - wyszeptała Rosa. - Musiał właśnie teraz, kiedy Sebastian jest w niebezpieczeństwie. Musiał... - Wzięła się w garść i otrząsnęła z rozpacz. - Gdzie on jest? Mohammedzie, zaprowadź mnie do niego.

Szli szybko wąską ścieżką. Nie było czasu, by

zachować jakiegokolwiek środki ostrożności. Dotarli do rzeki Abati i przez chwilę przedzierali się przez trawę i krzaki wzdłuż jej brzegu, brnąć w grzaskim błocie. Już mieli wyjść z ciernistych zarośli bawolich krzewów, gdy Mohammed zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w niebo. Sępy zataczały na tle błękitu wielkie kręgi. Obiekt, nad którym krążyły, znajdował się o pół

mili przed Rosą i Mohammedem.

- Tatusiu - powiedziała Rosa i rzuciła się biegiem przed siebie, potrącając po drodze Mohammeda. Odrzuciła na bok swą strzelbę, wyskoczyła z zarośli na otwartą przestrzeń i popędziła w kierunku drzew akacji.

Mohammed próbował ją zatrzymać, ale przy pierwszym kroku nadepnął na potężny cierni, który przebił mu podeszwę sandała i wbił się boleśnie w stopę. Próbował

dogonić Rosę, skacząc na jednej nodze, ale na nic się to zdało. Dziewczyna była już poza jego zasięgiem.

- Poczekaj! Uważaj! - krzyknął za nią przytłumionym głosem, ale bezskutecznie.

Rosa szybko przebyła przestrzeń dzielącą ją od drzew akacji. Wbiegła w ich cień i nieomal uderzyła w zwalistą postać Hermanna Fleischera. Krzyknęła przerażona i uskoczyła, by nie dać się złapać rękami, które po nią sięgnęły.

Dwóch Askariów, którzy robili coś przy Flynnie leżącym na stercie chrustu, skoczyło na równe nogi. Z dwóch stron rzucili się w pogoń za Rosą i powlekli ją wierzgającą i wrzeszczącą przed oblicze Hermanna Fleischera.

- Ach, świetnie! - ucieszył się Niemiec. -

Przybyłaś rychło w czas. Nie ominie cię zabawa. - Odwrócił się do swego sierżanta. - Każcie związać tę kobietę.

Krzyki Rosy przebiły się przez mglistą zasłonę, która przesłaniała zmysły Flynna.

Poruszył się, potrząsnął głową i z wysiłkiem otworzył oczy. Zobaczył córkę wleczoną przez dwóch Askariów i natychmiast ocknął się z otępienia.

- Puśćcie ją! - ryknął. - Odwołaj te krwiożercze bestie. Puśćcie ją, wy zbrodnicze, pieprzone, niemieckie bękarty!

- Świetnie - powiedział Fleischer. - Przebudziłeś się. - Podniósł głos, by przekrzyczeć złorzeczenia Flynna. - Szybciej, sierżancie. Zwiążcie kobietę i wciągnijcie linę.

Jeden z Askariów wspiał się po gładkim pniu akacji. Bagnetem oczyścił grubą poziomą gałąź z mniejszych gałązek i przełożył rzuconą mu linę. Potem sprawnie zsunął się na ziemię.

Pętla na linie była już gotowa. Sam Flynn wyglądał niczym mumia egipska. Był tak omotany sznurami, że jedynie szyja i głowa pozostawały odsłonięte. Do jego boków przymocowano kawałki niezbyt grubych klocków drewna. Miały one zastępować połamane nogi i utrzymać go przez chwilę w pozycji pionowej.

Flynn zastygł w bezruchu, gdy sierżant pochylił się, by założyć mu pętlę na szyję.

Kiedy ręce Askaria znalazły się na wysokości oczu Flynna, ten gwałtownie złapał swego oprawcę zębami za przegub. Murzyn próbował wyrwać rękę z uścisku, ale bezskutecznie.

- Głupcze - zaśmiał się Fleischer szyderczo.

Podszedł do Flynna i nadepnął na jego połamaną nogę. Flynn skrzywił się i jęknął z bólu, puszczając przegub Askaria.

- Teraz dobrze. - Fleischer złapał Flynna za włosy, popatrzył mu z bliska w twarz i puścił gwałtownie. - Teraz lina, szybko.

Sierżant zacisnął pętlę na szyi ofiary.

- Dobrze. - Fleischer zrobił krok w tył. - Czterech ludzi do liny. Powoli. Nie szarpać liny. Nie chcę złamać mu karku.

Rosa z niemym przerażeniem obserwowała przygotowania do egzekucji. Teraz odzyskała zdolność mówienia.

- Proszę - szepnęła. - To mój ojciec. Nie róbcie tego. broszę, nie róbcie tego.

~ Zamilcz, dziewczyno - wrzasnął Flynn. - Nie rób mi wstydu i nie błagaj o nic tego tłustego wora wydzieliny ropnej. - Odwrócił głowę w stronę Askariów dzierżących koniec liny. - Ciągnąć! Czarne sukinsyny. Ciągnąć! Wyślę was wszystkich do piekła i pogadam z czartem, żeby każdego po kolei wykastrował i wysmarował świńskim łojem.

- Słyszeliście, co powiedział Fini - uśmiechnął się Fleischer. - Ciągnijcie!

Murzyni postąpili o kilka kroków do tyłu. Lina naprężyła się i po chwili Flynn zawisł w powietrzu.

Rosa odwróciła się i zacisnęła mocno powieki, lecz ręce miała skrępowane i nie mogła zakryć uszu przed dźwiękami, jakie wydawał z siebie umierający Flynn Patrick O'Flynn.

Kiedy wreszcie zapadła cisza, Rosa cała trzęsła się z rozpacz. Spazmy raz po raz wstrząsały jej ciałem.

- W porządku - powiedział Fleischer. - O to chodziło. Zabierzcie kobietę. Jak się pospieszymy, zdążymy do obozu na obiad.

Kiedy się oddalili, ciało Flynna wciąż zwisało z gałęzi akacji. Kołysało się lekko i okręcało wokół własnej osi. Nie opodal leżało cielsko słonia. Jeden z sępów usiadł na wysokiej gałęzi akacji. Patrzył przez chwilę na dół, nagle zobaczył zbliżającego się człowieka i z głośnym skrzeczeniem zerwał się do lotu.

Niewysoki staruszek zatrzymał się obok padłego słonia i spojrzał na człowieka, który był jego panem i jego przyjacielem.

- Spoczywaj w pokoju, Fini - rzekł Mohammed.

78

Korytarz biegnący wzdłuż statku był wąski i niski, ścianki grodzi wodoszczelnych pomalowano szarą farbą, która błyszczała w mdłym świetle sączącym się z lamp oprawnych w grube masywne szkło, chronione dodatkowo drucianą konstrukcją.

Na końcu korytarza, obok ciężkich drzwi wodoszczelnych, stał strażnik pilnujący wejścia do magazynu dziobowego. Ubrany był tylko w cienki biały podkoszulek i takiegoż koloru flanelowe spodnie, lecz u pasa zwisał mu ciężki bagnet, a z ramienia -

mauzer. Ze swej pozycji strażnik mógł swobodnie obserwować magazyn. Miał też pełną kontrolę nad tym, co dzieje się w korytarzu, wypełnionym dwoma szeregami tubylców z plemienia Wakamba. Stali jeden

przy drugim, tworząc dwa ludzkie łańcuchy. Wzdłuż jednego łańcucha przesuwali się z ręki do ręki ładunki kordytu, a wzdłuż drugiego -

dwustuttrzydziestomilimetrowe pociski.

Murzyni pracowali ze stoicką obojętnością zwierząt pociągowych i raz za razem odbierali i podawali dalej ponad-pięćdziesięciokilogramowe kapsuły wypełnione materiałami wybuchowymi. Ładunki kordytu zapakowanego w cienki papier były nieco lżejsze i przesuwali się szybciej wzdłuż ludzkiego łańcucha. Przy tej masie rytmicznie poruszających się spoconych ludzi, mimo pracujących urządzeń klimatyzacyjnych, powietrze w korytarzu wypełnione było ciepłym, niemal namacalnym smrodem.

Sebastian czuł, jak pot spływa mu po plecach i piersiach. Za każdym razem, gdy odwracał się, by przejąć od poprzednika nowy ładunek z kordytem, czuł też ciężar swej bomby ukrytej w fałdach skórzanego kaftana.

Stał tuż przy drzwiach magazynu i kiedy podawał następnemu kordyt, mógł

patrzeć w głąb, gdzie inna grupa robotników układała pakunki na półkach i pociski na stojakach. Tam również stał uzbrojony strażnik.

Praca trwała od wczesnego ranka, z półgodzinną przerwą w południe, więc czujność Niemców była nieco stępiona. Ten w magazynie, tłusty człowiek w średnim wieku, przez cały dzień urozmaicał monotonię pracy głośnym puszczaniem bąków. Po każdej salwie uderzał z rozmachem w plecy najbliższego stojącego robotnika i krzyczał

wesoło:

- Łap go! - albo: - Uśmiechnij się, moich nie czuć.

om Ale wreszcie i z niego zeszło powietrze. Oparł się o drzwi magazynu i krzyknął

do swego kolegi w korytarzu:

- Tu jest gorąco jak w piekle, a śmierdzi jak w zoo. Te dzikusy cuchną.

- Masz w tym swój udział.

- Będę szczęśliwy, jak to wszystko wreszcie się skończy.

- I tak masz dobrze. W magazynie jest chłodniej, bo pracują wentylatory.

- Jezusie, chciałbym usiąść na kilka minut.

- Lepiej nie, porucznik Kyller grasuje.

Ta wymiana zdań prowadzona była tuż obok Sebastiana. Zdażył się już nieco osłuchać z nieritickim i zrozumienie sensu zdań nie sprawiło mu problemów. Zaczął

się poważnie martwić. Już niedługo dzień dobiegnie końca i robotnicy zostaną odesłani na pokład, a stamtąd do łodzi, które przewiozą ich do obozowiska na jednej z wysp.

Żaden z tubylców nie mógł spędzić nocy na pokładzie „Blüchera”.

Od południa czekał na sposobność umieszczenia bomby w magazynie, uniemożliwiała to jednak ciągła aktywność niemieckich strażników. „Musiał być już -

koło siódmej” - pomyślał. Wiedział, że zostało mu mało czasu. Bardzo mało. Rzucił

okiem do wnętrza magazynu i uchwycił spojrzenie kuzyna Mohammeda, które wyrażało bezsilność i współczucie.

Nagle coś bardzo ciężkiego uderzyło w metalową podłogę w dalszej części korytarza i rozległy się tam gorączkowe przekrzykiwania. Sebastian rozejrzał się szybko. Jeden z robotników zasłabł z powodu gorąca i upadł. Pocisk wypadł mu z rąk, potoczył się i zwałił z nóg drugiego mężczyznę. Teraz w korytarzu panowało niemałe zamieszanie. Dwaj strażnicy ruszyli, by zaprowadzić porządek, torując sobie kolbami karabinów drogę wśród ciżby czarnych ciał. To była szansa, na którą czekał Sebastian.

Wszedł do magazynu i stanął obok Walaki, dogląającego układania kordy tu na półkach.

- Wyślij jednego ze swoich ludzi, by zajął moje miejsce - szepnął, wyjął spod kaftana pudełko od cygar i otworzył wieczko. Nakręcił zegarek i ramię sekundnika zaczęło swój bieg dookoła tarczy. Mimo harmidru panującego w korytarzu tykanie zegarka wydało się Sebastianowi natrętnie głośne. Spojrzał przez ramię w stronę wejścia. Walaka stał

poblady z przerażenia, które owładnęło nim, gdy odkrył, co szykuje Sebastian, ale skinął głową, że strażnicy są wciąż zajęci. Młodzieniec umieścił pudełko od cygar na najbliższej półce, pomiędzy cylindrycznymi ładunkami kordytu owiniętego papierem, i starannie zamaskował.

Odstąpił do tyłu i odkrył ze zdumieniem, że dyszy ciężko jak po długim biegu, a nogi uginają się pod nim, jakby były zrobione z waty. Czuł, jak po ogolonej głowie spływają mu kropelki potu.

- Gotowe? - spytał Walaka.

- Gotowe - skrzekliwym głosem odpowiedział Sebastian i nagle owładnęła nim przemożna chęć, by wydostać się z tego stalowego pomieszczenia, z tego pokoju pełnego materiałów niosących śmierć i

zniszczenie. Chciał być jak najdalej od tych ciał

otaczających go i napierających nań przez cały dzień. Przerazająca myśl narodziła się w umyśle Sebastiana, myśl, że człowiek, który zbudował bombę zegarową, popełnił

błąd w ustawieniu opóźnienia wybuchu. W wyobraźni widział, jak bateria rozgrzewa druciki do punktu detonacji. Wpadł w panikę, gdy rozejrzał się po magazynie wypełnionym tonami kordytu i pocisków. Chciał pobiec, by przebić się przez tłum i wywalczyć sobie przejście na pokład okrętu. Zrobił krok i zamarł.

Zamieszanie w korytarzu ucichło i teraz słychać było tylko jeden władczy głos.

Sebastian słyszał ten głos kilkakrotnie w ciągu dnia i zaczął się go bać. Ten głos zwiastował niebezpieczeństwo.

- Zapędź ich natychmiast do pracy - zarządził porucznik Kyller. Z kieszeni munduru wyjął złoty zegarek na łańcuszku i sprawdził godzinę. - Jest pięć po siódmej.

Macie jeszcze Prawie pół godziny pracy. - Schował zegarek i omiótł magazyn bystrym spojrzeniem. Dwaj strażnicy próbowali poprawić swe stroje i przybrali bardzo poważny i myślący wyraz twarzy.

- Tak jest, sir - odpowiedzieli jednocześnie.

Na chwilę Kyller zatrzymał wzrok na Sebastianie, prawdopodobnie dlatego, że był

on najlepiej zbudowanym robotnikiem z całej grupy. Był wyższy od innych, prawie tak wysoki jak sam Kyller. Ale Sebastian czuł, że to zainteresowanie jest głębsze, że przenika jego pofarbowaną skórę i wnika w głąb. Czuł, że Kyller

zapamiętał go i zapisał

w swojej pamięci.

- Ta półka. - Kyller odwrócił się od Sebastiana ku półce, gdzie była bomba zegarowa.

Cylindryczne ładunki kordytu, które Sebastian układał w pośpiechu, leżały nieco krzywo. - Proszę natychmiast to przepakować - rozkazał Kyller.

- Tak jest, sir - odparł gruby strażnik.

Oczy Kyllera znowu spoczęły na Sebastianie. Zdawało się, że porucznik chce coś powiedzieć, ale nagle jakby zmienił zdanie, odwrócił się i odszedł sprężystym krokiem.

Sebastian stał jak słup soli, zatrwożony rozkazem, który wydał Kyller. Gruby strażnik krzywił teraz twarz w grymasie niezadowolenia.

- O Chryste, ale pracowity bękart. - Spojrzał na półkę z kordytem. - Nie widzę tu nic do poprawiania. - Podeszedł do półki i poprawił co nieco bez przekonania. Odwrócił się do kumpla stojącego przy drzwiach. - Kyller już poszedł?

- Tak. Do izby chorych.

- Dobrze - ucieszył się gruby. - Raczej szczerę, niż zmarnuję pół godziny, żeby to wszystko poukładać od nowa. Wzruszył ramionami i na jego twarzy pojawił się grymas wysiłku. Kiedy wreszcie wydał z siebie dźwięk zapuszczanego motoru, oblicze rozjaśnił

mu uśmiech ulgi. - To dla porucznika Kyllera. Niech go Bóg błogosławi!

Wraz z szybkim nastaniem ciemności temperatura spadła nieco poniżej dwudziestu stopni. Wydawało się, że wieczorna bryza jest naprawdę chłodna. Sebastian czekał wraz z innymi robotnikami w kolejce do trapu. Był wycieńczony fizycznie i psychicznie.

Poruszał się jak w letargu. Kiedy już płynął jedną z łodzi motorowych w kierunku obozowiska, obejrzał się odruchowo w stronę krążownika i zobaczył łódź Fleiscliera przycumowaną do burty „Blüchera”.

„Może ta tłusta świnia będzie na pokładzie, kiedy to wszystko wyleci w powietrze -

pomyślał. - Mam nadzieję”.

Nie mógł wiedzieć, kogo Hermann Fleischer zabrał ze sobą na pokład krążownika.

Był pod pokładem, kiedy komisarz wprowadzał po trapie swego więźnia.

- Proszę tędy, Madchen. Zabierzemy cię na spotkanie z dzielnym kapitanem tego pięknego okrętu. Jestem pewien, że masz mu do powiedzenia dużo ciekawych rzeczy.

Rosa, załamana po egzekucji swego ojca i przykrych doznaniach ostatnich kilku godzin, była zupełnie otępiała. Czuła jedynie palącą nienawiść do Fleischera. Kiedy wchodziła z trapu na pokład, potknęła się, lecz nie uczyniła żadnego wysiłku, by odzyskać równowagę lub wyhamować impet upadku związanymi z przodu rękoma.

Zdziwiła się, gdy poczuła, że czyjeś troskliwe dłonie podtrzymują ją i stawiają na nogi.

Podniosła wzrok i w pierwszej chwili w jej skołatanej głowie zaświtała myśl, że to Sebastian. Był wysoki i miał równie silne ręce. Zobaczyła

oficerską czapkę ze złotymi zdobieniami i odwróciła z niechęcią wzrok.

- Ach, poruczniku Kyller - usłyszała za sobą głos Fleischera - przyprowadziłem gościa, pewną piękną damę.

- Kim jest owa dama? - Kyller przyjrzał się Rosie. Dziewczyna nie rozumiała ani słowa. Stała bezwolna, pogodzona z losem.

- Oto - rzekł z dumą Fleischer - najniebezpieczniejsza niewiasta w całej Afryce. Jest jedną z głównych postaci w oddziale bandytów, który napadł na kolumnę transportującą blachę z Dar es Salaam. To ona zastrzeliła naszego mechanika. Pojmałem ją i jej ojca dziś rano. Jej ojciec to niesławny O'Flynn.

- Gdzie on jest? - uciał Kyller.

- Powiesiłem go.

- Powiesił go pan? - spytał Kyller z pretensją w głosie. - Bez sądu?

- To nie było konieczne.

- Nie przesłuchał go pan?

- Przyprowadziłem kobietę na przesłuchanie.

Kyller rozzłościł się.

- Powierzę kapitanowi von Kleine ocenę zasadności pańskich działań. - Zwrócił oczy na Rosę i wzrok jego padł na rękę dziewczyny. Z troską ujął ją za przegub.

- Komisarzu Fleischer, jak długo ta kobieta pozostaje skrupowana?

- Nie mogłem dać jej szansy ucieczki - obruszył się Fleischer.

- Niech pan spojrzy! - Kyller podniósł ręce Rosy. Dłonie miała sine, opuchnięte i zupełnie bezwładne.

- Nie mogłem pozostawić jej szansy ucieczki - bronił się zmieszany Fleischer.

- Proszę o nóż - zwrócił się Kyller do podoficera przy wejściu na trap. Ten wyjął

spory scyzoryk, otworzył go i podał przełożonemu.

Kyller ostrożnie przeciął więzy. Rosa aż krzyknęła z bólu, kiedy krew napłynęła falą do jej zsiniałych dłoni.

- Będzie miał pan dużo szczęścia, jeśli nie uczynił jej pan na zawsze kaleką -

wybuchnął Kyller, z wściekłością masując zdrętwiałe palce Rosy.

- To kryminalistka. Niebezpieczna kryminalistka - burknął Fleischer.

- Jest kobietą i jako taka wymaga dobrego traktowania, a nie takich barbarzyńskich metod, jakie pan stosuje.

- Ona będzie wisieć.

- O tym zadecyduje rozprawa sądowa, w której ocenione będą jej przestępstwa, ale póki to nie nastąpi, będzie traktowana jak kobieta.

Rosa nie rozumiała nic z toczącej się przy niej dyskusji. Stała bez ruchu, z oczyma utkwionymi w nóż, który porucznik Kyller trzymał w dłoni. Ruszała palcami, by szybciej przywrócić w nich normalne krążenie. Ostrze błyszczało srebrzyście. Wiedziała, że jest bardzo ostre, gdyż bez trudu przecięło krępujące ją więzy. W swym obłądnym zapamiętaniu dostrzegła dwa imiona wygrawerowane na ostrzu. Imiona dwóch osób, które kochała. Imiona

swego ojca i córki. Z wysiłkiem oderwała wzrok od noża i spojrzała na człowieka, którego nienawidziła. Fleischer podszedł bliżej, jakby chciał

odciągnąć na chwilę Rosę z zasięgu wzroku porucznika Kyllera. Nalana twarz komisarza pałała złością, a tłusty podbródek trząsał się, kiedy Fleischer wyniszczał swoje racje.

Rosa zacisnęła palce. Były wciąż zdrewniałe, ale czuła, że z każdą chwilą odzyskuje w nich władanie. Spojrzała na brzuch Bleischera - był duży i pękaty, pod szarą bluzą munduru wyglądał na miękki. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak ostrze zagłębia się w tym brzuchu, wbija się łagodnie, bezgłośnie, aż po rękoność, a potem wędruje w górę i otwiera trzewia Fleischera niczym stary worek. Ten obraz był tak wyraźny, że poczuła przyjemność, jakby stało się to naprawdę.

Kyller całą swą uwagę skupił na Fleischerze. Poczuł, że palce dziewczyny wślizgują się na jego prawą dłoń, w której trzymał nóż, lecz zanim zdążył zareagować, Rosa odwróciła się i całym impetem rzuciła się w kierunku Fleischera. Myślała, że z powodu swej tuszy jest powolny; że zaskoczony atakiem nie zdąży się poruszyć, nim ostrze zagłębi się w jego przepastnych trzewiach. Ale Hermann Fleischer był czujny.

Obserwował ją cały czas uważnie. Nie popełnił błędu i nie próbował zasłonić się przed ciosem nagą dłonią. Zamiast tego uderzył ją olbrzymią pięścią w ramię. Siła ciosu odrzuciła Rosę w bok, jej ręka opadła bezwładnie, a nóż wypadł z dłoni i potoczył się po pokładzie.

- Ja! - wrzasnął Fleischer triumfująco. - Ja! Teraz pan widzi, że miałem rację co do tej sukki. Jest podstępna i niebezpieczna.

Podniósł pięść, by zdzielić Rosę w twarz.

- Dostyc tego! - Kyller stanął pomiędzy nimi. - Zostaw ją.

- Ona musi być związana jak zwierzak, jest niebezpieczna - ciskał się Fleischer, lecz Kyller objął dziewczynę ramieniem i przywołał podoficera.

- Proszę zaprowadzić tę kobietę do izby chorych i poprosić doktora Buchholza, by się nią zajął. Należy strzec jej pilnie, ale obchodzić się z nią łagodnie. Zrozumiano?

Podoficer zabrał Rosę.

- Muszę się widzieć z kapitanem von Kleine - protestował Fleischer. - Muszę złożyć mu pełne sprawozdanie.

- Proszę za mną. Zaprowadzę pana.

80

Sebastian leżał na boku przy małym ognisku, z którego leniwie sączyła się strużka dymu. Słyszał nocne odgłosy moczarów - nagłe pluśnięcie ryby czy krokodyla, skrzeczenie żabek drzewnych, bzyczenie owadów i rytmiczne uderzenia drobnych fal o mulisty brzeg niedaleko szałas.

Szałas, w którym znajdował się Sebastian, był jedną z dwudziestu podobnych do siebie lichych konstrukcji bez ścian, przeznaczonych dla czarnoskórych robotników.

W każdym szałasie klepisko było gęsto usiane ciałami śpiących Murzynów.

Sebastian nie spał pomimo zmęczenia. Nie potrafił się odprężyć po całym dniu morderczej presji. Myślał o małym zegarku, który tykał w pomieszczeniu wypełnionym materiałami wybuchowymi, odmierzając minuty i godziny. Nagle jego myśli powędrowały ku Rosie. Jutro zabierze ją daleko od tej cuchnącej rzeki, na wyżynę, gdzie powietrze jest świeże i czyste. Znowu przeskoczył myślami. O siódmej, jutro o siódmej wszystko będzie skończone. Pamiętał dobrze głos porucznika Kylłera, gdy ten stał

w wejściu do magazynu ze złotym zegarkiem w ręku: „Jest pięć po siódmej...” Dzięki temu Sebastian wiedział z dokładnością do kilku minut, kiedy nastąpi eksplozja.

Musi powstrzymać robotników udających się rano na pokład „Blüchera”. Tłumaczył

już staremu Walące, że muszą jutro odmówić wyjścia do pracy. Muszą...

- Manali! Manali! - ktoś szeptał jego imię, gdzieś niedaleko w mroku nocy. Sebastian podniósł się i oparł na łokciu. W mdłym świetle ogniska zobaczył postać, która na czworakach przesuwiała się od jednego śpiącego do drugiego, przyglądając się ich twarzom.

- Manali, gdzie jesteś?

- Kto to? - cicho spytał Sebastian. Mężczyzna wstał i podszedł do niego.

- To ja, Mohammed.

- Mohammed? Dlaczego jesteś tutaj? Powinieneś być z Fi-nim w obozie nad Abati.

- Fini nie żyje - powiedział cicho Mohammed, tak cicho, że Sebastian pomyślał, że się przesłyszał.

- Co? Coś ty powiedział?

- Fini nie żyje. Allemandowie przyszedli z linami. Powiesili go na akacji nad brzegiem Abati, a kiedy umarł, zostawili go ptakom.

- Co ty pleciesz?

- To prawda. Widziałem to. Kiedy odeszli Allemandowie, odciąłem linę i opuściłem go na ziemię. Owinałem go swoim kocem i pogrzebałem w norze mrówkojada.

- Nie żyje? Flynn nie żyje? To nieprawda!

- To prawda, Manali.

W czerwonym blasku nikłego ogniska stara twarz Mohammeda wyglądała mizernie i ponuro. Murzyn oblizwał spierzchnięte wargi i dodał: - Jest jeszcze coś, Manali.

Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Ale Sebastian nie słuchał. Próbował pogodzić się z faktem, że Flynn nie żyje. Na próżno. Nie potrafił wyobrazić sobie Flynną, jak dynda na stryczku, z pętlą zaciśniętą na szyi, lub owinięty w koc leży w norze mrówkojada. Flynn nie żyje? O nie! Był zbyt wielki, zbyt żywotny, nie mogliby zabić Flynną.

- Manali, posłuchaj.

Sebastian potrząsnął głową i odrzucił mroczne myśli. To nie mogła być prawda.

- Manali, ci Allemandowie, oni zabrali Małą Długowłosą. Związali ją i zabrali.

Sebastian odrzucił głowę, jakby dostał w twarz otwartą dłoń.

- Nie! - próbował nie dopuścić do siebie tych strasznych słów.

- Zabrali ją tego ranka, gdy szła do Finiego.

Zabrali ją w dół rzeki małą łodzią i teraz ona jest na pokładzie wielkiego^ statku Allemandów.

- Na „Blücherze”? Rosa jest na pokładzie „Bluchera”?

- Tak. Jest właśnie tam.

- Nie. Och, Boże, nie!

Za pięć godzin „Blucher” wyleci w powietrze. Za pięć godzin Rosa zginie. Sebastian odwrócił głowę i spojrzał w mrok w stronę rzeki, gdzie w odległości kilometra stał

„Blucher”. Na tafli wody widać było delikatne lśnienie przysłoniętych od góry latarni na głównym pokładzie. Sam kształt okrętu był niewidoczny na tle czarnej masy mangrowców porastających przeciwległy brzeg. Pomiędzy okrętem a wyspą rzeka rozpościerała się gładką powierzchnią niczym czarny aksamit, w którym gwiazdy odbijały się rozrzuconymi gęsto błyszczącymi punktami.

- Muszę do niej iść. Nie mogę pozwolić jej tam umrzeć samotnie - powiedział

Sebastian z determinacją. - Nie mogę pozwolić jej zginąć. Powiem Niemcom, gdzie mogą znaleźć ładunek, powiem im... - Głos mu się załamał. - Nie mogę. Nie, nie mogę.

Byłbym zdrajcą, ale, ale... Szybko zerwał się z ziemi.

- Mohammedzie, jak się tu dostałeś? Masz czółno? Gdzie ono jest?

Mohammed potrząsnął głową.

- Nie mam. Przepłynąłem wpław. Kuzyn podwiózł mnie czółnem niedaleko wyspy, ale już odpłynął. Nie mogliśmy zostawić tu czółna, bo Askariowie by je

zobaczyli.

- Na wyspie nie ma żadnej łodzi, niczego -
mamrotał pod nosem Sebastian.

Niemcy dobrze zabezpieczyli wyspę przed ucieczką robotników. Każdej nocy tubylcy byli tam spędzani, a Askariowie patrolowali błotniste brzegi.

- Posłuchaj mnie, Mohammedzie. - Sebastian podszedł do staruszka i położył mu rękę na ramieniu. - Jesteś moim przyjacielem. Dziękuję, że przyszedłeś powiedzieć mi wszystko.

- Idziesz do Małej Długowłosej?

- Tak.

- Idź w pokoju, Manali.

- Zajmij moje miejsce, Mohammedzie. Kiedy jutro rano strażnicy przyjdą liczyć, staniesz za mnie. - Sebastian zacisnął lekko dłoń na kościstym ramieniu. - Zostań w pokoju, Mohammedzie.

Zagłębił się w mroku nocy. Czas jakiś brnął przez krzaki w kierunku brzegu i nagle omal nie wpadł na Askaria patrolującego brzeg. Ten jednak nie zwrócił na niego uwagi.

Szedł wzdłuż koleiny wydeptanej przez strażników, z karabinem krzywo przerzuconym przez ramię i wpółzamkniętymi oczyma. Szedł drzemiąc i nie miał zielonego pojęcia, co dzieje się wokół niego.

Sebastian na czworakach przeciął ścieżkę, a potem czołgał się, aż poczuł na piersi ciepły szlam rzeczny. Wstał i próbował iść, ale nogi zapadały mu się z tak głośnym plaśnięciem, że mógł usłyszeć go każdy strażnik w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Położył się znowu na brzuchu i czołgał się tak długo, aż znalazł się w wodzie cieplej jak krew.

Płynął powoli, uważając, by nie wywołać chlupotu. Ręce i nogi musiały poruszać się cały czas pod powierzchnią. Ponad wodą, niczym wydra, utrzymywał tylko głowę.

Płynął powoli, kierując się odległymi światłami „Bluchera”. Oszczędzał siły, bo wiedział, że już niedługo będzie bardzo ich potrzebował.

Różne troski zaprzętały mu myśli. Pierwsza wiązała się z samą obecnością w ciemnych wodach Rufiji. Jego nogi były łatwym obiektem dla łuskowatych drapieżników, których pełno było w rzece. Niesiony prądem zapach jego ciała musiał

już do nich dotrzeć. Wkrótce nadpłyną w poszukiwaniu ofiary. Zignorował ten problem. Istniała wszak szansa, że krokodyle go nie znajdą. Było to mało prawdopodobne, lecz możliwe, postanowił więc w tej materii zaufać swemu szczęściu i skupił się na następnym problemie. Kiedy już dotrze do „Bluchera”, jak dostanie się na jego pokład? Burty wznosiły się na piętnaście metrów ponad powierzchnię wody.

Opuszczone były co prawda dwa trapy, ale oba były pilnie strzeżone. Dla tego problemu nie potrafił znaleźć rozwiązania.

Na te troski nakładał się żal po śmierci Flyna, ale najmocniej, najuporczywiej nękał

go niepokój o Rosę.

- Rosa. - Ze zdziwieniem odkrył, że powiedział głośno imię żony.

„Rosa!” - krzyczało mu wciąż w głowie. „Rosa” - powtarzał w myślach przy każdym ruchu rąk i nóg.

- Rosa - mówił cicho przy każdym głębokim oddechu.

Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy już do niej dotrze. Jakies niejasne pomysły błąkały mu się po głowie. Wiedział, że chce ją zabrać daleko od „Bluchera”, zanim rozpęta się na nim piekło. Nie wiedział, jak to zrobić, ale płynął powoli w kierunku krążownika.

Dotarł do burty okrętu i spojrzął w górę wzdłuż potężnej stalowej ściany, która wyrastała wysoko. Usłyszał słabe dźwięki dochodzące z wnętrza. Uderzenie metalu o metal, przytłumione rozmowy. Woda omywająca kadłub szumiała cicho, pchana nurtem rzeki. Nagle całkiem blisko usłyszał powtarzające się skrzypnięcia i lekkie uderzenia.

Popłynął wzdłuż burty w poszukiwaniu źródła tych dźwięków. Dochodziły od dziobu. Były to skrzypnięcia napinanej liny i uderzenia drewna o stalowy kadłub. Kiedy odkrył źródło, niemal krzyknął z radości. Platformy! Te same, które w dzień służyły spawaczom i ludziom malującym nowo wstawione arkusze blachy. Wisiały tuż nad wodą, nie miał więc problemu z wejściem. Odpoczął krótką chwilę i zaczął wspinać się po linie. Dotarł na wysokość pokładu, tam zatrzymał się i rozejrzał uważnie dookoła.

Zobaczył dwóch marynarzy stojących w odległości pięćdziesięciu metrów. Żaden z nich nie patrzył w jego stronę. Rzadko rozstawione latarnie rzucały słabe żółtawe światło, ale pomiędzy nimi istniały strefy półmroku. Poza tym na pokładzie było kilka miejsc zupełnie zaciemnionych, na przykład wokół wieży armatniej, przy pozostawionym sprzęcie spawalniczym i wielkich zwojach lin. Było takich miejsc wystarczająco dużo, aby względnie bezpiecznie poruszać się po pokładzie.

Raz jeszcze rzucił okiem na strażników. Obaj byli odwróceny do niego plecami.

Nabrał powietrza w płuca i jednym szybkim ruchem podciągnął się i przeskoczył przez burtę. Bezgłośnie wylądował bosymi stopami na pokładzie i kilkoma susami dopadł

zbawczego cienia. Nogi trzęsły się pod nim, usiadł więc, żeby wyrównać oddech i zastanowić się.

„Co teraz?” - myślał. Był na pokładzie „Bluchera”, ale co miał robić dalej? Gdzie przetrzymują Rosę? Czy było na okręcie jakieś specjalne pomieszczenie dla więźniów?

A może zamknęli ją w którejś kabynie oficerskiej lub w izbie chorych?

Wiedział mniej więcej, gdzie jest izba chorych. Kiedy pracował w magazynie, jeden ze strażników powiedział: „Zszedł na dół, do izby chorych”. To musi być gdzieś w pobliżu magazynu dziobowego. O Boże! Jeśli ją tam trzymają, to Rosa znajdzie się prawie w samym centrum eksplozji.

Uklęknął i rozejrzał się. Było nieco jaśniej. Poprzez siatkę maskującą spojrzął na wschód. Czerń nieba straciła swą intensywność, gwiazdy świeciły nieco słabiej.

Niedługo zacznie świtać. Noc szybko minęła, poranek był coraz bliżej. Pozostało zaledwie kilka krótkich godzin do momentu, gdy wskazówki zegara osiągną kres swej wędrówki i powstanie obwód elektryczny, który przypieczętuje los „Bluchera” i ludzi na jego pokładzie.

Musiał działać. Wstał powoli i zamarł. Strażnicy przerwali rozmowę i stali wyprężeni z karabinami na ramionach. W krąg światła wkroczył wysoki człowiek w białym mundurze. Nie sposób było go z kimś pomylić. Był to ten sam oficer, którego Sebastian widział w magazynie dziobowym. Kyller, zwracali się do niego

per poruczniku Kyller.

Kyller skinął głową salutującym strażnikom i wymienił z nimi kilka zdań. Mówili cicho i niewyraźnie. Porucznik zasalutował i ruszył w stronę dziobu. Sebastian przykucnął za swoją zasłoną i patrzył na oficera. Ogarnął go strach. Nagle porucznik zatrzymał się i spojrzał uważnie na pokład pod stopami. W tym samym momencie prawą ręką sięgnął do kabury i wyrwał z niej pistolet.

- Straże! - krzyknął. - Do mnie! Biegiem!

Na gładkim pokładzie mokre ślady stóp pozostawione przez Sebastiana błyszcząły w świetle latarni pokładowych. Kyller ruszył w stronę, w którą wiodły ślady, i szedł

wprost na Sebastiana. Buciory strażników dudniły po pokładzie. Przybiegli, trzymając karabiny gotowe do strzału.

- Ktoś wszedł na pokład. Rozdzielić się i przeszukać wszystko... - krzyczał Kyller i zbliżał się do Sebastiana.

Sebastian wpadł w panikę. Skoczył na równe nogi i zaczął biec w stronę wieży artyleryjskiej.

- Jest tam! - wrzasnął Kyller. - Stój! Stój, bo strzelam!

Sebastian biegł najszybciej, jak potrafił. Z głową wtuloną w ramiona gnał w stronę wieży, za którą chciał znaleźć schronienie.

- Stój! - powtórzył Kyller. Stał w pokazowej pozycji strzelca wyborowego. Nogi lekko ugięte w kolanach, prawe ramię nieco wysunięte do przodu, ręka wyprostowana.

Chwilę podążał lufą za biegnącym Sebastianem, potem rozległ się huk i luger nieco podskoczył

Kyllerowi w dłoni. Kula uderzyła w pancerz wieży i odbiła się rykoszetem.

Sebastian czuł koło ucha podmuch przelatującego pocisku. Narożnik wieży, za którym byłby bezpieczny, był tuż, tuż.

Następny strzał odbił się echem w mroku nocy i w tym samym momencie Sebastian poczuł silne uderzenie pod lewą łopatką, które pchnęło go do przodu, wprost na stalową ścianę wieży artyleryjskiej. Jego ręce ześlizgiwały się po gładkiej powierzchni, na próżno szukając oparcia. Osunął się po szaro pomalowanej ścianie, pozostawiając na niej szeroką smugę krwi. Opadł na kolana. Zakrzywione palce wysoko uniesionych rąk wciąż próbowały złapać się czegoś. Nagle przekręcił się i upadł plecami na pokład.

Kyller podszedł i pochylił się nad nim z opuszczonym pistoletem.

- O mój Boże! - w jego głosie brzmiał szczery żal. - To tylko robotnik. Czemu ten głupiec uciekał? Nie strzelałbym, gdyby się zatrzymał.

Sebastian chciał spytać, gdzie jest Rosa. Chciał wytłumaczyć, że jest jej mężem i że przyszedł, by ją odnaleźć. Z wysiłkiem starał się skupić wzrok na twarzy Kyllera i przypomnieć sobie swoją szkolną niemczyznę. Ale kiedy otworzył usta, wypłynęła z nich krew. Zakrztusił się i bąble jasno-czerwonej cieczy pojawiły się między jego wargami.

- Dostał w płuco - powiedział Kyller i krzyknął do nadbiegających strażników: -

Przynieście nosze. Szybko. Musimy zabrać go do izby chorych.

W izbie chorych na „Blücherze” było dwanaście koi, po sześć pod każdą ze ścian wąskiej kajuty. Osiem z nich zajmowali marynarze niemieccy: pięć przypadków malarii i trzech rannych podczas naprawy dziobu okrętu.

Rosa Oldsmith leżała na koi najbardziej oddalonej od drzwi, przesłonięta przenośnym parawanem. Pilnujący jej strażnik z pistoletem u pasa pochłonięty był bez reszty czytaniem miesięcznika, na którego okładce widniała hoża blondynka w czarnym gorsecie i wysokich butach, trzymająca w ręku bicz.

Pomieszczenie było jasno oświetlone i pachniało środkami antyseptycznymi. Jeden z ludzi dotkniętych malarią był w stanie delirium; na przemian śmiał się i krzyczał.

Sanitariusz szedł z metalową tacą od łóżka do łóżka i rozdawał poranną porcję chininy.

Była piąta rano.

Rosa niewiele spała tej nocy. Leżała na kocach, w pasiastym szlafroku narzuconym na błękitną flanelową piżamę. Szlafrok był o wiele za duży, dziewczyna musiała więc kilka razy podwinąć rękawy. Rozpuszczone czarne włosy błyszcząły na skroniach od potu. Na wymizerowanej, poszarzałej twarzy silnie odznaczały się zapadnięte, podkrążone oczy. Rosa wciąż czuła w ramieniu tępy ból po uderzeniu Fleischera.

Nie spała. Leżała ze wzrokiem wbitym w niski sufit i rozpamiętywała wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Przypomniała sobie przesłuchanie u kapitana von Kleinego. Siedział naprzeciwko niej w swojej luksusowo umeblowanej kabinie i mówił łagodnym głosem, połykając niektóre spółgłoski i twardo wymawiając samogłoski. Jego angielski był dobry, a maniery nienaganne.

- Kiedy ostatnio pani jadła? - spytał najpierw.

- Nie jestem głodna - odparła Rosa, nie starając się ukryć nienawiści. Nienawidziła ich wszystkich - tego przystojnego, który stał obok, i Hermanna Fleischera, który w drugim końcu kabiny, siedział rozkraczony, aby jego obwisły brzuch mógł zmieścić się pomiędzy udami.

- Zamówię posiłek. - Von Kleine zignorował protesty Rosy i zadzwonił na stewarda.

Kiedy przyniesiono jedzenie, dziewczyna nie potrafiła oprzeć się żądaniom swego ciała i jadła, siląc się na powściągliwość. Kielbasa i pikle były wyborne, tym bardziej że nie miała nic w ustach od wczorajszego przedpołudnia.

Gdy Rosa pochłaniała posiłek, von Kleine taktownie zajął się rozmową z porucznikiem Kyllerem, ale gdy steward zabrał opróżnione talerze, kapitan zwrócił

się do niej ponownie.

- Herr Fleischer mówi, że jest pani córką majora O'Flynna, dowódcy nieregularnych oddziałów portugalskich działających na terenie niemieckim.

- Byłam, dopóki go nie powieszono, zamordowano! Był ranny i bezsilny. Założyli mu stryczek i... - W oczach Rosy objawiły się łzy.

- Tak - przerwał jej von Kleine. - Wiem. Nie jestem ym faktem zachwycony. To sprawa pomiędzy mną

a komisarzem Fleischerem. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu zaistniałych wypadków, i złożyć wyrazy ubolewania - rzekł

i spojrzał na Fleischera.

Po twardym wyrazie błękitnych oczu Rosa poznała, że kapitan mówi to, co rzeczywiście myśli.

- Ale teraz mam kilka pytań, które muszę pani zadać...

Rosa starannie przemyślała sobie odpowiedzi, bo wiedziała, o co zechcą ją zapytać.

Odpowiadała szczerze i zgodnie z prawdą o wszystkim, co nie narażało Sebastiana i jego misji umieszczenia bomby zegarowej na „Blücherze”.

Co ona i Flynn robili, kiedy zostali pojmani? Obserwowali „Blüchera”, by dać znać krążownikom angielskim, kiedy niemiecki okręt ruszy w kierunku ujścia.

Skąd Brytyjczycy wiedzieli, że „Blücher” jest w dolinie Rufiji? Wskazówką była blacha na pancierz, oczywiście. Potem potwierdziło to rozpoznanie powietrzne.

Czy rozważali akcję zaczepną przeciwko „Blücherowi”? Nie, zamierzali czekać, aż wypłynie.

Jak silna jest eskadra blokująca? Widziała dwa krążowniki, ale nie wie, czy za horyzontem nie było więcej okrętów.

Von Kleine starannie zadawał pytania i uważnie słuchał odpowiedzi. Kontynuował

przesłuchanie przez godzinę, aż Rosa zaczęła głośno ziewać, a język zaczął się jej plątać ze zmęczenia. Von Kleine doszedł do wniosku, że już więcej nic się od niej nie dowie.

Wszystko, co dotąd powiedziała, wiedział już wcześniej albo się tego domyślał.

- Dziękuję pani - zakończył rozmowę. - Zatrzymam panią na pokładzie swego okrętu. Niedługo będzie na nim niebezpiecznie, ponieważ wypłyniemy na spotkanie okrętów brytyjskich, ale wierzę, że będzie to lepsze dla pani niż przekazanie w ręce niemieckiej administracji na lądzie. - Urwał na chwilę i spojrzał na komisarza Fleischera.

- W każdym narodzie są nikczemnicy, głupcy i barbarzyńcy. Proszę nie osądzać nas na podstawie jednego człowieka.

Rosa poczuła do siebie niesmak, że tak szybko zdradziła własne uczucia, ale musiała przyznać, że nie potrafi pałać nienawiścią do tego człowieka. Uśmiechnęła się ciepło i odparła:

- Jest pan miły.

- Porucznik Kyller odprowadzi panią do izby chorych. Przykro mi, że nie mogę zaproponować lepszej kwatery, ale to bardzo zatłoczony statek.

Kiedy Rosa i Kyller wyszli, von Kleine zapalił krótkie cygaro i rozkoszował się przez chwilę jego smakiem i zapachem, patrząc na portret dwóch złotych kobiet. Potem wstał

i zwrócił się do mężczyzny rozwalonego niedbale na kanapie. W jego głosie nie było już śladu uprzejmości.

- Herr Fleischer, trudno mi w pełni wyrazić moje wyjątkowe niezadowolenie z pańskiego zachowania w owej kwestii...

Po źle przespanej nocy Rosa leżała na szpitalnym posłaniu i myślała tylko o mężu.

Jeśli wszystko poszło dobrze, Sebastian umieścił już bombę zegarową i uciekł

z „Blüchera”. Może teraz był już w drodze na umówione spotkanie nad rzeką Abati.

Jeśli tak, to już więcej go nie zobaczy. Tylko tego żałowała. Przypomniała go sobie w tym groteskowym przebraniu i uśmiechnęła się lekko. Drogi, kochany Sebastian. Czy kiedykolwiek dowie się, co się z nią stało? Czy dowie się, że zginęła wraz z tymi, których tak nienawidziła? Miała nadzieję, że nigdy nie będzie wiedział. Nie chciała, by zamęczał się myślami, że tak bardzo przyczynił się do jej śmierci.

„Chciałabym zobaczyć go tylko raz, by powiedzieć, że moja śmierć jest nieważna wobec śmierci Hermanna Fleischera, wobec zniszczenia niemieckiego okrętu.

Chciałabym tylko zobaczyć to, kiedy nadejdzie czas. Chciałabym w jakiś sposób poznać dokładną godzinę eksplozji, abym mogła powiedzieć o tym Hermannowi Fleischerowi minutę wcześniej, kiedy byłoby już za późno na ucieczkę, a potem patrzeć. Może zaczęłby płakać? A może krzyczałby ze strachu? Chciałabym, żeby tak było. Bardzo bym tego chciała”.

Rozpierała ją taka nienawiść, że nie mogła leżeć spokojnie. Usiadła i zawiązała sobie pasek szlafroka. Przepełniał ją niepokój i radość. To powinno stać się dzisiaj, była tego pewna. Już niedługo ugasi pałace pragnienie zemsty, które dręczyło ją od tak dawna.

Wstała i odsunęła parawan. Strażnik rzucił swój magazyn i zerwał się z krzesła, gorączkowo wrywając pistolet z kabury.

- Nie zrobię ci krzywdy - z uśmiechem uspokoiła go Rosa. - Przynajmniej na razie!

Wskazała drzwi, które wiodły do niewielkiej toalety z prysznicem. Starżnik uspokoił

się, skinął głową na znak zgody i wstał, żeby pójść za nią. Rosa szła powoli pomiędzy kojami i przyglądała się każdemu choremu z osobna. „Wszyscy - myślała z radością. -

Wszyscy!” Kiedy znalazła się w łazience, zasunęła języczek rygla i rozebrała się.

Nachyliła się nad wanną, by zobaczyć swe odbicie w małym lustrze zawieszonym na ścianie. Od szyi aż do prawej piersi ciągnął się fioletowo-czarny siniak. Dotknęła go lekko opuszkami palców.

- Hermannie Fleischerze - powiedziała głucho - to stanie się dzisiaj. Obiecuję ci.

Dzisiaj umrzesz. - I nagle rozplakała się. - Chciałabym tylko, żebyś spłonął żywcem, tak jak spłonęła moja córka. Chciałabym, żebyś zadyndał na stryczku, tak jak mój tata. -

Wielkie łzy potoczyły się po jej policzkach. Zaczęła łkać, a jej ramiona drgały, wstrząsane spazmami żalu i nienawiści. Odkręciła szybko oba krany, by szum wody zagłuszył jej płacz. Nie chciała, żeby ktoś to usłyszał.

Wykąpała się, umyła włosy, potem włożyła piżamę i szlafrok i wyszła z łazienki.

Stała, zdziwiona zamieszaniem panującym w izbie chorych. Zaroiło się tam od ludzi.

Był lekarz, dwóch sanitariuszy, czterech marynarzy i młody porucznik. Wszyscy skupili się wokół noszy, którymi manewrowali pomiędzy łózkami. Na noszach leżał jakiś mężczyzna przykryty kocem, ale Rosa nie mogła zobaczyć jego twarzy, gdyż przesłaniały ją plecy porucznika Kyllera. Na kocu

widniała duża plama krwi. Rękaw białego munduru młodego oficera także był przesiąknięty krwią. Rosa podeszła do Kyllera i wychyliła się zza jego pleców, aby zobaczyć oblicze rannego, lecz w tym momencie jeden z sanitariuszy przykrył mu twarz kawałkiem białego materiału.

Przesiākająca krew szybko zabarwiła szmatkę na czerwono. Rosa poczuła mdłości.

Odwróciła się i poszła w kierunku swojej koi. Już była koło parawanu, gdy za plecami usłyszała jęk, którego dźwięk ją zelektryzował. Poczowała ukłucie w piersiach. Powoli, trwożliwie odwróciła się.

Właśnie przenosili rannego z noszy na łóżko. Głowa bezwładnie opadła mu na bok i Rosa zobaczyła twarz zabarwioną na ciemno. Było to znajome kochane oblicze jej męża.

- Sebastianie! - krzyknęła i rzuciła się w jego stronę. Odepchnęła Kyllera i przylgnęła do piersi męża, próbując objąć go ramionami. - Sebastianie! Co oni ci zrobili?

82

- SEBASTIANIE! SEBASTIANIE! - Rosa leżała na piersi męża z uchem przystawionym do jego ust. - Sebastianie - powiedziała cicho, lecz z naciskiem i dotknęła ustami jego czoła. Było zimne i wilgotne. Klatkę piersiową miał grubo zawiniętą bandażami. Przy każdym płytkim i urywanym oddechu bulgotało mu w gardle.

- Sebastianie. To ja, Rosa. Obudź się, Sebastianie. Obudź się, to ja, Rosa!

- Rosa. - Wreszcie jej imię dotarło do jego świadomości. Wymówił je z bólem i natychmiast na ustach pojawiła się świeża krew.

Rosa była bliska załamania. Siedziała przy nim od dwóch godzin. Kiedy lekarz skończył zakładanie opatrunku, usiadła na brzegu łóżka, głaskała Sebastiana i mówiła do niego. Dopiero teraz, po dwóch godzinach, Sebastian zareagował.

- Tak! Tak! To ja, Rosa. Obudź się, Sebastianie - głos drżał jej z emocji.

- Rosa? - Powoli uniósł powieki.

- Obudź się. - Uszczypnęła go w zimny policzek, aż skrzywił się z bólu i szerzej otworzył oczy.

- Rosa? - wycharczał.

- Tutaj, Sebastianie. Jestem tutaj.

Przewracał desperacko oczyma próbując na czymś skupić wzrok.

- Tutaj - powiedziała Rosa, nachylając się tuż nad nim i ujmując jego twarz w dłonie.

Spojrzała mu prosto w oczy. - Tutaj, kochanie, tutaj!

- Rosa. - Usta Sebastiana wykrzywiły się w grymasie nieco przypominającym uśmiech.

- Sebastianie, czy zainstalowałeś bombę?

Jego oddech stał się szybszy, a usta z wysiłkiem próbowały sformułować słowa.

- Powiedz im - szepnął.

- Co mam im powiedzieć?

- Siódma. Muszą to zatrzymać.

- O godzinie siódmej?

- Nie... chcę... żebyś...

- Czy to wybuchnie o godzinie siódmej?

- Ty... - Bulgoczący kaszel nie pozwolił mu dokończyć.

- O siódmej? Czy tak, Sebastianie?

- Ty musisz. - Zamknął oczy i wszystkie siły skupił na mówieniu. - Proszę, nie umieraj. Zatrzymaj zegar.

- Nastawiłeś go na siódmą? - Zniecierpliwiona potrząsnęła głową Sebastiana. -

Powiedz mi, na miłość boską, powiedz mi!

- O siódmej. Powiedz im... powiedz im.

Spojrzała na zegar zawieszony na ścianie. Ozdobne wskazówki pokazywały na białej tarczy za piętnaście siódma.

- Nie umieraj, proszę, nie umieraj - bełkotał Sebastian.

Nie słuchała już błagania Sebastiana. Przepełniła ją radość triumfu; знаła dokładną godzinę wybuchu. Teraz może posłać po Hermanna Fleischera.

Delikatnie położyła na poduszce głowę Sebastiana. Na stoliku pod zegarem zobaczyła pomiędzy tacami z przyborami lekarskimi i butelkami z medykamentami ołówki i bloczek kartek. Podeszła i pod czujnym okiem strażnika skreśliła wiadomość.

Kapitanie!

Mój mąż jest przytomny. Ma ważną wiadomość dla komisarza Fleischera. Nie będzie rozmawiał z nikim innym, tylko z komisarzem Fleischerem. Ta wiadomość może ocalić pański okręt.

Rosa Oldsiftith

Złożyła kartkę i wcisnęła ją w rękę strażnikowi.

- Dla kapitana. Kapitan.

- Kapitan - po niemiecku powtórzył strażnik. - Jawohl. Patrzyła, jak podchodzi do drzwi kajuty, rozmawia z drugim strażnikiem i przekazuje mu kartkę.

Przysiadła na brzegu koi Sebastiana i głaskała jego ogoloną głowę. Odrastające włosy drapały ją lekko.

- Poczekaj na mnie. Odejdę razem z tobą, kochanie. Poczekaj na mnie.

Ale Sebastian znowu był pogrążony w nieświadomości.

Głaskała go, mrużąc cicho słowa otuchy. Uśmiechała się do siebie radośnie, czekając, aż wskazówka minutowa dobrnie na szczyt białej tarczy.

83

Kapitan Arthur Joyce osobiście doglądał rozmieszczenia ładunków wybuchowych.

Być może dawno temu inny człowiek czuł się tak jak on, słysząc rozkaz płynący z płonącego buszu i równie dobrze jak on wiedział, że musi go usłuchać.

Ładunki były niewielkie, ale umocowano je do nagiego pancerza w dwudziestu miejscach, powinny więc skutecznie rozerwać kadłub „Renounce'a”. Grodzie wodoszczelne były pootwierane, tak aby woda mogła swobodnie wypełnić wnętrze okrętu. Aby

zminimalizować niebezpieczeństwo potężnej eksplozji, zalano magazyny z amunicją. Pod kotłami utrzymywano niewielki ogień, tylko tak, by wystarczyło pary do ostatniej szarży „Renounce'a” w głąb delty Rufiji.

Załoga została zdjęta z krążownika. Pozostało na nim zaledwie dwudziestu marynarzy niezbędnych do prowadzenia okrętu. Resztę przetransportowano na pokład „Pegasusa”.

Joyce zamierzał podjąć próbę sforsowania zapory, przepłynięcia przez pole minowe i zatopienia okrętu powyżej miejsca, gdzie koryto rzeki dzieliło się na dwa ramiona.

Gdyby „Renounce” zatonął wcześniej, blokując jedno tylko ujście Rufiji, Armstrong miał

zatopić „Pegasusa” w drugim. Joyce siedział na mostku swego okrętu i patrzył na zielone wybrzeże kontynentu afrykańskiego, skapanego w złocistym blasku wschodzącego słońca.

„Renounce” płynął wzdłuż brzegu w odległości pięciu mil od linii lądu. Za nim, niczym żałobnik za trumną, podążał „Pegasus”.

- Szósta czterdzieści pięć, sir - zameldował oficer wachtowy.

- Dobrze. - Joyce wstał z krzesła. Aż do tej chwili tliła się w nim iskierka nadziei.

Teraz ich czas dopełnił się i „Renounce” musiał zginać.

- Sygnałowy - powiedział cicho - proszę przekazać wiadomość do „Pegasusa”: „Plan A wchodzi w życie”. - To był szyfr, który oznaczał, że „Renounce” wpływa w ujście. -

Bądźcie gotowi na podjęcie rozbitków.

- „Pegasus” potwierdza, że zrozumiał, sir.

Joyce był zadowolony, że Armstrong nie silił się na żadne idiotyczne słowa pokrzepienia w rodzaju „Powodzenia”, a tylko zwyczajnie i po prostu potwierdził

przyjęcie rozkazu.

- W porządku, pilocie - powiedział. - Proszę prowadzić nas do ujścia.

84

Był piękny słoneczny poranek. Morze falowało spokojnie. Dowódca eskadry niszczycieli eskortujących konwój wołałby, żeby było mniej pięknie. Oddałby całe swoje wieloletnie doświadczenie za tydzień deszczu i mgły.

Jego okręt płynął właśnie wzdłuż linii statków transportowych na koniec kolumny.

Kapitan musiał skarcić dowódcę ostatniego transportowca, że nie trzyma się w szyku.

Spojrzał na horyzont na zachodzie, ale nie znalazł pocieszenia. Panowała absolutna widoczność, niemiecki obserwator będzie w stanie dostrzec konwój tych powolnych transportowców z odległości trzydziestu mil.

Dwanaście statków, piętnaście tysięcy ludzi, a „Blucher” już jest, być może, na oceanie. W każdej chwili może pojawić się na horyzoncie, mierząc do nich z tych swoich długich dwustuttrzydziestomilimetrowych dział. Na samą myśl cierpła mu skóra.

Zerwał się z krzesła i przeszedł na lewy kraniec mostka, by spojrzeć na konwój. Mijali właśnie w niewielkiej odległości jeden z transportowców. Na pokładzie rufowym grali w krykieta. Potężnie zbudowany mężczyzna, odziany jedynie w krótkie gatki koloru khaki, zamachnął się i uderzył kijem w piłkę. Piłka podskoczyła i z pluskiem wpadła do morza.

- Och, świetny strzał - powiedział młody porucznik stojący obok kapitana.

- To nie towarzyskie spotkanie lordów, panie Parkinson - ofuknął go kapitan niszczyciela. - Jeśli nie ma pan nic do roboty, to zaraz coś panu znajdę.

Porucznik wycofał się zgaszony. Kapitan spojrział wzdłuż linii konwoju.

- Och, nie! - jęknął. Numer Trzy znowu kopcił straszliwie. Od kiedy opuścili Durban, Numer Trzy co jakiś czas odgrywał rolę Wezuwiusza. Był świetnym obiektem, by zwrócić uwagę obserwatora na „Blücherze”.

Kapitan wziął swoją tubę, gotowy w najbardziej zjadliwy sposób zbesztać dowódcę statku, kiedy zbliżą się do niego.

- To gorsze, niż być wychowawcą w przedszkolu. Wykończą mnie. - Podniósł tubę, gdy zrównali się z Numerem Trzy.

Żołnierze piechoty, którzy stali na pokładzie, uśmiechali się promiennie, kiedy ciskał kłatwy.

- Głupcy. Zobaczymy, jak będą się śmiali, gdy pojawi się „Blucher” - burknął

kapitan i poszedł na drugą stronę mostku, by popatrzeć na zachód, gdzie na horyzoncie majaczyło wybrzeże Afryki.

- Cała nadzieja w „Renounsie” i „Pegasusie”.

Niech Bóg sprawi, żeby powstrzymały „Bluchera”.
Jeśli przebije się przez blokadę...

85

- Nie ma mowy, Bwana. Oni nie pójda - oświadczył sierżant Askariów Ensignowi Proustowi.

- A w czym problem?

- Mówią, że na okręcie są złe czary. Nie pójda tam dziś. Proust spojrział na tłum czarnych postaci. Stały w milczeniu, patrząc na niego nieruchomo.

Przy brzegu wyspy czekały dwie łodzie motorowe, gotowe zabrać robotników do pracy na pokładzie „Blüchera”. Marynarze niemieccy obsługujący łodzie patrzyli z zainteresowaniem na tę milczącą rebelię. Ensign Proust był speszony ich obecnością.

Proust był w wieku, w którym mężczyzna ma trzy atrybuty: wiarę w swą roztropność, dostojęństwo patriarchy i pryszczę. Innymi słowy, miał dziewiętnaście lat.

Było dla niego rzeczą oczywistą, że ci tubylcy podjęli swą akcję jedynie po to, by wprowadzić w zakłopotanie Ensigna Prousta. Była ona wymierzona bezpośrednio w niego, by zachwiać jego pozycją i autorytetem.

Podniósł prawą rękę do ust i zaczął w zamyśleniu obgryzać paznokcie. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, co robi. Próbował zwalczyć to przyzwyczajenie, ale, jak dotąd, bez powodzenia. Założył szybko ręce na plecach dokładnie tak samo, jak robił to kapitan Otto von Kleine, którego Ensign Proust niezmiernie podziwiał. Porucznik Kyller zranił go kiedyś do żywego, gdy w odpowiedzi na prośbę o pozwolenie

zapuszczenia brody takiej, jaką nosił kapitan, wybuchnął grubiańskim śmiechem.

Teraz Proust opuścił swą nie obrosniętą brodę na piersi i chodził wolnym krokiem tam i z powrotem przed szeregiem Murzynów, którzy stali w milczeniu, czekając na decyzję. Ensign Proust pomyślał, że mógłby wysłać jedną łódź na „Blüchera”

i sprowadzić komisarza Fleischera. Przecież tak naprawdę to był shauri komisarza (Proust używał czasami dziwnych i nie zawsze dobranych słów w języku suahili).

Zrozumiał jednak, że posyłanie po Fleischera będzie przyjęte jako dowód, że on sam nie potrafi sobie poradzić z tą sytuacją. Komisarz Fleischer będzie z niego szydził, komisarz Fleischer wykazywał rosnący zapal w wyszydzaniu Ensigna Prousta.

„Nie - postanowił sobie i zaczerwienił się tak, że pryszcze na jego twarzy stały się jakby mniej widoczne. - Nie poślę po tego tłustego grubianina”. Zatrzymał się i zwrócił

do sierżanta.

- Powiedz im - zaczął głosem piszczącym przenikliwie. Odchrząknął i kontynuował

niższym tonem. Z głębi gardła dobywały się dudniące słowa. - Powiedz im, że bardzo poważnie zapatruję się na tę sprawę.

Sierżant zasalutował, zrobił surową minę i przekazał robotnikom wiadomość od Ensigna Prousta w języku suahili. Poza kilkoma uniesionymi brwiami nie było wśród tubylców żadnego odzewu. Zareagowały natomiast załogi łodzi. Jeden z marynarzy roześmiał się.

Ensign Proust głośno przełknął ślinę, a jego uszy

przybrały kolor dobrego burgunda.

- Powiedz im, że to jest muting! - Ostatnie słowa wypowiedział znowu piskliwie.

Sierżant zwlekał chwilę. Zastanawiał się, jak przełożyć to na suahili. Wreszcie powiedział:

- Bwana Czapla jest bardzo zły. - Proust zyskał to przezwisko z powodu spiczastego nosa i długich chudych nóg.

Ostatnią uwagę Murzyni znieśli dzielnie.

- Powiedz im, że poczynię drastyczne kroki.

W mniemaniu sierżanta Proust nareszcie zaczął mówić z sensem. Pozwolił sobie w swym tłumaczeniu na przekazanie raczej ducha wypowiedzi niż dokładnie samych słów.

- Bwana Czapla mówi, że na wyspie jest tyle drzew, że wystarczy dla was wszystkich, a i lin u niego dostatek.

Tłum Murzynów zafalował niczym kłosa pszenicy poruszane wiatrem. Rozmowy ucichły i wszyscy stali wpatrzeni w Walakę.

Walaka wystąpił z grupy z ociąganiem. Zdawał sobie sprawę, że to bardzo ryzykowne zwracać na siebie uwagę, kiedy mowa jest o stryczkach. Ale zło już się dokonało. Setki oczu wskazywały go Allemandom. Bwana Intambu zawsze wieszał

tęgo, na którego wszyscy patrzyli.

Walaka rozpoczął przemowę. Jego głos dźwięczał kojąco niczym brama na zardzewiałych zawiasach, poruszana wiatrem. Mówił i mówił długo i jednostajnie, niczym członek parlamentu.

- O czym on mówi? - spytał Ensign Proust.

- On mówi o lampartach - poinformował go sierżant.

- A co on o nich mówi?

- Mówi, między innymi, że są one ekskrementami martwych trędowatych.

Proust był zbity z tropu. Myślał, że przemowa Walaki ma jakiś związek ze sprawą.

Otrząsnął się ze zdumienia i rzekł do sierżanta:
- Powiedz mu, że jest mądrym człowiekiem; że oczekuję, iż poprowadzi innych do ich obowiązków.

Sierżant surowo spojrział na Walakę.

- Bwana Czapla mówi, że ty, Walaka, jesteś synem chorego jeżozwierza i jesz padlinę razem z sępami. Mówi też, że zostałeś wybrany, aby pierwszy zadyndać na sznurze.

Walaka przestał mówić. Zrezygnowany wzruszył ramionami i poszedł do łodzi.

Pięciuset czarnoskórych udało się jego śladem.

Dwa statki płynęły spokojnie w stronę „Blüchera”. Ensign Proust stał na dziobie pierwszego z rękoma opartymi na biodrach. Wyglądał jak wiking powracający z wyprawy.

- Potrafię obchodzić się z tymi ludźmi - powie porucznikowi Kyllerowi. - Trzeba wyłuskać z grupy jej lidera i przemówić do jego poczucia obowiązku.

Wyjął zegarek z kieszonki.

- Za piętnaście siódma - mruknął. - Będziemy na pokładzie o czasie. - Odwrócił się i uśmiechnął do Walaki, który kucał przygnębiony pod ścianą sterówki.

- Poczciwy facet! Zwrócę uwagę porucznika Kylera

na jego właściwie zachowanie.

86

Porucznik Ernst Kyller zdarł z siebie bluzę munduru i usiadł na swojej koi. Ujął

poplamiony rękaw dwoma palcami i skruszył zaschniętą krew.

- Nie powinien był uciekać. Musiałem strzelić.

Wstał i powiesił bluzę w małej szafce. Wyjął zegarek z kieszeni, nakręcił go.

- Za piętnaście siódma - odczytał bezwiednie godzinę i położył złote cacko na małym stoliku. Poprawił poduszki i wyciągnął się na łóżku, nie zdejmując butów.

- Dostał się na okręt, by ratować żonę - myślał głośno. To normalne. Ale jego przebranie, ogolona głowa, zabarwiona skóra... To daje dużo do myślenia. Musiało mu to zająć sporo czasu.

Kyller zamknął oczy. Był zmęczony. Miał za sobą długą i pełną wydarzeń wachtę.

Jakieś dziwne przeczucie nie dawało mu jednak spokoju, wrażenie, że przeoczył coś niezwykle istotnego.

Po tym, jak dziewczyna rozpoznała rannego, ustalili z lekarzem, że jest białym ucharakteryzowanym na tubylca.

Kyller nie najlepiej znał angielski, ale zrozumiał mniej więcej słowa troski, miłości i oskarżeń wykrzyczane przez dziewczynę.

- Jego też zabiliście. Zabiliście ich wszystkich. Moje dziecko, mojego ojca, a teraz i mojego męża. Wy mordercy, wy plugawe zbrodnicze świnie!

Kyller wykrzywił się i potarł dłońmi zmęczone oczy. Tak, zrozumiał, co mówiła.

Kiedy zdawał relację kapitanowi von Kleinemu, ten nie zwrócił większej uwagi na incydent.

- Czy ten człowiek jest przytomny?

- Nie, kapitanie.

- Co powiedział lekarz? Jakie są jego szanse?

- Umrze. Prawdopodobnie przed południem.

- Postąpił pan właściwie, Kyller. - Von Kleine położył mu dłoń na ramieniu. - Proszę sobie tego nie wyrzucać. To był pański obowiązek.

- Dziękuję, kapitanie.

- Nie ma pan teraz wachty. Proszę iść do kajuty i odpocząć. To rozkaz. Chcę, żeby był pan wypoczęty i w pełnej gotowości przed zmrokiem.

- A więc to będzie dziś w nocy?

- Tak. W nocy wypływamy. Pole minowe zostało oczyszczone i dałem rozkaz zniszczenia przegrody. Księżyc zachodzi o dwudziestą trzecią czterdzieści siedem.

Wypłyniemy przed północą.

Ale Kyller nie mógł wypoczywać. Prześladowała go szara, znaczone śladami łez twarz dziewczyny. Przyduszony oddech umierającego mężczyzny grzmiał mu w uszach, a na dodatek to gnębiące go złe przeczucie.

Było coś, co musiał jeszcze raz rozważyć. Uczynił wysiłek, by zaprząć do myślenia swój udręczony mózg.

Dlaczego ten człowiek był przebrany? Jeżeli przybył zaraz po tym, jak dowiedział się, że jego żona została uwięziona, to nie miał czasu się ucharakteryzować. Gdzie był, gdy Hermann Fleischer pojmał jego żonę? Nie było go z nią, bo próbowałby jej bronić. Gdzie w takim razie był? Musiał być gdzieś niedaleko.

Kyller przewrócił się na brzuch i wcisnął twarz w poduszkę. Musiał odpocząć.

Musiał zasnąć, bo w nocy będą przebijać się przez angielską blokadę. Samotny okręt przeciwko eskadrze. Szanse na prześliżnięcie się bez nawiązywania walki były niewielkie. To będzie bitwa nocna. W wyobraźni podsycanej zmęczeniem widział

angielskie krążowniki rozświetlone błyskami trafiających je pocisków „Bluchera”. Wróg chciał zemsty. Wróg, który miał nad nimi dużą przewagę, był zaopatrzony w świeże jedzenie, dużą ilość węgla do kotłów, dysponował magazynami pełnymi pocisków i załogami nie wymęczonymi wilgocią i wyziewami Ruffri.

Przeciw nim miał stanąć samotny okręt z prowizorycznie załatanymi uszkodzeniami i połową załogi chora na malarię. Do napędzania turbin miał liche drewno zamiast węgla, a jego siła ognia była radykalnie ograniczona skromnością zapasów amunicji.

Stanęły mu przed oczyma rzędy pustych stojaków na pociski w magazynie dziobowym.

Magazyn? To było to! Magazyn! To w związku z magazynem próbował coś sobie przypomnieć. To było to, co nie dawało mu spokoju. Magazyn!

- O mój Boże! - krzyknął przerażony. W jednej chwili zerwał się na równe nogi i stanął na środku kabiny. Na jego nagich ramionach pojawiła się gęsia

skórka. To tam widział tego Anglika. Był wśród robotników pracujących w magazynie dziobowym.

Mógł tam być z jednego tylko powodu - sabotażu. Na wpeł rozebrany Kyller wypadł ze swej kajuty i rzucił się biegiem przez korytarz.

„Muszę znaleźć komandora Lochtkampera. Będziemy potrzebować z tuzin ludzi, silnych ludzi, palaczy. Tam są tony materiału wybuchowego i pocisków, które trzeba przerzucić, by znaleźć miejsce, gdzie Anglik umieścił ładunek. Boże, proszę, daj nam trochę czasu. Daj nam czas!”

87

Kapitan Otto von Kleine odgryzł koniuszek cygara i dwoma palcami zdjął go sobie z języka. Steward podetknął mu zapaloną zapałkę i po chwili Kleine wypuścił obłok wonnego dymu. Przy stole w pokoju odpraw stały puste krzesła Lochtkampera, Prousta i jeszcze jedno.

- Dziękuję, Schmidt - powiedział kapitan. Wyciągnął nogi i rozparł się wygodnie w fotelu. Śniadanie, które zjedli, nie zachwyciłoby smakosza. Chleb bez masła, ryba złowiona w rzece, przesiąknięta zapachem mułu, popijana czarną kawą bez cukru.

Mimo to Hermann Fleischer wydawał się zadowolony z posiłku. Właśnie zaczynał jeść trzecią porcję.

Von Kleine czuł się zmęczony. To były ostatnie chwile, podczas których mógł się odprężyć. Przez wiele następnych dni nie będzie miał takiej okazji. Chciał rozkoszować się tymi chwilami, pałac swoje

ulubione cygaro, ale było to trudne w tym pomieszczeniu. Oprócz gorączkowego zapachu, z jakim komisarz pałaszował śniadanie, i wszechobecnego zapachu ryby wyczuwało się jakieś dziwne, niemal namacalne napięcie pomiędzy oficerami. Był ostatni dzień przed wypłynięciem. To, co miała przynieść najbliższa noc, pozostawało wielką niewiadomą. Wszyscy stali się drażliwi i milczący. Jedli ze wzrokiem wbitym w talerze i było widać, że większość z nich źle spała. Von Kleine zdecydował, że dokończy cygaro samotnie w swojej kajucie. Wstał

z fotela.

- Wybaczcie mi, panowie.

Usłyszał pomruk pożegnania i odwrócił się, by wyjść.

- Tak, Schmidt, co takiego? - Steward stał mu na drodze.

- Do pana, kapitanie.

Von Kleine włożył cygaro między zęby i mrużąc oczy od gryzącego dymu, rozłożył

i przeczytał kartkę. Zamarł.

Martwiła go ta kobieta i mężczyzna, o którym mówiła, że jest jej mężem. Zaprzętała poważnie jego uwagę, a powinien był skupić się na problemach związanych z opuszczeniem delty. A teraz jeszcze ta wiadomość. Co ona rozumie przez słowa „może ocalić pański statek”? Nagle zrozumiał. Odwrócił się twarzą do sali.

- Panie komisarzu, zechce mi pan poświęcić chwilę. Fleischer podniósł głowę znad talerza. Na policzku błyszczała mu tłusta plama.

- Ja?

- Proszę za mną.

- Tylko skończę...

- Natychmiast, proszę. - Na poparcie swych słów von Kleine wyszedł z pokoju odpraw, pozostawiając Fleischera w niemałej rozterce, ale ponieważ był on człowiekiem, który nie zwykł marnować okazji, wepchnął sobie do ust pozostały na talerzu kawałek ryby. Był to spory kęs i Fleischer prawie całkiem się nim zapchał, ale mimo to znalazł jeszcze miejsce, by wlać w siebie pół kubka kawy. Potem porwał

z koszyka kawałek chleba i szybko wytarł nim talerz. Z kromką w dłoni podążył

ociężale za kapitanem.

Kiedy weszli do izby chorych, stanął jak wryty, wciąż jeszcze przeżuając jedzenie.

Na jednej z koi siedziała kobieta i ocierała chusteczką krew z ust leżącego przy niej czarnego mężczyzny. Podniosła oczy na Fleischera. Troska i smutek zniknęły z jej twarzy, gdy zobaczyła komisarza. Szybko wstała z koi.

- Och, dzięki Bogu, przyszedł pan - krzyknęła radośnie, jakby witała drogiego przyjaciela. Ni stąd, ni zowąd spojrzała na zegar.

Trzymając się w bezpiecznej odległości i nie spuszczać oka z dziewczyny, Fleischer przeszedł powoli w najbardziej odległy kąt pomieszczenia. Przyjrzał się z daleka twarzy umierającego mężczyzny. Było w niej coś znajomego. Miało to związek z tą kobietą.

Zakrztusił się i kawałek na wpół przeżutego chleba wypadł mu z ust.

- Kapitanie! - krzyknął. - To jeden z nich. Jeden

z tych angielskich bandytów!

- Wiem - powiedział von Kleine.

- Dlaczego nie powiedziano mi o tym? Ten człowiek musi być natychmiast rozstrzelany. Już nawet może być za późno. On może wymknąć się sprawiedliwości.

- Proszę, panie komisarzu. Ta kobieta ma dla pana ważną wiadomość.

- To potworność. Powinienem być powiadomiony...

- Spokojnie - uciął von Kleine i zwrócił się do Rosy: - Prosiła mnie pani? Cóż takiego musi nam pani powiedzieć?

Rosa jedną ręką głaskała Sebastiana po głowie i jednocześnie patrzyła na zegar.

- Musi pan powiedzieć panu Fleischerowi, że jest za minutę siódma.

- Słucham?

- Proszę powtórzyć dokładnie to, co powiedziałam.

- Czy to jakiś żart?

- Niech pan powtórzy to natychmiast. Mamy bardzo mało czasu.

- Mówi, że jest za minutę siódma - przetłumaczył von Kleine i zwrócił się ponownie do Rosy: - Powiedziałem mu to.

- Niech mu pan powie, że o siódmej umrze.

- Co to ma znaczyć?

- Najpierw niech mu pan powie. Niech pan powie! - niecierpliwiła się Rosa.

- Ona mówi, że umrze pan o siódmej.

Fleischer oderwał wzrok od Sebastiana, popatrzył na kobietę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niech jej pan powie, że czuję się doskonale - rzekł i roześmiał się głośno. - Lepiej niż ten tutaj. - Wskazał palcem Sebastiana. - Ja, o wiele lepiej. - Jego śmiech potężniał, wypełniając chrapliwym warkotem niewielkie pomieszczenie.

- Niech mu pan powie, że mój mąż umieścił bombę na tym okręcie i że wybuchnie ona o godzinie siódmej.

- Gdzie? - spytał szybko von Kleine.

- Najpierw niech mu pan powie.

- Jeżeli to prawda, pani jest również w niebezpieczeństwie. Gdzie jest bomba?

- Niech pan przekaże Fleischerowi, co powiedziałam.

- Na okręcie jest bomba. Fleischer przestał się śmiać.

- Ona kłamie - wybełkotał. - Anglicy kłamią.

- Gdzie jest bomba? - von Kleine ścisnął ramię Rosy.

- Już za późno. - Rosa uśmiechnęła się błogo. - Niech pan spojrzy na zegar.

- Gdzie ona jest? - von Kleine potrząsnął nią zniecierpliwiony.

- W magazynie. W magazynie dziobowym.

- W magazynie! Słodki litościwy Jezu! - powiedział von Kleine po niemiecku i skoczył w stronę drzwi.

- W magazynie? - krzyknął Fleischer i ruszył za nim. - To niemożliwe, to być nie może. - Ale biegł, dziko, desperacko biegł, a za nim dźwięczał triumfalny śmiech Rosy Oldsmith.

- Jesteś martwy. Tak jak moje dziecko. Martwy. I jak mój ojciec. Jest już za późno, żeby biec, o wiele za późno!

88

Von Kleine przesadzał po trzy stopnie zejściówki naraz. Kiedy znalazł się w korytarzu prowadzącym do magazynu, zatrzymał się nagle. Przejście było zawałone stertą kordytu wyrzucanego bezładnie z magazynu przez kilku gorączkowo pracujących palaczy.

- Co robicie? - krzyknął.

- Porucznik Kyller szuka bomby.

- Znalazł ją? - spytał von Kleine, podchodząc bliżej.

- Jeszcze nie, kapitanie.

Kleine zatrzymał się ponownie w wejściu do magazynu. Zobaczył jatkę. Mężczyźni pod przewodnictwem Kyllera wypruwali z półek cylindry kordytu, obdzierali je z papieru i rzucali byle gdzie.

Von Kleine rzucił się do pomocy.

- Skąd dowiedział się pan o bombie?

- To przypuszczenie. Mogę się mylić.

- Nie myli się pan! Ta kobieta nam powiedziała. Bomba jest nastawiona na godzinę siódmą.

- Pomóż nam, Boże! Pomóż nam! - błagał Kyller doska-kując do następnej półki.

- Ona może być wszędzie, wszędzie! - Kapitan von Kleine pracował w pocie czoła niczym sztauer, przerzucając cylindry kordytu.

- Powinniśmy ewakuować ludzi z okrętu. - Kyller wyrwał z półki kolejny ładunek.

- Nie ma czasu. Musimy ją znaleźć.

Nagle w zamieszaniu dało się słyszeć delikatny dźwięk brzęczka. Było to brzęczenie budzika.

- Tam! - krzyknął Kyller. - To tam!

Rzucił się w przeciwległy kąt magazynu w tym samym momencie, kiedy zrobił to von Kleine. Zderzyli się i upadli, ale Kyller natychmiast zerwał się na równe nogi, odtrącając stojak zagradzający mu drogę do półki.

Brzęczenie potężniało w uszach. Jego dłonie rozerwały cienki papier osłaniający śmiertelny ładunek i w tym momencie dwa miedziane druciki wewnątrz skórzanego pudełka, które przez ostatnie dwanaście godzin zbliżały się do siebie powoli, zetknęły się.

Prąd z baterii popłynął przez obwód i dotarł do cieniutkiego jak włos zapalnika.

Zapalnik zapłonął, przekazując swą energię nitroglicerynowemu materiałowi wybuchowemu wypełniającemu pudełko po cygarach. Fala eksplozji przenosiła się z jednej cząstki na drugą z prędkością dźwięku, tak że wszystko, co było w magazynie „Bluchera”, wraz z porucznikiem Kyllerem, kapitanem von Kleinem i ludźmi dookoła nich, zostało pochłonięte przez wybuch w setnym ułamku sekundy. Zamienili się w parę w piekle, które się nagle rozpętało.

Fala eksplozji ogarnęła cały okręt. Przebiła się w dół przez dwa pokłady i rozerwała na strzępy kadłub niczym nadmuchaną torebkę papierową. Przez kilka sążni wody dotarła do dna rzeki, odbiła się i wróciła, wzbudzając na powierzchni pięciometrową

falę. Wystrzeliła burtami „Bluchera”, rwąc blachę niczym sreberko od czekolady.

Dosięgnęła Rosy Oldsmith, gdy ta leżała przytulona do piersi Sebastiana. Dziewczyna nawet nie zdążyła usłyszeć, że się zbliża.

Dopadła też Hermanna Fleischera, który dotarł właśnie na pokład, i obróciła go w nicość.

Przeleciała przez maszynownię i rozerwała olbrzymie kotły, uwalniając miliony metrów sześciennych sprężonej pary do harców we wnętrzu okrętu. »

Przebiła się w górę, na pokład, i wyrwała z podstawy dziobową wieżę artyleryjską, ciskając setki ton stali wysoko w górę wraz z chmurą pary, dymu i szczątków.

Zabiła każdego bez wyjątku człowieka na okręcie. Nie tylko po prostu zabiła.

Uczyliła o wiele więcej. Zredukowała wszystkich do obłoczku pary lub strzępów ciała i kości. Potem, wciąż nienasycona w swej furii, wystrzeliła poza poszarpany kadłub „Blüchera” i uderzyła w mangrowce, ogałając je z liści.

Podniosła słup dymu i płomieni wprost w jaśniejące błękitem poranka niebo nad deltą Rufiji, a wielkie fale rozchodziły się po wodach rzeki niczym te, które rozchodzą się z oka cyklonu.

Fale uderzyły w dwa statki rzeczne zbliżające się do „Blüchera” i wyróciły je, wyrzucając ich ludzki ładunek wprost w pienisty nurt rzeki.

Echo wybuchu przetoczyło się nad doliną Rufiji, odbiło się od dalekich wzgórz i rozeszło się po bezkresach Oceanu Indyjskiego. Przemknęło nad brytyjskim krążownikiem „Renounce”, kiedy ten

wpływał w ujście Rufiji.

Kapitan Arthur Joyce wychylił się przez burtę na mostku i zobaczył słup dymu, wyrastający przed nim ponad moczarami. Słup był niewiarygodnie olbrzymi, czarno-złoty, po-przeszywany językami ognia. Wyglądał jak jakaś groteskowa żywa istota.

- Zrobili to! - krzyknął Arthur Joyce. - Na Jowisza, zrobili to!

Był poruszony do głębi; drżał cały, twarz mu pobleadła, a oczy, których nie mógł

oderwać od rosnącego do nieba słupa zniszczenia, wypełniły się powoli łzami. Pozwolił

im wypłynąć i potoczyć się bezwstydnie po policzkach.

89

Dwóch mężczyzn weszło do lasu akacjowego, porastającego południowy brzeg rzeki Abati. Zatrzymali się obok olbrzymich kości, z których owady ogryzły mięso do cna. Leżały nagie i jaśniejące bielą.

- Kły zniknęły - powiedział Walaka.

- Tak - przytaknął Mohammed. - Askariowie wrócili i ukradli je.

Razem poszli dalej. Po chwili znowu się zatrzymali obok niedużego kopca świeżo usypanej ziemi. Trawa zdążyła już częściowo go porosnąć.

- To był mężczyzna - powiedział Walaka.

- Zostaw mnie samego, kuzynie. Posiedzę tu

trochę.

- A więc zostań w pokoju. - Walaka poprawił sobie na ramieniu koc zwinięty w rulon i odszedł.

Mohammed usiadł obok grobu. Siedział bez ruchu przez cały dzień. Wieczorem wstał i odszedł na południe.